

Clive Cussler, GRANT BLACKWOOD

ZAGINIONE IMPERIUM

Przekład MACIEJ PINTARA

Tytuł oryginału

Fargo Adventure#2: Lost Empire

Copyright © 2011 by Wydawnictwo Amber Sp. z o.o.

Warszawa 2011. Wydanie I

Prolog

Londyn, Anglia, rok 1864

Człowiek znany jako Jotun kroczył z determinacją przez mgłę przedświt z postawionym kołnierzem dwurzędowej kurtki o marynarskim kroju i szalikiem owiniętym luźno wokół szyi i ust. Jego oddech zamieniał się w parę w zimnym, wilgotnym powietrzu.

Nagle przystanął i zaczął nasłuchiwać. Kroki? Odwrócił głowę w lewo, potem w prawo. Gdzieś na wprost usłyszał przytłumiony stuk. Buty na bruku. Poruszając się lekko jak na tak wielkiego mężczyznę, Jotun cofnął się w cień między filarami łukowej bramy. W kieszeni kurtki zacisnął dłoń na trzonku obszytej skórą ołowianej pałki. Boczne ulice i zaułki Tilbury nie były przyjemnym miejscem, zwłaszcza między zachodem a wschodem słońca.

* Niech szlag trafi to miasto * mruknął Jotun. * Ciemne, wilgotne i zimne. Boże, dopomóż mi.

Tęsknił za żoną i za ojczyzną. Ale to tu był potrzebny; przynajmniej tak twierdzili ludzie sprawujący władzę. Oczywiście ufał ich ocenie sytuacji, ale czasami chętnie zamieniłby obecną służbę na pole bitwy. Tam przynajmniej znałby swojego wroga i wiedziałby, co trzeba zrobić: zabić albo samemu zostać zabitym. Bardzo proste. Ale mimo dzielącej ich odległości żona Jotuna wolała jego obecny przydział niż poprzedni.

* Lepiej być daleko żywym niż blisko martwym * powiedziała mu, kiedy otrzymał rozkazy.

Jotun odczekał jeszcze kilka minut, ale już nic nie usłyszał. Spojrzał na zegarek: trzecia trzydzieści. Ulice zaczęły się zapęniać za godzinę. Jeśli jego ofiara zamierza uciec, musi to zrobić wcześniej. Wrócił na ulicę i ruszył dalej na północ. Znalazłszy Malta Road, skręcił na południe do doków. W oddali usłyszał dźwięk boi i poczuł odór Tamizy. Przed sobą dostrzegł przez mgłę postać mężczyzny, który stał na południowo-wschodnim rogu Dock Road i palił papierosa. Jotun cicho jak kot przeciął ulicę i dotarł do miejsca, skąd miał lepszy widok na róg. Mężczyzna był sam. Jotun cofnął się do wylotu zaułka i gwizdnął cicho. Mężczyzna się odwrócił. Jotun zapalił zapalniczką o paznokieć kciuka, pozwolił jej przez chwilę płonąć, po czym zgasił w palcach. Mężczyzna podszedł do niego.

* Dzień dobry szanownemu panu.

* To dyskusyjne, Fancy.

* W rzeczy samej, szanowny panie. * Fancy spojrzął w lewo, potem w prawo.

* Zdenerwowany? * zapytał Jotun.

* Kto, ja? A niby dlaczego miałbym być? Tacy jak ja chodzą tymi ulicami po nocy.

* Mów.

* On tam jest, szanowny panie. Stoi w tym samym miejscu, co przez ostatnie cztery dni. Ale część cum jest zdjęta. Gadałem ze znajomkiem, co pracuje dorywczo w dokach. Chodzą słuchy, że ruszają w górę rzeki.

* Dokąd?

* Do Millwall Docks.

* Millwall Docks nie są jeszcze skończone, Fancy. Dlaczego mnie okłamujesz?

* Nie kłamie, szanowny panie, naprawdę tak słyszałem. Millwall. Dziś rano.

* Mam człowieka w Millwall, Fancy. Mówi, że będą zamknięci jeszcze przynajmniej tydzień.

* Przepraszam szanownego pana.

Jotun usłyszał jakiś szmer w zaułku za sobą i natychmiast zdał sobie sprawę, że Fancy go przeprosił za coś zupełnie innego. Przemknęło mu przez myśl, że ta mała gnida zdradziła go nie przez złośliwość, lecz raczej z chciwości.

* Uciekaj stąd, Fancy... Wynieś się z Londynu. Jeśli jeszcze raz cię zobaczę, to wypruję ci flaki i nakamię cię nimi.

* Szanowny pan nie zobaczy mnie więcej.

* Postaraj się o to dla własnego dobra.

* Jeszcze raz przepraszam. Zawsze lubiłem...

* Jeśli powiesz jeszcze jedno słowo, będzie ono twoim ostatnim. Idź.

Fancy oddalił się biegiem i zniknął we mgle.

Jotun szybko rozważył swoje możliwości. Kłamstwo Fancy'ego o Millwall oznaczało, że statek popłynie w dół, nie w górę rzeki. Jotun nie mógł do tego dopuścić. Teraz musiał zdecydować, czy mądrzej będzie uciec przed ludźmi, którzy zbliżają się do niego z tyłu, czy z nimi walczyć? Jeśli ucieknie, będą go ścigać, a wolał uniknąć zamieszania tak blisko doku. Załoga statku pewnie i tak już jest zdenerwowana, a musiał ich zaskoczyć spokojnych i niczego nieświadomych.

Jotun odwrócił się w stronę zaułka.

Było ich trzech. Jeden trochę niższy od niego, dwaj dużo niżsi, ale wszyscy barczyści z głowami w kształcie wiader. Uliczne opryszki. Rzezimieszki. Chociaż Jotun nie widział ich twarzy w słabym świetle, był pewien, że mają niewiele zębów, mnóstwo blizn i małe, złe oczy.

* Dzień dobry panom. Czym mogę służyć?

* Nie utrudniaj tego bez potrzeby * odparł najwyższy.

* Noże, ręce czy jedno i drugie? ** zapytał Jotun.

* Że jak?

* Nieważne. Wybierajcie. No, dalej, załatwmy to. Jotun wyjął ręce z kieszeni i w tym samym momencie duży zaatakował go nożem, celując na wysokości bioder.

Gdyby trafił, przeciąłby tętnicę udową lub rozplątał podbrzusze. Jotun nie tylko był wyższy od bandziora, ale miał

o co najmniej dziesięć centymetrów dłuższą rękę i wykorzystał to do zadania ciosu od dołu. W ostatniej chwili zamachnął się pałką i obszyta skórą ołowiana gruszka trafiła napastnika prosto w podbródek. Głowa podskoczyła mu do góry, zatoczył się do tyłu na swoich kompanów i osunął na ziemię. Nóż upadł z hałasem na bruk. Jotun dał susa naprzód, uniósł kolano do wysokości pasa i walnął obcasem buta w kostkę przeciwnika. Rozległ się trzask łamanej kości i oprych zaczął wrzeszczeć.

Jego kompani zawahali się, lecz tylko na moment. Gdy przywódca zostaje powalony, banda często się rozprasza, ale ci ludzie byli przyzwyczajeni do łatwych walk.

Ten z prawej ominął leżącego kompana, opuścił bark

i zaatakował bykiem. Oczywiście użył podstępów. W rękawie miał ukryty nóż, który wyciągnąłby, gdyby Jotun go złapał. Jotun cofnął się o krok na lewej nodze, ugiął ją i skoczył naprzód, jednocześnie wyrzucając przed siebie prawą stopę. Atakujący dostał kopniaka w twarz. Jotun usłyszał odgłos miażdżonej kości. Opryszek opadł na kolana, zachwiał się i runął twarzą na ulicę.

Ostatni napastnik wyraźnie się wahał. Jotun wiedział, czego mu potrzeba: tego przełomowego momentu, kiedy człowiek sobie uświadamia, że zginie, jeżeli nie podejmie właściwej decyzji.

* Oni żyją * powiedziała. * Jeśli się nie odwrócisz i nie odejdziesz, to cię zabiję.

Mężczyzna znieruchomiał z wyciągniętym nożem.

* Daj spokój, synu, czy naprawdę warto ryzykować? Opryszek opuścił nóż. Przelknął z trudem ślinę, pokręcił głową, odwrócił się i uciekł.

Jotun też puścił się pędem, wypadł na Dock Road, przedarł się przez żywopłot i przeciął St. Andrews. Krótki zaułek doprowadził go do dwóch magazynów. Przebiegł między nimi, przesadził płot, wylądował twardo, wstał i wystartował dalej. Zwolnił, dopiero gdy usłyszał

dudnienie drewna pod butami. Doki. Zatrzymał się i rozejrzył, ale zobaczył tylko mgłę.

W którą stronę?

Odczytał numer budynku nad swoją głową i pobiegł na południe. Po kilkudziesięciu metrach usłyszał na prawo od siebie plusk wody. Skręcił w tamtą stronę. Przed nim wyłonił się ciemny kształt. Próbując się zatrzymać, Jotun wpadł na stos skrzyń i zatoczył w bok. Gdy odzyskał równowagę, wskoczył na najmniejszą skrzynię i podciągnął się poziom wyżej. W dole dostrzegł powierzchnię wody. Spojrzył w górę rzeki. Nic nie zobaczył, więc popatrzył w przeciwnym kierunku.

W odległości jakichś dwudziestu metrów zobaczył słabe żółte światło za wielodzielnym oknem, a powyżej, za relingiem, sterówkę statku.

* Niech to szlag! * warknął. * Niech to diabli!

Statek zagłębił się w mgłę i zniknął.

Rozdział 1

Wyspa Chumbe, Zanzibar, Tanzania

Rekiny śmignęły na obrzeżach ich pola widzenia. Sam i Remi Fargo tylko przez mgnienie oka widzieli smukłe szare kształty. Po chwili płetwy jak ostrza noży i machające ogony zniknęły za zasłoną wirującego piasku. Remi jak zwykle nie chciała przepuścić okazji do zrobienia zdjęć i jak zwykle poprosiła męża, żeby służył jako skala porównawcza, gdy wycelowała szybki aparat podwodny w żerujące drapieżniki. Sam mniej obawiał się rekinów niż upadku z piaszczystej mielizny w ciemną głębię Cieśniny Zanzibarskiej za jego plecami.

Remi opuściła aparat, uśmiechnęła się za maską i pokazała mu znak „okej”. Sam odetchnął z ulgą. Podpłynął do niej, uklękli razem na piasku i obserwowali przedstawienie. Był lipiec, sezon monsunowy u wybrzeży Tanzanii. Ciepły Wschodnioafrykański Prąd Przybrzeżny (EACC) płynie wtedy z południowego wschodu aż do południowego krańca Zanzibaru, gdzie rozdziela się na prąd brzegowy i pełnomorski. W trzydziestokilometrowej przestrzeni między Zanzibarem a kontynentem ryby są niesione na północ i powstaje tam lej pokarmowy dla rekinów. Remi nazywała go „ruchomym bufetem, któremu nie można się oprzeć”.

Fargowie uważali, by pozostawać w „strefie bezpieczeństwa”, jak określali pięćdziesięciometrowy pas krystalicznie czystej wody przy wyspie Chumbe, za którym znajdowało się urwisko. Granicę trudno było przeoczyć: prąd płynący z prędkością około sześciu węzłów podrywał do góry wirującą zasłonę piasku wzdłuż mielizny. Sam i Remi nazwali tę linię „strefą pożegnania”, bo przekroczenie jej bez liny ratunkowej oznaczało podróż w jedną stronę w górę wybrzeża.

Mimo zagrożenia * a może właśnie z jego powodu * wyprawy na Zanzibar zaliczali do swoich ulubionych. Oprócz rekinów, pożeranych przez nie ryb, prądów i podwodnych burz piaskowych EACC przynosił ze sobą prawdziwe skarby. Przez stulecia tysiące statków przemierzało wody wzdłuż wschodniego wybrzeża Afryki, od Mombasy do Dar es*Salaam, a wiele z nich transportowało złoto, klejnoty i kość słoniową do miast kolonialnych imperiów. Mnóstwo zatonoło w Cieśninie Zanzibarskiej lub wokół niej. Zawartość ich ładowni rozsypała się po dnie i teraz wszystkie te skarby czekały, aż odpowiedni prąd je odkryje lub przemieści w zasięg nurków, takich jak Fargowie. Od lat eksplorowali morskie głębiny w rejonach dawnych szlaków handlowych. Znajdowali najrozmaitsze przedmioty: monety rzymskie i hiszpańskie, chińską ceramikę, cejloński jadeit, srebro stołowe... Jedne były cenne i fascynujące, inne nieciekawe. Podczas tej wyprawy znaleźli do tej pory tylko jedną rzecz godną uwagi: złotą monetę w kształcie rombu, tak porośniętą pąklami, że nie mogli rozróżnić szczegółów. Przyglądali się jeszcze kilka minut uczcie rekinów, potem skinęli do siebie głowami, odwrócili się i popłynęli wzdłuż dna na południe, zatrzymując się co jakiś czas, by pogrzebać w piasku raketkami pingpongowymi w nadziei, że zauważona bryłka jest ukrytym kawałkiem historii.

Wyspa Chumbe o długości około dziesięciu i szerokości trzech kilometrów ma kształt długiego buta z cholewką skierowaną ku cieśninie, a obcasem i podeszwą zwróconymi w stronę Zanzibaru. Tuż powyżej kostki w piaszczystej mieliznie jest przerwa, przesmyk prowadzący do laguny, którą tworzy obcas.

Sam i Remi dotarli do niego po kwadransie, skręcili na zachód i zbliżywszy się na odległość dziesięciu metrów do plaży, zawrócili na północ, by kontynuować poszukiwania. Byli bardzo ostrożni, bo wzdłuż tego odcinka miał główny kanał przebiegał niebezpiecznie blisko plaży i zwęzał strefę bezpieczeństwa do zaledwie dwunastu metrów. Remi płynęła tuż przed mężem, a każde z nich co kilkanaście sekund sprawdzało, czy drugie nie zbliżyło się za bardzo do przepaści.

Sam dostrzegł kątem oka jakiś błysk, przelotne lśnienie złota. Ukłękł na piasku i postukał nożem nurkowym w butlę swojego akwalungu, by zwrócić uwagę Remi. Zatrzymała się, odwróciła i podpłynęła do niego. Gdy wskazał miejsce, skinęła głową i skierowali się w stronę brzegu. Trzypółmetrowa ściana piasku wskazywała miejsce, gdzie dno opadało na głębokość sześciu metrów. Przystanęli przy brzegu i się rozejrzeli.

Remi wzruszyła ramionami w niemym pytaniu: gdzie?

Sam odpowiedział tym samym gestem i uważnie zlustrował brzeg. Pięć metrów na prawo od siebie znów zobaczył błysk. Podpłynęli tam. Linia strefy pożegnania była tu jeszcze bliżej, niecałe dwa i pół metra za ich plecami. Nawet z tej odległości czuli siłę prądu, jakby wir próbował ich wciągnąć w głębinę.

Z przybrzeżnej skarpy na wysokości pasa wystawał kawałek czegoś, co przypominało obręcz beczki. Metalowa obręcz była poczemiała i pokryta pąklami, ale w kilku miejscach prąd wypiąskował ją do połysku.

Sam oczyścił teren wokół niej. Odłonił jeszcze kawałek obręczy, która dalej zakrzywiła się i znikła w skarpie. Nie przestawał odgarniać piasku, w nadziei że trafi na resztki klepek, jeśli drewno całkiem nie zgniło.

Nagle znieruchomiał. Spojrzał na Remi i zobaczył jej szeroko otwarte oczy za maską. Nad obręczą nie było resztek drewna, lecz metalowa powierzchnia pokryta zieloną patyną. Sam ukłękł i przysunął się tak blisko do brzegu, że

niemal dotykał go piersią. Wsunął raketkę pod obręcz. Po niespełna minucie pracy trafił na otwór. Wolno i ostrożnie wsunął rękę do dziury i zbadał jej wnętrze rozczapierzonymi palcami.

Wyjął rękę i odwrócił się do Remi. Popatrzyła na niego wyczekująco. Skinęła głową. Nie mieli wątpliwości. Znaleźli nie beczkę, lecz dzwon okrętowy.

* Tego się nie spodziewałam * powiedziała Remi kilka minut później, kiedy się wynurzyli.

* Ja też nie * odparł Sam. Największym artefaktem, jaki dotąd znaleźli, była srebrna miseczka stołowa ze storpedowanego w czasie II wojny światowej statku typu Liberty.

Remi zdjęła płetwy i wrzuciła je przez burtę na pokład rufowy ich wypożyczonej łodzi, siedmioipółmetrowej motorówki kabinowej Andreyale Joubert*Nivel't z lakierowanego tekowego drewna, z oknami w stylu starego wagonu metra. Wspięła się po drabinie na pokład, Sam za nią. Zdjęli resztę ekwipunku i zanieśli go do kabiny. Remi wyjęła z chłodziarki dwie butelki wody i rzuciła jedną mężowi.

* Jak długo on tam leży twoim zdaniem? * zapytała, gdy usiedli na leżakach.

* Trudno powiedzieć. Patyna szybko się tworzy. Musielibyśmy sprawdzić grubość jej warstwy na reszcie dzwonu. Wnętrze wydawało się czyste.

* A serce?

* Nie wyczułem go.

* Musimy podjąć jakąś decyzję.

* Na to wygląda.

W Tanzanii obowiązywały niekonwencjonalne przepisy dotyczące ratownictwa morskiego, a znaczna część obszaru wyspy Chumbe była parkiem koralowym, który dzielił się na dwa rezerваты: raf i lasu deszczowego. Sam

i Remi musieli więc najpierw ustalić, czy dzwon spoczywa na którymś z chronionych terenów. Dopiero pokonawszy tę przeszkodę, mogli zrobić następny krok: dokładniej zbadać dzwon, zanim zawiadomią lokalne władze o jego znalezieniu. Przypominało to spacer po linii. Jeśli dotrą na drugą stronę, będą mieć w rękach przedmiot o znaczeniu historycznym, ale jeżeli potkną się o obowiązujące przepisy, w najlepszym razie utracą zdobycz, a w najgorszym * zostaną postawieni w stan oskarżenia. Zgodnie z prawem mogli wejść w posiadanie każdego przedmiotu wykonanego przez człowieka, jaki znajdą, o ile nie wymagało to użycia „nadzwyczajnych metod wydobywczych”. Takie błyskotki, jak moneta w

kształcie rombu, nie stwarzały problemów; dzwon okrętowy to była zupełnie inna sprawa. Fargo wie, że te pułapki prawne. Razem i osobno, prywatnie i zawodowo, poszukiwali skarbów, artefaktów i ukrytych śladów historii przez większość swojego dorosłego życia.

Remi, która poszła w ślady ojca, ukończyła Boston College z dyplomami antropologa i historyka. Koncentrowała się na badaniu starożytnych szlaków handlowych.

Zmarły kilka lat wcześniej ojciec Sama należał do czołowych inżynierów NASA realizujących programy kosmiczne, a matka, wciąż pełna życia, charterowała łódź nurkom.

Sam uzyskał dyplom inżyniera w Caltech, zdobył też garść trofeów, grając w lacrosse i piłkę nożną. Kiedy zostało mu tylko kilka miesięcy do ukończenia studiów, skontaktował się z nim pewien mężczyzna, jak się później okazało z DARPA * Agencji Zaawansowanych Badawczych Projektów Obronnych, rządowej placówki badawczo*rozwojowej. Perspektywa zajmowania się kreatywną inżynierią i służenia ojczyźnie ułatwiła Samowi dokonanie wyboru.

Po siedmiu latach w DARPA wrócił do Kalifornii, gdzie w klubie jazzowym Lighthouse w Hermosa Beach poznał Remi. Wpadł do klubu na zimne piwo, a Remi świętowała tam pomyślne zakończenie wyprawy naukowej śladem pogłosek o hiszpańskim statku, który zatonął w pobliżu zatoki Abalone. Choć żadne z nich nigdy nie nazwało ich pierwszym spotkaniem miłością od pierwszego wejrzenia, oboje się zgadzali, że zaiskrzyło między nimi już w ciągu godziny. Pół roku później wyprawili skromne wesele tam, gdzie się poznali, w Lighthouse.

Za namową Remi Sam założył własną firmę i po roku trafili na żyłę złota w postaci argonowego skanera laserowego, który mógł na odległość wykrywać i identyfikować mieszanki oraz stopy metali: od złota i srebra do platyny i palladu. Poszukiwacze skarbów, uniwersytety i przedsiębiorstwa górnicze zabiegały o uzyskanie licencji na wynalazek Sama i po dwóch latach Fargo Group miała trzy miliony dolarów rocznego zysku netto. Po dwóch kolejnych odezwały się bogate korporacje. Sam i Remi wybrali najkorzystniejszą ofertę. Sprzedali firmę za taką sumę, że mogli poświęcić się swojej prawdziwej pasji * poszukiwaniu skarbów.

Nie pragnęli zysków, lecz przygód i satysfakcji, że Fundacja Fargo kwitnie. Fundacja, zajmująca się niesieniem pomocy upośledzonym i molestowanym dzieciom, opieką nad zwierzętami oraz ochroną przyrody, rozwijała się dynamicznie od dziesięciu lat i w poprzednim roku ofiarowała różnym organizacjom prawie dwadzieścia milionów dolarów. Znaczną część tej kwoty przekazali osobiście Sam i Remi, resztę stanowiły prywatne datki. Wyczyny Fargo szeroko relacjonowały media, co z kolei przyciągało bogatych ofiarodawców.

Teraz Sam i Remi zastanawiali się, czy dzwon okrętowy okaże się na tyle cenny, by zasilić ich fundusze na działalność charytatywną, czy też jest tylko fascynującą zagadką historyczną. Nie żeby ewentualna wartość finansowa znaleziska miała jakieś znaczenie. Szukanie ukrytych śladów historii sprawiało im wystarczającą przyjemność. W każdym razie wiedzieli, od czego muszą zacząć.

* Czas zadzwonić do Selmy * stwierdziła Remi.

* Masz rację * zgodził się Sam.

Godzinę później wrócili do wynajętego w Kendwa Beach na północnym krańcu Zanzibaru. Kiedy Remi przygotowywała sałatkę z owoców i mrożoną herbatę, Sam zatelefonował do Selmy. Wentylator sufitowy miał powietrze nad ich głowami, a chłodna bryza wpadająca przez drzwi balkonowe wydymała firanki z gazy.

Mimo że w San Diego była czwarta rano, Selma Wondrash odebrała po pierwszym dzwonku. Fargo to nie zdziwiło, bo od dawna wiedzieli, że Selma sypia tylko cztery godziny na dobę, a w weekendy pięć.

* Dzwonicie do mnie z wakacji tylko wtedy, kiedy jesteście w tarapatach albo właśnie macie w nie wpaść * powiedziała bez wstępów przez telefon głośnomówiący.

* Nieprawda * odparł Sam. * W zeszłym roku dzwonił się z Seszeli...

* Bo pawiany wdarły się do waszego domku plażowego, zniszczyły meble i uciekły ze wszystkimi rzeczami, a policja uznała państwa za włamywaczy.

„Ona ma rację” * wymówiła bezgłośnie Remi przez kuchenny blat. Nadziała na czubek noża kawałek ananasa i rzuciła Samowi do ust. Złapał go zgrabnie, co nagrodziła cichymi brawami.

* To prawda * powiedział do Selmy.

Selma Wondrash pochodziła z Węgier i nigdy całkiem nie straciła swojego akcentu. Była surową, ale w gruncie rzeczy pobłażliwą szefową trzyosobowego zespołu badawczego Sama i Remi wspierającego Fundację Fargo.

Owdowiała przed dziesięcioma laty, gdy jej mąż, oblatywacz samolotów wojskowych, zginął w katastrofie lotniczej. Po ukończeniu Uniwersytetu Georgetown kierowała Działem Zbiorów Specjalnych Biblioteki Kongresu, dopóki Sam i Remi nie zwerbowali jej do siebie. Okazała się doskonałą organizatorką i mistrzynią logistyki. Przerzucała ich z miejsca na miejsce z igraszką wojskową sprawnością. Żyła tajemnicami, które uparcie nie dawały się wyjaśnić, i legendami, w których tliła się isierka prawdy.

* O co chodzi tym razem? * zapytała.

* O dzwon okrętowy * odparła Remi.

Usłyszeli szelest papieru, gdy Selma sięgała po bloczek do notatek.

* Proszę mówić * powiedziała.

* Zachodnie wybrzeże wyspy Chumbe * odrzekł Sam i wyrecytował współrzędne, które wprowadził do GPS-u, zanim wrócił do łodzi. * Będziesz musiała sprawdzić...

* Granice rezerwatów przyrody, wiem * odparła Selma; jej ołówek zgrzytał po kartce. * Każę Wendy zapoznać się z tanzańskim prawem morskim. Coś jeszcze?

* Moneta. Kształt rombu, wielkość mniej więcej amerykańskiej półdolarówki. Znaleźliśmy ją jakieś sto dziesięć metrów na północ od dzwonu. * Sam spojrzął na Remi, szukając potwierdzenia tego i otrzymał je w formie skinienia głową. * Spróbujemy ją trochę oczyścić, bo na razie nic na niej nie widać.

* Przyjęłam. Następny punkt?

* Nie ma następnego punktu. Ale pośpiesz się, Selmo. Im prędzej przyczepimy hak do tego dzwonu, tym lepiej. Piaszczysty brzeg nie wygląda zbyt stabilnie.

* Odezwę się do państwa * powiedziała Selma i się rozłączyła.

Rozdział 2

Meksyk, stolica Meksyku

Quauhtli Garza, prezydent Meksykańskich Stanów Zjednoczonych i lider partii Mexica (wymawianej w tradycyjny sposób „Meszika”) Tenochca, patrzył przez sięgające od podłogi do sufitu okna na Plaża de la Constitución, gdzie kiedyś stała Wielka Świątynia. Teraz pozostały z niej tylko ruiny, atrakcja turystyczna dla tych, którzy chcieli podziwiać szczątki wspaniałego azteckiego miasta Tenochtitlan i wielki dwudziestotonowy Kamień Słońca o średnicy trzystu sześćdziesięciu pięciu centymetrów.

* Parodia * wymamrotał Garza, obserwując kłębiące się tłumy.

Jak dotąd, stan rzeczy, który uważał za parodię, zdołał zmienić tylko w minimalnym stopniu. Od czasu jego elekcji Meksykanie lepiej się orientowali w swoim rodowodzie * poznali prawdziwą historię ojczyzny, niemal całkiem unicestwionej przez hiszpański imperializm. Nawet nazwa Partia Aztecka, którą wielu dziennikarzy określało Mexica Tenochca, była obrażą, zgodą na fałsz. Hernan Cortes i jego krwiożerczy hiszpańscy konkwistadorzy nazwali lud Mexica Aztekami, zniekształcając nazwę legendarnej ojczyzny Mexica * Aztlan. Ale to było konieczne. Na razie Meksykanie rozumieją określenie „Aztekowie” i akceptują je. Z czasem Garza ich wykształci.

Mexica Tenochca doszła do władzy na fali nacjonalizmu sprzed konkwisty, ale Garza zaczął tracić nadzieję, że wszyscy Meksykanie przyswoją sobie historię ich kraju. Zrozumiał, że wygrali wybory z powodu niekompetencji i korupcji poprzedniej administracji, a także dzięki „umiejętności zainteresowania narodu jego przeszłością”, jak powiedział jeden z komentatorów politycznych.

Też coś.

Czyż Garza lata temu nie zmienił hiszpańskiego imienia Fernando na obecne i nie nadał imion w języku nahuatl swoim dzieciom? Czyż cały jego gabinet nie zrobił tego samego? I nie tylko to.

Literaturę i malarstwo przedstawiające podbój Meksyku przez Hiszpanów powoli usuwano z programu nauczania; ulicom i placom nadawano nowe nazwy w języku nahuatl; szkoły uczyły teraz tego języka i prawdziwej historii ludu Mexica; święta religijne i tradycyjne uroczystości Mexica obchodzono kilka razy

w roku. Ale wszystkie sondáže pokazywały, że Meksykanie uważają to wszystko za preteksty do opuszczania pracy, picia i złego zachowania na ulicach. Jednocześnie te same sondáže sugerowały, że prawdziwe zmiany są możliwe do przeprowadzenia, ale wymaga to czasu. Garza i Mexica Tenochca potrzebowali następnej kadencji, a żeby to osiągnąć, prezydent musiał mocniej przycisnąć Senat, Izbę Deputowanych i Sąd Najwyższy. Teraz mógł być wybrany tylko na jedną sześcioletnią kadencję. To za mało na osiągnięcie tego, co zaplanował, i czego potrzebował Meksyk: pełnego poznania swojej historii, wolnej od kłamstw o konkwiście i rzeziach.

Garza cofnął się od okna, podszedł do biurka i wcisnął przycisk na pilocie. Z sufitu opuściły się zasłony

i przyćmiły blask południowego słońca. Sufitowe lampy rozbliły, oświetlając bordowy dywan i ciężkie drewniane meble. Gabinet prezydenta odzwierciedlał jego kulturowe dziedzictwo. Ściany zdobiły gobeliny i obrazy pokazujące historię Azteków. Trzypółmetrowy ręcznie malowany kodeks przedstawiał założenie miasta Tenochtitlan na bagnistej wyspie na jeziorze Texcoco. Na ścianie wisiał obraz przedstawiający aztecką boginię księżycy Coyolxauhqui. Gobelin nad kominkiem pokazywał Huitzilopochtliego, „czarownika*kolibra”, i Tezcatlipokę, „dymiące lustro”, czuwających razem nad ich ludem. Obraz nad biurkiem przedstawiał Chicomoztoc * „miejsca siedmiu jaskiń” * legendarnej kolebki wszystkich ludzi mówiących językiem nahuatl.

Żadna z tych rzeczy nie spędzała Garzy snu z powiek. Czynił to artefakt w rogu gabinetu. Na kryształowym piedestale w sześcianie ze szkła prawie półtoracentymetrowej grubości stał Quetzalcoatl, aztecki bóg w postaci pierzastego węża. Jego wizerunek był szeroko rozpowszechniony * widniał na wyrobach ceramicznych i tkaninach dekoracyjnych * ale nie istniał drugi taki jak ten. Dziesięciocentymetrowa statuetka, jedyna w swoim rodzaju. Wyrzeźbiona tysiąc lat temu z kawałka prawie przezrystego jadeitu przez nieznanego artystę.

Prezydent okrążył biurko i usiadł w fotelu przed piedestałem. Quetzalcoatl, oświetlony z góry przez niewidoczną halogenową żarówkę, zdawał się wirować, tworząc hipnotyzujące kształty i plamy barw, które były i jednocześnie ich nie było. Garza przesunął wzrokiem wzdłuż piór i łusek Quetzalcoatla aż do jego ogona * czy raczej do miejsca, gdzie powinien być. Tylne części statuetki, zamiast zwęzać się w węzowy ogon, rozszerzała się i nagle kończyła nierówną pionową linią, jakby całość została odłupana od większego artefaktu. Taką teorię przedstawili Garzy naukowcy, a on dołożył wszelkich starań, by ją zataić.

Figurka Quetzalcoatla, symbol Mexica Tenochca, była niekompletna. Garza wiedział, że brakujący fragment nie będzie podobny do niczego w azteckim panteonie. To ta myśl nie dawała mu spać. Jako symbol Mexica Tenochca od dnia, kiedy Garza założył tę partię, statuetka stała się wezwaniem do nacjonalizmu, którego fala wyniosła go na najwyższy urząd. Gdyby podważono wiarygodność ruchu... Garza bał się nawet o tym pomyśleć. Świadomość, że zaginiony dziewiętnastowieczny okręt wojenny mógłby zniweczyć to, co on zbudował, była frustrująca. Wszystko stracone z powodu jakiegoś świecidełka czy artefaktu znalezionego przez przypadkowego nurka, który pokaże go komuś, kto interesuje się historią i zacznie zadawać niebezpieczne pytania. Efekt domina, który zniszczy odzyskaną dumę narodową.

Dźwięk interkomu wyrwał Garze z zadumy. Wyłączył halogenowe światło w gablocie i wrócił za biurko.

* Tak? * powiedział.

* On już jest, panie prezydencie.

* Przyślij go * polecił Garza, odwrócił się i usiadł za biurkiem.

Chwilę później dwuskrzydłowe drzwi otworzyły się i do gabinetu wszedł Itzli Rivera. Przy wroście metr osiemdziesiąt trzy i wadze sześćdziesięciu ośmiu kilogramów z daleka nie wyglądał imponująco, * chudy, o pociągłej twarzy z wydatnym orlim nosem * ale kiedy podszedł bliżej, Garza przypomniał sobie, jak myląca jest powierzchowność Rivery. Świadczyły o tym jego twarde spojrzenie, zaciśnięte usta i napięte mięśnie odsłoniętych przedramion. Nawet nie znając go, bystry obserwator szybko by się zorientował, że Itzliemu Riverze nieobce są ciężkie przeżycia. Garza wiedział, że jego główny tajny agent przysporzył ciężkich przeżyć licznym nieszczęśliwcom, w większości przeciwnikom politycznym, którzy mieli inną wizję Meksyku niż on. Na szczęście dla Rivery łatwiej było o dziewicę w burdelu niż o nieskorumpowanego członka Senatu lub Izby Deputowanych, on zaś potrafił znajdować, a potem

wykorzystywać ludzkie słabości. Należał do gorących zwolenników reform Garzy i zmienił swoje hiszpańskie imię Hector na Itzli, oznaczające w języku nahuatl obsydian. Trafny wybór, pomyślał Garza.

Rivera dosłużył się stopnia majora w GAFE, czyli Grupie Powietrznodesantowej Sił Specjalnych, i pracował w Drugiej Sekcji Wywiadu S*2 Sekretariatu Obrony Narodowej. Odszedł z wojska, by zostać osobistym gorylem Garzy, ale prezydent szybko dostrzegł możliwości Rivery i mianował go dyrektorem operacji swojego prywatnego wywiadu.

* Dzień dobry, panie prezydencie * odezwał się sztywno Rivera.

* Witaj. Siadaj, siadaj. Mogę cię czymś poczęstować? * Rivera pokręcił głową, więc Garza zapytał: * Czemu zawdzięczam tę wizytę?

* Natknęliśmy się na pewne nagranie wideo, które powinien pan zobaczyć. Poprosiłem pańską sekretarkę, żeby je puściła.

Rivera wziął z biurka pilota, wycelował go w pięćdziesięciocalowy telewizor LCD na ścianie i wcisnął przycisk zasilania. Garza usiadł. Po kilku sekundach na ekranie pojawili się mężczyzna i kobieta w wieku około trzydziestu pięciu lat. Siedzieli na tle oceanu, a niewidoczna dziennikarka zadawała im pytania. Choć Garza biegle znał angielski, technicy Rivery dodali napisy po hiszpańsku.

Wywiad trwał krótko, nie dłużej niż trzy minuty. Kiedy się skończył, Garza spojrzał na Riverę.

* I jakie to ma znaczenie?

* To Fargowie: Sam i Remi Fargo.

* Powinno mi to coś mówić?

* Pamięta pan zeszłoroczną sprawę zaginionej piwnicy Napoleona i zaginionych Spartan?

Garza pokiwał głową.

* Tak...

* Właśnie Fargowie za tym stali. Są bardzo dobrzy w tym, co robią.

Garza pochylił się do przodu.

* Gdzie został nagrany ten wywiad?

* Na Zanzibarze. Przez korespondentkę BBC. Oczywiście czas mógł być zbiegiem okoliczności. Prezydent zbył to machnięciem ręki.

* Nie wierzę w zbiegi okoliczności. I ty też nie, mój przyjacielu, bo inaczej nie przyniósłbyś mi tego.

Po raz pierwszy od wejścia do gabinetu Rivera okazał ślad emocji * uśmiechnął się kącikami ust.

* To prawda.

* Jak się na to natknąłeś?

* Po tamtej... rewelacji kazałem moim technikom stworzyć specjalny program. Monitoruje Internet w poszukiwaniu kluczowych słów. W tym wypadku „Zanzibar”, „Tanzania”, „Chumbe”, „wraki” i „skarb”. Dwa ostatnie to specjalność Fargów. W wywiadzie twierdzili wprawdzie, że po prostu spędzali wakacje na nurkowaniu, ale...

* Blisko miejsca ostatniego incydentu z tamtą Brytyjką...

* Sylvie Radford.

Duma Radford, pomyślał Garza. Idiotka nie miała pojęcia, co znalazła. Uważała to za zwykłą błyskotkę i pokazywała na Zanzibarze i w Bagamoyo, pytając miejscowych, co to może być. Jej śmierć była przykrą koniecznością, a Rivera załatwił sprawę starannie jak zwykle * uliczny napad rabunkowy skończył się zabójstwem, uznała policja.

Panna Radford trafiła na najcieńszą z nici, która wymagała ostrożnego i umiejętnego rozplątywania, żeby nie pękła. Ale Fargowie... Garza podejrzewał, że wiedzą wszystko o podążaniu przypadkowymi tropami. Potrafią odkryć coś w niczym.

* Mogła powiedzieć komuś, co znalazła? * zapytał Riverę. * Fargowie mają pewnie coś w rodzaju własnej siatki wywiadowczej. Mogli coś wyniuchać? Nie przeoczyłeś czegoś, Itzli?

Spojrzenie, pod którym kurczyło się wielu ministrów i przeciwników politycznych, nie zrobiło na Riverze żadnego wrażenia; wzruszył tylko ramionami.

* Wątpię, ale to możliwe * odparł spokojnie.

Garza skinął głową. Chociaż niepokoiła go ewentualność, że panna Radford poinformowała kogoś o tym, co znalazła, był zadowolony, że Rivera przyznał, iż mógł popełnić błąd. Garze otaczali sami pochlebcy i potakiwacze. Rivera zawsze mówił mu prawdę i potrafił naprawić rzeczy nie do

naprawienia.

* Dowiedz się * rozkazał. * Poleć na Zanzibar i ustal, co kombinują Fargowie.

* A jeśli to nie jest zbieg okoliczności? Z nimi nie będzie tak łatwo jak z tamtą Brytyjką.

* Jestem pewien, że coś wymyślisz * odrzekł Garza. * Jeśli historia czegoś nas nauczyła, to tego, że Zanzibar może być niebezpiecznym miejscem.

Rozdział 3

Zanzibar

Po rozmowie z Selmą Sam i Remi ucieli sobie drzemkę. Potem wzięli prysznic, przebrali się i pojechali na skuterach nadbrzeżną drogą do Stone Town do ich ulubionej restauracji z tanzańską kuchnią Ekundu Kifaru * w języku suahili: „Czerwony Nosorożec”. Lokal z widokiem na ocean mieścił się między Old Customs House a Dużym Drzewem, gigantycznym figowcem, który służył za miejsce codziennych spotkań budowniczym małych łodzi i kapitanom czarterów oferujących rejsy na wyspy Prison i Bawe.

Dla Sama i Remi Zanzibar (w języku suahili: Unguja) uosabiał dawną Afrykę. Wyspą przez wieki rządili watażkowie i sułtani, handlarze niewolnikami i piraci; była siedzibą firm handlowych oraz punktem etapowym dla tysięcy europejskich misjonarzy, badaczy i łowców grubej zwierzyny. Sir Richard Burton i John Hanning Speke mieli na Zanzibarze swoją bazę podczas poszukiwań źródeł Nilu; Henry Morton Stanley rozpoczął poszukiwania kłębatego Davida Livingstone'a w labiryncie uliczek Stone Town; kapitan William Kidd żeglował po wodach wokół Zanzibaru jako pirat i tropiciel piratów.

Sam i Remi odkryli, że tutaj każda ulica ma jakąś historię, a każdy budynek kryje jakieś tajemnice.

Zawsze wracali z Zanzibaru z mnóstwem miłych wspomnień.

Kiedy wjechali na parking, słońce chyliło się ku zachodowi, barwiąc morze odcieniami złota i czerwieni.

Zapach grillowanych ostryg unosił się w powietrzu.

* Witam ponownie, państwo Fargowie! * zawołał szef i dał sygnał dwóm ubranym na biało pracownikom, którzy podbiegli i odprowadzili skutery na bok.

* Dobry wieczór, Abasi * odrzekł Sam, podając szefowi rękę. Remi została powitana serdecznym uściskiem.

Poznali Abasiego Sibale podczas pierwszego pobytu na Zanzibarze przed sześcioma laty i szybko się z nim zaprzyjaźnili. Od tej pory podczas każdej corocznej wizyty przynajmniej raz jedli kolację z Abasim i jego rodziną.

* Jak się miewają Faraja i dzieciaki? * zapytał Sam.

* Dziękuję, wszyscy zdrowi. Wpadną państwo na kolację?

Remi się uśmiechnęła.

* Za nic nie przepuścilibyśmy takiej okazji.

* W środku wszystko jest gotowe * powiedział Abasi. Tuż za progiem czekał kierownik sali, Elimu. On też

znał Fargów od lat.

* Miło znów państwa widzieć. Wasz ulubiony stolik z widokiem na port jest przygotowany.

* Dziękujemy * rzekł Sam.

Elimu zaprowadził ich do stolika oświetlonego czerwonymi lampami sztormowymi. Po obu stronach były okna wychodzące na port. Poniżej zapalały się latarnie uliczne w Stone Town.

* Wino, prawda? * upewnił się Elimu. * Życzą sobie państwo listę?

* Macie jeszcze pinot noir?

* Tak, rocznik 98 i 2000. Sam spojrzał na żonę.

* Wciąż pamiętam 98 * westchnęła.

* Wedle życzenia pani, Elimu.

* Służę państwu. Elimu zniknął.

* Pięknie tu * mruknęła Remi, patrząc na ocean.

* Owszem.

Odwróciła się od okna, uśmiechnęła do Sama i ścisnęła jego dłoń.

* Opaliłeś się * zauważyła. Z niewiadomego powodu Sam Fargo opalał się dziwnie: najpierw różowiały mu grzbiet nosa i czubki uszu. * Będzie cię swędziało.

* Już mnie swędzi.

* No więc? Jakies domysły? * zapytała Remi, unosząc rombowa monetę.

Po południu wymoczyli ją najpierw w dziesięcioprocentowym kwasie azotowym, następnie w tajnej mieszance Sama składającej się z białego octu, soli i wody destylowanej, a potem oczyścili miękką szczoteczką do zębów. Choć pozostało wiele niewyraźnych fragmentów, rozpoznali kobiecy profil i dwa słowa: „Marie” i „Reunion”. Przekazali te szczegóły Selmie przed opuszczeniem bungalowu.

* Ani jednego * odparł Sam. * Ale ma dziwny kształt jak na monetę.

* Może pochodzi z prywatnej mennicy?

* Jeśli tak, to jest wyjątkowo dobrze wykonana. Gładkie krawędzie, porządne tłoczenie, duża waga... Elimu wrócił z winem, nalał im odrobinę, zaczekał na skinienia głowami i napełnił kieliszki.

Południowoafrykańskie czerwone pinot noir miało posmak goździków, cynamonu, gałki muszkatołowej i czegoś, czego Sam nie mógł rozpoznać.

Remi wypila drugi łyk.

* Cykoria.

Zadzwęczał telefon Sama. Spojrzał na wyświetlacz, wymówił bezgłośnie „Selma” i odebrał.

* Dobry wieczór, Selmo.

Remi pochyliła się do przodu, żeby posłuchać.

* U mnie jest rano. Pete i Wendy właśnie przyszli. Zabierają się do tanzańskiego prawa.

* Doskonale.

* Niech zgadnę: siedzą państwo w Ekundu Kifaru i patrzą na zachód słońca.

* Niewolnicy przyzwyczajęń * odparła Remi.

* Masz jakąś wiadomość? * zapytał Sam.

* Tak, o monecie. Natknęli się państwo na kolejną tajemnicę.

Sam zobaczył nadchodzącego kelnera.

* Zaczekaj chwilę.

Zamówili Samakai wa kusonga i wali * krokiety rybne z ryżem i placki czapati * a na deser N'dizi no kastad * krem bananowy po zanzibarsku. Kelner odszedł i Sam włączył z powrotem głos w telefonie.

* Mów, Selmo. Zamieniamy się w słuch.

* Moneta została wybita na początku ostatniej dekady siedemnastego wieku. Wykonano tylko pięćdziesiąt sztuk, które nigdy nie weszły do oficjalnego obiegu. Były dowodem uczucia, że tak to nazwę z braku lepszego określenia. Słowo „Marie” jest częścią nazwy francuskiej osady Sainte Marie na północnym wybrzeżu wyspy Reunion.

* Pierwsze słyszę * odezwała się Remi.

* Nic dziwnego. To mała wyspa, leży jakieś czterysta mil morskich na wschód od Madagaskaru.

* A ta kobieta to kto? * zapytał Sam.

* Adelise Molyneux. Żona Demonta Molyneux, administratora Sainte Marie w latach 1685*1701.

Podobno na dziesiątą rocznicę ich ślubu Demont kazał stopić cały prywatny zapas złota i wybić z niego monety z wizerunkiem Adelise.

* Co za gest * westchnęła Remi.

* Monety symbolizowały liczbę lat, jaką Demont miał nadzieję przeżyć z żoną do śmierci. Był blisko. Zmarł w odstępie roku tuż przed czterdziestą rocznicą ślubu.

* A skąd ta moneta wzięta się na Zanzibarze? * spytał Sam.

* Prawda miesza się tu z legendą * odrzekła Selma. * Przypuszczam, że znają państwo nazwisko George Booth.

* Angielski pirat * powiedział Sam.

* Zgadza się. Większość życia spędził na Oceanie Indyjskim i Morzu Czerwonym. Zaczął jako kanonier na pokładzie „Pelicana” około roku tysiąc sześćset dziewięćdziesiątego szóstego, a potem pływał na „Dolphin”. Gdzieś w tysiąc sześćset dziewięćdziesiątym dziewiątym „Dolphin” został osaczony przez brytyjską marynarkę w pobliżu wyspy Reunion. Część załogi się poddała; część, łącznie z Boothem, uciekła na Madagaskar, gdzie Booth i inny kapitan piratów, John Bowen, połączyli siły i porwali

„Speaker”, czterystupięćdziesięcotonowy okręt do transportu niewolników, uzbrojony w pięćdziesiąt dział. Booth wybrano na kapitana i około roku tysiąc siedemsetnego doprowadził „Speaker” do Zanzibaru. Kiedy zeszli na ląd po zaopatrzenie, zaatakowali ich Arabowie. Booth zginął, natomiast Bowen przeżył i wrócił „Speakerem” na wody wokół Madagaskaru. Zmarł kilka lat później na Mauritiusie.

* Powiedziałaś, że „Dolphin” został osaczony w pobliżu wyspy Reunion * odezwał się Sam. * Jak daleko od osady Sainte Marie?

* Kilka mil morskich od wybrzeża * odparła Selma. * Według legendy Booth i jego załoga dokonali napadu na osadę.

* I zrabowali monety z Adelise * dokończyła Remi.

* Tak mówi legenda. I tak napisał Demont Molyneux w liście z oficjalną skargą do Ludwika XIV.

* Podsumujmy * zaproponował Sam. * Booth i inni zbiegowie z „Dolphina” zabierają monety z wizerunkiem Adelise i spotykają się z Bowenem. Potem porywają „Speaker” i żeglują na Zanzibar, gdzie... no właśnie. Zakopują łup na wyspie Chumbe? Wrzucają do płytkiej wody, by go później wydobyć?

* A może „Speaker” nie uciekł? * podsunęła Remi. * Może został zatopiony w cieśninie?

* Na dwoje babka wróżyła * odrzekła Selma. * W każdym razie, znaleziona przez państwa moneta pochodzi z partii z Adelise.

* Nasuwa się pytanie * powiedział Sam * czy nasz dzwon jest ze „Speaker”?

Rozdział 4

Zanzibar

Po burzy, która przeszła nad wyspą we wczesnych godzinach porannych, powietrze było rześkie, a roślinność wokół bungalowu lśniła od rosy. Sam i Remi siedzieli na tylnej werandzie z widokiem na plażę i jedli śniadanie złożone z owoców, chleba, sera i mocnej kawy. Na drzewach dookoła nich hałasowały niewidoczne ptaki.

W pewnej chwili niewielka jaszczurka wspięła się po nodze krzesła Remi, przebiegła po jej podołku, dostała się na stół i znalazłszy sobie drogę między talerzami, czmychnęła po krzesło Sama.

* Chyba źle skręciła * zauważył Sam.

* Umiem postępować z gadami * odrzekła Remi.

Wypili jeszcze po filiżance kawy, posprząтали, spakowali plecaki i zeszli na plażę, gdzie zostawili motorówkę. Sam przerzucił plecaki przez reling, a potem podsadził żonę.

* Kotwica? * zawołała, znalazłszy się na pokładzie.

* Idzie.

Sam kucnął przy kotwicy plażowej w kształcie świdra, wydobył ją z piasku i podał Remi. Po chwili silniki ożyły i zaczęły pracować na jałowym biegu.

* Mała wstecz! * zawołał Sam.

* Tak jest, mała wstecz! * odrzyknęła Remi.

Sam oparł się mocno o kadłub, wbił stopy w mokry piasek, ugiął nogi i pchnął. Kiedy łódź uniosła się na wodzie, sięgnął w górę, chwycił się obiema rękami najniższego relingu, podciągnął, zahaczył piętę za nadburcie i wdrapał się na pokład.

* Wyspa Chumbe?! * zawołała Remi przez otwarte okno sterówki.

* Wyspa Chumbe * potwierdził Sam. * Mamy tajemnicę do wyjaśnienia.

Byli kilka mil morskich na północny zachód od wyspy Prison, kiedy zadzwieczał telefon satelitarny Sama. Dzwoniła Selma.

* Mam dwie wiadomości, dobrą i niezbyt dobrą * oznajmiła.

* Najpierw dobra * poprosił Sam.

* Według uregulowań tanzańskiego ministerstwa zasobów naturalnych miejsce, gdzie państwo znaleźli dzwon, znajduje się poza granicami rezerwatu. Nie ma tam raf, więc ochrona nie jest konieczna.

* A niezbyt dobra wiadomość?

* Tanzańskie przepisy dotyczące ratownictwa morskiego nadal obowiązują i zabraniają stosowania „nadzwyczajnych metod wydobywczych”. To niezbadany teren, ale wygląda na to, że będą państwo potrzebowali czegoś więcej niż rakietek pingpongowych, aby odkopać dzwon. Kazałam Pete'owi i Wendy sprawdzić, jak się załatwia pozwolenie * oczywiście dyskretnie.

Pete Jeffcoat i Wendy Corden * archeolog i specjalistka w zakresie nauk społecznych * odbywali praktykę u Selmy. Byli parą także poza pracą.

* Dobrze * odrzekł Sam. * Informuj nas na bieżąco.

Zawinęli na krótko do portu w Stone Town po paliwo i prowiant i popłynęli dalej. Po półtoragodzinnym niespiesznym rejsie wzdłuż wybrzeża i między wyspami sąsiadującymi z Zanzibarem dotarli do miejsca, gdzie według współrzędnych w GPS*ie spoczywał dzwon. Sam przeszedł na dziób i rzucił kotwicę. Panowała flauta, na błękitnym niebie nie było ani jednej chmurki. Ponieważ Zanzibar leży tuż poniżej równika, w lipcu jest tam zima i temperatura nie przekracza dwudziestu ośmiu stopni Celsjusza. Dobry dzień na nurkowanie, pomyślał Sam. Wciągnął na fał czerwoną flagę z białym pasem oznaczającą, że nurek jest pod wodą, i dołączył do Remi na pokładzie rufowym.

* Akwalungi czy rurki? * spytała.

* Zaczniemy z rurkami. * Dzwon leżał na głębokości trzech metrów. * Przyjrzymy się dokładnie, z czym mamy do czynienia, a potem zobaczymy.

Tak jak poprzedniego dnia i przez większość dni na Zanzibarze, woda była zdumiewająco przejrzysta. Sam stoczył się na plecy przez burtę, Remi kilka sekund po nim. Przez chwilę unosili się bez ruchu na powierzchni, czekając, aż znikną pęcherze powietrza i piana, potem zanurkowali. Kiedy dotarli do piaszczystego dna, skręcili w prawo i popłynęli do krawędzi brzegu, gdzie opadli wzdłuż pionowej ściany. Uklękli na piasku i wbili w dno noże nurkowe, żeby mieć uchwyty dla dłoni.

Na wprost widzieli granicę strefy pożegnania. Nocny sztorm podniósł prąd w głównym kanale i poderwał tyle śmieci, że wyglądały jak lita szarobrazowa ściana piasku. To trzymało rekiny poza płyciznami, ale zarazem sprawiało, że czuli ciąg prądu w miejscu zawisu.

Sam postukał w swoją rurkę i wskazał kciukiem w górę. Remi skinęła głową.

Unieśli się ku powierzchni i wynurzyli.

* Czujesz to? * zapytał. Remi przytaknęła.

* Jakby niewidzialna ręka próbowała nas chwycić.

* Trzymaj się blisko brzegu.

* Okej.

Zanurkowali. Sam spojrzął na wyświetlacz GPS*u, zorientował się, gdzie jest, po czym wskazał wzdłuż brzegu na południe i dał Remi znak: dziesięć metrów. Wrócili na powierzchnię i popłynęli w tamtą stronę. Sam patrzył jednym okiem na GPS, a drugim obserwował swoją pozycję. Wkrótce zatrzymał się i wskazał palcem w dół.

W miejscu, gdzie wczoraj był dzwon, teraz widniał pusty lej w kształcie beczki. Powiedli wzrokiem w prawo i w lewo. Remi pierwsza zobaczyła zakrzywione wgłębienie w dnie trzy metry na prawo od nich, połączone krzywą linią z następnym niczym ślad grzechoтника. Wzór się powtarzał. Przesiedzili go i pięć metrów dalej dostrzegli ciemną bryłę wystającą z piasku. Dzwon.

Zrozumienie, co się stało, nie wymagało wielkiej wyobraźni. Podczas nocnej burzy fale uderzały o brzeg i stopniowo usuwały piasek wokół dzwonu, aż w końcu uwolniły go i przetaczały, dopóki sztorm nie ustał.

Sam i Remi odwrócili się do siebie i pokiwali głowami. Tanzańskie prawo zabraniało stosowania „nadzwyczajnych metod wydobywczych”, ale matka natura przyszła im z pomocą.

Popłynęli w kierunku dzwonu, ale pokonali zaledwie połowę odległości, gdy Sam wyciągnął rękę, by zatrzymać żonę. Znieruchomiała wcześniej i patrzyła na wprost. Zobaczyła to samo co on.

Dzwon utknął na skraju przepaści. Jego płaszcz, góma krawędź i korona tkwiły w piasku, a wieniec i usta wystawały w pustą przestrzeń.

Kiedy wrócili na powierzchnię i złapali oddech, Remi powiedziała:

* Jest za duży.

* Za duży na co? Żeby go ruszyć?

* Nie, żeby być ze „Speakerka”.

* Masz rację * przyznał Sam.

Wypomość „Speaker” wynosiła czterysta pięćdziesiąt ton. Zgodnie z ówczesnymi normami dzwon okrętowy nie ważyłby więcej niż dwadzieścia siedem kilogramów. Ten był cięższy.

* Robi się coraz ciekawiej * stwierdził Sam. * Wracajmy do łodzi. Trzeba ułożyć plan.

Byli trzy metry od łodzi, gdy usłyszeli warkot silników dieslowskich. Dotarli do drabinki, odwrócili się i zobaczyli zbliżającą się kanonierkę tanzańskiej straży przybrzeżnej. Wspięli się na pokład rufowy motorówki i zdjęli ekwipunek.

* Uśmiechnij się i pomachaj * mruknął Sam.

* Jesteśmy w tarapatach? * szepnęła Remi przez uśmiech.

* Nie wiem. Zaraz się przekonamy. * Sam wciąż machał.

* Podobno tanzańskie więzienia są nieprzyjemne.

* Każde więzienie jest nieprzyjemne. Kanonierka zrobiła zwrot i podeszła równolegle do motorówki, dziobem do rufy. Sam rozpoznał unowocześniony chiński kuter patrolowy klasy Yulin z lat sześćdziesiątych XX wieku. Widywali yuliny podczas poprzednich wypraw. Sam, zawsze dociekliwy, odrobił pracę domową: dwanaście metrów długości i dziesięć ton masy; trzy wały, dwa silniki Diesla o mocy sześciuset koni mechanicznych; dwa sprzężone karabiny maszynowe kaliber 12,7 milimetrów na dziobie i rufie.

Dwaj marynarze w polowych mundurach maskujących stali na pokładzie rufowym, a dwaj kolejni na dziobowym. Wszyscy mieli zawieszane na ramionach kałasznikowy. Wysoki czarny mężczyzna w świeżo wyprasowanym białym mundurze, najwyraźniej kapitan, wyłonił się z kabiny i podszedł do relingu.

* Ahoj! * zawołał. Miał ponurą minę. Żadnego powitalnego uśmiechu ani uprzejmości.

* Ahoj! * odpowiedział Sam.

* Rutynowa kontrola bezpieczeństwa. Wchodzimy na waszą łódź.

* Proszę bardzo.

Silniki kanonierki zawarczały i jej dziób zbliżył się ukośnie do motorówki na odległość trzech metrów. Obroty diesli spadły do biegu jałowego i yulin zatrzymał się przy łodzi. Marynarze na pokładzie rufowym wyrzucili odboje z opon za burtę, sięgnęli w dół, chwycili za reling motorówki i przyciągnęli ją do patrolowca. Kapitan przeskoczył nad relingiem i wylądował jak kot na pokładzie rufowym obok Sama i Remi.

* Wywiesiliście flagę nurkową * powiedział.

* Nurkujemy trochę z rurkami * odrzekł Sam.

* To wasza łódź?

* Nie, wypożyczona.

* Papiery.

* Łodzi?

* Tak, i certyfikaty nurków.

* Przyniosę je * odezwała się Remi i pobiegła do kabiny.

* Jaki jest cel waszego pobytu? * zapytał kapitan Sama.

* Na Zanzibarze czy w tym miejscu?

* Jedno i drugie.

* Jesteśmy na wakacjach. To miejsce wydawało się przyjemne. Byliśmy tu wczoraj.

Remi wróciła z dokumentami i wręczyła je kapitanowi. Obejrzał umowę wynajmu i ich certyfikaty nurków, po czym podniósł wzrok.

* Sam i Remi Fargo? Sam przytaknął.

* Poszukiwacze skarbów?

* Z braku lepszego określenia * odparła Remi.

* Szukacie skarbów na Zanzibarze? Sam się uśmiechnął.

* Nie po to przyjechaliśmy, ale staramy się mieć oczy otwarte.

Nad ramieniem kapitana, za przyciemnionymi szybami kabiny yulina, zobaczył niewyraźną postać.

Zdawała się patrzeć na nich.

* Znalezliście coś podczas tej wizyty?

* Monetę.

* Znacie tanzańskie prawo dotyczące tych spraw? Sam skinął głową.

* Owszem.

Z yulina dobiegło jedno stuknięcie knykциями w szybę. Kapitan zerknął przez ramię.

* Zaczekajcie tutaj * polecił Samowi i Remi, wspiął się na kanonierkę, przeszedł przez reling i zniknął w kabinie.

Wyszedł z niej chwilę później i zeskoczył z powrotem na dół.

* Opiszcie monetę, którą znaleźliście. Remi zrobiła to bez wahania:

* Okrągła, miedziana, wielkości mniej więcej pięćdziesięcioszylingówki. Mocno zniszczona. Nic na niej nie widać.

* Macie ją przy sobie?

* Nie * odpowiedział Sam.

* I nie szukacie żadnych wraków ani konkretnego skarbu?

* Zgadza się.

* Gdzie mieszkacie na Zanzibarze?

Sam nie zamierzał kłamać. Przecież i tak wszystko sprawdzą.

* W bungalowie w Kendwa Beach.

Kapitan oddał im papiery i zasalutował.

* Życzę miłego dnia.

Wrócił przez reling do kabiny yulina. Silniki kanonierki zawarczały, marynarze odepchnęli ją od motorówki, sternik wykonał zwrot i wziął kurs na zachód w kierunku cieśniny. Sam zrobił dwa długie kroki, dał nura do kabiny i pojawił się z powrotem z lometką. Uniósł ją do oczu i wycelował w yulina. Po dwudziestu sekundach opuścił lometkę.

* No i co? * zapytała Remi.

* Ktoś w kabinie wydawał rozkazy.

* To stuknięcie w szybę? * domyśliła się. * Przyjrzałeś mu się?

Sam skinął głową.

* Nie czamy i nie w mundurze. Latynoskie rysy, może śródziemnomorskie. Pociągła twarz, orli nos, krzaczaste brwi.

* Jaki cywil, który nie jest Tanzańczykiem, mógłby mieć taką władzę, żeby wydawać rozkazy załodze kanonierki straży przybrzeżnej?

* Ktoś z dużą forszą. * Fargowie uwielbiali Tanzanię, Zanzibar i miejscowych ludzi, wiedzieli jednak, że korupcja jest tu powszechna. Większość Tanzańczyków zarabiała kilka dolarów dziennie; wojskowi niewiele więcej. * Ale nie spieszymy się z wnioskami. Na razie właściwie nic nie wiemy. A tak z ciekawości: dlaczego nie powiedziałaś prawdy o monecie?

* Odruchowa reakcja. Uważasz, że powinnam...

* Nie. Ja też bym tak zrobił. Tanzańska straż przybrzeżna ma dwa yuliny do patrolowania środkowej części wybrzeża, cieśniny i wód wokół Zanzibaru. Odniosłem wrażenie, że nas szukali.

* Ja też.

* A ta kontrola bezpieczeństwa była istną farsą. Nie zapytał ani o kamizelki ratunkowe, ani o radio, ani o sprzęt do nurkowania.

* I czy pamiętasz jakiegoś tanzańskiego funkcjonariusza, który by nie był cały w uśmiechach i nie rozpływał się w uprzejmościach?

* Nie * odparł Sam. * A co do monety...

Remi wyjęła monetę z kieszeni swoich nurkowych szortów i uniosła ją.

* To rozumiem * pochwalił Sam.

* Myślisz, że przeszukają bungalow? Sam wzruszył ramionami.

* Więc co to wszystko znaczy? * zastanawiała się głośno Remi.

* Nie mam pojęcia, ale musimy być ostrożni.

Rozdział 5

Zanzibar

Przez następną godzinę siedzieli na pokładzie rufowym, pijąc zimną wodę, rozkoszując się łagodnym

kołysaniem łodzi i słuchając uderzeń fal o kadłub. W ciągu pierwszej półgodziny yulin pojawił się jeszcze dwa razy w odległości mniej więcej mili. Najpierw przepłynął z północy na południe, a potem w odwrotnym kierunku. Nie wrócił.

* Ciągle mi się wydaje, że dzwon spadnie w przepaść * powiedziała Remi. * Widzę to oczyma wyobraźni.

* Ja też, ale teraz lepiej nie ryzykować wyciągania go. Mogą tu wrócić w każdej chwili. Oczekajmy jeszcze ze dwadzieścia minut. Nawet jeśli spadnie, powinno nam się udać do niego dotrzeć.

* Może i tak, ale na głębokości czterdziestu pięciu metrów zaczyna być niebezpiecznie. Zejście nie byłoby trudne, ale znalezienie dzwonu już tak. A wydobyć go na powierzchnię to jeszcze inna para kaloszy. Potrzebny

byłby lepszy sprzęt. Kompresor, worki wypornościowe, wciągarka...

Sam kiwał głową. Nie było szans na potajemne przeprowadzenie takiej akcji. Samo wypożyczenie sprzętu w Stone Town * nawet anonimowo * wywołałoby plotki. Pod koniec dnia roitoby się od gapiów i na brzegu, i w łodziach na wodzie, może nawet pojawiłaby się kanonierka Yulin ze swoim tajemniczym pasażerem.

* No cóż * uśmiechnął się do żony * miejmy nadzieję, że dzwon nie spadnie.

Doprowadzili motorówkę na odległość dziesięciu metrów od pozycji dzwonu. Sam przeszedł przez burtę, zaklinował kotwicę za skalnym wypiętrzeniem, a potem wrócił na pokład i sięgnął po trzydziestometrowy zwój ciasno plecionej dziewiętnastomilimetrowej liny kotwicznej, którą kupili w Stone Town. Owinęli ją wokół prawej i lewej knagi rufowej, po czym zabezpieczyli pętlę kształtnym zakręcanym karabinkiem. Resztę zwoju wyrzucili za rufę. Dwie minuty później płynęli z rurkami do nurkowania po powierzchni, ciągnąc linę za sobą.

Dzwon był tam, gdzie go zostawili * na krawędzi przepaści * ale piasku pod nim szybko ubywało, prąd wyrwał też kawałki skał.

Remi przewlekła koniec liny przez karabinek przy swoim pasie nurkowym i podała Samowi, który zrobił to samo, a potem zacisnął zęby na własnym karabinku.

Wynurzyli się, wzięli kilka głębokich wdechów i wrócili pod powierzchnię.

Sam zasygnalizował Remi: „fotografuj”. Gdyby stało się najgorsze i straciliby dzwon, to dysponując zdjęciami, mieliby przynajmniej jakąś szansę na jego identyfikację. Remi zaczęła pstrykać, a Sam popłynął naprzód i wyjrzał za krawędź urwiska. Zbocze nie było całkiem pionowe, nachylenie wynosiło jakieś sześćdziesiąt, sześćdziesiąt pięć stopni. Ale waga ich dzwonu przekraczała ciężar tamtego ze „Speaker” o co najmniej dziesięć kilogramów. Gdyby zsunął się poza krawędź, kął zbocza tylko nieznacznie spowolniłby jego opadanie.

Ledwo o tym pomyślał, piasek pod dzwonem ustąpił. Dzwon odwrócił się koroną do góry, zawisł na moment na krawędzi, po czym zaczął się zsuwać po zboczu.

W odruchu, którego natychmiast pożałował, Sam podkurczył nogi, wierzgnął i podążył za dzwonem w dół. W przelocie usłyszał stłumiony krzyk Remi: „Sam!”, a potem szum prądu. Piasek posiekał ciało jak tysiące użądleń os. Koziołkując, sięgnął w kierunku, gdzie miał nadzieję znaleźć brzeg. Wyciągniętą prawą ręką uderzył w coś twardego i ostry ból przeszył mu mały palec. Zignorował to i wyczuł, że dzwon nabiera prędkości. Zaczęło mu brakować tlenu w płucach, serce waliło mu jak młotem.

Po omacku powiodł dłonią w górę płaszczka dzwonu i po jego hełmie. Natrafił palcami na otwór korony. Uniósł lewą rękę do ust i chwyciwszy karabinek, przełożył go przez koronę, założył na linę i kciukiem obrócił do oporu nakrętkę zabezpieczającą zamek.

Dzwon zatrzymał się gwałtownie. Lina wydała przytłumiony dźwięk. Sam stracił chwyt i zaczął się zsuwać w dół, klepiąc rękami powierzchnię dzwonu i szukając palcami punktu zaczepienia. Nic. Nagle jakiś grzbiet przesunął się pod jego dłonią. Znów poczuł ból w małym palcu. Linia paciorka, pomyślał. Koniuszkami zakrzywionych palców trafił na nią tuż powyżej ust dzwonu. Sięgnął w górę drugą ręką, złapał linę i podciągnął się do wysokości podbródka, wierzgając nogami w prądzie. Pojawiła się lina kotwiczna, biały splot w wirze piasku. Chwycił się jej. Czyjeś palce dotknęły tyłu jego głowy. Z mroku wyłoniła się twarz. Remi. Miał błyski w oczach i zawężone pole widzenia. Remi opuściła się po linie kotwicznej, sięgnęła w dół, złapała go za prawy nadgarstek i pociągnęła.

Sam odruchowo chwycił linę i zaczął się wspinać.

Dziesięć minut później siedział na leżaku z zamkniętymi oczami i głową zadartą do góry. Gdy ją

opuścił i otworzył oczy, zobaczył Remi. Podała mu butelkę wody i zapytała łagodnie:

* Lepiej się czujesz?

* Tak, dużo lepiej. Tylko mały palec mnie boli. * Uniósł dłoń. Palec był prosty, ale spuchnięty. * Nie jest złamany. Wystarczy trochę bandaża elastycznego.

* Poza tym wszystko w porządku? Sam skinał głową.

* Cieszę się * powiedziała Remi. * Jesteś kretynem, Fargo.

* Słucham?

* Co sobie myślałeś, dając nura za dzwon?

* Zareagowałem odruchowo, a kiedy zdałem sobie sprawę, co wyczyniam, było już za późno. Jak się powiedziało A, to trzeba ...

* ...odbyć podróż w jedną stronę na dno morza. * Remi pokręciła głową z gniewną miną. * Przysięgam ci, Fargo...

* Przepraszam * jęknął Sam. * I dzięki za ratunek.

* Kretyn * prychnęła Remi i cmoknęła go w policzek. * Ale mój kretyn. I nie musisz mi dziękować, chociaż jeśli chcesz, to proszę bardzo.

Sam się rozejrzył.

* Nie mów mi, że go straciliśmy. Straciliśmy? * Wciąż był lekko zamroczony.

Remi wskazała rufę, gdzie lina kotwiczna, napięta jak struna fortepianowa, biegła do wody.

* Kiedy ucinaleś sobie drzemkę, wciągnęłam go na zbocze. Powinien leżeć jakieś półtora metra od krawędzi.

* Dobra robota.

* Nie ekscytuj się. Musimy jeszcze go wydobyć. Sam się uśmiechnął.

* Bez obaw, Remi. Prawa fizyki są po naszej stronie.

Aby to udowodnić, musieli użyć siły. Sam, z kontuzjowanym małym palcem, stał na rufie i wybierał linę kotwiczną, a Remi cofała motorówkę według jego sygnałów. Gdy znaleźli się bezpośrednio nad dzwonem, Sam zdjął linę z knag, wybrał luz do końca, znów ją zapętlili i zablokowali.

* Mała naprzód * polecił. * Wolno i spokojnie.

Remi zaczęła przesuwając przepustnicę po pół centymetra. Sam wychylił się za rufę, zanurzył maskę w wodzie i obserwował holowanie dzwonu po piasku. Kiedy odciągnęli go na odległość pięciu metrów od krawędzi przepaści, zawołał:

* Maszyny stop!

Remi cofnęła przepustnicę.

Sam zanurkował obejrzeć ich zdobycz. Chwilę później wrócił na powierzchnię.

* Wygląda dobrze. Niewiele pąkli, co oznacza, że prawdopodobnie tkwił w brzegu dość długo.

Remi wyciągnęła rękę i pomogła mężowi wdrapać się na pokład.

* Uszkodzony? * spytała.

* Chyba nie. Jest gruby, waży mniej więcej trzydzieści pięć kilogramów.

* Dużo * stwierdziła Remi. * Według norm statek miałby wyporność chyba tysiąca ton.

* Albo nawet tysiąca dwustu. O wiele więcej niż „Speaker”. Bliskość monety z Adelise i dzwonu to czysty przypadek.

Zażegnawszy niebezpieczeństwo, że dzwon spadnie w przepaść, odczepili go i przepłynęli motorówką sto metrów na północ, a potem przez przesmyk w „kostce” wyspy dostali się do laguny, którą tworzył „obcas”.

Laguna o szerokości i długości zaledwie ośmiuset metrów była właściwie namorzynowym bagnem. Z wody

wystawało kilkadziesiąt maleńkich wysepek, skrawków ziemi na odsłoniętych sękatych korzeniach namorzynów. Jedne miały powierzchnię budki telefonicznej, inne podwójnego garażu, ale na wszystkich rosły gęste chwasty, a na większości karłowate drzewa i krzewy. Za wąską plażą na południowym krańcu bagna widniała kępa palm kokosowych. Panowała flauta i upiorna cisza.

* Nie co dzień ogląda się coś takiego * mruknęła Remi.

* Ani śladu Szalonego Kapelusznika lub Alicji?

* Odpukać.

* Pospieszmy się. Dnia ubywa.

Przedostali się między wysepkami, rzucili kotwicę tuż przy plaży i doszli do brzegu.

* Ile będziemy potrzebowali? * zapytała Remi. Jedną ręką zebrała kasztanowe włosy z karku, zwinęła je w kok i ścisnęła elastyczną opaską.

Sam się uśmiechnął.

* Robisz to po prostu cudownie.

* Jesteśmy cudownym gatunkiem * odrzekła z uśmiechem i wyjęła wodę z koszuli. * Więc ile?

* Sześć. Nie, pięć.

* A jesteś pewien, że nie udałoby się dostać tego, czego potrzebujemy, w Stone Town i przemieścić tutaj?

* Chcesz zaryzykować? Coś mi mówi, że kapitan tamtej kanonierki chętnie by nas zaaresztował. Jeśli uzna, że go okłamaliśmy...

* Racja. No dobra, Gilligan, buduj swoją tratwę.

Bez problemu znaleźli mnóstwo powalonych drzew, ale wyszukanie kłód odpowiednich rozmiarów okazało się trudne. Sam wybrał pięć, wszystkie mniej więcej dwuipółmetrowe i o średnicy słupa telefonicznego. Razem zaciągnęli je na plażę i ułożyli w rzędzie.

Zanim Sam zabrał się do pracy, zapewnił Remi, że konstrukcja jest prosta. Kawałkiem drewna wyrzuconego na brzeg narysował na piasku schemat:

* Niezupełnie „Queen Mary” * zauważyła z uśmiechem.

* Do tego potrzebowalibyśmy co najmniej czterech kłód więcej * odparł.

* Dlaczego wystają końce?

* Żeby zapewnić stabilność i posłużyć jako dźwignia.

* Do czego?

* Zobaczysz. Teraz jest mi potrzebna lina: kilkadziesiąt dwumetrowych odcinków.

Remi zasalutowała.

* Na rozkaz.

Po godzinie pracy Sam wyprostował się i przyjrzał swojemu dziełu spod przymrużonych powiek, najwyraźniej obliczając coś w pamięci. Wreszcie skinął głową.

* Pływalność powinna być wystarczająca * oznajmił. * Z mniej więcej dwudziestoprocentowym zapasem.

Z tratwą na holu wrócili przez przesmyk na zachodnią stronę wyspy, po czym skierowali się wzdłuż wybrzeża na południe i dotarli z powrotem nad dzwon. Sam przyciągnął tratwę osęką wędkarską do burty motorówki i przywiązał ją do knag.

* Intuicja mówi mi, że będziemy mieli towarzystwo * powiedział, siadając na leżaku na pokładzie rufowym.

Remi dołączyła do niego. Pili wodę i obserwowali morze, aż kilkanaście minut później w odległości pół mili morskiej pojawił się yulin.

* Miałeś nosa * stwierdziła Remi.

Yulin zwolnił i na pokładzie rufowym zobaczyli mężczyznę w białym mundurze. Słońce odbijało się w szklach jego lornetki.

* Uśmiechnij się i pomachaj * powiedział Sam. Oboje robili to, dopóki mężczyzna nie opuścił lornetki i nie wszedł do kabiny. Yulin zawrócił na północ. Fargowie zaczekali, aż zniknie za krzywizną wyspy, po czym zabrali się do pracy.

Sam włożył płetwy oraz maskę i chwyciwszy przygotowaną wcześniej kotwicę, stoczył się za burtę. Po niespełna półminucie ustawił tratwę nad dzwonem. Przywiązał koniec liny kotwicznej do przeciwległej strony tratwy, zanurkował pod kątem, żeby naprężyć linę, i wepchnął łapy kotwicy w piasek.

Po powrocie na powierzchnię złapał linę rzuconą mu przez Remi, zapętlił ją wokół środkowej belki tratwy, zanurkował i założył karabinek na koronę dzwonu. Wrócił na pokład rufowy, gdzie przymocował linę do obu knag.

Z rękami na biodrach przyjrzał się swemu dziełu.

* Jesteś z siebie zadowolony? * spytała Remi z uśmiechem.

* Owszem.

* I słusznie, mój dzielny inżynierze. Sam klasnął w dłonie.

* Do roboty.

Kiedy Remi zajęła miejsce za sterem, Sam zawołał:

* Mała naprzód!

* Tak jest, mała naprzód! * odpowiedziała.

Woda pod rufą zamieniła się w kipiel i motorówka ruszyła. Pokonała metr, potem drugi. Zaknagowana lina zaczęła się podnosić. Po chwili z przytłumionym młaśnięciem zacisnęła się na poprzecznicy tratwy.

* Wygląda dobrze * orzekł Sam. * Płyn dalej. Tratwa zaczęła zbliżać się do rufy.

Lina kotwiczna po przeciwległej stronie drżała z naprężenia, gdy stawiała opór motorówce. Sam włożył maskę, wychylił się za burtę i zanurzył twarz w wodzie. Dzwon wisiał trzy i pół metra pod powierzchnią, kilka centymetrów nad dnem.

* Jak nam idzie? * zapytała Remi.

* Świetnie. Płyn dalej.

Podnosili ostrożnie dzwon metr za metrem, aż w końcu korona przebiła powierzchnię i uderzyła w poprzecznicę.

* Zwolnij do biegu jałowego! * polecił Sam. * Na tyle, żeby utrzymać pozycję.

* Robi się! * odrzyknęła Remi.

Sam chwycił z pokładu dwumetrowy odcinek liny i zanurkował. Po chwili dotarł do tratwy. Pięć pętli na koronie dzwonu, węzeł na poprzecznicy i dzwon był zabezpieczony. Sam uniósł ręce w triumfalnym geście jak kowboj, który właśnie spętał cielaka.

* Załatwione!

Silniki motorówki umilkły. Remi przeszła na pokład rufowy i pokazała mężowi uniesiony kciuk.

* Gratulacje, Fargo! * zawołała. * Co teraz? Sam pokręcił głową.

* Nie jestem pewien. Jeszcze to dopracowuję.

* Skąd ja wiedziałam, że to powiesz?

Rozdział 6

Zanzibar

Nie mieli odwagi holować dzwonu wzdłuż wybrzeża do bungalowu. Potrzebowali bezpiecznego miejsca, żeby go ukryć, dopóki czegoś nie postanowią i nie zorganizują.

Wiedzieli, że spotkanie z yulinem mogło być przypadkowe, ale intuicja podpowiadała im, że ani pierwsza wizyta kanonierki, ani jej powrót nie były zbiegiem okoliczności. Pytania kapitana wyraźnie sugerowały, że interesuje go, czy szukają czegoś konkretnego. To z kolei oznaczało, że ktoś * być może tajemnicza postać ukrywająca się w kabinie kanonierki * obawia się tego odkrycia. Odkrycia dzwonu? Monety z Adelise? A może czegoś zupełnie innego?

* Chcemy czekać i zobaczyć, co zrobią * zapytał Sam * czy potrząśniemy drzewem?

* Nie jestem fanką bezczynnego czekania.

* Ja też nie.

* Więc co proponujesz?

* Zachowujmy się jak ludzie, którzy mają coś do ukrycia.

* Jesteśmy ludźmi, którzy mają coś do ukrycia. Dzwon okrętowy o wadze dziewięćdziesięciu kilogramów wiszący pod tratwą domowego wyrobu.

Sam się roześmiał. Jego żona potrafiła trafiać w sedno.

* Jeśli nie wyolbrzymiamy tego wszystkiego * odparł * to tamci, kimkolwiek są, pewnie już przeszukali bungalow.

* I niczego nie znaleźli.

* Właśnie. Więc będą czekać, aż wrócimy. Remi pokiwała głową z uśmiechem.

* A my nie wrócimy.

* Zgadza się. Jeśli zaczną nas szukać, będziemy mieli potwierdzenie, że gra jest w toku.

* Naprawdę powiedziałaś: „gra jest w toku”? Sam wzruszył ramionami.

* Chciałem się przekonać, jak to brzmi.

* O rany... * jęknęła Remi.

Z dzwonem i tratwą na holu wzięli kurs na przesmyk i namorzynową lagunę. Do zmroku zostało tylko kilka godzin. Jedną z nich spędzili na szukaniu w lagunie kryjówki dla tratwy. Znaleźli dobre miejsce na wschodnim brzegu, gdzie kępa cyprysów wyrastała ukośnie z ładu. Używając osęki wędkarskiej, wmanewrowali tratwę pod zwisające gałęzie, a potem Sam zanurkował i przywiązał ją do jednego z pni.

* No i jak? * zawołał zza zasłony.

* Nic nie widać * odparła Remi. * Musieliby się tam dostać, żeby ją zobaczyć.

Wrócili do wylotu przesmyku, gdzie Sam złowił cztery małe czerwone lucjany, i popłynęli z powrotem do laguny. Remi, która lepiej potrafiła filetować ryby, oczyściła lucjany, a Sam nazbierał drewna na ognisko. Wkrótce filety skwierczały nad ogniem, a kiedy słońce schowało się za palmami kokosowymi, zaczęli jeść.

* Wiesz * powiedziała Remi, sięgając po kawałek ryby * lubię takie prymitywne warunki. To znaczy, do pewnego stopnia.

* Doskonale cię rozumiem * odparł. Remi nigdy nie wahała się podjąć wyzwania, towarzyszyła mu w błocie i w śniegu, pod ostrzałem i podczas ucieczek, i rzadko traciła optymizm. Ale uwielbiała również wygody. Tak jak on. * Jak załatwimy sprawę dzwonu, wybierzemy się do Dar es*Salaam, wynajmiemy apartament w Royalu, będziemy pili dżin z tonikiem i obstawiali mecze krykietowe.

Remi uśmiechnęła się szeroko. Moevenpick Royal Palm był jedynym pięciogwiazdkowym hotelem w Dar es*Salaam.

vi

* Czytasz w moich myślach, Samie Fargo.

Sam spojrzał na zachodzące słońce, a potem na zegarek.

* Ale najpierw * rzekł * musimy się przygotować na wizytę.

Po zapadnięciu zmroku w lagunie odezwały się świerszcze, a wśród drzew wzdłuż brzegu i zarośli na wysepkach pojawiły się świetliki. Sam wprowadził motorówkę między dwie z większych wysepek i ustawił ją dziobem na zachód. Pogodne niebo było usiane gwiazdami, sierp księżycy otaczała lekka mgielka.

* Jutro może padać * zauważył.

* Czy to babskie gadanie odnosi się do południowej półkuli?

* Przekonamy się.

Siedzieli w ciemności na pokładzie rufowym, pijąc kawę i obserwując owadzi pokaz świateł. Ze swojego miejsca widzieli wylot laguny i plażę, gdzie ustawili prowizoryczny namiot z brezentowej plandeki, którą znaleźli w schowku łodzi. Przez plandekę przebijał nikły blask lampy, a kilka kroków od namiotu płonęło ognisko. Sam ułożył dość bierwion z palm kokosowych, by żarzyły się całą noc.

* To był długi dzień * powiedziała Remi, tłumiąc ziewnięcie.

* Zejdź na dół i prześpij się * odparł Sam. * Wezmę pierwszą wachtę.

* Równy z ciebie gość. Obudź mnie za dwie godziny. Cmoknęła go w policzek i zniknęła.

Pierwsze dwie wachty minęły spokojnie. Pod koniec szóstej godziny czuwania, tuż przed trzecią nad ranem, Samowi wydało się, że słyszy warkot silników, lecz po chwili odgłos ucichł. Pięć minut później znów się odezwał, tym razem głośniejszy i bliżej. Gdzieś na północy. Sam zlustrował wylot laguny przez lornetkę, ale zobaczył tylko zmarszczki na powierzchni wody, gdzie prąd przepływał przez przesmyk. Silniki znowu ucichły. Nie, nie ucichły, poprawił się w duchu. Umiłkły, jakby zostały wyłączone. Uniósł lornetkę do oczu.

Minęła minuta, potem druga. Po kolejnych dwóch w przesmyku pojawił się cień. Sunął kilkadziesiąt centymetrów nad powierzchnią, poruszając się wolniej niż piechur. Ponton Zodiak wpłynął bezszelestnie z przesmyku do laguny. Trzydzieści sekund później pojawił się drugi, a za nim trzeci. Dryfowały gęsiego przez piętnaście metrów, po czym skręciły w szyku w prawo.

Sam zszedł po drabince, zbliżył się do koi i dotknął stopy Remi. Natychmiast uniosła głowę z poduszki.

* Mamy towarzystwo * szepnęła.

Skinęła głową. Po kilkadziesiąt sekundach oboje byli na pokładzie rufowym i opuścili się z łodzi do wody. Sam odruchowo sięgnął za burtę i wyciągnął z uchwytu ich jedyną broń, osękę wędkarską. Dopłynęli żabką do najbliższej wysepki, przepełzli między odsłoniętymi korzeniami namorzynów i

dostali się przez labirynt do otworu w środku. Ich wcześniejsze rozpoznanie wykazało, że dziura pod warstwą ziemi ma średnicę metra i wysokość prawie dwóch i pół. Dookoła zwiślały korzenie i pnącza. W powietrzu unosił się zapach pleśni i gliny.

Przez płataninę korzeni widzieli jakieś trzy metry na prawo swoją motorówkę. Przytuleni do siebie w ciasnym otworze, obrócili się w kierunku wylotu laguny. Zobaczyli tylko ciemność i wodę oświetloną blaskiem księżyca. Panowała cisza.

Potem rozległo się ledwo słyszalne buczenie.

Sam przyłożył usta do ucha Remi i szepnął:

* Zodiaki z silnikami elektrycznymi. Płyną bardzo wolno.

* Więc musi być statek*baza * odszepnęła.

Miała rację. Pontony Zodiak poradziłyby sobie na wodach przybrzeżnych Zanzibaru, ale większość silników elektrycznych ogranicza zasięg i prędkość maksymalną do czterech, najwyżej pięciu węzłów. Kimkolwiek byli goście Fargów, wyruszyli skądś w pobliżu. Statek wydawał się najbardziej prawdopodobny.

* Zostawiłaś smakołyki dla Świętego Mikołaja? * zapytał Sam.

Przytaknęła.

* Będą musieli trochę poszukać, ale wszystko tam jest.

Minęło półtorej minuty, zanim pierwszy zodiak pojawił się dwieście metrów na prawo od nich. Drugi ukazał się w takiej samej odległości, tyle że na lewo. Chwilę później trzeci znalazł się w polu widzenia na środku laguny. Wszystkie płynęły bez świateł, ale w blasku księżyca Sam i Remi widzieli pojedynczą postać siedzącą na rufie każdego pontonu.

Zodiaki sunęły tyralierą, a ich sternicy milczeli i nie zapalali nawet latarek. To nie byli turyści na nocnym wodnym safari.

* Widzisz jakąś broń? * szepnął Sam. Remi pokręciła głową.

Przez kilka minut obserwowali, jak pontony omijają kolejne wysepki. W końcu zbliżyły się do ich motorówki na odległość mniej więcej pięćdziesięciu metrów. Człowiek w środkowym zodiaku podniósł rękę, wykonał jakiś gest i dwa pozostałe pontony skierowały się ku łodzi.

Sam klepnął Remi w ramię, żeby zwrócić jej uwagę, i wskazał kciukiem w dół. Oboje się zanurzyli, tylko oczy i nosy mieli nad powierzchnią.

Środkowy zodiak * najwyraźniej dowódcy grupy * pierwszy dotarł do motorówki. Kiedy zrównał się z jej dziobem, dowódca chwycił jedną ręką reling. Jego twarz była teraz widoczna z profilu. Sam rozpoznał orli nos tajemniczego mężczyzny z kanonierki.

Dwa pozostałe pontony minęły łódź z prawej i lewej burty i spotkały się przy rufie. Ich sternicy przesadzili reling i stanęli na pokładzie dziobowym. Ten najbliżej kryjówki Sama i Remi sięgnął w dół, coś chwycił i unióś rękę. Stał zaślniła w blasku księżyca. Nóż.

Remi odnalazła pod wodą dłoń Sama i ścisnęła. Odpowiedział uściskiem.

* Jesteśmy bezpieczni * szepnął jej do ucha.

Dwaj mężczyźni zniknęli w kabinie i po chwili wyłonili się z powrotem. Jeden wychylił się za burtę i zasygnalizował coś Orlemu Nosowi, który odpowiedział gestem, obrócił zodiaka i skierował w stronę plaży. Gdy ponton zatrzymał się na piasku, on też wyciągnął nóż i podkradł się wolno do oświetlonego lampą namiotu Sama i Remi. Zajrzał do środka, cofnął się i zlustrował wzrokiem plażę i palmy kokosowe. Po półminucie wrócił do pontonu, a dwie minuty później był na pokładzie motorówki. Mruknął coś po hiszpańsku i jego towarzysze dali nura do kabiny. Łódź zaczęła się kotłować. Drzwiczki szafek otwierały się i zamykały z traskiem. Szkło się tłukło. Za bulajami błyskało światło latarek. Po pięciu minutach na pokładzie rufowym ukazali się dwaj mężczyźni. Jeden wręczył Orlemu Nosowi jakiś mały przedmiot, który tamten pobieżnie obejrzał i rzucił w dół do kabiny. Przedmiot stoczył się z brzękiem po szczeblach drabinki. Drugi mężczyzna podał Orlemu Nosowi żółty bloczek do notatek. Ori Nos obejrzał go uważnie i zwrócił. Mężczyzna sfotografował aparatem cyfrowym z fleszem interesującą ich stronę i bloczek wyładował z powrotem w kabinie.

Sam szepnął żonie do ucha:

* Haczyk, żyłka, spławik.

Ori Nos i jego kompani wsiedli do zodiaków i odbili od motorówki. Ku zaskoczeniu Sama i Remi grupa nie skierowała się do przesmyku, lecz zaczęła przeszukiwać lagunę, najpierw wzdłuż brzegów. Snopy

światła latarek omiatały ląd i drzewa. Kiedy jeden z pontonów zrównał się z kryjówką dzwonu, Fargowie wstrzymali oddech, ale zodiak nie zwolnił i światło latarki przesunęło się dalej.

Wreszcie wszystkie trzy pontony dotarły do wylotu laguny i zakończyły badanie linii brzegowej, ale zamiast wpłynąć do przesmyku, zawróciły, uformowały tyralierę i zaczęły sprawdzać wysepki, oświetlając każdą skarpe z namorzynami przed przemieszczeniem się do następnej.

* Mogło być niedobrze * mruknął Sam.

* Bardzo niedobrze * zgodziła się Remi.

Wyciągnięte noże powiedziały im wszystko: kimkolwiek byli ci ludzie, bez skrupułów użyliby przemocy. Gdyby Fargowie postanowili spędzić noc na motorówce lub w namiocie, już by nie żyli.

* Wracamy na łódź? * zapytała Remi.

* Jeśli jeszcze raz wejdą na pokład, będziemy w pułapce * odparł Sam.

* Jestem otwarta na propozycje. Sam zastanawiał się dłuższą chwilę.

* A co ty na to, żeby upiec dwie pieczenie na jednym ogniu? * rzekł wreszcie i wyjaśnił swój plan.

* Ryzykowne * oceniła Remi.

* Zrobię tak, że się uda.

* Okej, ale pod warunkiem, że nie będzie innego wyjścia.

* Zgoda.

Obserwowali zodiaki. Gdyby zostały na obecnym kursie, ten z prawej dotarłby do ich kryjówki za niecałe dwie minuty. Dwa pozostałe wyprzedzały go o kilkadziesiąt sekund. Przy odrobinie szczęścia zakończyłyby poszukiwania wcześniej i zawróciły w stronę przesmyku.

* Trzymaj kciuki * powiedział Sam.

* Jasne * odrzekła i pocałowała go w policzek. * To na szczęście.

Sam zanurkował i przedostał się przez gąszcz korzeni na otwartą wodę. Starając się mieć wszystkie zodiaki

w polu widzenia, przepłynął na drugą stronę korzeni. Pół minuty później na lewo od niego pojawili się Orli Nos i jego partner. Obaj zlustrowali wzrokiem ostatnią wysepkę, zawrócili i skierowali się ku przesmykowi. Trzeci ponton podążał dalej swoim kursem w odległości jakichś dwunastu metrów.

* Pospiesz się! * zawołał po hiszpańsku Orli Nos. Cel Sama podniósł rękę na znak, że przyjął rozkaz.

Dziesięć metrów... sześć...

Sam obracał się zgodnie z ruchem wskazówek zegara wokół korzeni namorzynów. Zatrzymał się i wyjrzał zza krawędzi. Zodiak był trzy metry od niego. Począł, aż dziób pontonu zniknie po drugiej stronie, a potem zerknął za siebie na lagunę. Dwa pozostałe zodiaki były w odległości stu metrów i wciąż się oddalały.

Sam wziął głęboki oddech, zanurkował z osęką wędkarską, skręcił za korzenie i wystawił oczy nad powierzchnię. Rufa pontonu przesuwała się wolno półtora metra od niego; sternik siedział z jedną ręką na przepustnicy silnika i przechylając się na bok, oświetlał latarką namorzyny. Sam zbliżył się do zodiaka na trzydzieści centymetrów, położył dłoń na gumowej burcie, wyjął osękę z wody, uniósł i zamachnął się nią jak wędką.

Stalowy koniec trafił mężczyznę w bok głowy tuż nad uchem. Zatchnął się i wypadł za burtę. Zanim Sam zdążył wykonać następny ruch, pojawiła się Remi. Wydostała głowę mężczyzny z wody i wtoczyła go z powrotem do pontonu. Sam zerknął przez ramię. Orli Nos i jego partner byli już w odległości dwustu metrów.

* Yaotl! * rozległ się głos Orlego Nosa.

* Szybko * powiedział Sam do Remi, wdrapując się do zodiaka. * Przepłyn do lewej burty. Doholuję cię do łodzi.

Remi okrążyła ponton i złapała się dulki. Sam zwiększył obroty silnika i zodiak wyłonił się zza namorzynu. Znalazł latarkę Yaotla tam, gdzie upadła, podniósł ją i wycelował w dwa pozostałe pontony. Zatrzymały się. Sam

błysnął dwa razy światłem i uniósł rękę, modląc się, żeby to wystarczyło.

Po dziesięciu sekundach dostrzegł dwa błyski latarki i usłyszał komendę:

* Yaotl, pospiesz się!

Doprowadził ponton do rufy motorówki. Remi wspięła się na pokład i oboje wtoczyli Yaotla przez

burtę. Wylądował z głuchym odgłosem na pokładzie rufowym.

* Co teraz? * zapytała Remi.

* Przywiąż mu ręce i nogi do knag i przeszukaj go. Ja muszę dogonić moich nowych przyjaciół.

Remi już chciała zaprotestować, ale Sam nie dał jej dojść do głosu.

* Są mi potrzebne maska i lometka.

Przyniosła z kabiny obie rzeczy i wzięła od Sama osękę wędkarską.

* Bez obaw, Remi * obiecał. * Zachowam odstęp.

* A jeśli nie zdołasz?

* To będę miał straszny wypadek.

Mrugnął do niej, zwiększył obroty silnika i odpłynął.

Orli Nos i drugi mężczyzna się oddalali. Zanim Sam dotarł do połowy laguny, skręcili na zachód w przesmyk. Sam, przypomniawszy sobie zakola tej drogi wodnej, zrobił kilka szybkich obliczeń i ruszył dalej. Piętnaście metrów od przesmyku zwolnił do biegu jałowego i chwilę nasłuchiwał. Żadnego odgłosu silników. Przyspieszył i pokonał zakręt. Mężczyźni płynęli gęsiego przesmykiem jakieś sto metrów z przodu. Przed nimi, w odległości około kilometra, przesmyk rozszerzał się w płycizny wyspy Chumbe. Sam uniósł lometkę do oczu i zlustrował farwater. Na przestrzeni dziesięciu mil morskich nie zobaczył żadnego ruchu, ale w odległości mniej więcej mili na południowy zachód dostrzegł pojedyncze białe światło wiszące dziesięć metrów nad wodą * międzynarodowy sygnał, że statek stoi na kotwicy. Statek miał skośną dziobnicę

i lśniąca białą nadbudowę; zapewne luksusowy jacht. Statek*baza?

Orli Nos i jego partner skręcili w lewo i chwilowo zniknęli z widoku. Czas przygotować się do wypadku, pomyślał Sam. Przymknął przepustnicę, też skręcił w lewo i pozwolił, żeby zodiak zarył w piasku.

Rozejrzał się i szybko znalazł to, czego potrzebował: ostry jak nóż kamień. Chwycił go, zepchnął ponton z powrotem na wodę, wskoczył na pokład i popłynął dalej.

Jak dotąd, szczęście mu dopisywało. Orli Nos i jego partner kilka razy zerknęli za siebie, żeby się upewnić, że „Yaotł” nadaża, ale na szczęście nie zwolnili. Po dziesięciu minutach Sam zobaczył, jak dwa zodiaki przed nim potracają się, dotarłszy do płycizny.

* No dalej, panowie, pokażcie mi, dokąd płyniecie * mruknął.

Pokonawszy płyciznę, Orli Nos i jego partner skręcili w lewo i skierowali się w stronę jachtu. Dwie minuty później Sam też znalazł się na płyciznie, ale przesunął ster o kilka stopni w lewo i poprowadził ponton prawie równolegle do skarpy, w której odkryli dzwon. Punkty orientacyjne na lądzie zaczęły wyglądać znajomo. Dwadzieścia metrów dzieliło go od przepaści.

Wziął kamień spomiędzy stóp, wychylił się z zodiaka, wbił ostry koniec w gumową burtę i pociągnął w tył. Powtórzył to jeszcze dwa razy, aż powstało nierówne dwudziestocentymetrowe rozcięcie. Wyrzucił kamień z pontonu i sprawdził, gdzie są dwa pozostałe zodiaki. Były kilkaset metrów od niego na głównym farwaterze i nadal kierowały się w stronę jachtu.

Sabotaż Sama przyniósł skutek już po dwudziestu sekundach. Ponton zaczął zwalniać, dygocząc i zwiększając zanurzenie, w miarę jak nabierał wody. Sam obrócił przepustnicę ostatni raz, wydał okrzyk, w którym * miał nadzieję * zabrzmiała panika, i stoczył się za burtę.

Zanurkował, włożył maskę, zacisnął zęby na ustniku rurki i znieruchomiał tylko z oczami i końcem rurki nad powierzchnią.

Sztuczka się udała. Orli Nos i jego partner zawrócili i pruli z maksymalną prędkością w kierunku szybko flaczącego zodiaka, który dryfował dwadzieścia metrów od Sama * dokładnie nad przepaścią.

Kiedy byli w odległości pięćdziesięciu metrów, włączyli latarki i snopy światła zaczęły omiać powierzchnię wody.

* Yaotł! * zawołał Orli Nos. * Yaotł! Drugi mężczyzna zawtórował mu.

Sam, który hiperwentylował przez ostatnią minutę, wziął jeszcze jeden głęboki oddech, dał nura pod wodę i popłynął w stronę brzegu. Dotarł tam po dziesięciu ruchach nogami. Odwrócił się tak, że miał obu mężczyzn z prawej strony, i skierował na północ wzdłuż lądu, co jakiś czas oglądając się za siebie, żeby sprawdzić lokalizację snopów światła latarek. Dwa pontony spotkały się przy szczątkach trzeciego.

* Yaotl! * usłyszał Sam przez wodę. Potem znów, głośniejsze: * Yaotl!
Płynął dalej. Za nim sflaczały zodiak został wciągnięty na jeden z pontonów. Sam zatrzymał się i znieruchomiał. Poczul ból w płucach z powodu niedoboru tlenu i na moment wpadł w panikę, ale pokonał ją.
Po około trzydziestu sekundach, które wydawały się minutami, zodiaki zwiększyły obroty silników, zawróciły i oddaliły się w kierunku farwateru.
Sam się wynurzył.

Rozdział 7

Zanzibar

Dwadzieścia pięć minut później Sam wdrapał się z powrotem na pokład motorówki. Remi siedziała na leżaku, beztrudnie popijając z butelki kenijskie piwo Tusker. Ich gość, Yaotl, leżał na pokładzie jak wyciągnięta z wody ryba, wygięty w łuk, z kostkami przywiązanymi do nadgarstków, które z kolei były przywiązane do najbliższej knagi. Nie odzyskał jeszcze przytomności.

* Witaj z powrotem * powiedziała Remi i podała mężowi piwo. * Jak się udał wypadek?

* Chyba dali się nabrać. Co z nim?

* Ma paskudnego guza nad uchem, ale oddycha równo. Poza silnym bólem głowy przez dzień lub dwa nic mu nie będzie. Był nieźle uzbrojony.

Wskazała dwa przedmioty u swoich stóp: nóż, o którym wiedzieli, i pistolet samopowtarzalny. Sam go podniósł.

* Heckler & Koch P30. Kaliber 9 milimetrów, piętnastonabojowy magazynek.

* Skąd, do diabła, wiesz... Sam wzruszył ramionami.

* Po prostu zapamiętuję szczegóły. O ile wiem, to nie jest cywilna broń. Sprzedają ją tylko policji i wojsku.

* Więc nasz gość jest albo był gliniarzem lub żołnierzem?

* Albo kimś, kto działa za kulisami. Znalazłaś przy nim coś jeszcze?

* Nie. Ani portfela, ani żadnego dokumentu tożsamości. Jego ubranie jest miejscowe. Sprawdziłam metki.

* Więc to zawodowcy. Remi skinęła głową.

* Na to wygląda. A co do kruchych ciasteczek, które zostawiliśmy dla Świętego Mikołaja...

* Widzieliśmy, jak potraktowali monetę z Adelise. Odrzucili ją jak zwykłego miedziaka. Ale z bloczkiem do notatek postąpili zupełnie inaczej.

Przed przygotowaniem się do wizyty niechcianych gości Fargowie uznali, że tajemniczego „Orlego Nosa” może interesować pięć rzeczy: po pierwsze, moneta z Adelise; po drugie, dzwon; po trzecie, oni sami; po czwarte, coś, czego znalezienia się obawia; po piąte, nic * co by oznaczało, że robią z igły widły.

Ich podstęp wykluczył punkty pierwszy i piąty i zdawał się wykluczać drugi, trzeci i czwarty. Zapełnili bloczek do notatek bezsensownymi bazgrołami i liczbami, z wyjątkiem jednego: rysunku dzwonu w bocznym rzucie z zapisaną poniżej godziną (14.00), miejscem (Chukwani Point Road) i podanym im przez Selmę numerem telefonu firmy spedycyjnej Mnazi Freight & Haul. Gdyby Orli Nos połknął tę przynętę, mieliby dowód, że interesuje go dzwon.

To, rzecz jasna, rodziło pytanie, jak Orli Nos dowiedział się o dzwonie, skoro Sam i Remi powiedzieli o nim tylko Selmie. Ponieważ Orli Nos nie złożył im wizyty, zanim wydobyli dzwon przy użyciu tratwy, ktoś mógł zauważyć, jak holują go do laguny. Ale nie widzieli nikogo w okolicy, ani na lądzie, ani na wodzie.

* Niedługo świt * powiedział Sam. * Bierzmy nasz łup i poszukajmy jakiegoś miejsca, gdzie będziemy mogli przeczekać, aż znajdziemy nową kwaterę.

* A on? * zapytała Remi, wskazując Yaotla.

* Weźmy go do kabiny. Chyba nie chcemy, żeby coś sobie uszkodził, prawda?

Po ulokowaniu Yaotla w kabinie podnieśli kotwicę i popłynęli przez lagunę do miejsca, gdzie ukryli tratwę z dzwonem. Kiedy doholowali ją bliżej plaży, Sam wyskoczył za burtę i wymanewrował tratwę

tak, że dzwon zawisł trzydzieści centymetrów nad dnem.

* Dźwignia... * mruknął pod nosem. * Remi, daj mi siekierę ze skrzynki narzędziowej.

Gdy to zrobiła, Sam wyszedł na brzeg i zniknął z latarką wśród drzew. Remi usłyszała trzaskanie gałązek, potem uderzenia drewna o drewno, kilka cichych przekleństw i wreszcie odgłosy rąbania. Po pięciu minutach Sam wrócił z dwoma pniami młodych palm, długości dwóch i pół metra i średnicy dziesięciu centymetrów. Na końcu każdego zrobił nacięcie. Wręczył je Remi i wspiął się na pokład.

* Zdradzisz mi swój plan? * zapytała. Sam mrugnął do niej.

* Nie chcę psuć zabawy. Ale musimy poczekać, aż się rozwidni.

Nie trwało to długo. Ledwo zobaczyli pierwsze smugi słonecznego blasku na wschodzie, zabrali się do pracy. Sam odwiązał tratwę, wskoczył do wody i obrócił ją stroną z trzema sterzącymi kłódami w kierunku brzegu. Usiadłszy okrakiem na zewnętrznej kłodzie, która się zanurzyła na głębokość piętnastu centymetrów, zawołał:

* Mała wstecz!

* Tak jest, mała wstecz! * odpowiedziała Remi. Silniki ożyły. Motorówka cofała się, dopóki pawęż nie uderzyła w tratwę.

* Dawaj dalej! * komenderował Sam.

Pod jego ciężarem i naporem łodzi sterzące kłody zniknęły pod powierzchnią i zaczęły się zagłębiać w piasek. Woda pod rufą motorówki zamieniła się w kipiel. Kiedy kłody weszły w dno na trzydzieści centymetrów, Sam krzyknął:

* Maszyny stop!

Remi przymknęła przepustnicę i przeszła na rufę. Sam zanurkował pod tratwę i wyłonił się w jej środku pod pawężą.

* Wypchnę poprzecznice do góry, a ty pociągniesz * polecił jej.

* Dobra.

Razem wciągnęli kłodę na nadburcie i sterzące końce znalazły się nad pokładem rufowym.

Remi odsunęła się do tyłu i wytarła ręce.

* Chyba wiem, o co ci chodzi * oznajmiła. * Dajcie mi dostatecznie długą dźwignię i punkt podparcia...

* ..a poruszę Ziemię * dokończył Sam. * Archimedes.

Zrobił siekierą nacięcie na końcach kłody spoczywającej na nadburciu. Potem wziął jedno z drzewek, podał je Remi i chwycił drugie.

* Teraz będzie najtrudniejsza część * powiedział. Każde umieściło nacięty koniec pnia we właściwym nacięciu na kłodzie, a potem zapało drugi koniec odpowiednio o lewą i prawą knagę.

* Zechcesz pełnić honory? * spytał Sam.

* A ty gdzie będziesz?

* Z tobą w kabinie. Jeśli te drzewka mają puścić, lepiej nie być w pobliżu. Mała wstecz, proszę.

Remi przesunęła przepustnicę i zaczęła cofać motorówkę. Przednia krawędź tratwy unosiła się stopniowo. Drzewka wyginały się jak napinane łuki. Kłody skrzypiały. Centymetr za centymetrem dzwon wyłaniał się z wody, aż jego usta zrównały się z nadburciem.

* Zwolnij * polecił Sam. * Tylko prędkość sterowna.

Chwycił resztę liny kotwicznej i przeszedł przez pokład rufowy. Po drodze patrzył to na jedno drżące drzewko, to na drugie. Wychylił się za pawęż, przywiązał linę do korony dzwonu i wrócił do kabiny, rozwijając zwój.

* Mała wstecz * rzucił.

Remi odchyliła się do tyłu i szepnęła mu do ucha:

* Jeśli dzwon przebije pokład, stracimy kaucję. Sam zachichotał.

* Mamy ubezpieczenie.

Motorówka cofała się, a drzewka wyginały się ze skrzypleniem. Sam ostrożnie naprężył linę. Dzwon przesunął się nad burtę, zawadził o jej krawędź i zaczął się huścić.

* Sam... * ostrzegła Remi.

* Widzę * mruknął. * Tak trzymaj. Spokojnie...

Odwrócił się, zbiegł po drabince i po dziesięciu sekundach wrócił z matercem. Ruchem gracza w kręgle pchnął go przez pokład do pawęży.

* Gazu! * zawołał.

Remi docisnęła przepustnicę do ograniczników. Sam pociągnął linę. Drzewka pękły z głośnym trzaskiem i się obróciły. Dzwon spadł na materac, przewrócił się na bok i znieruchomiał.

Rozdział 8

Zanzibar

Straciliśmy człowieka * oznajmił Itzli Rivera przez telefon.

* Tak? * odrzekł Quauhtli Garza. Nawet z odległości szesnastu tysięcy kilometrów jego obojętność była wyraźnie wyczuwalna.

* Yaotl utonął. Jego ciało zaginęło w morzu. Był dobrym żołnierzem, panie prezydencie.

* Oddał życie za sprawę. To zaszczytna śmierć. W języku nahuatl Yaotl oznacza wojownika. Zostanie powitany przez Huitzilopochtliego i na wieczne czasy zamieszka w Omeyocanie * rzekł Garza, mając na myśli azteckiego boga wojny, który sprawia, że słońce porusza się po niebie, i najświętsze z trzynastu azteckich królestw niebieskich. * To chyba wystarczająca nagroda?

* Oczywiście, panie prezydencie.

* Czy to wszystko, co masz do zameldowania?

* Niestety nie. Fargowie mogli znaleźć jakiś dzwon okrętowy.

* Co to znaczy „mogli znaleźć”?

* Przeszukaliśmy ich łódź i znaleźliśmy bloczek do notatek z rysunkiem dzwonu okrętowego.

* Opisz go.

* Na rysunku brakowało szczegółów. Mogą nie wiedzieć, co mają. Ale wygląda na to, że spróbują zabrać go z wyspy. Obok rysunku były nazwa firmy spedycyjnej i godzina. Punkt odbioru znajduje się kawalek na południe od zanzibarskiego lotniska.

* Ten dzwon nie może opuścić wyspy. Poszukiwania Fargów muszą się zakończyć natychmiast.

* Rozumiem, panie prezydencie.

* Wiesz, dokąd się wybierają i kiedy * rzekł. * Będziemy mieli ich w garści.

* To dopiero zadbane dzwon okrętowy * powiedziała Remi.

Stojący naprzeciwko niej na ocienionym patio Sam skinął głową. Przez ostatnią godzinę obkładali dzwon prześcieradłami namoczonymi w ciepłym roztworze wodnym kwasu azotowego. Teraz stał, owinięty i parujący, pośrodku wolno rozprzestrzeniającej się plamy szarozielonej narośli morskiej, którą rozpuszczał kwas.

* Kiedy zmiana kompresów? * spytała Remi. Sam spojrzął na zegarek.

* Za dziesięć minut.

Trzy godziny wcześniej, po rozebraniu tratwy i rozrzuconiu jej kawałków, opuścili namorzynową lagunę, skierowali się wzdłuż wybrzeża na południe i wpłynęli do zatoki Menai za półwyspem Fumba. Remi sterowała, a Sam zadzwonił do Selmy, wprowadził ją w sytuację i wyjaśnił, czego potrzebują. Czterdzieści minut później, gdy okrążali południowy kraniec Zanzibaru, Selma oddzwoniła.

* Lokum jest trochę mniejsze od bungalowu, ale leży na odludziu i pośrednik obiecał zostawić klucze pod słomianką. Mają państwo opłacony tydzień pobytu.

* Co to za lokum i gdzie?

m

* Willa po wschodniej stronie wyspy, trzy kilometry na północ od hotelu Tamarind Beach. Markiza nad werandą jest w czerwono*zielone pasy.

* Jesteś cudowna, Selmo * rzekł Sam, rozłączył się i wybrał numer domowy Abasiego Sibale, który bez zadawania niepotrzebnych pytań obiecał przyjechać na plażę przy willi swoim pikapem. Na widok dzwonu okrętowego na pokładzie rufowym motorówki tylko się uśmiechnął i pokręcił głową.

* Jeśli pewnego dnia przylecicie na naszą wyspę wypocząć, będziecie się strasznie nudzić.

* Zajrzę do naszego gościa * powiedział Sam.

* Dopilnuję, żeby dzwon nie uciekł * odrzekła Remi.

* Jeśli spróbuje, pozwól mu.

* Chętnie.

Oboje byli zmęczeni, a dzwon, opierając się ich wysiłkom i niebezpiecznie zwracając na siebie uwagę,

stał się dość kłopotliwy. Potrzebowali snu i jakichś odpowiedzi, które mieli nadzieję uzyskać po kilku następnych godzinach stosowania okładów z kwasu azotowego.

Remi się uśmiechnęła.

* Zostaw broń.

Sam odwzajemnił uśmiech, przeciął patio i zniknął za progiem drzwi balkonowych. Wynajęta przez Selmę willa w tokańskim stylu miała powierzchnię prawie dwustu metrów kwadratowych, spławiła musztardowy tynk na porośniętych pnączami ścianach i czerwoną dachówkę. Wnętrza stanowiły mieszaninę nowoczesności i tradycyjnego rękodziela.

Yaotl leżał w sypialni na tyłach domu z rękami i nogami przywiązanymi do łoża z baldachimem. Na widok wchodzącego Sama uniósł głowę.

* Hej, co się dzieje? Gdzie ja jestem?

* Zależy, kogo spytasz * odparł Sam. * Według twoich przyjaciół albo unosisz się w wodzie twarzą w dół gdzieś

między tym miejscem a Mombasą, albo pokonujesz drogę przez układ trawienny jakiegoś rekina.

* Co to znaczy?

* No cóż, po tym, jak cię ogłuszyliśmy...

* Nie pamiętam tego... Jak to zrobiłeś? * Yaotl sprawiał wrażenie lekko oszołomionego.

* Podkrałem się i zdzieliłem cię kijem. Twoi przyjaciele myślą, że nie żyjesz od... * Sam spojrzał na zegarek *...sześciu godzin.

* Na pewno tak nie myślą. Znajdą mnie.

* Nie licz na to, Yaotl. I co to w ogóle za imię?

* Tak się nazywam.

* Jesteś głodny? Chce ci się pić?

* Nie.

Sam zachichotał.

* Nie wstydź się, mów.

* Rób, co masz zrobić, i skończmy z tym.

* A jak myślisz, co z tobą zrobię? * zapytał Sam.

* Będziesz mnie torturować?

* Jeśli tak przypuszczasz, musiałeś się obracać w złym towarzystwie.

* Więc po co mnie tu trzymasz?

* W nadziei, że odpowiesz na kilka pytań.

* Jesteś Amerykaninem * stwierdził Yaotl.

* Po czym poznałeś? Po moim ujmującym uśmiechu?

* Po twoim akcencie.

* A ty jesteś Meksykaninem. Yaotl milczał.

* A sądząc po twojej broni * podjął Sam * i po tym, jak ty i twoi partnerzy poruszaliście się, jesteś albo byłeś w wojsku.

Yaotl zmrużył oczy.

* Jesteś z CIA.

* Nie * odparł Sam. * Ala mam tam przyjaciela. Mówił prawdę. Kiedy pracował w DARPA, został wysłany na kurs dla tajnych agentów do ośrodka szkoleniowego

CIA Camp Perry. Zamysł był taki, żeby inżynierowie z DARPA zobaczyli, jak działają agenci terenowi, i dzięki temu mogli lepiej zaspokajać ich potrzeby. W tym samym czasie co Sam szkolenie odbywał oficer zadaniowy CIA nazwiskiem Rube Haywood. Zaprzyjaźnili się i od tamtej pory utrzymywali bliskie kontakty.

* A ten przyjaciel ma przyjaciół * ciągnął Sam * w takich krajach, jak Turcja, Bułgaria, Rumunia...

Chyba nazywają to „ekstradycją”. Pewnie o tym słyszałeś. Smutni faceci w czarnych kombinezonach wepchną cię na pokład samolotu, znikniesz gdzieś na parę tygodni i wrócisz z awersją do elektryczności i wiertarek.

Blefował, ale odniosło to pożądaný skutek. Yaotl wytrzeszczył oczy, dolna warga zaczęła mu drżeć. Sam wstał.

* Więc co z jedzeniem? Może być chleb? Yaotl skinął głową.

Sam, nakamiwszy Yaotla połową bochenka i napiwszy wodą mineralną, spytał:

* Mam zadzwonić do mojego przyjaciela czy odpowiesz na kilka pytań?

* Odpowiem.

Sam zaczął od podstawowych pytań: imię i nazwisko; nazwiska partnerów, łącznie z Orlim Nosem; zleceniodawca; cel przylotu na Zanzibar; nazwa ich statku*bazy...

Na większość Yaotl odpowiedział tylko częściowo. Twierdził, że teraz jest po prostu cywilnym wykonawcą, a wcześniej służył w GAFE, grupie powietrznodesantowej meksykańskich sił specjalnych. Cztery dni temu zwerbował go człowiek nazwiskiem Itzli Rivera * Orli Nos, również były członek GAFE * do „odnalezienia pewnych ludzi” na Zanzibarze. Nie wyjaśnił, dlaczego Sam i Remi są celami, ani nie powiedział, czy pracuje na własny rachunek, czy dla kogoś.

* Ale kilka razy widziałeś, jak rozmawiał przez telefon, zgadza się? * drążył Sam. * Wyglądało na to, że składał meldunki?

* To możliwe. Podслуchałem tylko fragmenty.

Sam maglował Meksykanina jeszcze dziesięć minut. W końcu Yaotl spytał:

* Co ze mną zrobisz?

* Dowiesz się wkrótce.

* Ale powiedziałaś, że nie... Hej, zaczekaj!

Sam, nie zważając na protesty Yaotla, wyszedł z pokoju i dołączył do Remi na patio. Zrelacjonował jej przesłuchanie.

* Elektryczność i wiertarki?! * wykrzyknęła zdumiona. * To straszne!

* Użycie ich byłoby straszne. Ja tylko dałem mu do myślenia.

* Twierdzi, że miał telefon od Rivery cztery dni temu?

* Tak.

* W pierwszym dniu naszego pobytu na wyspie. Sam skinął głową.

* Owszem, zanim znaleźliśmy dzwon.

* Więc to nami się interesują.

* Może dzwonem też. Podstęp z bloczkiem do notatek najwyraźniej się udał.

* Ale skąd wiedzieli, że tu jesteśmy? * spytała Remi, po czym sama znalazła odpowiedź: * Z wywiadu dla BBC.

* Możliwe * przyznał Sam. * Podsumujmy. Rivera i jego mocodawca dowiadują się, że tu jesteśmy. Obawiają się, że mogliśmy coś znaleźć, więc przylatują to sprawdzić.

* To duża wyspa * powiedziała Remi. * Dlaczego mielibyśmy natknąć się akurat na to, o co się niepokoją? Nawet jeśli to coś jest duże jak nasz dzwon, jest przysłowiową igłą w stogu siana.

* Dziennikarka zapytała nas, gdzie zamierzamy nurkować. Wymieniliśmy wyspę Chumbe. Może to były magiczne słowa.

Remi pokiwała głową.

* Może były * przyznała. * No i jesteśmy znani, czy nam się to podoba, czy nie. Bo kilka razy znaleźliśmy skarby, których nie znalazł nikt inny. Mieliśmy szczęście.

Sam się uśmiechnął.

* Nazywasz to szczęściem? Według mnie to...

* Wiesz, o co mi chodzi.

* Wiem. Połączenie nas, Zanzibaru i wyspy Chumbe zwróciło ich uwagę.

Oboje analizowali ten scenariusz pod różnymi kątami. W końcu Remi przerwała milczenie:

* Nasz gość ma na imię Yaotl, jego szef Itzli, a ten trzeci...

* Nochtli.

* I są Meksykanami?

* Tak powiedział.

* Te imiona nie są hiszpańskie.

* Domyśliłem się.

* Każę Selmie to sprawdzić, ale jestem prawie pewna, że pochodzą z nahuatl.

* Z nahuatl?

* Tak, Sam. Nahuatl był językiem Azteków.

Przez następne dziesięć minut stali w milczeniu i obserwowali, jak para unosi się z prześcieradła

owiniętego wokół dzwonu. Sam spojrzął na zegarek i powiedział:

* Już czas.

Koniuszkami palców odwinął prześcieradło i zaniósł na stertę na skraju patio. Remi klęknęła przy dzwonie.

* Sam, musisz to zobaczyć! * zawołała po chwili. Podeszła do niej i pochylił się nad jej ramieniem.

Kwas azotowy usunął dość patyny, by mogli odczytać

napis wygrawerowany w brązie:

„Ophelia”

* Ophelia * powtórzyła Remi szeptem. * Co to jest Ophelia?

Sam pokręcił głową.

* Nie mam pojęcia.

Rozdział 9

Zanzibar

Czy wy nigdy nie macie normalnych, spokojnych wakacji? * zapytał Rube Haywood przez telefon głośnomówiący.

* Mamy mnóstwo takich * odparła Remi. * Ale dzwoniemy do ciebie tylko w czasie tych nienormalnych.

* Nie wiem, czy mam to uważać za komplement, czy za obrazę * mruknął Rube.

* Za komplement * zapewnił Sam. * Jesteś naszym ekspertem.

* A Selma?

* Naszą ekspertką * odrzekła Remi.

* Okej, więc jeśli dobrze zrozumiałem, znaleźliście jakąś monetę w kształcie rombu, która kiedyś należała do zarządczyni francuskiej osady na jakiejś wyspie w pobliżu Madagaskaru, ale została skradziona przez jakiegoś pirata. Potem znaleźliście dzwon okrętowy z jakiegoś tajemniczego statku. Następnie pojawiła się kanonierka pełna meksykańskich najemników o azteckich imionach, którzy próbowali was zabić. A teraz trzymacie jednego z nich związanego w waszej gościnnej sypialni. Zgadza się?

* Mniej więcej * odrzekła Remi.

* Trzy drobne poprawki * wtrącił Sam. * Wątpimy, żeby moneta z Adelise miała z tym coś wspólnego, a Selma sprawdza trop aztecki. Co do nazwy „Ophelia”, to uważamy, że nie jest oryginalna. Po pierwsze, grawerunek jest bardzo prymitywny, wykonany nieprofesjonalnie. Po drugie, kiedy usunęliśmy więcej brudu, zauważyliśmy trzy litery wygrawerowane pod „Ophelią”: „S” i dwa „H”.

* Czuję się jak w telewizyjnej zgaduj*zgaduli * powiedział Rube. * Ale dobrze, wchodzę w to. Co mogę zrobić, żeby wam pomóc?

* Przede wszystkim zabrać naszego gościa.

* Jak? Jeśli myślisz o „ekstradycji”, to...

* Myślałem raczej, żebyś poruszył jakieś sprężyny w tanzańskim ministerstwie spraw wewnętrznych i spowodował, że policja go zgarnie.

* Pod jakim zarzutem?

* Nie ma paszportu ani pieniędzy, za to miał broń. Rube zastanawiał się chwilę.

* Jak was znam, chcecie się nie tylko go pozbyć, ale zobaczyć, kto się nim zainteresuje.

* Przemknęło nam to przez myśl * przyznał Sam.

* Macie jeszcze tę broń?

* Tak.

* Dobra, wykonam parę telefonów. Co jeszcze?

* Twierdzi, że jego szefem jest niejaki Itzli Rivera, były meksykański wojskowy. Warto dowiedzieć się czegoś więcej o nim i o jachcie, którego używają. Podobno kotwiczony stałe w Bagamoyo. Nazywa się „Njiwa”.

* Przeliteruj.

Remi przeliterowała nazwę i wyjaśniła:

* Gołąb w języku suahili.
* Dzięki, Remi. Zawsze byłem ciekaw, jakie słowo w suahili oznacza gołębia.
* Ktoś tu jest uszczypliwy.
* Co zamierzacie zrobić z dzwonem?
* Zostawić tutaj * odrzekł Sam. * Selma wynajęła tę willę anonimowo i przesłała gotówkę przez Western Union. Nie znajdują go.
* Z góry znam odpowiedź, ale czuję się w obowiązku zapytać: czy jest jakaś szansa, żebyście po prostu wzięli ten dzwon i wrócili do domu?
* Może właśnie tak zrobimy * odparł Sam. * Ale chcemy jeszcze trochę powęszyć i zobaczyć, dokąd nas to zaprowadzi. Jeśli nic z tego nie wyniknie, wrócimy.
* Bądźcie ostrożni * powiedział Rube. * Zadzwoń, jak będę miał jakieś informacje * obiecał i się rozłączył.

Sam zwrócił się do Remi:

* Musimy mu podarować coś wyjątkowego na Gwiazdkę.

* Chyba wiem, co by chciał.

* Co?

* Nowy, zastrzeżony numer telefonu.

Popłynęli na południe do miasteczka Uroa, znaleźli sklep żelazny, gdzie zaopatrzyli się w potrzebne im rzeczy, i jeszcze przed południem wrócili do willi. Remi zostawiła Sama z młotkiem, gwoździami i deskami i poszła zajrzeć do Yaotla. Smacznie spał. Znalazła parę puszek zupy z małżów, podgrzała je i wyniosła miski na patio. Sam przybijał dwie ostatnie deski.

* I co myślisz? * zagadnął.

* Jak na drewniane pudło, jest naprawdę piękne.

* To skrzynia.

* Pudło, skrzynia, co za różnica? Siadaj i jedz.

Niecały kilometr przed końcem Chukwani Point Road Itzli Rivera skręcił wypożyczonym range roverem na pobocze i wjechał do rowu, a potem między drzewa po drugiej stronie. Teren był nierówny i gęsto zarośnięty krzakami, ale samochód z napędem na cztery koła radził sobie bez problemu.

* Która godzina? * zapytał Rivera Nochtiego.

* Parę minut po pierwszej.

Godzina do przyjazdu zamówionej przez Fargów ciężarówki z Mnazi Freight & Haul. Mnóstwo czasu na znalezienie dobrego punktu obserwacyjnego z łatwym dojazdem do miejsca, gdzie będzie można odciąć im drogę ucieczki.

* Widzę polanę * powiedział Nochtli z lometką uniesioną do oczu. * Tam coś jest.

* Co?

* Sam zobacz.

Podał lometkę Itzliemu, który skierował ją na polanę. Pośrodku gruntowej drogi stała drewniana skrzynia z przymocowaną do boku tekturową tabliczką.

* Tam jest coś napisane * zauważył Itzli i zrobił zbliżenie. * ¿Que madres...? * mruknął.

* Co to za napis? * spytał Nochtli.

* „Wesołych Świąt”.

Itzli wjechał na polanę, zatrzymał rovera i podszedł do skrzyni. Szturchnął ją czubkiem buta. Była pusta. Oderwał tekturową tabliczkę i odwrócił. Na drugiej stronie widniała wiadomość napisana drukowanymi literami:

„Spotkajmy się i porozmawiajmy o dzwoneczkach. Park z boiskiem do krykieta przy Nyerere Road. Ławka w południowo-zachodnim rogu. Godzina 16.00”.

Rozdział 10

Zanzibar

Sam zobaczył, jak Itzli Rivera idzie między drzewami rosnącymi wzdłuż parkingu po północnej stronie parku.

Drugi mężczyzna szedł przez parking na wschód, ale Sam nie mógł dojrzeć jego twarzy. To musi być Nochtli, pomyślał.

Na boisku do krykieta trwał mecz nastolatków. Ich śmiechy i okrzyki rozbrzmiewały w całym parku. Rivera nadszedł od zachodniej strony i zatrzymał się przy ławce, na której siedział Sam.

* Przyszedł pan sam * powiedział.

Widząc Riverę z bliska, Sam zdał sobie sprawę, że to człowiek, który może budzić lęk. I nie z powodu potężnej budowy, sugerującej ponadprzeciętną siłę, ale ze względu na kompletnie beznamiętny wyraz jego czarnych oczu. Sam podejrzewał, że ich wyraz pozostaje identyczny niezależnie od tego, czy Rivera je kanapkę, czy morduje człowieka.

* Niech pan siada * odrzekł przyjaźnie mimo strachu. Czuł się, jakby karmił z ręki drapieżnego rekina. Rivera skorzystał z zaproszenia.

* To pan zaproponował spotkanie.

Sam się nie odzywał. Obserwował mecz krykieta. Po minucie Rivera przerwał milczenie.

* Numer ze skrzynią był naprawdę zabawny.

* Ale coś mi mówi, że pan się nie śmiał.

* Nie. Gdzie jest pańska żona, panie Fargo?

* Musi coś załatwić. Może pan zasygnalizować swojemu przyjacielowi, żeby przestał okrażać teren. Nie znajdzie jej.

Rivera zastanowił się, po czym unióś rękę z oparcia ławki i zacisnął dłoń w pięść. Po drugiej stronie parku Nochtli przystanął.

* Porozmawiajmy o naszym problemie * powiedział Sam.

* A jaki to problem pańskim zdaniem?

* Uważa pan, że mamy coś, co pan chciałby mieć.

* A co właściwie macie? Sam wstał.

* Lubię przepychanki słowne, ale dziś jakoś nie mam na nie ochoty.

* Rozumiem, proszę usiąść * rzekł Rivera, a gdy Sam to zrobił, wyjaśnił: * Ludzie, dla których pracuję, szukają wraku pewnego statku. Sądzimy, że jest gdzieś w tym rejonie.

* Jakiego statku?

* „Ophelii”.

* Niech pan mi o nim opowie.

* To był parowo*żaglowy statek pasażerski. Prawdopodobnie zatonął na tych wodach w latach siedemdziesiątych dziewiętnastego wieku.

* To wszystko, co pan o nim wie?

* Mniej więcej.

* Jak długo go szukacie?

* Siedem lat.

* Czynnie?

* Tak.

* Na Zanzibarze i wokół niego?

* Oczywiście.

* Przypuszczam, że ma pan doświadczenie w ratownictwie morskim, bo inaczej nie zatrudniliby pana.

* Mam.

* Ci ludzie, dla których pan pracuje... co konkretnie ich interesuje?

* Nie mogę tego ujawnić.

* Coś, co ma wartość materialną? * spytał Sam. * Coś, co było w ładowni „Ophelii”, kiedy zatонуła?

* Być może.

* I sądzi pan, że my to znaleźliśmy?

* Moi pracodawcy chcieliby to sprawdzić.

Sam pokiwał głową. Od kilku minut próbował wyciągnąć z Rivery jakąś informację, którą on i Remi mogliby wykorzystać podczas własnych badań.

* To, czego pan szuka, musi być bardzo cenne * powiedział. * Przekupił pan kapitana tanzańskiej kanonierki, żeby najpierw nas zastraszył, a potem inwigilował, a kiedy zapadła noc, zakradł się pan ze swoimi ludźmi do laguny i weszliście na pokład naszej łodzi z wyciągniętymi nożami.

Te słowa wyraźnie zaskoczyły Riverę.

* Przyglądaliśmy się temu * wyjaśnił Sam.

* Skąd?

* Czy to ważne?

* Nie, właściwie nie. Proszę przyjąć moje przeprosiny. Moi przyjaciele to byli żołnierze. Niektórych nawyków trudno się wyzbyć. Już im udzieliłem ostrej nagany.

* Wszystkim trzem?

* Tak.

Sam nie dał się nabrać na mea culpa Rivery, ale odrzekł:

* W porządku. Co pan planował? Wykraść to, co pańskim zdaniem znaleźliśmy?

* Wtedy nie wiedzieliśmy, co znaleźliście. Sam milczał dziesięć sekund, po czym spytał:

* Czy uważa nas pan za idiotów, czy ma pan problem z pamięcią krótkoterminową?

* Słucham?

* Siedzi pan tu z powodu wiadomości, którą zostawiłem na skrzyni. A skrzynię znalazł pan dzięki notatkom przy rysunku dzwonu, który zostawiliśmy na naszej łodzi. Uważa pan, że znaleźliśmy dzwon okrętowy. Dlaczego nie powie pan tego wprost?

* Uznajmy, że to powiedziałem.

* Mogę więc pana zapewnić, że dzwon, który znaleźliśmy, nie pochodzi z „Ophelii”.

* Proszę wybaczyć, ale nie uwierzę panu na słowo.

* Trudno.

* Chciałbym obejrzeć ten dzwon.

* Dzwon, dla którego pan i pańscy ludzie zabiliby nas, gdybyśmy byli na pokładzie naszej łodzi?

Przykro mi, ale muszę odmówić.

* Zostałem upoważniony do zaproponowania wam znaleźnego, jeśli dzwon okaże się tym, którego szukamy.

* Nie potrzebujemy pieniędzy.

* Proszę mnie zabrać do dzwonu i pokazać mi go, a mój pracodawca przekaże pięćdziesiąt tysięcy dolarów na wybrany przez was cel dobroczynny.

* Nie.

Rivera z trudem panował nad irytacją.

* Denerwuje mnie pan, panie Fargo * warknął.

* Są na to pigułki.

* Wolę inne sposoby. * Rivera uniósł połę koszuli i odsłonił rękojeść pistoletu Heckler & Koch P30, takiego samego, jaki zabrali Yaotłowi. * Idziemy * rozkazał. * I proszę nie robić scen, bo pana zastrzelę. Znikniemy, zanim ktokolwiek zdąży wezwać policję.

* Policję? * powtórzył Sam. * Z posterunku po drugiej stronie ulicy?

Rivera zerknął nad jego ramieniem. Zacisnął usta, mięśnie szczęki zaczęły mu pulsować.

* Powinien pan odrobić pracę domową * ciągnął Sam. * Wiem, że to dawny budynek szkolny, ale przecież należało to sprawdzić.

* ¡Cabrón!

Sam słabo znał hiszpański slang, ale podejrzewał, że Rivera właśnie zakwestionował jego pochodzenie.

* Jeśli pan się dobrze przyjrzy, zobaczy pan kobietę i mężczyznę siedzących na ławce przy schodach komendy.

* Widzę ich.

Sam wyjął komórkę, wcisnął szybkie wybieranie numeru, odczekał dwa dzwonki i się rozłączył. Chwilę później Remi odwróciła się twarzą do boiska i pomachała.

* Mężczyzna, z którym rozmawia moja żona, to nadinspektor tanzańskiej policji z Dar es*Salaam * wyjaśnił Sam.

* Policjanta można przekupić * odparł Rivera.

* Nie tego policjanta. Tak się składa, że jest bliskim przyjacielem attache prawnego FBI w ambasadzie amerykańskiej.

* Pan blefu je.

* Być może. Ale może właśnie w tej chwili moja żona mówi nadinspektorowi o mężczyźnie imieniem Yaotl, który dzisiejszej nocy próbował się włamać do naszego domu. Był uzbrojony w taki sam pistolet jak pański i nie miał paszportu.

Rivera zmarszczył brwi.

* Ten wypadek... ponton... To nie był Yaotl?

* Nie * potwierdził Sam.

* Jak pan to zrobił?

* Chodziłem na zajęcia kółka teatralnego w college'u.

* Nieważne. On nie będzie mówił. A jeśli nawet, to i tak nic nie wie.

* Z wyjątkiem tego, jak pan się nazywa i wygląda.

* Nazwisko i wygląd można zmienić. Proszę mi oddać dzwon i mojego człowieka, a będzie pan miał spokój.

* Przemyślę propozycję i zadzwonię do pana jutro pod koniec dnia. Jeżeli wcześniej sprawi pan nam jakiś kłopot, zawiadomię naszego przyjaciela nadinspektora. Domyślam się, że nie zdradzi mi pan, gdzie mieszka?

Rivera uśmiechnął się ponuro i pokręcił głową.

* Nie * odparł i podał numer telefonu. * Spodziewam się usłyszeć dobrą wiadomość.

Sam wstał.

* Może się pan spodziewać, czego pan chce * powiedział, odwrócił się i odszedł.

Gdy dotarł do komendy policji, Remi właśnie skończyła rozmowę z nadinspektorem. Mężczyzna skinął Samowi głową, uśmiechnął się i odszedł.

* Huru to przemylił człowiek * stwierdziła Remi. * Prosił, żebyśmy pozdrowili od niego Rube'a.

Sam usiadł obok żony.

* Co mu powiedziałaś? * zapytał.

* Że ktoś próbował się włamać do naszego domu dzisiejszej nocy. Mamy do niego zadzwonić, gdybyśmy mieli jeszcze jakieś kłopoty. A jak tobie poszła pogawędka z tym kościotrupem?

* Tak jak można się było spodziewać. Twierdzi, że pracuje dla jakichś nadzianych ludzi, którzy szukają „Ophelii” od lat. Problem w tym, że prawie nic o niej nie wie, a przynajmniej tak twierdził.

* Kłamał * oceniła Remi. * Chciał cię wykiwać.

Każdy, kto poświęca choć trochę czasu na poszukiwania wraków statków, dobrze zna ich historię. Udawana ignorancja Rivery świadczyła, że „Ophelia” jest bardzo ważna dla jego pracodawców.

* Wspomniał o ukrytym grawerunku?

* Nie. A przecież doświadczony poszukiwacz wiedziałby o nim. Pewnie miał nadzieję, że to przeoczymy.

* Zorientowałeś się, czego szukają?

* Tak, czegoś, co było w ładowni „Ophelii”. Zaproponował nam nawet znaleźne.

* Jak to miło z jego strony. Więc na czym stoimy?

* Rivera twierdzi, że ma doświadczenie w ratownictwie morskim, co może być prawdą lub nie... i że jego szefowie czynnie poszukują „Ophelii”.

Czynne poszukiwanie skarbów to organizowanie ekspedycji, podczas których używa się magnetometru i zwykle tapla w błocie i mule. Sucha, ale nie mniej żmudna praca polega na przesłuchiowaniu krewnych, robieniu rozpoznania w terenie i siedzeniu w pełnych kurzu bibliotekach w celu znalezieniu wskazówek co do ewentualnej lokalizacji celu.

* Jeśli Rivera zajmuje się tym od tak dawna * powiedziała Remi * to muszą być jakieś archiwa, artykuły prasowe, pozwolenia...

* Też tak sędzę. Jeśli je znajdziemy, może zorientujemy się, czego Rivera i jego ludzie naprawdę szukają.

Siedzieli na ławeczce przed komendą i patrzyli, jak Rivera i jego partner idą przez park. Gdy dotarli do parkingu przy boisku krykietowym, Sam i Remi pomachali im na pożegnanie.

Potem Fargowie poszli na targ, gdzie kupili jedzenie i inne niezbędne rzeczy. Przemierzając labirynt uliczek, wypatrywali, czy ktoś ich nie śledzi, ale nie zauważyli nikogo podejrzanego.

Przeszli trzy przecznice na północ do wypożyczalni samochodów, czekała na nich zarezerwowana toyota land cruiser rocznik 2007. Czterdzieści minut później dotarli do swojej willi przy plaży w Uroa.

Telefon Sama zadzwieczał, gdy byli na podjeździe. Remi wzięła od męża torbę z zakupami i poszła, do willi, a on sprawdził, kto dzwoni. Rube.

* Cześć, Rube.

* Sie masz. Jak poszło spotkanie?

* Dobrze. Huru prosił, żeby cię pozdrowić.

* Porządny chłop, ten Huru * rzucił Rube. * Przekazaliście mu waszego gościa?

* Jeszcze nie * odparł Sam i zrelacjonował swoją rozmowę z Riverą. * Już dzwonił do Selmy.

Przegląda bazy danych o wrakach w tym rejonie. Jutro wybieramy się na uniwersytet, żeby trochę poszperać.

* Wiem, że się powtarzam, ale bądźcie bardzo ostrożni. Znalazłem to i owo o Itzlim Riverze. Że służył w wojsku, już wiecie, ale był też w sekcji wywiadu ministerstwa obrony. Odszedł jakieś osiem lat temu i zaczął pracować prywatnie. Według szefa naszej placówki w stolicy Meksyku, Policia Federal aresztowała Riverę sześć razy, ale nigdy nie postawiono go w stan oskarżenia.

* Pod jakimi zarzutami?

* Włamania, przekupstwa, szantażu, zabójstwa, porwania.. . Wszystko w związku z polityką na szczeblu ogólnokrajowym.

* Więc to facet od brudnej roboty.

* Wyszkolony w wojsku. Warto o tym pamiętać. Nikt nie potrafi ustalić, dla kogo pracuje.

* Jak uniknął oskarżenia?

* Zwyczajnie: świadkowie odwoływali zeznania albo stawali się nieosiągalni, bo przenosili się niespodziewanie na tamten świat.

Sam zachichotał.

* Rozumiem, Rube.

* Reszta to normalka: zaginięcia dowodów, szczegóły formalne i tak dalej.

* Wygląda na to, że za Riverą stoi jakaś gruba ryba.

* Gruba ryba z obsesją na punkcie artefaktów z wraków statków. Co zrobicie z dzwonem?

* Jeszcze nie wiemy. Szczerze mówiąc, wątpię, żeby interesował ich sam dzwon. Niepokoi ich raczej to, gdzie go znaleźliśmy. No i to, że nie zamierzamy odpuścić.

* Może nie chodzi o to, czego szukają * spekulował Rube * tylko o to, żeby ktoś inny tego nie znalazł.

* Ciekawa uwaga * odparł Sam.

* Ta sprawa z datkiem na cel dobroczynny... * ciągnął Rube. * Najwyraźniej chciał mieć ciebie, Remi i dzwon w jednym miejscu. Bo inaczej wystarczyłoby mu przesłane mailem zdjęcie dzwonu. No i gdyby chcieli tylko znaleźć „Ophelię”, nie mogliby po prostu was zatrudnić. Wszyscy wiedzą, jak działają Fargowie: duży procent wartości znalezionej skarbu przeznaczacie na cele dobroczynne, sami nic z tego nie macie. Moim zdaniem chodzi o ukrycie czegoś, nie o znalezienie.

Rozdział 11

Uniwersytet Dar es*Salaam

Główny kampus uniwersytetu leżał na wzgórzu na północny zachód od centrum miasta. Sam i Remi uprzedzili dyrektorkę biblioteki o swojej wizycie i teraz Amidah Kilembe, piękna czarnoskóra kobieta w zielonym spodniem, czekała na nich na schodach.

* Dzień dobry państwu. Witam w naszej placówce. Po wymianie uprzejmości pani Kilembe zaprosiła ich

do środka i oprowadziła po budynku. Zwiedzanie zakończyli w czytelni na drugim piętrze. Wystrój był mieszanką stylu kolonialnego Starego Świata i tradycyjnego afrykańskiego: wypolerowane na wysoki połysk ciemne meble i boazeria kontrastowały z różnobarwnymi tanzańskimi ozdobami. Poza nielicznym personelem biblioteki w budynku nikogo nie było.

* Są wakacje * wyjaśniła dyrektorka.

* Przepraszamy * rzekł Sam. * Nie chcieliśmy...

* Nie ma problemu. Personel normalnie pracuje. Wybraliście doskonały dzień na wizytę. Będę państwu asystowała osobiście.

* Nie chcemy sprawiać kłopotu * powiedziała Remi. * Na pewno ma pani inne...

Amidah Kilembe uśmiechnęła się szeroko.

* Jestem do dyspozycji. Czytałam o kilku państwa wyczynach i zrobiły na mnie wrażenie. Oczywiście zachowam dla siebie to, o czym będziemy rozmawiać. * Położyła palec na ustach i mrugnęła porozumiewawczo. * Proszę za mną, przygotowałam dla państwa cichy pokój.

Poszli za nią do oszklonego pomieszczenia, gdzie pośrodku stały długi stół z drewna orzechowego i dwa wyściełane krzesła, a na stole dwa komputery Apple iMac z dwudziestocalowymi monitorami.

Widząc ich zaskoczone miny, pani Kilembe wyjaśniła z uśmiechem:

* Trzy lata temu nasz kampus odwiedził pan Steve Jobs. Zobaczył, że mamy bardzo mało komputerów i wszystkie są stare, więc wspomniał mi, że podarował nam nowe. Teraz mamy czterdzieści tych cudownych urządzeń. I szerokopasmowy Internet! Mogą państwo zaczynać, a ja przyniosę kawę. Utworzyłam państwu loginy do katalogów dla gości. Większość naszych materiałów została zdigitalizowana wstecz do lat siedemdziesiątych dwudziestego wieku. Pozostałe są w naszych archiwach w podziemiach. Powiedzcie mi, czego potrzebujecie, a przyniosę to. Udanych łowów!

Pani Kilembe wyszła i zamknęła za sobą drzwi.

* Od czego zacząć? * zastanawiał się Sam.

* Skontaktujmy się z Selmą * zaproponowała Remi. Sam kliknął dwa razy na ikonie iChat i wpisał adres

Selmy. Kamera iSight w komputerze rozświetliła się na zielono i po dziesięciu sekundach twarz ich asystentki pojawiła się na ekranie.

* Gdzie państwo są? * zapytała Selma.

* Na Uniwersytecie Dar es*Salaam.

Za plecami Selmy Pete i Wendy siedzieli przy stole do pracy. Pomachali Fargom.

* Przygotowujemy się do poszukiwań * powiedziała Remi. * Masz coś dla nas?

* Właśnie kończymy zbieranie informacji.

Pete podszedł do stanowiska komputerowego, stuknął kilka razy w klawiaturę i zawołał:

* Idzie do ciebie, Selma!

Sam i Remi obserwowali, jak Selma czyta dokument na ekranie.

* Niewiele tego * oznajmiła w końcu. * Przejrzeliśmy główne bazy danych o wrakach i rozszerzyliśmy obszar poszukiwań o pięćdziesiąt mil morskich we wszystkich kierunkach od Zanzibaru, ale znaleźliśmy zaledwie osiemnaście statków. Czternaście jest zidentyfikowanych i tylko jeden z nich spoczął na dnie w tym samym przedziale czasu, co przypuszczalnie „Ophelia”.

* Mów dalej.

* To „Glasgow”. Uzbrojony w tysiąc osiemset siedemdziesiątym siódmym, po tym jak sułtan Zanzibaru stracił swoją „flotę” podczas sztormu w tysiąc osiemset siedemdziesiątym drugim. Został dostarczony latem siedemdziesiątego ósmego, ale nie spodobał się sułtanowi, więc stał na kotwicy u wybrzeży aż do wojny angielsko*zanzibarskiej w tysiąc osiemset dziewięćdziesiątym szóstym, kiedy to Brytyjczycy zatopili go ogniem z dział okrętowych. W tysiąc dziewięćset dwunastym wrak rozmontowała firma ratownictwa morskiego i większość jego części wrzuciła do morza. W latach siedemdziesiątych na miejscu znaleziono blok silnika, wał śruby, trochę naczyń stołowych i kilka dziewięćfuntowych pocisków.

* Gdzie jest to miejsce?

* Około dwustu metrów od plaży w Stone Town. Mieli je państwo w polu widzenia z tamtej restauracji, w której jedliście ostatnio kolację.

* Czyli jakieś piętnaście mil morskich w linii prostej od miejsca, gdzie znaleźliśmy dzwon z „Ophelii” * rzekł Sam i polecił: * Skreśl „Glasgow”. Co jeszcze?

* Cztery wraki pozostają niezidentyfikowane. Jeden spoczywa w rzece Pangani pięćdziesiąt sześć kilometrów na północ, dwa następne w zatoce Tanga osiemdziesiąt kilometrów na północ, a ostatni jest w zatoce Msasani w pobliżu Dar es*Salaam przy brzegu wyspy Bongoyo. O ile się orientuję, żaden nie leży głębiej niż dziesięć metrów pod powierzchnią.

* Dziesięć metrów pod powierzchnią przejrzystej wody * dodał Sam. * Okej, sprawdzimy w okolicznych sklepach nurkowych. Ktoś mógł je zidentyfikować, ale się tym nie pochwalił. Teraz to pewnie tylko

atrakcja dla nurków.

* Przykro mi, że nic nie działałam * powiedziała Selma.

* Wręcz przeciwnie * odparła Remi. * Dokonałaś eliminacji, a to bardzo ważne.

* Jeszcze dwie sprawy. Miała pani rację, że tamte imiona są w azteckim języku nahuatl. W Meksyku od kilku lat jest taka moda...

* Lansowana przez partię Mexica Tenochca * dokończyła Remi. Na widok zdezorientowanej miny Sama wyjaśniła: * Obecny prezydent to ultranacjonalista z obsesją na punkcie okresu sprzed konkwisty. Azteckie imiona, lekcje historii w szkołach, święta, sztuka...

* Rivera i jego kumple są fanatykami * stwierdził sucho. * Tylko tego nam potrzeba. Co jeszcze, Selmo?

* Obejrzałam dokładnie zdjęcia dzwonu, które państwo mi przysłali. Przypuszczam, że zauważyliście brak serca?

* Owszem * potwierdził Sam. Rozłączył się i zwrócił do Remi: * Gazety?

Skinęła głową.

* Niech będą gazety.

Fargowie byli zwolennikami teorii piramidy badawczej: zaczynasz od szczytu piramidy * szczegółu, i posuwasz się w dół do podstawy * ogółu. Najpierw wypróbowali słowa: „Ophelia”, „wrak” i „odnaleziony”. Nie zdziwili się, gdy zobaczyli te same artykuły, co Selma. Następnie wpisali do komputera: „słynne”, „wraki statków” i „Zanzibar”. Otrzymali spodziewane wyniki, czyli bezwartościowe dla nich artykuły o „Glasgow” i „El Majidi”, innym statku sułtana Zanzibaru, który zatonął podczas huraganu w 1872 roku, oraz o HMS „Pegasus”, zatopionym w 1914 roku przez niemiecki krążownik „Kónigsberg”.

Pani Kilembe wróciła z dzbankiem kawy i dwoma kubkami, zapytała, czy czegoś potrzebują, i znów zniknęła.

* Zapomnieliśmy o wyspie Chumbe * powiedziała Remi. * Założyliśmy, że to wywiad dla BBC sprowadził tu Riverę...

* Słusznie.

Sam dodał do poprzednich terminów wyspę Chumbe, ale miał zero trafień. Spróbował jeszcze raz ze słowami: „nurkowanie”, „artefakt” i „odkrycie”. Zaczął przewijać artykuły. Przy jednym się zatrzymał.

* Hm * mruknął.

* Co?

* Pewnie nic, ale to ciekawe. Dwa miesiące temu pewna Brytyjka nazwiskiem Sylvie Radford została napadnięta i zamordowana w Stone Town. Policja ustaliła, że chodziło o napad rabunkowy. Posłuchaj tego: „Według rodziców pani Radford, spędzała ona cudowne wakacje, nurkując u wybrzeży Chumbe, i znalazła kilka artefaktów, wśród nich coś, co jej zdaniem mogło być fragmentem miecza w rzymskim stylu”.

* „Miecza w rzymskim stylu” * powtórzyła Remi. * Interesujące. To jej słowa czy dziennikarza, jak sądzisz?

* Nie mam pojęcia. Ale większość laików powiedziałaby po prostu „miecza”.

Remi przysunęła się bliżej do ekranu i zapisała nazwisko reporterki.

* To może być w jej notatkach.

Sam znów zaczął stukać w klawisze. Wprowadził do komputera hasła: „południowy”, „Zanzibar”, „nurkowanie”, „śmierć” i przedział czasowy od dnia dzisiejszego do dziesięciu lat wstecz. Na ekranie pojawiły się dziesiątki artykułów.

* Podzielmy je * zaproponowała Remi i wpisała terminy do swojego komputera. * Zaczynamy od najstarszych?

Sam przytaknął.

W okresie od dziesięciu do ośmiu lat wstecz znaleźli cztery przypadki śmierci, ale we wszystkich zeznania

!|b

naocznych świadków potwierdziły wersję o wypadku: atak rekina, błąd podczas nurkowania i dwukrotnie jazda samochodem po pijanemu.

* Mam coś * powiedziała Remi. * Siedem lat temu. Dwóch turystów spędzających wakacje na

nurkowaniu.

* Gdzie dokładnie?

* Nie wiadomo. Napisano tylko, że na południowo*zachodnim wybrzeżu Zanzibaru. Jeden został potrącony przez kierowcę, który uciekł z miejsca wypadku. Drugi spadł z jakichś schodów w Stone Town. Obaj byli trzeźwi, w obu przypadkach brak świadków.

* Sześć lat temu dwa zgony * oznajmił Sam, czytając z ekranu. * Jedno samobójstwo, jedno utonięcie. Znow brak świadków.

Tak samo było przez ostatnie pięć lat: nurkujący turyści, z których większość spędzała czas w pobliżu wyspy Chumbe, tracili życie w dziwnych wypadkach lub bandyckich napadach.

* Naliczyłam pięć * rzekła Remi.

* A ja cztery. Milczeli chwilę.

* To musi być zbieg okoliczności, prawda? * spytała Remi. Sam tylko patrzył na ekran, więc dodała: * Bo co innego? Rivera i jego pracodawcy mordują nurków, którzy interesują się wyspą Chumbe?

* Nie, to niemożliwe. Byłoby ich setki... tysiące. Może ci ludzie ujawniali swoje odkrycia. Albo zanosili znalezione rzeczy do miejscowych sklepów, żeby je zidentyfikowano. Jeśli mamy rację, to tych ludzi musiało łączyć jeszcze coś.

* Pochwalili się komuś tym, co znaleźli * podsunęła Remi.

* I ten artefakt miał związek z „Ophelią”. Albo ze statkiem z zatartą nazwą.

* Tak czy owak, gdyby zatonął przy Chumbe, morze wyrzuciłoby artefakty na plażę. Podczas każdej pory monsunowej na dnie leżałyby szczątki i czekały, aż zjawi się ktoś z raketką pingpongową.

* To prawda * przyznał Sam. * Ale mnóstwo ludzi coś znajduje i nie mówi o tym. Wracają do domu i stawiają to na gzymsie kominka jako pamiątkę. Tak robi większość nurków, którzy amatorsko szukają skarbów. Znajdują coś i jeśli to coś nie nosi wyraźnych cech „skarbu”, nie zadają sobie trudu, żeby to zidentyfikować, ale traktują jako pamiątkę.

* Robimy duży skok myślowy, Sam.

* Właśnie coś sobie przypomniałem. Rivera powiedział, że szuka „Ophelii” od siedmiu lat.

* Mniej więcej wtedy zaczęły się tajemnicze zgony.

* Dokładnie. Muszę zadzwonić do Rube'a. Trzeba sprawdzić, czy tanzański urząd imigracyjny i celny są dobre w przechowywaniu danych.

Gdy Sam wyjaśnił swoją prośbę Rube'owi Haywoodowi, ten zapytał z niedowierzaniem:

* Więc podejrzewacie, że Rivera był na Zanzibarze w czasie każdego z tych zgonów?

* Warto sprawdzić. Nawet jeśli z jego dokumentów to nie wynika, mógł podróżować pod fałszywym nazwiskiem.

* Zajmę się tym. Ale nie spodziewaj się zbyt wiele. Sam podziękował i się rozłączył.

Kilka minut później dyrektorka biblioteki zapukała do drzwi i zajrzała do pokoju.

* Potrzebują państwo czegoś?

Podziękowali i odpowiedzieli, że nie. Już miała odejść, kiedy Sam spytał:

* Od dawna pani tu pracuje?

* Od trzydziestu lat.

* A jak długo pani tu mieszka?

* Całe życie. Urodziłam się w Fumbie na Zanzibarze.

* Szukamy czegokolwiek o statku „Ophelia”. Kojarzy pani tę nazwę?

Pani Kilembe zmarszczyła czoło. Po dziesięciosekundowym namyśle odrzekła:

* Czy już państwo byli w Muzeum Blaylocka?

* Gdzie?

* W Muzeum Blaylocka w Bagamoyo. Jest tam wykonany węglem szkic statku, o ile dobrze pamiętam, o nazwie „Ophelia”.

Rozdział 12

Bagamoyo

Z dwóch miast mających dogodne połączenia z Zanzibarem * Dar es*Salaam i Bagamoyo * Fargowie

woleli to drugie. Trzydziestotysięczne Bagamoyo to centrum tradycyjnej i kolonialnej historii Afryki, wolne od wielkowiejskiego zgiełku i zamętu dwuipółmilionowego Dar es Salaam.

Założone pod koniec osiemnastego wieku przez omańskich koczowników, było swego czasu siedzibą arabskich i indyjskich handlarzy kością słoniową i solą, chrześcijańskich misjonarzy, handlarzy niewolnikami, władz kolonialnych Niemieckiej Afryki Wschodniej, łowców grubej zwierzyny oraz badaczy wybierających się do regionu Morogoro, nad jezioro Tanganika i w góry Usambara.

* Znalazłam coś, o czym nie wiedzieliśmy * powiedziała Remi, wskazując przewodnik, który czytała, kiedy Sam prowadził samochód. * David Livingstone podczas swojego pobytu w Afryce ani razu nie odwiedził Bagamoyo. Przywieziono go tu dopiero po śmierci i złożono w starej wieży kościelnej, nazywanej teraz Wieżą Livingstone'a, w oczekiwaniu na przyływ, żeby móc przetransportować ciało statkiem na Zanzibar.

* Ciekawe * odrzekł Sam. * Zawsze myślałem, że Bagamoyo było jego punktem etapowym. Okej, jesteśmy na przedmieściach. Pani Kilembe napisała, jak dojechać do muzeum.

Remi oderwała od okładki przewodnika karteczkę samoprzylepną i przeczytała:

* „Dwie przecznice od starego niemieckiego fortu nazywanego boma”.

* Od którego? Zdaje się, że w przewodniku są wymienione dwa.

Remi odwróciła karteczkę.

* To wszystko, co napisała. Chyba będziemy musieli sprawdzić oba.

Pierwszy znaleźli kilkaset metrów na północ od trzech największych atrakcji turystycznych Bagamoyo: farmy krokodyli, ruin miasteczka Kaole i pięćsetletniego baobabu. Zaparkowali na drodze gruntowej przed rozpadającym się pobielonym frontem budynku i wysiedli. Obok przechodził nastoletni chłopak prowadzący osła. Uśmiechnął się szeroko i zagadnął:

* Jambo. Habari gani? Cześć. Jak się macie? Sam odpowiedział łamanym suahili:

* Nzuri. Unasema kiingereza?

* Tak, znam trochę angielski.

* Szukamy Muzeum Blaylocka.

* A tak, Domu Szalonego Człowieka.

* Nie, przykro mi, Muzeum Blaylocka.

* To to samo. Inny boma. Jeden kilometr do góry. Krzyż Livingstone'a, tak?

* Tak. Asante sana * odrzekł Sam.

* Proszę bardzo, do widzenia.

Chłopiec mlasnął językiem i poszedł dalej ze swoim osłem.

* Twój suahili jest coraz lepszy * zauważyła Remi.

* Tylko mnie nie proś, żebym zamawiał jedzenie. Nie spodobałoby ci się to, co byśmy dostali.

* O co mu chodziło z tym Domem Szalonego Człowieka?

* Pewnie wkrótce się dowiemy.

Drugi boma znaleźli bez trudu. Jechali wzdłuż pobielonych murów obronnych, aż dotarli do parkingu z pokruszonych muszli. Tu było więcej miejscowych, którzy sprzedawali jedzenie oraz różne inne towary przed sklepami i z zadaszonych wózków. Fargowie wysiedli i ruszyli przed siebie, wypatrując szyldu „Blaylock” lub „Szalony Człowiek”. Po dwudziestu minutach poszukiwań zatrzymali się przy wózku ulicznego sprzedawcy, kupili dwie butelki lodowatej coli i zapytali o drogę.

* Tak, Dom Szalonego Człowieka ~* mężczyzna wskazał na zachód wzdłuż wąskiej uliczki z ziemną nawierzchnią * dwieście metrów tam, znaleźć mur, potem gęste drzewa. Skręcić w prawo, znaleźć ścieżka, znaleźć miejsce.

* Asante sana * odrzekł Sam.

* Starehe.

Znalazłszy sięgający pasa ceglany mur przed kępą akacji i rosnącej dziko lawendy, skręcili w prawo i po przebyciu kilku metrów dotarli do otworu. Po drugiej stronie była kręta ścieżka prowadząca między drzewami do białego sztachetowego płotu, za którym stał długi, wąski budynek szkolny z jasnożółtymi ścianami i ciężkimi granatowymi okiennicami. Nad schodami ganku wisiła biała tabliczka z czarnym odręcznym napisem: „Muzeum Blaylocka i sklep z osobliwościami”. Cztery ostatnie słowa dopisała inna ręka, jakby po namyśle.

Gdy weszli, zadźwięczał dzwonek nad drzwiami. Ręcznie heblowane słupy biegły przez środek pomieszczenia i podierały krokwie, z których zwisały tuziny kiepsko wypchanych afrykańskich ptaków w pozach mających zapewne wyobrażać lot. Na krokwiach nad swoimi martwymi kuzynami siedziało kilka żywych gołębi. Ich gruchanie wypełniało pomieszczenie.

Pod ścianami ustawiono wiklinowe regały, każdy o innej wysokości, szerokości i odcieniu. Wzdłuż osi symetrii budynku stało osiem rozchwilanych stolików do kart przykrytych wytartymi obrusami. Blaty i półki zajmowały setki bibelotów: wyrzeźbione z drewna i kości słoniowej statuetki żyraf, lwów, zebra, małych półpustynnych antylop dikdik, węży i ludzi; kolekcje noży, od standardowych szczyrzyków po kościane sztylety; ręcznie malowane fetysze pokryte piórami i kawałkami kory; mapy nakreślone na zwierzęcej skórze; naszkicowane węglem portrety i pejzaże; kompas; bukłaki na wodę zrobione ze zwierzęcych żołądków; kilka modeli rewolwerów Webley i amunicja różnego kalibru.

* Zapraszam do Muzeum Blaylocka i sklepu z osobliwościami! * zawołał ktoś zadziwiająco dobrym angielskim.

Na samym końcu pomieszczenia stał jeszcze jeden stolik, którego nie zauważyli. Siedział przy nim starszy czarny mężczyzna w czapce bejsbolowej Baltimore Orioles i białym T*shircie z logo amerykańskiej kampanii reklamowej zachęcającej do picia mleka.

Fargowie podeszli do mężczyzny i się przedstawili.

* Mam na imię Morton * powiedział.

* Proszę nam wybaczyć, ale co to za miejsce? * spytał Sam.

* Muzeum Blaylocka i sklep z osobliwościami.

* Tak, wiemy, ale komu poświęcone?

* Największemu niedocenionemu badaczowi Afryki, jaki kiedykolwiek zaszczycił swoją obecnością Czarny Łąd * odparł mężczyzna takim tonem, jakby recytował tę formułę wiele razy. * Człowiekowi, któremu setki zawdzięczają życie swoje i życie swoich wnuków: Winstonowi Lloydowi Blaylockowi, Mbogo z Bagamoyo.

* Mbogo z Bagamoyo * powtórzył Sam. * Bawół z Bagamoyo?

* Zgadza się. Bawół z Przylądka.

* Co może nam pan o nim powiedzieć? * zapytała Remi.

* Mbogo Blaylock przybył z Ameryki do Bagamoyo w roku tysiąc osiemset siedemdziesiątym drugim w poszukiwaniu szczęścia. Mierzył sto dziewięćdziesiąt trzy centymetry wzrostu, ważył dwa razy tyle, co przeciętny Tanganijczyk, i miał ramiona szerokie jak mbogo, stąd jego przydomek.

* To on? * spytał Sam, wskazując czarno*biały dagerotyp na ścianie nad Mortonem. Wysoki, barczysty mężczyzna z fotografii miał na sobie strój safari w hemingwayowskim stylu. W tle klęczało kilkunastu masajskich wojowników z włóczniami assegai.

* Tak * potwierdził Morton. * Cała historia Mbogo jest zawarta w tym eleganckim, oprawionym w skórę tomie.

Wskazał gestem wiklinowy regał przy prawej ścianie. Remi podeszła i wzięła jedną książkę ze stosu. Oprawę ze sztucznej skóry prymitywnie przymocowano zszywkami. Na okładce była przyklejona reprodukcja fotografii na ścianie.

* Weźmiemy dwie * oświadczył Sam i przyniósł książki do stolika.

Kiedy płacił, Remi zagadnęła:

* Podobno jest tu coś o statku „Ophelia”.

Morton skinął głową i wskazał wykonany węglem szkic żaglowo*parowego statku o wymiarach metr na półtora.

* Poszukiwania „Ophelii” to była pierwsza wielka przygoda Mbogo Blaylocka. Wszystko jest w książce. Sam zrobiłem indeks. Zajęło mi to trzy lata.

* To duże poświęcenie * oceniła Remi. * Jak to się stało, że pan się tu znalazł? Pańska rodzina знаła Blaylocka?

Po raz pierwszy, odkąd weszli, Morton się uśmiechnął. Z niekłamaną dumą.

* Moja rodzina to Mbogo Blaylock. Jestem krewnym prawnuka Mbogo.

* Jest pan spokrewniony z Winstonem Blaylockiem? * zdziwił się Sam.

* Oczywiście. Nie widać?

Fargowie nie wiedzieli, jak zareagować. Po chwili Morton klepnął się w kolano i roześmiał.

* Daliście się nabrać, co?

* Owszem * przyznał Sam. * Więc nie jest pan...

* Ależ jestem, chociaż trudno dostrzec podobieństwo. Możecie zobaczyć mój akt urodzenia. * Zanim zdążyli odpowiedzieć, wyjął go z kasetki pod blatem. Rozłożył dokument i podsunął im.

Fargowie pochylili się, żeby przestudiować treść.

* Nie do wiary * orzekła Remi. * Więc ożenił się z Tanzanką?

* Wtedy ten kraj nazywano Tanganiką... przed przybyciem Niemców, rozumiecie. I nie ożenił się, ale miał sześć konkubin i wiele dzieci. To też jest w książce.

Sam i Remi wymienili zdumione spojrzenia.

* Co się z nim stało? * zapytał Sam.

* Nikt nie wie. Zniknął stąd w tysiąc osiemset osiemdziesiątym drugim. Jego wnuk twierdzi, że szukał skarbu.

* Jakiego skarbu?

* Nikomu tego nie zdradził.

* Niektórzy ludzie w mieście nazywają to miejsce...

* Domem Szalonego Człowieka * dokończył Morton. * To nie obraza. Nie ma dobrego tłumaczenia tego słowa na angielski. W suahili oznacza nie tyle szalonego, ile... wolnego duchem. Niezależnego.

* Te wszystkie artefakty należały do niego?

* Tak. Większość zdobył, zrobił lub znalazł osobiście. Reszta to podarunki. Zaproponujcie dobrą cenę, to się zastanowię.

* Jak to? Sprzedaje pan jego rzeczy?

* Nie mam innego wyjścia. Jestem ostatnim potomkiem Mbogo Blaylocka. Dwoje moich dzieci mieszka w Anglii. Wnuki uczą się tam, a to kosztuje. Jestem chory i niewiele życia mi zostało.

* Przykro nam * rzekł Sam. * Możemy się rozejrzeć?

* Oczywiście. Jeśli macie jakieś pytania, chętnie odpowiem.

* Myślisz, że to wszystko prawda? * szepnęła Remi, gdy odeszli kawalek od stolika. * Mężczyzna na fotografii bardzo przypomina Hemingwaya.

* Zadzwoń do pani Kilembe i zapytaj.

Remi wyszła na zewnątrz, wróciła po pięciu minutach i podeszła do Sama, który wpatrywał się w laskę na ścianie.

* Wszystko potwierdziła. Muzeum istnieje od tysiąc dziewięćset piętnastego roku. * Sam nie reagował.

Stał nieruchomo ze wzrokiem utkwionym w lasce. * Sam? Słyszysz mnie? Co cię tak zafascynowało?

* Widzisz w niej coś niezwykłego? * spytał, wskazując laskę.

Remi przyjrzała się uważnie.

* Nie.

* Spójrz na gałkę. Przechyliła głowę i zmrużyła oczy.

* Czy to...?

* Tak, to serce dzwonu * potwierdził Sam.

Patrzyli na nie jeszcze długie dziesięć sekund, potem Sam odwrócił się do Mortona i spytał:

* Ile za to wszystko?

Rozdział 13

Zanzibar

Słucham? * zapytała Selma przez telefon głośnomówiący. * Proszę powtórzyć. Chcą tu państwo przysłać całe muzeum? * Nie całe muzeum, Selmo, tylko jego zawartość * odrzekła Remi z siedzenia pasażera. * W sumie to powinno ważyć jakies... * Spojrzała na Sama, który powiedział:

* Dwieście pięćdziesiąt do trzystu kilogramów.

* Słyszałam * odparła Selma i westchnęła. * Z kim mam...

* Właściciel nazywa się Morton Blaylock. Umieszczamy go w Moevenpick Royal Palm w Dar es Salaam na czas waszych uzgodnień. Dziś po południu będzie miał założony rachunek w Barclays.

Przelej mu trzydzieści tysięcy dolarów z naszego firmowego konta, a następne trzydzieści, gdy wszystko już będzie spakowane i w drodze do ciebie.

* Sześćdziesiąt tysięcy? * zdziwiła się Selma. * Obiecali mu państwo sześćdziesiąt tysięcy dolarów? Wicie, ile to jest w tanzańskich szylingach? To majątek. Przynajmniej targowaliście się z nim?

* Chciał dwadzieścia * odparł Sam * ale przekonał go, że należy mu się więcej. Jest umiarkowany i musi posłać wnuki do college'u.

* Moim zdaniem to oszust.

* Raczej nie * powiedziała Remi. * Laska ma ponad dwa metry długości, jest zrobiona z czarnego twardego drewna i zakończona brązowym sercem dzwonu z „Ophelii”.

* Żartują państwo?

* Ani nam to w głowie * zapewnił Sam. * Morton dołączy laskę do pierwszego transportu z muzeum. Prześlemy ci też FedExem kopię biografii Blaylocka. Chcemy, żebyś ją rozłożyła na czynniki pierwsze, sprawdziła każde nazwisko, miejsce, opis... Wiesz, co robić.

* Nie słyszałam takiego podniecenia w państwa głosach od czasu, kiedy dzwoniliście z tamtej jaskini w Alpach.

* Jesteśmy podekscytowani * przyznała Remi. * Okazuje się, że Winston Blaylock spędził dużą część dorosłego życia na szukaniu jakiegoś skarbu, i jeśli się nie mylimy, Rivera i jego szef nie chcą, żebyśmy to coś znaleźli. Życiorys Blaylocka może być naszym kamieniem z Rosetty.

Sam skręcił land cruiserem na drogę prowadzącą do ich willi i gwałtownie zahamował. W odległości stu metrów zobaczyli przez przednią szybę mężczyznę przechodzącego przez patio i znikającego w zaroślach.

* Selmo, musimy kończyć, zadzwonimy do ciebie później * powiedziała Remi i się rozłączyła. * To oni, Sam?

* Tak. Zabrali dzwon.

Chwilę później mężczyzna wyłonił się z zarośli wzdłuż plaży i pobiegł w kierunku brzegu, gdzie czekała ośmiometrowa motorówka Rinker. Kilkaś metrów dalej kotwiczył jacht „Njiwa”. Na pokładzie rufowym rinkera stało dwóch ludzi, a między nimi spoczywał dzwon z „Ophelii”.

* Niech to szlag! * mruknął Sam.

* Jak nas znaleźli? * zastanawiała się Remi.

* Nie mam pojęcia * odparł Sam i krzyknął: * Trzymaj się!

Nacisnął pedał gazu. Opony wgrzyły się w ziemię i land cruiser wyrwał do przodu. Gdy wskazówka prędkościomierza przekroczyła osiemdziesiąt, skręcił ostro najpierw w lewo, potem w prawo i wycelował maskę w porośnięty krzakami wał plażowy.

* O rany... * jęknęła Remi, przyciskając dłonie do tablicy rozdzielczej, a głowę do zagłówka.

Land cruiser dotarł do wału i wystrzelił w górę. Silnik zawył, koła oderwały się od podłoża. Gdy samochód opadł na ziemię, piasek posiekał przednią szybę. Sam wcisnął gaz do dechy. Po chwili głośnego protestu napęd zareagował i znów pomknęli naprzód, choć znacznie wolniej, bo koła buksowały w suchym piasku.

Biegnący mężczyzna już prawie dotarł do nabrzeża. Obejrzał się, zobaczył land cruisera i upadł. Rozpoznali Yaotla.

* Chyba nie podobało mu się u nas * powiedział Sam.

* Najwyraźniej * przyznała Remi.

Yaotl poderwał się na nogi. Zbiegł po schodkach na nabrzeże, przeskakując po dwa stopnie naraz, i rzucił się

w kierunku rinkera, gdzie Rivera i Nochtli przynaglali go gestami.

Sam pruł dalej, obracając kierownicą w poszukiwaniu twardszego gruntu o lepszej przyczepności.

Nabrzeże było w odległości pięćdziesięciu metrów. Yaotl dobiegł do rinkera i wskoczył na pokład.

Trzydzieści metrów. Nochtli zajął miejsce sternika. Dym buchnął z kolektora wydechowego.

Rivera ominął dyszącego Yaotla, klepnął go w ramię i podszedł do pawęży. Patrzył przez chwilę na zbliżającego się land cruisera, a potem uniósł rękę, jakby chciał pomachać.

* Sukinsyn... * zaklął Sam.

* On ma coś w ręku * powiedziała Remi.

* Co?

* Nie wiem, ale coś trzyma.

Sam dał po hamulcach, a gdy land cruiser zarzucił i znieruchomiał, włączył wsteczny w automatycznej skrzyni biegów, gotów w każdej chwili przenieść nogę z hamulca na gaz.

Nie odrywając wzroku od Fargów, Rivera uśmiechnął się, sięgnął w górę, wyszarpnął zawleczkę z granatu i cisnął go do ich motorówki. Rinker wystartował od nabrzeża, zostawiając za sobą ogon wody, i wziął kurs na „Njiwę”.

Granat eksplodował z głuchym hukiem. Gejzer wody i drewniane drzazgi wystrzeliły do góry i spadły na nabrzeże. Motorówka zanurzyła się głębiej, po czym zniknęła pod powierzchnią.

Fargowie obserwowali, jak Rivera i jego ludzie dopływają do „Njiwy”. W ciągu kilku minut podniesiono kotwicę i jacht ruszył wzdłuż wybrzeża na południe.

* Zaczynałem się przywiązywać do tego dzwonu * mruknął Sam.

* A nie lubisz niczego tracić * powiedziała Remi. Kiedy pokręcił głową, dodała: * Ja też nie.

Sam sięgnął nad kolanami żony i wyjął H&K P30 ze schowka w desce rozdzielczej.

* Zaraz wrócę * rzekł, wysiadł z wozu i poszedł do willi.

Wrócił po dwóch minutach i pokazał Remi uniesiony kciuk. Przesiadła się na fotel kierowcy i wprowadziła toyotę na podjazd.

* Przeszukali dom? * spytała, gdy wysiadła. Sam pokręcił głową.

* Nie, ale wiem, jak nas znaleźli.

Zaprowadził ją do pokoju gościnnego, gdzie trzymali Yaotla, podszedł do wezgłowia łóżka i wskazał pętlę, którą więzień miał na lewym nadgarstku. Widniały na niej czerwonawobrazowe plamy. Trzy pozostałe pętle były rozwiązane.

* To krew * powiedziała Remi. * Uwolnił się.

* I zadzwonił do Rivery * dodał Sam. * Trzeba mu przyznać, że jest odporny na ból. Musiał obetrzeć sobie nadgarstek do kości.

* Dlaczego nie zastawili na nas pułapki?

* Rivera nie jest głupi. Wiedział, że mamy broń Yaotla, i nie chciał ryzykować zwrócenia uwagi policji.

* Zdobyli to, po co przyszli. Bez tego mamy tylko ciekawą historię, nic więcej. Dlaczego, na Boga, ten dzwon jest taki ważny?

Uznawszy zgodnie, że w willi nie jest już bezpiecznie, spakowali nieliczne rzeczy, które zostały w środku, wrócili do toyoty i pojechali na południe do odległego o trzynaście kilometrów miasteczka Chwaka, znanego tylko z tego, że mieścił się tam Zanzibarski Instytut Administracji Finansowej. Znaleźli klimatyzowaną restaurację przy plaży, weszli i poprosili o stół w cichej części sali blisko akwarium.

Gdy usiedli, Remi wskazała przez okno.

* Czy to oni?

Sam spojrzał we wskazanym kierunku. Dwie mile morskie od brzegu „Njiwa” płynęła wolno na południe. Zmełł w ustach przekleństwo i wypił łyk wody z lodem.

* Co chcesz z tym zrobić? * spytała Remi. Sam wzruszył ramionami.

* Ukradli coś, co zdobyliśmy z takim trudem. Ale to jeszcze nie powód, żeby wchodzić im w celowniki.

* Tu chodzi o coś więcej. Bardzo im zależy, żeby nikt nie dowiedział się o dzwonie ani o statku, z którego pochodzi. Właśnie z tego powodu zabili wiele osób. Zniszczą dzwon albo utopią w najgłębszej części oceanu, gdzie nikt nigdy go nie znajdzie. Ten dzwon to kawałek historii, a oni potraktują go jak śmieć.

Zabręczała komórka Sama. Spojrzał na wyświetlacz.

* Selma * powiedział do żony, odebrał i włączył głośnik.

Selma swoim zwyczajem zaczęła bez wstępów:

* Ten dzwon, który państwo mają, to interesujące znalezisko.

* Mieliśmy * sprostował Sam i wyjaśnił, co się stało.

* Ale mów, Selmo * zachęciła Remi.

* Mam zacząć od fascynującej czy zdumiewającej wiadomości? * spytała.

* Od fascynującej.

* Wendy wykorzystała swoje magiczne umiejętności używania Photoshopu i przepuściła zdjęcia przez jakieś filtry czy coś takiego. Próbowала mi to wytłumaczyć, ale to dla mnie chinszczyzna. Zrozumiałam

tylko, że pod tą całą morską naroślą jest wygrawerowane pismo.

* Jakie? * rzucił Sam.

* Nie wiemy na pewno. Jakies słowa w suahili, coś po niemiecku i piktogramy. Ogólnie za mało, żeby odczytać sens. Ale większość wnętrza dzwonu jest tym pokryta.

* No dobrze, a teraz wpraw nas w zdumienie * poprosiła Remi.

* Wendy zdołała odczytać kilka kolejnych liter z nazwy pod grawerunkiem „Ophelia”. Oprócz dwóch pierwszych: „S” i „H”, oraz ostatniej „H”, rozszyfrowała dwie w środku: dwa „N” rozdzielone wolną przestrzenią.

Remi wzięła serwetkę i razem z Samem zapisywali kolejne litery.

* Wprowadziliśmy litery i ich układ do programu do tworzenia anagramów * ciągnęła Selma. *

Porównaliśmy wyniki z naszymi bazami danych o wrakach statków i otrzymaliśmy...

* „Shenandoah” * powiedzieli chórem Sam i Remi.

Rozdział 14

Zanzibar

Statek konfederatów „Shenandoah” od dawna fascynował Fargów, ale nigdy nie mieli czasu dokładniej zbadać jego historii. Teraz wyglądało na to, że los wręczył im zaproszenie w postaci dzwonu okrętowego.

Ten parowiec o wadze tysiąca stu sześćdziesięciu ton zwodowano w stoczni Alexander Stephen & Sons nad rzeką Clyde w Szkocji w sierpniu 1863 roku pod nazwą „Sea King”. Miał stalowe wręgi, tekowe poszycie klepkowe i czarny kadłub. Wyposażono go w pełne ożaglowanie oraz pomocniczy napęd parowy i przeznaczono do transportu ładunków na wschodnioazjatyckich szlakach handlu herbatą. Ale była mu pisana inna przyszłość.

Rok po oddaniu do użytku, we wrześniu 1864 roku, „Sea King” został potajemnie kupiony przez agentów konfederackiej tajnej służby i ósmego października pożeglował z pełną załogą marynarki handlowej rzekomo w dziewiczy rejs do Bombaju. Dziewięć dni później spotkał się w pobliżu Madery z czekającym tam parowcem „Laurel”. Na pokładzie „Laurela” byli oficerowie i trzon nowej załogi „Sea Kinga”, lojalni i doświadczeni marynarze: południowcy i sprzyjający Konfederacji obywatele brytyjscy. Dowodził nimi czterdziestojednoletni kapitan James Iredell Waddell z Karoliny Północnej, absolwent Akademii Marynarki Stanów Zjednoczonych.

Ładunek „Laurela” złożony z dział okrętowych, amunicji i zaopatrzenia szybko przeniesiono na pokład „Sea Kinga”, a członkowie jego osłupiałej i wściekłej załogi mieli do wyboru przyłączenie się do nowej ekspedycji za wyższe wynagrodzenie lub przejście na „Laurela” i późniejsze wysadzenie na Teneryfie. Waddell zdołał skompletować z marynarzy „Laurela” tylko połowę załogi dla nowo uzbrojonego niszczyciela statków handlowych „Shenandoah”. Mimo to „Shenandoah” opuścił Maderę dwudziestego pierwszego października i rozpoczął swoje zadanie, czyli zatapianie lub zdobywanie napotykanym statków Unii.

Jesienią 1864 roku i w zimie 1865 przemierzył południowy Atlantyk, opłynął Przylądek Dobrej Nadziei i dotarł przez Ocean Indyjski do Australii, niszcząc i przechwytyjąc statki handlowe pod banderą Unii, po czym skierował się z Nowej Gwinei na północ na Morze Ochockie i Morze Beringa, ku unijnym łowiskom wielorybów na Pacyfiku.

W ciągu dziewięciu miesięcy służby pod banderą Konfederacji w charakterze okrętu wojennego „Shenandoah” posłał na dno ponad trzydzieści statków nieprzyjaciela. Drugiego sierpnia 1865 roku, mniej więcej cztery miesiące po tym, jak Lee skapitulował pod Appomattox, załoga „Shenandoah” dowiedziała się o zakończeniu wojny od marynarzy z mijanej brytyjskiej barkentyny „Barracouta”. Kapitan Waddell kazał rozbroić okręt i wziąć kurs na Liverpool, gdzie on i jego podwładni poddali się w listopadzie. W marcu 1866 roku „Shenandoah” sprzedano przez pośredników pierwszemu sułtanowi Zanzibaru, Sayvidowi Majidowi bin Saidowi alBusaidowi, który nazwał go swoimi imieniem: „El Majidi”.

Sama i Remi zawsze intrygowała ta część historii okrętu. Istniały trzy wersje jego ostatecznego losu. Według jednej zatonął w Cieśninie Zanzibarskiej krótko po tym, jak ucierpiał podczas huraganu w

1872 roku; według drugiej poszedł na dno pół roku później, kiedy holowano go do Bombaju do naprawy; według trzeciej zakończył żywot w listopadzie 1879 roku, gdy wpadł na rafę w pobliżu wyspy Sokotra w drodze powrotnej z Bombaju.

* To nasuwa więcej pytań, niż daje odpowiedzi * stwierdził Sam. * Na początek takie: czy to Blaylock, czy ktoś inny zmienił nazwę na „Ophelia”?

* I z jakiego powodu? * zastanawiała się Remi. * I czemu nigdzie nie ma o niej żadnej informacji?

* No i najważniejsze: dlaczego w ogóle znaleźliśmy dzwon?

* Co masz na myśli? * spytała Remi.

* Gdy Waddell poddał „Shenandoah”, statek i wszystko, co znajdowało się na jego pokładzie, stało się własnością Unii.

* Łącznie z dzwonem.

* Łącznie z dzwonem * powtórzył Sam.

* Może Unia sprzedała go sułtanowi Zanzibaru z całym majdanem.

* Możliwe. Ale to było w tysiąc osiemset sześćdziesiątym szóstym. „El Majidi” zatonał dopiero sześć albo trzynaście lat później, zależnie od przyjętej wersji. Skoro sułtan nazwał statek swoim imieniem, czy zostawiłby dzwon z inną nazwą?

* Nie. Może ktoś, kto zmieniał wyposażenie, po prostu wyrzucił dzwon za burtę. Ze względów praktycznych.

Remi była w tym małżeństwie adwokatem diabła. Zawsze próbowała znaleźć wszelkie słabe punkty w ich rozumowaniu. Jeśli jakaś teoria wytrzymała jej krytykę, wiedzieli, że są na właściwym tropie.

* To niewykluczone * rzekł Sam po chwili namysłu * ale staram się postawić na miejscu tego człowieka. Prawdopodobnie nie był najbogatszy, a sułtan z pewnością zażądał, żeby statek spełniał królewskie standardy, łącznie z nowym, lśniącem dzwonem. Co więc zrobiłby z czterdziestokilogramowym dzwonem z brązu?

* Sprzedałby go * wtrąciła się Selma.

* Wrócimy do tej kwestii * powiedziała Remi. * Chyba można przyjąć, że Blaylock w jakimś momencie natknął się na dzwon. Jeśli był on jeszcze na statku, to albo kupił, albo ukradł statek i zmienił nazwę na „Ophelia”. Jeżeli natomiast sułtan kazał wyrzucić dzwon, to znaczy, że Blaylock go wyłowił, zatarł nazwę „Shenandoah” i wygrawerował nową.

* I co z nim zrobił? Patrzył na niego?

* Szkic w muzeum sugeruje, że autor widział tamten statek jako „Ophelię”.

Sam strzelił palcami.

* Spróbujmy to sprawdzić. Remi, włącz swojego laptopa. Selmo, przemailuj nam zdjęcia „Shenandoah” i „Ophelii”.

Kiedy czekali, podłączył swój aparat fotograficzny do laptopa Remi. Wywołała zdjęcie szkicu „Ophelii”.

* Nie ma sygnału wi*fi * oznajmiła. Sam wstał i zajrzał pod pobliskie stoliki.

* Są wejścia do Ethernetu * powiedział, podszedł do hostessy i dwie minuty później wrócił z odpowiednim kablem. Podłączył go najpierw do laptopa Remi, potem do najbliższego gniazdko. * To Internet z połączeniem dodzwanianym, ale powinien wystarczyć.

* Fotografii w drodze * zakomunikowała Selma. Wgranie zdjęć w formacie JPEG trwało cztery minuty. Remi розміściła obrazy na ekranie i przez następne kilka minut obracali je, powiększali i zmieniali kolory, dopóki nie nabrali pewności.

* To ten sam statek * stwierdziła Remi. Sam przytaknął.

* „Ophelia” to jednocześnie „Shenandoah” i „El Majidi”. Pytanie, kiedy pojawił się Blaylock i dlaczego nic z tego wszystkiego nie jest udokumentowane?

* Riverę i jego przyjaciół najwyraźniej interesuje nasz dzwon. Ale czy sam dzwon czy też statek lub statki, z których pochodzi?

* Jest tylko jeden sposób, żeby się dowiedzieć * odparł Sam. * Musimy odzyskać dzwon, zanim Rivera go zniszczy albo się go pozbędzie.

Mieli świadomość, że łatwiej to powiedzieć niż zrobić. Sam sięgnął do plecaka po lometkę, wstał, uniósł ją do oczu i popatrzył przez okno. Po trzydziestu sekundach powiedział:

* Nadal płynie wolno na południe. Wkrótce będzie za półwyspem Pingwe.

* Wiedzą, że nas pokonali. Sam uśmiechnął się szeroko.

* Nie poddawaj się * rzekł, wziął komórkę i wybrał numer Haywooda.

* Sam, właśnie miałem zadzwonić do ciebie * powiedział Rube.

* Wielkie umysły rozumują podobnie. Mam nadzieję, że nadajemy na tych samych falach.

* Mam informacje o jachcie „Njiwa”.

* Wielkie dzięki. Mów.

* Należy do faceta nazwiskiem Ambonisye Okafor, jednego z dziesięciu najbogatszych ludzi w Tanzanii. Gość eksportuje, co tylko chcesz: nerkowce, tytoń, kawę, bawełnę, sisal, kamienie szlachetne, minerały...

* Jak ktoś taki jak Rivera spiknął się z kimś takim jak Okafor?

* Trudno dokładnie stwierdzić, ale przez ostatnie pięć lat w Meksyku gwałtownie wzrósł import tanzańskich towarów, głównie od firm kontrolowanych przez Okafora. To wskazuje, że Rivera ma potężnych przyjaciół w meksykańskim rządzie. Macie przeciwko sobie nie kilku najemników, ale rząd sporego kraju i tanzańskiego milionera o ogromnych wpływach.

* Wierz mi, Rube, że nie zamierzamy tego lekceważyć, ale w tej chwili chcemy tylko odzyskać dzwon...

* Jak to?

* Ukradli go. Chcemy więc odzyskać dzwon i wrócić do domu.

* Łatwiej to powiedzieć niż...

* Wiem. Czego jeszcze się dowiedziałeś o „Njiwie”?

* To jeden z dwóch jachtów Okafora. Na stałe kotwiczony na wyspie Sukuti, jakieś trzydzieści mil morskich na południe od Dar es*Salaam w linii prostej. Okafor ma tam rezydencję. Zresztą cała wyspa jest jego własnością.

* Jasne.

Sam i Remi dawno się przekonali, że wspólną cechą milionerów megalomanów jest niechęć do bratania się z pospólstwem. Posiadanie własnej wyspy pozwalało tego uniknąć.

* Pewnie nie muszę pytać, co teraz zrobicie? * powiedział Rube.

* Chyba nie.

* W porządku, ale wygłoszę obowiązkowe: „Bądźcie ostrożni”.

* Zadzwonimy do ciebie, jak będziemy mogli. Sam rozłączył się i zrelacjonował rozmowę Remi.

* Nie zaszkodzi sprawdzić * odrzekła po chwili namysłu. * Ale pod jednym warunkiem.

* Jakim?

* Że odwaga będzie szła w parze z rozważą. Jeśli się okaże, że to nas przerasta...

* To się wycofamy.

* Oczywiście zakładamy, że „Njiwa” płynie na Sukuti. Sam skinął głową.

* Jeśli nie, prawdopodobnie wypadamy z gry. Ale jeżeli tam płynie, musimy dotrzeć do dzwonu, zanim będzie za późno.

Rozdział 15

Tanzania

Sam i Remi zdawali sobie sprawę, że niewielka przewaga czasowa „Njiwy” jest nie do zniwelowania. Podróżowanie po Tanzanii lądem wzdłuż wybrzeża i między wioskami było łatwe, ale poruszanie się poza utartym szlakiem stanowiłoby prawdziwy koszmar. Jedyna przejezdna trasa z Dar es*Salaam na południe biegła w odległości co najmniej szesnastu kilometrów od morza aż do miasteczka Somanga, położonego sto czterdzieści pięć kilometrów na południe od wyspy Sukuti. Uświadomiwszy sobie, że drogą nie dotrą do celu przed „Njiwą”, zmienili sposób myślenia. Wiedzieli, że Rivera ma potężnych przyjaciół, więc postanowili być ostrożni do przesady. Rozumowali tak: jeśli Rivera zakłada najczarniejszy scenariusz, to zapewne przypuszcza, że podejmą pościg z Zanzibaru lub Dar es*Salaam, a znając trudności związane z podróżą lądem, będzie się spodziewał, że przyplyną łodzią.

Zanim zapadła noc, po kilku bezowocnych telefonach wreszcie znaleźli pilota, który zgodził się zabrać ich następnego ranka z lotniska w Ras Kutani pod Dar es*Salaam na wyspę Mafia. Stamtąd zamierzali odbyć kilkugodzinny rejs na północ na wyspę Sukuti. Szczegóły zostawili do załatwienia

Selmie, specjalistce od logistyki.

Fargowie słyszeli wcześniej określenie „afrykańska mila”, ale dopiero teraz doświadczyli tego osobiście. To, co gdzie indziej byłoby pięćdziesięciokilometrową przejażdżką wzdłuż wybrzeża, tu okazało się trudną dwustuczerdziestokilometrową podróżą.

Sam dotrzymał słowa i na noc wynajął dla nich apartament prezydencki z widokiem na ocean w Moevenpick Royal Palm. Spędziwszy popołudnie w hotelowym spa, poszli na późną kolację do włoskiej restauracji L'Oliveto.

* Czuję się, jakbym przez miesiące była z dala od cywilizacji * wyznała Remi, gdy usiedli przy stoliku.

* Dziwne, bo wyglądasz znakomicie * odrzekł Sam szczerze.

Remi, jak zwykle zaradna, wyszukała prostą, ale elegancką czarną sukienkę w hotelowym butik.

* Dziękuję za komplement, kochanie * powiedziała. Przyszedł kelner i Sam zamówił wino.

* Widziałem, jak w spa czytałaś biografię Blaylocka * zwrócił się do żony. * Jakież rewelacje?

* Wolno mi to idzie. Na razie mogę powiedzieć tylko tyle, że nie napisał jej sam Blaylock. Chyba że słabo znał angielski. Domyślam się, że autorem jest Morton. Uderzyło mnie jedno: nie ma żadnej wzmianki o losach Blaylocka przed jego przyjazdem do Afryki. Biografia zaczyna się od dnia, kiedy zjawił się w Bagamoyo.

* Interesujące. A indeks? Remi wzruszyła ramionami.

* Sprawdziłam, czy jest coś o dzwonie lub „Ophelii”. Niczego nie znalazłam. Ale jestem pewna, że Selma, Pete i Wendy będą mieli więcej szczęścia.

* Dziwne. Jeśli to on wygrawerował te wszystkie hieroglify na dzwonie, chyba powinien o tym wspomnieć. Wygląda to, jakby chciał zachować coś w tajemnicy.

* W wielkiej tajemnicy * odparła Remi. * Tak wielkiej, że przez ostatnie siedem lat meksykański rząd być może mordował z jej powodu.

Kursujący wahadłowo autobus lotniskowy wysadził ich w Ras Kutani tuż po świcie. Poza kilkoma członkami obsługi naziemnej, którzy poruszali się leniwie w porannej mgle, na pasie startowym nikogo nie było. Kiedy autobus odjechał, jakiś mężczyzna wyłonił się z mgły i podszedł do nich. Miał strój safari w kolorze khaki, sięgające połowy łydek buty do chodzenia w dżungli, czapkę bejsbolową z logo U.S. Army Rangers, krótko ostrzyżone czarne włosy i gęste wąsy.

* Ed Mitchell * przedstawił się bez wstępów.

* Sam i Remi Fargo * odrzekł Sam. * Amerykanin?

* Mniej więcej. Ekspatriant, tak to się chyba nazywa. Tylko to macie? * spytał, wskazując głową ich plecaki.

Sam przytaknął. Większość bagaży zostawili u Vutolo, starego przyjaciela i recepcjonisty w Moevenpick.

* Okej, jestem gotowy * oznajmił Mitchell, odwrócił się i ruszył przed siebie.

Sam i Remi poszli za nim do wyglądającej solidnie, ale sfatygowanej cessny 182 linii Bush Air. Mitchell wrzucił ich plecaki na pokład, kazał im zapiąć pasy i zrobił z pamięci kontrolę przedstartową. Pięć minut później byli w powietrzu i kierowali się na południe.

* Nurkowanie? * zagadnął Mitchell przez interkom.

* Słucham? * spytała Remi.

* Chyba po to wybraliście się na Mafię.

* A tak.

* Jak długo jest pan w Afryce, panie Mitchell? * spytał Sam.

* Mam na imię Ed. Dwadzieścia dwa lata. Przyjechałem tu w osiemdziesiątym ósmym zainstalować radary dla korporacji RAND. Zakochałem się w Afryce i postanowiłem zostać. Latałem na spadach i hueyach w Wietnamie, więc pilotaż wydał mi się dobrym zajęciem. Założyłem firmę, a reszta to przeszłość.

* Brzmi znajomo * stwierdziła Remi.

* Która część?

* Ta o zakochaniu się w Afryce.

* Taa, ona wchodzi w krew. Co parę lat wpadam do Stanów zobaczyć się z przyjaciółmi, ale zawsze kończy się tak, że wracam wcześniej. * Mitchell zachichotał. * Chyba jestem uzależniony od Afryki jak

ćpun od narkotyków.

* Co wiesz o wyspie Sukuti? * zapytał Sam.

* Doskonale miejsce do nurkowania. Ale upierdliwy właściciel, facet nazwiskiem Ambonisye Okafor. Wybieracie się tam?

* Myślimy o tym.

* Możemy nad nią przelecieć. To zajmie najwyżej piętnaście minut.

Mitchell zmienił kurs i po kilku minutach z lewej strony pojawiła się wyspa.

* Sukuti to właściwie część archipelagu Mafia * wyjaśnił. * Te wyspy wchodzą w skład „łańcucha korzennego” razem z Zanzibarem. Jest duża i mała Sukuti, pierwsza na północy, a druga na południu. Widzicie tę wąską drogę wodną między nimi? Ma tylko piętnaście czy osiemnaście metrów szerokości, więc są oficjalnie uważane za jedną masę lądu. W sumie około trzynastu kilometrów kwadratowych. Widzicie tamtą wyspę cztery mile morskie na południe? To Fanjove Północna.

* A ta długa między nimi? * zapytała Remi.

* To bardziej atol niż wyspa. Nie ma nawet nazwy. Można ją przejść, ale w wodzie po kolana. Sam wskazał przez okno.

* To leje po pociskach? * spytał.

* Tak. Przed I wojną światową załogi niemieckich pancerników i krążowników ćwiczyły tu strzelanie, a celami były Sukuti i Fanjove. W niektórych miejscach dziury sięgają poniżej poziomu wód gruntowych. Dlatego Fanjove jest populama wśród nurków jaskiniowych. Opuszczają się na linach do lejów i eksplorują. Co roku są trzy lub cztery ofiary śmiertelne. Jesteście...

* Nie * zaprzeczył Sam. * My jesteśmy zwykłymi nurkami.

* Uważajcie na siebie. Okafor rości sobie prawo do dwumilowego pasa wód wokół Sukuti. Ma łodzie patrolowe i uzbrojonych ochroniarzy. Próbuje nie wpuszczać ludzi nawet na Fanjove, ale to nie jego teren. Tam jest jego dom... na tamtym szczycie.

Sam i Remi wyciągnęli szyje, żeby zobaczyć. Rezydencja Ambonisye Okafora była trzypiętrową willą we włoskim stylu otoczoną półtorametrowym kamiennym murem. Ścieżki z pokruszonych muszli rozchodziły się od domu jak krzywe szprychy koła.

Gdyby Sukuti ulokować sześćdziesiąt pięć lat wcześniej na Pacyfiku, mogłaby uchodzić za ufortyfikowaną japońską wyspę podczas II wojny światowej. Mający kształt stożka z tylną ćwiartką rozłupaną do linii wody południowy kraniec był kamienisty i prawie pozbawiony roślinności, z wyjątkiem rzadko rozsianych karłowatych krzewów. Niecały kilometr od brzegu księżycowy krajobraz ustępował miejsca skrawkowi lasu deszczowego, który kończył się w miejscu, gdzie zaczynał się teren posiadłości.

* Zastąp willę kompleksem bunkrów * odezwał się Sam * a będziesz miał zmniejszoną lwo Jimę. Pewnie cały czas trzeba karczować tę dżunglę, żeby wszystko nie zarosło.

Zauważył dwie ścieżki. Jedna prowadziła do przystani po północno*zachodniej stronie Sukuti. „Njiwa” cumowała przy nabrzeżu. Naprzeciwko niej stały dwie motorówki Rinker, takie same jak ta, której Rivera i jego ludzie używali podczas kradzieży dzwonu. Na pokładzie jachtu kręciło się kilka osób, ale z tej wysokości Sam i Remi nie mogli rozróżnić rysów twarzy.

Dругa ścieżka biegła do polany ogrodzonej białym murem. Pośrodku wbite w ziemię kamienie tworzyły kształt ogromnej litery „H”. Lądowisko helikoptera.

* Ed, czy to... * zaczęła Remi.

* Tak * potwierdził Mitchell. * Ma eurocoptera EC135. Maszyna z najwyższej półki. Okafor nigdzie nie jeździ samochodem, jeśli nie musi. Kwestia statusu, jak przypuszczam. Któreś z was lata?

* Mam jednosilnikowy samolot * odparł Sam. * I biorę lekcje pilotowania helikoptera. Wylatałem dziesięć godzin. To trudniejsze niż myślałem.

* Żebyś wiedział, chłopie.

* Nie widzę wielu ochroniarzy ani parkanów * powiedziała Remi. * To dziwne u człowieka, który lubi prywatność.

* Ma taką opinię, że nie potrzebuje dużej ochrony. Tępi intruzów bez litości. Podobno kilku zniknęło bez śladu po tym, jak za bardzo kusili los.

* Wierzysz w to? * spytał Sam.

* Tak. Okafor był generałem w armii tanzańskiej, zanim odszedł do cywila. Twardy, niebezpieczny typ.

Zobaczyliście dość?

* Tak, dziękujemy * odrzekł Sam.

Przez resztę lotu panowało milczenie przerywane tylko wypowiedziami Eda, kiedy wskazywał punkty orientacyjne albo robił krótkie wykłady z historii Afryki. Tuż przed wpół do ósmej wylądowali na zwirowym pasie startowym na wyspie Mafia i podkołowali do terminalu, pobielonego budynku z ciemnoniebieskimi wykończeniami i blaszanym dachem. Za terminalem dwaj umundurowani urzędnicy imigracyjni siedzieli w cieniu baobabu.

Kiedy silnik umilkł, Ed wysiadł z kabiny, wyjął plecaki Fargów z przestrzeni ładunkowej i wręczając im swoją wizytówkę, powiedział z porozumiewawczym uśmiechem:

* Bezpiecznej podróży. Wezwijcie mnie, jeśli wpadniecie w tarapaty.

Sam odwzajemnił uśmiech.

* Wiesz coś, czego my nie wiemy? * spytał.

* Nie, ale umiem rozpoznać poszukiwaczy przygód. Wyglądacie na takich, co potrafią sobie radzić, ale Afryka

jest bezlitosna. Numer na wizytówce to mój telefon satelitarny. Nie będę go wyłączał.

* Dzięki, Ed.

Uścisnęli sobie dłonie, Mitchell odwrócił się i poszedł w stronę baraku z blachy falistej z czerwonym neonem „Piwo” błyskającym w oknie.

Wzięli swoje plecaki i ruszyli w stronę terminalu, ale zatrzymali ich dwaj urzędnicy spod baobabu.

Rzucili okiem na paszporty Fargów, przejrzeni ich rzeczy, po czym ostemplowali paszporty i jeden powiedział łamaną angielszczyzną:

* Witamy na wyspie Mafia.

* Potrzebna taksówka? * zapytał drugi. Nie czekając na odpowiedź, uniósł rękę, gwizdnął i z postoju przy wjeździe na lotnisko ruszył rdzewiejący szary peugeot.

* Dziękujemy, ale nie * odrzekł Sam. * Znajdziemy sobie środek transportu.

Urzędnik spojrzał na niego pytająco, z ręką wciąż w górze.

* Co?

Sam wskazał peugeota i pokręcił głową.

* La asante. Nie, dzięki.

Mężczyzna wzruszył ramionami, odprawił gestem taksówkarza i odparł:

* Sawa. Okej. * On i jego partner wrócili pod baobab.

* O co chodziło? * zapytała Remi.

* Są w zmowie. W najlepszym wypadku przepłacilibyśmy za kurs; w najgorszym, zostalibyśmy obrabowani w jakimś zaułku.

Remi się uśmiechnęła.

* Gdzie twoja wiara w ludzi, Samie Fargo?

* W tej chwili w tym samym miejscu, co mój portfel, dobrze ukryta. Mafia jest popularnym punktem docelowym amatorów nurkowania ekstremalnego, ale również tanzańskim centrum czarnego rynku * wyjaśnił Sam żonie.

* Jesteś skarbnicą wiedzy * powiedziała ze szczerym uznaniem. * Skąd wzięłeś tę informację?

* Wgrałem World Factbook CIA do swojego iPhone'a. Bardzo przydatna rzecz. Chodź, pójdziemy pieszo. To niedaleko.

* A jaką mamy gwarancję, że nie napadną nas na ulicy?

Sam uniósł połę koszuli i odsłonił rękojeść H&K. Remi uśmiechnęła się i pokręciła głową.

* Tylko spokojnie, Tex. Żadnej powtórki corralu O.K.

Lotnisko dzieliło największe miasto wyspy * Kilindoni * na część północną, położoną w głębi lądu, i południową, na wybrzeżu. To tam mieli znaleźć port i łódź, którą dla nich wynajęła Selma.

Chociaż była dopiero ósma rano, słońce prażyło na bezchmurnym błękitnym niebie, więc wkrótce po opuszczeniu lotniska Sam i Remi zaczęli się pocić. Szli zakurzonymi gruntowymi drogami wzdłuż nędznych chat z blachy, cegieł i tektury. Każdy ich krok obserwowała gromadka zaciekawionych dzieci, które machały i uśmiechały się nieśmiało do dwojga nieznajomych białych. Po dwudziestu minutach wędrówki dotarli do plaży. Wzdłuż nadmorskich wydmy stały walące się hangary dla łodzi i magazyny. Kilkanaście drewnianych nabrzeży wrzynało się w fale przyboju. Kilkadziesiąt

najróżniejszych łodzi * od sfatygowanych motorówek po skify i dawy z napędem żaglowym i spalinowym * kołysało się na kotwicach. Grupki mężczyzn i chłopców naprawiały sieci, skrobały kadłuby albo czyściły ryby.

* Brakuje mi naszej andreyale * mruknęła Remi.

* Teraz, kiedy ma dziurę po wybuchu granatu na środku pokładu rufowego, należy do nas * odrzekł Sam. * Może podniesiemy ją z dna. Będzie miłą pamiątką. * Odwrócił się i zlustrował wzrokiem rząd budynków wzdłuż wydmy. * Musimy znaleźć bar o nazwie Czerwony Ptak.

* Tam. * Remi wskazała oddalony o pięćdziesiąt metrów kryty strzechą barak z wymalowaną na czarnej sklejce wiszącej nad wejściem jaskrawoczerwoną wroną.

Poszli w tamtą stronę. Kiedy dotarli do drewnianych schodków, czterej mężczyźni siedzący przed przerwali ożywioną rozmowę i spojrzeli na nich.

* Dzień dobry * powiedział Sam. * Szukamy Buziby. Żaden się nie odezwał.

* Unazungumza kiingereza? * zapytała Remi. Mówicie po angielsku?

Cisza.

Fargowie próbowali wykorzystać swoją ograniczoną znajomość suahili do nawiązania dialogu, ale bez skutku. Wreszcie jakiś głos za nimi powiedział po angielsku:

* Buziba, nie bądź bałwanem.

Odwrócili się i zobaczyli uśmiechniętego szeroko Eda Mitchella. Trzymał piwo Tusker w każdej ręce.

* Śledzisz nas? * zapytał Sam.

* Mniej więcej. W tej chwili jesteśmy prawdopodobnie jedynymi Amerykanami na tej wyspie.

Pomyślałem, że trochę solidarności nie zaszkodzi. Znam starego Buzibę. To on. * Ed wskazał głową siwego mężczyznę, który siedział na najwyższym stopniu. * Mówi po angielsku. Udawanie głupiego to jego strategia przetargowa.

Warknął coś w suahili. Trzej pozostali mężczyźni wstali i weszli z powrotem do baru.

* Bądź dżentelmenem, Buziba * rozkazał Ed. * To moi przyjaciele.

Twarz Buziby rozjaśniła się w uśmiechu.

* Przyjaciele pana Eda są moimi przyjaciółmi * rzekł.

* Mówiłem ci, żebyś mnie tak nie nazywał * zgromił go Mitchell, po czym zwrócił się do Sama i Remi: * Widział powtórki tego serialu. Bawi go porównywanie mnie do gadającego konia.

* Pański angielski jest bardzo dobry * pochwaliła Remi Buzibę.

* Lepszy niż wasz suahili, co? * rzekł.

* Bez wątplenia * zgodził się Sam. * Nasza znajoma dzwoniła do pana w sprawie łodzi.

Buziba przytaknęła.

* Pani Selma. Wczoraj. Mam dla was łódź. Czteryście dolarów.

* Za dzień?

* Co?

Ed wtrącił coś w suahili i Buziba mu odpowiedział.

* Sprzeda łódź za czterysta * wyjaśnił Mitchell. * Zrezygnował z łowienia ryb w zeszłym roku i od tamtej pory szuka na nią kupca. Bar przynosi mu niezły dochód.

Fargowie wymienili spojrzenia.

* Prawdopodobnie tyle zapłacilibyście komuś innemu za wypożyczenie łodzi na dwa dni * dodał Ed.

* Obejrzyjmy ją * zaproponował Sam.

Poszli plażą do miejsca, gdzie na sześciu kozłach stała pięćcipółmetrowa niebieskozielona dawa.

Dwaj mali chłopcy siedzieli na piasku obok kadłuba. Jeden go skrobał, a drugi malował.

* Obejrzyjcie ją * zachęcił Buziba.

Fargowie okrążyli dawkę, żeby ocenić, w jakim jest stanie. Sam sprawdził szwajcarskim szczyrzykiem spojenia, Remi ostukała drewno w poszukiwaniu próchna. Potem Sam podszedł do rufy i wspiął się po drabince opartej

o pawęż na pokład rufowy. Wrócił po dwóch minutach

i zawołał w dół:

* Żagle są trochę przegniłe!

* Co? * zapytał Buziba.

Ed przetłumaczył, wysłuchał odpowiedzi Buziby i oznajmił:

* Dorzuci nowe za pięćdziesiąt dolarów.
* Jaka jest kabina? * spytała Remi męża.
* Bardzo przytulna. To nie Moevenpick, ale widywaliśmy gorsze.
* A silnik?
* Stary, ale dobrze utrzymany. Powinniśmy wyciągnąć sześć, siedem węzłów.
Remi podeszła do rufy i obejrzała śrubę i wał.
* Założę się, że łożyska są do wymiany.
Ed przetłumaczył, wysłuchał odpowiedzi Buziby i rzekł:
* Mówi, że za następne pięćdziesiąt będziecie mieli to zrobione w dwie godziny.
* Dwadzieścia pięć * targował się Sam. * Niech da mi narzędzia i części, a sam to zrobię.
Buziba wysunął dolną wargę, uniósł podbródek i zastanowił się chwilę.
* Pięćdziesiąt * zdecydował. * Dołożę wodę pitną i jedzenie na dwa dni.
* Na trzy * odparła Remi.
Buziba rozważył propozycję i skinął głową.
* Niech będzie.

Rozdział 16

Ocean Indyjski

Okej, wyłącz go! * zawołał Sam.
Remi przekręciła kluczyk w stacyjce i silnik dawy umilkł. Sam postawił żagle i oboje wstrzymali oddech. Po kilku sekundach wiatr wydał płótno, dziób uniósł się lekko i łódź ruszyła naprzód. Sam przeszedł na rufę i opadł na pokład obok Remi.
* Wystartowaliśmy * powiedział.
* Miejmy nadzieję, że nie będziemy musieli dzwonić do Houston z jakimś problemem * odrzekła i podała mu butelkę wody.
Dawno minęło południe, a oni byli zaledwie pięć mil morskich na północ od Mafii. Bystre oko Remi dostrzegło zużyte łożyska wału śruby, ale dopiero gdy Sam wszystko rozebrał, uświadomili sobie, ile czasu zajmie naprawa. Chłopcy już kończyli malować kadłub i wymieniali żagle, a Sam i Ed wciąż pracowali w cieniu prowizorycznego zadaszania z plandeki.
Kiedy skończyli, zjawił się Buziba z następną gromadką wyrostków, którzy zaniesli dawę do morza. Fargowie sprawdzili silnik i przepłynęli się na próbę po porcie. Godzinę później pomachali Edowi i Buzibie z załadowanej zapasami wody i prowiantu łodzi i odbili od brzegu.
* Kiedy tam będziemy? * zapytała Remi.
Sam przyniósł mapę, którą znaleźli w kabinie. Rozłożył ją na kolanach, spojrzął na wskazania swojego kieszonkowego GPS-u i zaznaczył ich pozycję.
* Zostało nam jeszcze trzydzieści dziewięć mil morskich. Płyniemy z prędkością około pięciu węzłów... Jeśli będziemy żeglować bez przerwy, dotrzemy tam krótko po północy. Ale możemy też gdzieś przenocować i wyruszyć dalej jeszcze przed świtem. Mniej więcej dwanaście mil morskich na południe od Fanjove jest jakaś wyspa bez nazwy.
* Głosuję za tą drugą opcją. Bez radaru prosimy się o kłopoty.
* Zgadzam się z tobą. I tak nie zobaczymy Sukuti wcześniej niż o wschodzie słońca.
Żeglowali jeszcze pięć godzin, przez ostatnią z wiatrem w rufę, i znaleźli bezimienną wyspę, gdy słońce zniknęło za horyzontem. Sam wprowadził dawę do zatoczki i rzucił kotwicę. Remi dała nura do kabiny. Wróciła po kilku minutach z lampą kempingową, kuchenką turystyczną i dwiema puszkami.
* Co pan woli, el capitdn? Pieczoną fasolę czy pieczoną fasolę z frankfurterkami?
Sam pokręcił głową.
* Trudny wybór. Uczcijmy to, że nie zatonęliśmy. Zjedzmy jedno i drugie.
* Słuszna decyzja. A na deser świeże mango.
Zadziwiająco wygodna podwójna koja, słone powietrze i łagodne kołysanie dawy na kotwicy sprawiły,

że zapadli w głęboki, spokojny sen. O czwartej rano zadźwięczał budzik w zegarku Sama. Wstali, zjedli na śniadanie resztę mango, popili je mocną czarną kawą, podnieśli kotwicę i ruszyli w drogę. Początkowo płynęli bardzo wolno z powodu słabego wiatru, ale gdy tuż przed wschodem słońca przybrał na sile, pożeglowali na północ ze stałą prędkością sześciu węzłów i o siódmej zobaczyli Fanjove Północną. Pół godziny później zrównali się z atolem, który pokazywał im Mitchell. Opuścili żagle, odpalili silnik i przez czterdzieści nerwowych minut wybierali drogę między rafami, aż dotarli do południowej strony Małej Sukuti. Remi wypatrzyła zarośniętą namorzynami zatoczkę, gdzie postanowili ukryć łódź. Sam wpłynął tam, wyłączył silnik i pozwolił dawie dryfować, dopóki dziób nie zaklinował się łagodnie między dwoma namorzynami sterczącymi ukośnie z brzegu.

Cisza, jaka zapadła, gdy umilkł miarowo perkoczący silnik, była tak głucha, że dopiero po minucie usłyszeli kakofonię ptasich i owadzych dźwięków dobiegających z dżungli.

Remi przywiązała cumę dziobową do pnia jednego z drzew i dołączyła do Sama na pokładzie rufowym.

* Jaki jest plan? * zapytała.

* Zakładamy, że dzwon jeszcze jest na pokładzie „Njiwy”. To optymistyczne założenie, ale jeśli okaże się słuszne, nie będziemy musieli wchodzić na wyspę. Tak czy inaczej, musimy poczekać do zmroku. Proponuję więc zrobić małe rozpoznanie i urządzić sobie piknik.

* Rozpoznanie i piknik * powtórzyła Remi z uśmiechem. * Randka marzeń każdej kobiety.

W przeciwieństwie do swojej większej imienniczki, Mała Sukuti była mangrowym bagnem i dżunglą z samotnym poszarpanym szczytem wyrastającym pośrodku. Miała zaledwie sto pięćdziesiąt metrów, ale Sam i Remi przekonali się już nie raz, że wspinaczka na taką wysokość trudnymi krętymi szlakami może trwać nawet kilka godzin.

O dziesiątej, już porządnie spoceni, ubłoceni i pokąsani przez owady, wyłonili się z bagna i zapuścili w dżunglę. Przedzierali się na północ, aż dotarli do tego, czego szukali: strumienia. Woda oznaczała obecność zwierząt, a to z kolei oznaczało istnienie ich ścieżek. Po zaledwie kilku minutach znaleźli zwierzęcy szlak prowadzący na północny zachód w kierunku szczytu. Przed pierwszą po południu wydostali się z dżungli i dotarli do stóp wzniesienia.

* Co za ulga * powiedziała Remi, patrząc w górę na piętnastometrową skalną ścianę.

Była do pokonania: stroma, ale z mnóstwem występów i szczelin, które mogli wykorzystać jako uchwyty dla dłoni i oparcie dla nóg. Po krótkim odpoczynku zaczęli się wspinać. Wkrótce dotarli do małej niszy poniżej szczytu. Wyjęli z plecaków lometki, by się rozejrzeć.

* Tam jesteś * mruknął Sam.

Półtora kilometra od nich i trzydzieści metrów poniżej była rezydencja Okafora. Jasnożółty dom z białymi wykończeniami stał na niemal idealnie okrągłym kawałku czerwonawobrazowej ziemi. Z tej odległości mogli dostrzec szczegóły, których nie zauważyli z powietrza. Wzdłuż wschodniej granicy posesji pracowali trzej mężczyźni w zielonych kombinezonach: dwaj wycinali maczetami roślinność, trzeci kosił trawnik. Trzypiętrowa willa miała balkony na każdym piętrze. Na jej tyłach wznosił się maszt z antenami radiowymi i satelitarnymi.

* Popatrz tam * powiedziała Remi.

* Gdzie? * spytał Sam.

* Na dach, wschodni narożnik.

Sam spojrział we wskazane miejsce i zobaczył morską lometę Big Eyes na trójnogu.

* Niedobrze * mruknął. * Na południowym zachodzie mogą wypatrzeć wszystko w odległości dziesięciu mil morskich. Widzisz kabel koaksjalny połączony z obudową?

* Tak.

* Umożliwia zdalne sterowanie i monitorowanie, prawdopodobnie z pomieszczenia kontrolnego w domu. Ale chyba nie mają noktowizora. Dobre i to.

Skierowali lometki na lądowisko helikoptera. Przy białym murze siedział na ogrodowym krzeselku mężczyzna w kombinezonie khaki z kałasznikowem opartym o lewe udo.

* Śpi * stwierdziła Remi.

* To i brak helikoptera oznacza, że szefa nie ma. * Sam popatrzył w inną stronę. * Widzę ruch na „Njiwie”.

* Ja też * odrzekła Remi. * I kogoś znajomego.

Nie sposób było nie rozpoznać charakterystycznej sylwetki i pociągłej twarzy. Rivera stał na pokładzie dziobowym jachtu z telefonem satelitarnym przy uchu. Przez chwilę słuchał, potem skinął głową, spojrział na zegarek, powiedział coś do aparatu i rozłączył się. Odwrócił się w stronę rufy, przyłożył dłoń do ust i coś krzyknął. Dziesięć sekund później Nochtli i Yaotl przebiegli truchtem pod łukiem na odkrytym pokładzie z lewej burty. Zatrzymali się przed Riverą, słuchali go przez kilka minut, a następnie oddalili się w pośpiechu.

* Wygląda na to, że przekazał im jakieś rozkazy z góry * spostrzegł Sam. * Miejmy nadzieję, że w sprawie dzwonu.

* Naszego dzwonu * uściśliła Remi z uśmiechem.

* Podoba mi się twój sposób myślenia. Policzmy ochroniarzy.

Wyszło im, że jest czterech: jeden na lądowisku helikoptera, drugi patrolował drogę do przystani, a dwóch przechadzało się wokół ogrodzenia willi. O ile żadnego nie przeoczyli, nikt nie obserwował podejść do wyspy.

* Nie możemy zapominać o Riverze i jego dwóch sługusach * powiedział Sam. * Prawdopodobnie mieszkają na jachcie. Jeśli tak, trzeba znaleźć jakiś sposób, żeby ich stamtąd wyciągnąć.

* To nie będzie łatwe. Zadali sobie tyle trudu, żeby zdobyć dzwon, że pewnie przy nim śpią.

Resztę popołudnia spędzili, rysując szczegółową mapę wyspy i rozkoszując się piknikiem, chociaż musiały im wystarczyć owoce, orzechy i butelkowana woda. Krótco po piątej usłyszeli słaby warkot na wschodzie. Skierowali lometki w tamtą stronę i wkrótce zobaczyli czarny śmigłowiec z ciemnymi szybami. Eurocopter EC135 Ambonisyse Okafora przeleciał nad wyspą i zatoczył krąg, jakby człowiek na pokładzie podziwiał swoje królestwo. Gdy pilot posadził maszynę na lądowisku, dyżurny ochroniarz stał już wyprężony jak struna, z kałasznikowem na piersi. Rotory przestały się obracać, boczne drzwi helikoptera otworzyły się i z helikoptera wyszedł wysoki, szczupły Afrykanin w starannie wyprasowanym białym gamiturze i lustrzanych okularach przeciwsłonecznych.

* Koniec luzu * skomentował Sam. * Tata wrócił.

* Nasz gospodarz najwyraźniej chodził do szkoły mody Idi Amina * zauważyła Remi. * Założę się, że ma pełną szafę takich gamiaków.

Sam się uśmiechnął.

* Ale kto zaryzykuje wytknięcie mu, że jest banalny? Okafor zasalutował ochroniarzowi i przeciął lądowisko.

Kiedy doszedł do ścieżki, zatrzymał się przed nim elektryczny wózek golfowy. Wsiadł i wózek ruszył w stronę willi.

* Zaraz zobaczymy, czy powrót Okafora spowoduje, że coś się zadzieje * powiedział Sam.

Po dziesięciu minutach wózek zjechał ze wzgórza, skręcił w drogę do przystani i zatrzymał się przy jachcie. Rivera zszedł po trapie, usiadł na miejscu pasażera i wózek zawiózł go do willi.

Rivera spędził tam dwadzieścia minut, po czym wrócił na „Njiwę”. Fargowie nie odrywali wzroku od jachtu. Minęło pięć minut, dziesięć, dwadzieścia. Nic się nie działo.

* Jestem rozczarowana * powiedziała Remi i zerknęła na męża. * Widzę, że coś kombinujesz. Masz jakiś plan?

Fargowie uzupełniali się wzajemnie podczas planowania ryzykownych przedsięwzięć. On układał plan, a ona analizowała, wskazując wszelkie niedociągnięcia, dopóki oboje nie uznali, że jest wykonalny. Jak dotąd, ta metoda świetnie się sprawdzała.

* Prawie * odparł Sam. Opuścił lometkę i zerknął na zegarek. * Wracajmy na dół. Za cztery godziny będzie ciemno.

Droga powrotna była łatwiejsza, częściowo dlatego, że nie musieli się zmagać z grawitacją, a częściowo dlatego, że już przetarli szlak. Dotarwszy na poziom morza, okrążyli namorzynowe bagno w kierunku południowym, na plaży znów skręcili na północ, a ostatnie pół kilometra przepłynęli. Zbliżali się do wylotu zatoczki, gdy Remi zatrzymała się i szepnęła:

* Coś słyszę.

Po chwili Sam też usłyszał słaby warkot silnika gdzieś na prawo od nich. Odwrócili się i zobaczyli motorówkę Rinker wyłaniającą się zza odległego o sto metrów cypla. Jeden mężczyzna sterował, a drugi stał za nim i obserwował brzeg przez lometkę.

* Głęboki wdech! * powiedział Sam.

Oboje nabrali powietrza do płuc, zanurkowali i popłynęli żabką w stronę zatoczki. On dotarł do brzegu pierwszy. Zaciśnął dłoń na wystających z błota korzeniach, odwrócił się, chwycił żonę za rękę i przyciągnął do siebie. Wskazał w górę, gdzie platanina zwiedłych krzewów unosiła się na wodzie. Wynurzyli się i rozejrzeli.

* Słyszysz silnik? * rzucił cicho Sam.

* Nie... Zaczekaj, widzę ich. * Remi wskazała głową.

Sam spojrzał w tamtą stronę i zobaczył rinkera stojącego jakieś piętnaście metrów od nich. Silnik kaszlnął, zarzęził i umilkł. Sternik spróbował go uruchomić, ale bez skutku. Walnął pięścią w koło sterowe. Jego partner przeszedł na rufę, przyklęknął i uniósł pokrywę silnika.

* Problem z silnikiem * szepnął Sam. * Oby drobny.

Fargowie wiedzieli, że jeśli mężczyźni sobie nie poradzą, będą musieli wezwać pomoc, a wtedy oni zostaną uziemieni na jakiś czas.

* Trzymaj kciuki * odszepnęła Remi.

Na pokładzie rinkera mężczyzna z lometką powiedział coś do sternika, który znów włączył rozrusznik. Silnik nie zaskoczył.

* Świeca * mruknął Sam.

Kątem oka dostrzegł, jak Remi wolno unosi głowę. Odwrócił się twarzą do niej, powiódł wzrokiem za jej spojrzeniem i w odległości niecałych piętnastu centymetrów zobaczył dwoje paciorkowatych brązowych oczu. Mrugnęły raz, potem lekko się zwężyły. Dopiero po chwili uświadomił sobie, co widzi.

* Małpa * szepnął.

* Wiem, Sam, zauważyłam.

* Kapucynka?

* Chyba gereza. Młoda.

Od strony rinkera znów dobiegł odgłos rozrusznika. Tym razem silnik zaskoczył, zadławił się, a potem zaczął pracować równo na wolnych obrotach. Hałas sprawił, że gereza gwałtownie poderwała łepkę i zaciśnęła łapki na gałęziach. Potem znowu popatrzyła w dół na Fargów.

* Spokojnie, mała... * przemówiła łagodnie Remi. Małpka zaczęła wrzeszczeć i potrząsać gałęziami tak mocno, że posypały się liście.

Sam schylił głowę i spojrzał przez zarośla. Mężczyźni na pokładzie rinkera stali z karabinami wycelowanymi

w ich kierunku. Rozległ się huk i jedna z luf błysnęła ogniem. Pocisk przeleciał przez roślinność nad głowami Fargów. Gereza wrzasnęła głośniejsze i jeszcze mocniej szarpnęła gałęziami. Sam odnalazł pod wodą rękę Remi i ścisnął ją.

* Czy oni... * wymamrotała.

* Nie sądzę. Szukają czegoś na lunch.

Kolejny strzał, znów małpi wrzask i potrząsanie gałęziami.

Chwila ciszy, a potem szelest. Małpa rzuciła się do ucieczki.

* Skręcają w naszą stronę * szepnął Sam. * Przygotuj się do głębokiego wdechu.

Patrzyli przez zarośla, jak dziób rinkera obraca się w ich kierunku. Motorówka zaczęła sunąć naprzód i wolno zmniejszała dystans. Mężczyzna stojący obok sternika opierał karabin na ramie przedniej szyby.

* Czekaj... * wychrypiął Sam. Kiedy rinker był w odległości pięciu metrów, rozkazał: * Głęboki wdech i pod wodę.

Zanurzyli się i zaczęli cofać wzdłuż brzegu, szukając uchwytów dla dłoni. Kiedy ich stopy zagłębiły się w błocie, wystawili głowy nad powierzchnię. Dziób rinkera wbijał się w stertę zarośli. Usłyszeli przytłumione głosy, potem trzask gałęzi.

Po niemal minucie śruba rinkera zawirowała wstecz, tworząc kipiela pod rufą. Gdy dziób się obrócił i łódź zaczęła się oddalać, Fargowie się wynurzyli.

* Nie dopadli jej, prawda? * zapytała Remi. Sam uśmiechnął się do żony.

* To rozumiem. Miłośniczka zwierząt do samego końca. Nie, nie dopadli jej, uciekła. My też się stąd wynośmy.

Wyspa Sukuti

Tam! * zawołała Remi z dziobu. * Maszyny stop! Mała wstecz.

Sam nic nie widział z za masztu. Przesunął przepustnicę na pozycję biegu jałowego, pozwolił dawie przepłynąć kawałek w dryfie, a potem odwrócił kierunek obrotu śruby i cofnął się wolno wokół cypla, który okrążali.

* Dobrze * oceniła Remi. * Są około mili morskiej przed nami. Za jakieś dziesięć minut skręcą na północ.

Czterdzieści minut wcześniej wyciągnęli dawę na brzeg w zatoczce i natychmiast ruszyli w drogę. Mieli nadzieję, że rinker wraca wzdłuż południowego wybrzeża Sukuti do przystani Okafora, bo planowali podejście wokół północnej strony wyspy. Chcieli jak najszybciej dotrzeć do stosunkowo bezpiecznego miejsca, jakim był przesmyk oddzielający Małą Sukuti od Dużej Sukuti * pod warunkiem że nie leżał na trasie rinkera.

Gdyby wybrali krótszą trasę wzdłuż południowego wybrzeża, byłiby odsłonięci i ktoś mógłby ich zauważyć. Płynąc przesmykiem na północ, a potem wokół brzegu na zachodnią stronę, byli widoczni tylko dla kogoś stojącego na szczycie skarpy.

Teraz siedzieli w milczeniu, obserwując zachód słońca. Gdy zniknęło za horyzontem, Remi spojrzała na zegarek i zarządziła:

* Mała naprzód.

Sam uruchomił silnik, zwiększył obroty i ostrożnie wyprowadził dawę z osłony. Remi położyła się na dziobie i zlustrowała brzeg przez lometkę.

* Nie ma ich * oznajmiła. * Droga wolna.

Sam pchnął przepustnicę i dawę wyrwała naprzód. Po dziesięciu minutach Remi zawołała:

* Jest!

Sam wychylił się za reling i zobaczył w odległości kilkuset metrów wylot przesmyku. Kanał, szerokości około piętnastu metrów, wyglądał jak tunel. Brzegi porastała dżungla, korony drzew tworzyły nad wodą sklepienie z wąskim pasem nieba pośrodku.

Sam obrócił koło sterowe w prawo. Łódź skręciła.

Remi przeszła na rufę, dała nura pod bom i opadła na pokład obok męża.

* Rejs przez dżunglę * mruknęła.

* Słucham?

* Ten przesmyk przypomina mi rejs przez dżunglę w Disney Worldzie. Pamiętasz?

Sam zachichotał.

* Moja ulubiona przejażdżka z dzieciństwa.

* To nadal jest twoja ulubiona przejażdżka * stwierdziła Remi.

* Fakt.

Gdy zbliżyli się do wylotu przesmyku na odległość stu metrów, poczuli, jak dawę drży pod ich stopami. Prędkość wzrosła o pięć węzłów w tyle samo sekund.

* Dobre tempo * powiedziała Remi. Doświadczywszy siły prądu u wybrzeży Zanzibaru,

Sam spodziewał się, że tu będą takie same warunki * przesmyk ciągnący się wzdłuż brzegu stawał się za sprawą prądu hydrauliczną próżnią, wsysającą ocean od południa i wypluwającą go na północ.

Wyłączył silnik, by oszczędzać paliwo, i mocniej ścisnął koło sterowe.

* Przynajmniej nie musimy się obawiać, że wpadniemy na mieliznę * wyjaśnił żonie. * Prąd wyżłobił wystarczająco głęboki rów.

Dawę gwałtownie skręciła i rufa uciekła w bok. Sam skontrował w prawo, potem w lewo i dziób znalazł się w jednej linii z wylotem przesmyku. Remi chwyciła się relingu i wychyliła za burtę.

* Jak szybko płyniemy? * spytała.

* Dziesięć, dwanaście węzłów * odparł Sam. Tak blisko powierzchni wody prędkość wydawała się znacznie większa. * Lepiej przejdź na dziób. Będą mi potrzebne twoje oczy.

Remi wykonała polecenie i zawołała:

* Jeszcze pięćdziesiąt metrów! Tak trzymaj!

Sam zobaczył z prawej burty, jak ponadmetrowa fala przetacza się przez odsłoniętą piaszczystą

łachę. Obrócił koło sterowe o kilka stopni, żeby ustawić dławę dziobem do niej. Uderzyła w dziób z prawej burty i odepchnęła dławę w bok. Łódź zaczęła schodzić z kursu. Sam zakręcił kołem mocno w prawo i kontrował, dopóki fala się nie przetoczyła i dziób nie wrócił na kurs.

* Wygląda nieźle, tak trzymaj! * krzyknęła Remi. * Jeszcze dwadzieścia metrów.

Sam wychylił się za reling na sterburcie i spojrzał w dół. Indygowa woda miała głębokość dziesięciu do dwunastu metrów, ale dwa metry w prawo zobaczył, że przez turkusową toń przeświecało białe piaszczyste dno. Przechylił się w lewo i zobaczył to samo.

* Nie mamy dużo miejsca! * zawołał w kierunku dziobu. * Jak to wygląda u ciebie?

* Jest jeszcze wężiej. Chcesz trochę wyhamować?

* Jasne.

Remi odwróciła się na brzuchu, wyciągnęła kotwicę z uchwytu, wyrzuciła ją za burtę i popuszczała linę, aż poczuła, że pazury suną po dnie. Wybrała kilka centymetrów liny i przywiązała ją do relingu dziobowego. Dawa zaczęła zwalniać i wkrótce poruszali się zrywami.

* Dziesięć metrów! * oznajmiła Remi.

A potem, jakby nagle nastąpiło zaćmienie słońca, łódź wpłynęła do przesmyku. Z obu stron otoczyły ich ściany zieleni; w górze pozostała tylko postrzępiona wstęga błękitnego nieba. Wylot przesmyku zdawał się zamykać jak diafragmowe drzwi na statku kosmicznym.

* Zakręć * ostrzegła Remi. * Pod kątem czterdziestu pięciu stopni w prawo.

Sam spojrzał przed siebie.

* Daj sygnał.

* Trzy... dwa... jeden... Teraz!

Sam przekręcił koło sterowe o ćwierć obrotu w lewo.

* Zakręć w prawo! * krzyknęła Remi. Sam znów obrócił koło.

* Tak trzymaj! * odezwała się znowu Remi. Minęło kilka sekund. * Okej, zacznij odbijać z powrotem w lewo. Dobrze... jeszcze trochę... Wystarczy. Prostu.

Jakby na zawołanie, prąd osłabł i dawa zwolniła do tempa pieszego. Przesmyk trochę się rozszerzył i po obu stronach zrobiło się prawie pięć metrów zapasu.

* Podnieś kotwicę! * zawołał Sam. * Chyba już jest w porządku.

Remi wciągnęła danfortha i wróciła do kokpitu. Z brzegów dochodziły wieczorne odgłosy dżungli: skrzeczenie papug, rechot żab i bzyczenie owadów.

* Jak tu spokojnie * zauważyła Remi, gdy się rozejrzała. * Trochę strasznie, ale spokojnie.

Sam wziął mapę ze schowka i rozłożył ją na dachu kabiny. Gdy Remi włączyła latarkę, powiódł palcem wskazującym wokół konturu wyspy.

* Trzeba zmierzyć obwód.

Remi wyjęła cyrkiel i okrążyła nim wybrzeże, od czasu do czasu zaznaczając ołówkiem cyple i punkty orientacyjne. Potem zrobiła obliczenia na marginesie.

* Duża Sukuti ma mniej więcej czterdzieści i pół kilometra, a Mała Sukuti około ośmiu.

* Dotrzemy do przeciwległego wylotu przesmyku za jakieś dwadzieścia minut * powiedział Sam. * Jeśli rinker jest jeszcze na patrolu, to będzie mijał północną stronę przesmyku za mniej więcej czterdzieści. Jeżeli się nie pojawi, będzie to oznaczało, że w nocy albo wcale nie ma patroli, albo są co kilka godzin.

* W tym drugim wypadku * odparła Remi * możemy się na nich natknąć gdzieś wzdłuż wybrzeża.

Miejmy nadzieję, że zobaczymy ich wcześniej niż oni nas.

Sam skinął głową i poprosił:

* Wyszukaj wszystkie zakamarki wzdłuż wybrzeża. Musimy być przygotowani do natychmiastowego ukrycia się.

Zajęło to Remi dziesięć minut.

* Jest ich mnóstwo * stwierdziła, gdy skończyła * ale nie podano głębokości. Tylko w kilku przypadkach mam pewność, że jest wystarczająca dla naszego zanurzenia.

* Będziemy więc improwizować.

* A co z twoim planem?

* Przykro mi, ale nie mam żadnego * odrzekł Sam. * Jest zbyt dużo zmiennych. Musimy zakładać, że zabiorą stąd dzwon raczej prędzej niż później i albo dokąds go przetransportują, albo gdzieś

wyrzucą. Mają do wyboru jeden z rinkerów, „Njiwę” i śmigłowiec Okafora. Zaczniemy od „Njiwy”. Cokolwiek zamierzają, tam będzie dzwon, dopóki nie postanowią go przemieścić. Jeśli wykorzystają do tego rinkera albo „Njiwę”, to włożymy nasze pirackie kapelusze i dokonamy porwania.

* A jeśli helikopter?

* Tak samo. Tylko włożymy szaliki lotnicze.

* O ile wiem, mój drogi, nie wylatałeś wielu godzin helikopterami.

* Nie, ale myślę, że dam radę przelecieć te cztery czy pięć mil morskich do kontynentu. Będziemy po drugiej stronie cieśniny w ciągu sześciu minut, zanim zdążą zorganizować pościg. Znajdziemy jakąś ustronną polanę, wylądujemy i...

Remi się uśmiechnęła.

* Będziemy improwizować?

Sam wzruszył ramionami i odwzajemnił uśmiech.

* Tylko to nam pozostanie * przyznała * ale pominąłeś mnóstwo potencjalnych zagrożeń.

* Wiem.

* Na przykład: a jeśli nas zauważą? Mają przewagę ogniową i liczebną.

* Wiem.

* I najważniejsza ewentualność: a jeśli już zabrali dzwon?

Sam rozłożył ręce.

* To gra jest skończona * odparł. * Jeśli nie przechwycimy go tutaj, przepadnie na dobre. Remi, jesteśmy demokracją. Jeżeli decyzja nie będzie jednomyślna, zrezygnujemy.

* Wchodzę w to, ale pod jednym warunkiem.

* Mianowicie?

* Że jakoś się zabezpieczymy.

Słońce zachodziło, gdy wylot przesmyku pojawił się w ich polu widzenia: owal złocistopomarańczowego światła na końcu tunelu. Kiedy byli w odległości trzech metrów, Remi skierowała dawkę w stronę prawego brzegu i manipulowała przepustnicą, dopóki nie ulokowali się pod zwisającymi konarami. Sam wszedł na dach kabiny i zasłonił grubszymi gałęziami maszt i bom. Przeczłogał się na dziób i popatrzył przez roślinność.

* Mam wspaniały widok! * zawołał. Słońce schowało się za Dużą Sukuti. Na zachodniej części wyspy i w przesmyku zapadł zmierzch. * Jeśli robią następne okrążenie, będą tu za piętnaście do dwudziestu minut.

* Spakuję nasz sprzęt i zrobię małe przeszukanie * odparła Remi i zeszła pod pokład.

Sam słyszał, jak porusza się w kabinie. Gdy wróciła do kokpitu, usiadła i zaczęła nucić Summer Wind Franka Sinatry. Potem wzięli na tapetę Hotel California grupy Eagles i In the Midnight Hour Wilsona Picketta. Byli w połowie Hey Jude Beatlesów, kiedy Sam uniósł rękę, nakazując milczenie.

Minęło dziesięć sekund.

* Co jest? * zapytała Remi.

* Chyba nic. Nie, tam... Słyszysz to?

Remi nastawiła uszu i po chwili dotarł do niej słaby warkot silnika.

* Brzmi znajomo.

* Zbliży się z północnego zachodu. Nasi goście mogą być w drodze.

Z trzech scenariuszy, które rozważali * opóźniony drugi patrol, napotkanie rinkera wzdłuż północnego wybrzeża i przepłynięcie pierwszego patrolu, zanim wydostaną się z przesmyku * ten ostatni był idealny. Znając trasę i przeciętną prędkość rinkera, mogli się zorientować, gdzie jest ich przeciwnik w danym momencie. Gdyby nie zaszły żadne nieprzewidziane okoliczności, dotarliby do przystani na długo przed rinkerem.

Sam wpatrywał się przez lometkę w cypel oddalony

o ćwierć mili morskiej. Warkot silnika narastał, aż w końcu ukazał się dziób rinkera. Jak można się było spodziewać, sternikowi towarzyszył obserwator, a łódź skręciła na południowy wschód. Rozbłysnął szperacz.

* Wszystko gra * powiedział Sam na wpół do siebie, na wpół do żony. * Nie zobaczą nas, chyba że tu podpłyną.

* Szansę?

* Dziewięćdziesiąt pięć procent. No, może dziewięćdziesiąt.

* Sam...

* Wszystko gra * powtórzył. * Pochyl nisko głowę i zaciśnij kciuki.

Rinker się zbliżał. Był już sto metrów od przesmyku

i kierował się prosto na nich. Światło szperacza prześlizgiwało się po brzegu.

* Nie fatygujcie się, chłopcy * mruknął Sam. * Tu nic nie ma... Płyńcie dalej...

Rinker zmniejszył dystans do pięćdziesięciu metrów. Potem do czterdziestu.

Gdy znalazł się w odległości trzydziestu metrów, Sam sięgnął do kieszeni szortów po H&K. Położył broń na

pokładzie i odbezpieczył. Rinker był w odległości dwudziestu metrów.

* Lepiej zejdź pod pokład * szepnął do Remi.

* Sam...

* Proszę cię.

Poczuł lekkie kołysanie dawy, gdy Remi schodziła po drabince.

Opuścił lometkę, wytarł prawą dłoń o nogawkę spodni, chwycił pistolet, wysunął lufę przez gałęzie i wycelował w ciemną postać za sterem rinkera.

Rozegrał wszystko w wyobraźni: najpierw sternik, potem szperacz, potem drugi mężczyzna, zanim zdąży się schować lub odpowiedzieć ogniem. Dwa strzały do każdego, przerwa i czekanie na oznaki życia.

Rinker był już bardzo blisko.

Sam wziął głęboki oddech.

Nagle silnik rinkera zwiększył obroty. Dziób się uniósł, skręcił w lewo i po pięciu sekundach łódź zniknęła z widoku.

Sam odetchnął. Zastukał dwa razy w dach kabiny i po chwili usłyszał szept Remi:

* Czysto?

* Tak. Spójrz na mapę. Kiedy miną północny kraniec Małej Sukuti?

Rozległ się szelest papieru, potem zgrzyt ołówka.

* To trochę ponad milę * odrzekła Remi. * Za dwadzieścia pięć minut powinniśmy mieć wolną drogę.

Dla bezpieczeństwa odczekali pół godziny, zanim wypłynęli z przesmyku. Przez następne czterdzieści minut sunęli wzdłuż północnego wybrzeża, nie oddalając się więcej niż piętnaście metrów od plaży i nie przekraczając prędkości trzech węzłów, żeby nie hałasować.

Remi pochylała się nad mapą i trzymając latarkę ołówkową w zębach, mierzyła cyrklem odległości. W pewnej chwili podniosła wzrok i wyjąwszy latarkę z ust, powiedziała:

* Rinker powinien być przy południowym krańcu Małej Sukuti. Mamy nad nimi co najmniej dwadzieścia minut przewagi.

Dotarli do północnego krańca Dużej Sukuti, zatrzymali się, żeby zlustrować przez lometkę wybrzeże przed nimi, i ruszyli dalej.

* Do przystani została nam niecała mila * oznajmiła Remi.

* Robimy tam postój? * zapytał Sam.

* Czemu nie?

Gdy po kilkunastu minutach dotarli do przystani, Sam zwolnił, a Remi obserwowała brzeg.

* Tutaj będzie dobrze * stwierdziła wreszcie i przeszła na dziób.

Sam skręcił w lewo, wycelował dziób w plażę i stosował się do wskazówek żony, dopóki nie zawołała:

* Maszyny stop!

Cofnął przepustnicę, wziął z pokładu ich plecaki i dołączył do Remi na dziobie. Gdy przerzuciła nogi przez burtę, chwycił ją za nadgarstki, postawił w wodzie sięgającej pasa i podał jej plecaki.

* Chodź tu * rozkazała.

* Co?

* Powiedziałam, chodź tu.

Sam uśmiechnął się i wychylił za burtę tak, żeby mogła pocałować go w policzek.

* Bądź ostrożny * szepnęła. * Nie wolno ci utonąć.

* Będę o tym pamiętał. Do zobaczenia za kilka minut.

Sam dał wsteczny bieg, obrócił dziób, odpłynął kilkaset metrów od brzegu, wyłączył silnik i rzucił

katwicę. Oceniał, że ma piętnaście metrów wody pod kilem. Zszedł pod pokład i otworzył wszystkie pięć zaworów w dnie dawy. Kiedy woda sięgnęła mu do łydek, wrócił na górę i wyskoczył za burtę. Pięć minut później stanął na płyciźnie i wyszedł na brzeg, gdzie czekała Remi.

Oboje patrzyli, jak dawa się zanurza i znika pod powierzchnią.

Sam zasalutował tonącej łodzi i zwrócił się do żony:

* Gotowa? Skinęła głową.

* Prowadź.

Rozdział 18

Duża Sukuti

Szli w milczeniu przez piętnaście minut, trzymając się twardszego mokrego piasku, aż dotarli do wypiętrzenia skalnego o wysokości ponad sześciu metrów, które przedzielało plażę. Sam wdrapał się na śliską skałę, znalazł płaskie miejsce poniżej grzbietu, odwrócił się i przywołał gestem Remi.

Oboje wystawili głowy nad skałę. W odległości kilkuset metrów zobaczyli nabrzeże wrzynające się w wodę. Po jednej stronie wciąż cumowała „Njiwa”; żółty blask świateł w jej kabinie przenikał przez cienkie zasłony. Naprzeciwko stały dwa rinkery. Nie było ani śladu sterników i pasażerów motorówek.

* Musieli ściąć kilka zakrętów, skoro wrócili tak szybko * powiedziała Remi.

* Pewnie ostro prują wzdłuż południowego wybrzeża * odparł Sam. * Mają na dachu tę lometę, którą widzieliśmy wcześniej, więc nikt się nie podkradnie z tamtej strony.

* Przynajmniej wiemy, gdzie wszyscy są * stwierdziła. * Nie widzę żadnego ruchu, a ty?

* Też nie. Mamy do wyboru łąd albo wodę.

* Na zboczach jest dużo luźnych kamieni, za to żadnej osłony * zauważyła Remi.

* Masz rację. Czyli woda.

* Jak się dostaniemy na pokład „Njiwy”?

Sam przyjrzał się przez lometkę drabince jachtu. Miała niecałe półtora metra wysokości, a jej szczyt był przymocowany do pokładu dokładnie na wprost przesuwanych drzwi kabiny.

* Nie po drabince * rzekł i zastanawiał się chwilę. * W kabinie dawy widziałem dryfkotwę...

Remi sięgnęła przez ramię i poklepała swój plecak.

* Jest tutaj. Prowizoryczny hak abordażowy?

* Czytasz w moich myślach. Zaczepimy ją za reling na rufie i podciągniemy się.

Zeszli ze skały i popłynęli żabką prostopadle do plaży. Pokonawszy pięćdziesiąt metrów, skierowali się na południe i zrównali z nabrzeżem.

* Coś się dzieje? * zapytał Sam.

* Nic.

* Bierzemy kurs na rinkera.

Ruszyli dalej i wkrótce dotarli do pawęży motorówki. Przez chwilę nasłuchiwali i obserwowali. Z kabiny „Njiwy” dochodziły przytłumione głosy, a potem rozległo się uderzenie. Cisza. Znowu uderzenie.

* Ktoś coś przybija * szepnął Sam. * Dotknij silnika. Remi przyłożyła wierzch dłoni do silnika zaburtowego motorówki.

* Zimny * oznajmiła. * Ale dlaczego?

* Zaczekaj tutaj * rzucił cicho Sam. * Czas na naszą polisę ubezpieczeniową.

Nabrał powietrza, zanurkował i dopłynął wzdłuż pierwszego rinkera do jego bliźniaka z przodu.

Chwytał się nadburcia, podciągnął na wysokość brody i rozejrzał. Żadnego ruchu. Wdrapał się na pokład i podczołgał do siedzenia sternika. Sprawdził, czy w stacyjce są kluczyki. Nie zaskoczył go ich brak. Przetoczył się na plecy, otworzył właz serwisowy pod deską rozdzielczą i wpełzł do środka.

Zapalił latarkę ołówkową i przyjrzał się wiązce kabli.

* Jak za starych czasów * mruknął.

Pięć miesięcy wcześniej robił to samo w innej motorówce na jeziorze w Alpach Bawarskich. Na szczęście instalacja elektryczna rinkera była równie prosta: zapłon, wycieraczki, światła pozycyjne i sygnał dźwiękowy. Odciął szwajcarskim scyzorykiem kawałek każdego przewodu, zwinął je w kłębek,

wyrzucił za burtę, wypełził z powrotem na zewnątrz i zamknął właz. Doczołgał się do nadburcia, stoczył do wody i wrócił do Remi.

* Jeśli wszystko pójdzie dobrze * powiedział * uciekniemy tą motorówką. Złapiemy dzwon, unieruchomimy „Njiwę”, przyniesiemy dzwon tutaj...

* Jak?

* Jakoś sobie poradzę. Później będziemy się martwić o przepuklinę. Przyniesiemy dzwon i wymkniemy się stąd, zanim ktokolwiek się zorientuje, co się stało.

* A jeśli wszystko pójdzie źle? Nieważne, już wiem. Będziemy improwizować.

Dopiero gdy dopłynęli do rufy „Njiwy”, zdali sobie sprawę, jak duży jest to jacht. Reling rufowy był trzy metry powyżej linii wody. Remi wyjęła dryfkotwę dawy z plecaka. Sam ją obejrzał.

* Za krótka * szepnęła żonie do ucha i pokazał jej gestem, żeby płynęła za nim.

Gdy wrócili do pawęży rinkera, oznajmił:

* Czas na plan B. Spróbuję wejść po drabince. * Remi otworzyła usta, ale nie dał jej dojść do słowa. * To jedyny sposób. Jeśli skoczę z nabrzeża, narobię za dużo hałasu. Wdrap się do rinkera i bądź gotowa do startu.

* Nie.

* Jeśli mnie złapią, uciekaj.

* Powiedziałam...

* Uciekniesz, wrócisz do cywilizacji i zadzwonisz do Rube'a. On będzie wiedział, co zrobić. Jeśli Rivera cię tu nie zobaczy, pomyśli, że właśnie kontaktujesz się z władzami. Nie zabije mnie, przynajmniej nie od razu. Dobrze wie, że z trupami jest więcej kłopotu niż to warte. Remi zmarszczyła brwi.

* Nazwijmy to planem C * powiedziała. * Plan B zakładał, że nie zostajesz złapany. Wpakowaliśmy się, Sam.

* Wiem. Miej oczy otwarte. Zasygnalizuję ci, czy jest czysto. Rozczapierzone palce w górze to znak, że możesz bezpiecznie przyjść; uniesiona pięść, że masz zostać, gdzie jesteś.

Zdjął koszulę i buty, włożył do swojego plecaka i wręczył go Remi.

* Co ty robisz? * spytała.

* Z ubrania kapie woda, a podeszwy piszczą * wyjaśnił.

* Chodzisz po kryjomu na kurs komandosów?

* Nie, po prostu oglądam Military Channel. Pocałował ją, zanurkował, przepłynął pod rinkerem i wynurzył się przy nabrzeżu. Nabrał powietrza, znów dał nura pod wodę i po chwili znalazł się obok białego kadłuba „Njiwy”. Skierował się pod drabinką ku dziobowi, a potem zatrzymał. Z kabiny dochodziły przytłumione męskie głosy. Dwa, może trzy. Natężył słuch, żeby wyłowić jakieś słowa, ale nie zdołał. Podciągnął się na nabrzeże, położył płasko i chwilę nasłuchiwał. Potem wstał i wspiął się po drabince. Przystanął poniżej ostatniego szczebla i wyciągnął szyję. Nikogo nie zobaczył, więc wczołgał się na pokład, podniósł i przywarł do przegrody.

Przesuwne drzwi otworzyły się i na pokład padł prostokąt żółtego światła. Sam przekradł się szybko wzdłuż przegrody za przedni narożnik nadbudowy i wziął kilka uspokajających oddechów.

Na pokładzie rozległy się kroki. Drzwi znów się zasunęły i ktoś zszedł po drabince. Sam się wychylił z ukrycia i spojrzał w stronę rufy. Pusto. Zbliżył się ostrożnie do relingu i popatrzył w dół. Jakiś mężczyzna szedł nabrzeżem, gdzie na małej polanie stał zielony spalinowy wózek platformowy Cushman, a za nim biały wózek golfowy. Przed nimi alejka skręcała w stronę lądowiska helikoptera i domu.

Mężczyzna pochylił się nad cushmanem, wziął grabie i dwie łopaty i rzucił je w krzaki przy ścieżce.

* Robi miejsce dla ładunku * mruknął Sam. Uniósł pięść na znak, że Remi ma się nie ruszać, po czym się schylił i wrócił pod przegrodę.

Kroki zadudniły na drewnianym nabrzeżu, potem na drabince; przesuwne drzwi otworzyły się i zamknęły. Po trzech minutach znów się odsunęły. Sam usłyszał odgłosy uderzeń młotkiem, stękania i dźwięk ciągnięcia czegoś ciężkiego po pokładzie. Wyjrzał zza rogu i zobaczył w świetle z drzwi kabiny trzech mężczyzn: Riverę, Nochtiego i Yaotla. Między nimi stała skrzynia mniej więcej takiej samej wielkości jak atrapa, którą zrobił na Zanzibarze.

Yaotl, największy z trójki, zszedł po drabince, a Rivera i Nochtli popchnęli skrzynię. Sam schował się i słuchał, jak znoszą ją po drabince na nabrzeże. Potem podkradł się do relingu i zerknął za burtę.

Nochtli i Yaotl nieśli skrzynię za sznurowe rączki, a Rivera szedł kilka kroków z tyłu. Gdy cała trójka dotarła do polany, skrzynia spoczęła na platformie cushmana.

Rivera powiedział coś po hiszpańsku. Sam rozpoznał tylko pojedyncze słowa: „weźcie... helikopter... tu... niedługo”.

Silnik cushmana ożył. Muszle na ścieżce zachrząściły pod oponami. Gdy po kilku sekundach warkot silnika umilkł w oddali, Sam zaryzykował zerknięcie nad relingiem. Rivera szedł nabrzeżem w kierunku drabinki. Sam cofnął się pod przegrodę i ukrył. Rivera wspiął się po drabince i wszedł do kabiny. Sam rozważył, jakie ma możliwości. Nie uśmiechała mu się walka z Riverą, wyszkolonym zabójcą, ale wiedział, że jeśli Meksykanin wsiądzie do helikoptera, maszyna odleci z dzwonem na pokładzie. Co ważniejsze, następne działania jego i Remi byłyby łatwiejsze po wyeliminowaniu Rivery. Użycie pistoletu nie wchodziło w rachubę, bo hałas mógłby zaalarmować ochroniarzy. Musiał to rozegrać inaczej.

Wziął głęboki oddech i podkrał się wzdłuż przegrody do przesuwanych drzwi. Powtórzył w myślach kolejne kroki, przycisnął kciuk do klamki i pchnął je. Odsunęły się z sykem.

* Nochtli? Yaotl? * zawołał z kabiny Rivera.

Sam dał pół kroku w tył, zacisnął prawą dłoń w pięść i uniosł rękę.

Cień przesłonił światło w kabinie. Zza ościeżnicy wyłonił się nos Rivery, potem podbródek i oczy. Sam zadał cios, celując w skroń, ale Rivera wykazał się refleksem i błyskawicznie odwrócił głowę. Pięść Sama ześliznęła się po jego skroni. Natychmiast wpadł do środka i kątem oka dostrzegł, że Rivera sięga po coś za plecy.

Lata uprawiania dżudo zrobiły swoje. Sam odruchowo ocenił postawę rywala i znalazł jego słaby punkt. Rivera, wciąż lekko zszokowany, opierał się o przegrodę i starał pozbierać, koncentrując cały swój ciężar na lewej nodze. Sam wykonał deashi*harai * zagarnięcie stopą * które trafiło Riverę tuż poniżej lewej kostki. Stracił równowagę i osunął się w dół przegrody, ale wyciągnął rękę zza pleców. Sam zobaczył w niej pistolet. Sięgnął w górę, złapał Riverę za nadgarstek i walnął jego dłonią w przegrodę. Usłyszał trzask kości. Broń upadła na dywan.

Z palcami wciąż zaciśniętymi na nadgarstku przeciwnika Sam dał długi krok w tył, obniżył środek ciężkości, obrócił biodra i rzucił Riverę płasko na podłogę. Puścił nadgarstek i opadł mu na plecy. Prawym ramieniem opasał kark i zaczął go dusić. Rivera uderzył Sama łokciem poniżej oka. Sam odruchowo odwrócił głowę i poczuł następny cios, tym razem w potylicę. Wzmocnił nacisk na szyję Rivery i przetoczył się w lewo razem z nim. Wtedy

Rivera popełnił błąd. Spanikował. Przestał okładać Sama łokciami i spróbował oderwać jego ramię od swojej krtani. Sam zacisnął prawą dłoń na lewym bicepsie rywala, wysunął głowę do przodu i przycisnął podbródek Rivery do jego piersi, blokując tętnicę szyjną. Rivera przestał się miotać, a po kilku sekundach zwiotczał. Sam wytrzymał jeszcze trzy uderzenia, potem puścił go i odepchnął w bok. Podniósł się na kolana i sprawdził, czy Rivera ma wyczuwalne tętno. Żył, ale był nieprzytomny. Sam odczekał kilkanaście sekund, żeby odsapnąć, po czym wstał. Dotknął swojej kości policzkowej i zobaczył, że ma krew na palcach. Wyrzwał za próg, rozejrzał się, żeby sprawdzić, czy jest czysto, uniosł pięć palców i wrócił do środka.

Remi zjawiała się w kabinie minutę później. Zerknęła na nieruchomego Riverę, potem na Sama i upuściła plecaki. Podeszła do męża i objęła go. Odsunęła się, obróciła mu głowę palcem wskazującym i zmarszczyła brwi.

* Wyglądam gorzej, niż się czuję * powiedział.

* Skąd wiesz, jak wyglądasz? Trzeba będzie to zszyć.

* Trudno. Moja uroda przeminęła. Remi wskazała głową Riverę.

* Czy on...

* Tylko śpi. Będzie wściekły, jak się obudzi.

* Więc lepiej, żeby nas przy tym nie było. Domyślam się, że porwiemy helikopter?

* Okazali się na tyle uprzejmi, że załadowali dzwon na pokład. Byłoby niegrzecznie pozwolić, żeby ich wysiłek poszedł na marne. A rinker?

* Wyrwałam kable i wyrzuciłam za burtę. Co dalej? Zwiążemy go?

* Szkoda czasu. Mamy przewagę zaskoczenia. Jeśli ktoś wróci go poszukać, stracimy ją. * Sam rozejrzał się, poszedł kawałek przed siebie i otworzył jakieś drzwi, za którymi znajdowała się drabinka

prowadząca na górę. *

Wejdz po niej na mostek i zniszcz ich urządzenia telekomunikacyjne.

* Telefon i radio? * zapytała Remi. Sam skinął głową.

* Ja zejść na dół i sprawdzę, czy gdzieś nie leżą jakieś bazooki.

* Słucham?

* Będziemy mieli towarzystwo na lądowisku i wątpię, żeby się ucieszyli na nasz widok. Coś dużego, głośniego i groźnego może zmienić ich nastawienie.

Sam przykleknął, podniósł pistolet Riverly * kolejny samopowtarzalny H&K * i podał go Remi. Przez chwilę oglądała broń, potem sprawnie wyjęła magazynek, sprawdziła, czy jest pełny, włożyła go z powrotem, przesunęła bezpiecznik i wetknęła pistolet za pasek.

Sam popatrzył na nią pytająco.

* Uczą tego w programie Dom i ogród * wyjaśniła.

* W porządku. Spotkamy się tu za dwie minuty.

Remi wspięła się po drabince, a Sam zszedł pod pokład. Przetrzęsł każdą z sześciu kwater sypialnych, ale znalazł tylko jedną sztukę broni, rewolwer Magnum 357. Kiedy wrócił na górę, Remi już czekała.

* Jak ci poszło? * zapytał.

* Wyszarpnęłam obie słuchawki z mikrofonami z gniazdek i wyrzuciłam za burtę.

* To wystarczy. Okej. Wszyscy czekają na Riverę na lądowisku. Jeśli dopisze nam szczęście, zastaniemy tam Yaotla, Nochtiego, ochroniarza i pilota. Najwyżej czterech ludzi. Podjedziemy i będziemy się modlić, żeby za wcześnie nie nabrali podejrzeń.

* A jeśli będzie na nas czekał liczniejszy komitet powitalny?

* To się wycofamy.

Rozdział 19

Duża Sukuti

Zostań tu * powiedział Sam do Remi.

Zatrzymał wózek i zaciągnął hamulec ręczny. Przed sobą widział szczyt wzniesienia. Poszedł do miejsca, skąd mógł wyrzeć zza grzbietu. Trzydzieści metrów niżej ścieżka docierała do polany, od której wiodła droga prowadząca do domu. Na prawo, w blasku zamontowanej na słupie lampy sodowej, znajdowało się lądowisko.

Sam wrócił do wózka.

* Ilu ich jest? * zapytała Remi.

* Widziałem tylko trzech: ochroniarza, Nochtiego i Yaotla. Wszyscy stoją na skraju lądowiska i mają kałasznikowy, ale przewieszony przez ramię. Pilota ani śladu. Albo jest w domu, albo siedzi w helikopterze i czeka.

* Mam nadzieję, że to drugie. Jeśli go przekonamy, żeby nas zabrał...

* Spróbujemy.

* A co z dzwonem?

* Nie ma go na cushmanie. Wygląda na to, że zrobili podnoszenie ciężarów. Wezmę pierwszych trzech; ty idź prosto do helikoptera. Gotowa?

* Jak zawsze. * Remi ukucnęła na podłodze wózka golfowego i schowała głowę pod fiberglasową deskę rozdzielczą. Podniosła wzrok na męża. * Nie jesteś podobny do Riverly.

* Jeśli podjedziemy wystarczająco blisko i wystarczająco szybko, to nie będzie ważne * odparł Sam. Wyciągnął z kieszeni 357 i H&K, wsunął je pod uda, zwolnił hamulec ręczny i nacisnął gaz.

Po kilku sekundach pokonali grzbiet i skierowali się ku polanie. Sam oparł się pokusie wciśnięcia przyspiesznika do podłogi.

* Zostało piętnaście metrów * mruknął do Remi. * Jeszcze nas nie zobaczyli.

Kiedy odległość zmalała do dziesięciu metrów, Yaotl spojrział w górę i zauważył wózek. Powiedział coś do swoich towarzyszy. Odwrócili się. Teraz wszyscy patrzyli na wózek.

* Trzymaj się mocno * powiedział Sam. * Wchodzę do akcji.

Dodał gazu, wózek przyspieszył i przebył ostatnie pięć metrów w kilka sekund. Sam zahamował, blokując mechanizm parkowania, zdjął ręce z kierownicy, chwycił obie sztuki broni i wyskoczył z wózka tuż poza kręgiem światła lampy na słupie. Uniósł rewolwer i pistolet.

* Dobry wieczór panom * przywitał się uprzejmie.

* To ty... * zaczął Yaotl.

* My * uściślił Sam.

Remi wysiadła z wózka i dołączyła do męża, który powiedział:

* Zachowujcie się naturalnie. Nic się nie stało. Po prostu stójcie i uśmiechajcie się szeroko.

Fargowie przypuszczali, że lądowisko jest obserwowane przez lometę morską Big Eyes na dachu domu. Mogli wzbudzić podejrzenia, gdyby rozbroili Yaotla i jego towarzyszy, zanim będą gotowi do odlotu.

* Remi, spróbuj zrobić coś z tą lampą.

Uważając, żeby trzymać się na granicy światła, Remi podeszła do słupa i obejrzała go.

* Nie ma żadnego wyłącznika, ale kable wychodzą z ziemi. Wygląda to na standardowe sto dziesięć woltów.

* Miło, że Okafor pomyślał o nas * rzekł Sam. Dwieście dwadzieścia woltów mogłoby spowodować śmiertelne porażenie prądem, sto dziesięć tylko bolesne. * Dasz radę podkraść się niepostrzeżenie do helikoptera?

* Chyba tak. Zaraz wrócę.

Remi przeszła kawałek drogą, po czym dała nura w zarośla wzdłuż lądowiska. Pół minuty później wyłoniła się

po przeciwległej stronie i zasłonięta przez śmigłowiec podbiegła do drzwi pilota. Wzięła go na muszkę swojego H&K i przyprowadziła do Sama. Pilot, niski czarny mężczyzna w granatowym kombinezonie, był wyraźnie przerażony.

* Skrzynia jest na pokładzie * oznajmiła Remi.

* Gdzie jest Rivera? * zapytał Yaotl.

* Ucina sobie drzemkę * odparł Sam. Widząc, że ochroniarz próbuje ukradkiem zdjąć z ramienia AK*74, uniósł broń i wycelował w jego głowę. * Nie radzę * ostrzegł i dodał w suahili: * Usifanye hivyo! Ochroniarz opuścił rękę.

* Remi, masz ich na oku?

* Mam.

Sam cofnął się i przywołał gestem pilota.

* Jak się nazywasz? * spytał.

* Jingaro.

* Jesteś pilotem Okafora?

* Tak.

* Dobrze mówisz po angielsku.

* Chodziłem do szkoły misyjnej.

* Chcę, żebyś nas stąd zabrał.

* Nie mogę.

* Owszem, możesz.

* Jeśli to zrobię, Okafor mnie zabije.

* Jeśli tego nie zrobisz, ja cię zabiję.

* Nie w ten sposób co on. I moją rodzinę też. Proszę, ja tylko dla niego latam, nic więcej. Nie biorę w tym udziału. Nie mam nawet broni. Po prostu pilotuję helikopter.

* Z tą rodziną to chyba przesadziłeś?

* Nie, przysięgam. Naprawdę nie mogę wam pomóc. Nie lubię pana Okafora, ale nie mam wyjścia.

Sam popatrzył Jingaro w oczy i uznał, że mężczyzna mówi prawdę.

* Helikopter jest gotowy do startu?

* Tak. Jest pan pilotem? Sam wzruszył ramionami.

* Helikopterem potrafię tylko wystartować, zrobić zawis i wylądować.

Jingaro zawahał się, potem powiedział:

* Ten ma sprzęgacz zawisu. W prawym końcu tablicy przyrządów, oznaczony H*V*C*P. Dopóki

utrzymuje się stały pułap lotu, można włączyć sprzęgacz i maszyna wejdzie w tryb autozawisu. Poza tym pedały sterowe ciężko chodzą. Lubię takie ustawienie, bo trudniej przesadzić z kontrą. Niech pan je naciska bez obawy. I nie przekracza prędkości stu węzłów, bo wtedy tę maszynę dużo trudniej pilotować.

* Dzięki.

* Nie ma za co. Proszę mnie teraz uderzyć.

* Co?

* Niech pan mnie uderzy. Jeśli Okafor będzie podejrzewał, że...

* Rozumiem. Powodzenia.

* Wzajemnie.

Sam uniósł rękę i walnął pilota w nos. Cios był za słaby, żeby uszkodzić kość, ale obficie pociekła krew. Pilot zatoczył się do tyłu i padł na ziemię.

* Zostań tu * warknął Sam. * Nie ruszaj się. Remi, widzisz stąd big eyes?

Wyjęła lometkę z bocznej kieszeni plecaka i popatrzyła na dach domu.

* Widzę. Jest skierowana na południe i przesuwa się wolno w naszą stronę. Za jakieś pół minuty będą mieli lądowisko w polu widzenia.

Sam spojrzał na ochroniarza.

* Unazungumza kiingereza? Mówisz po angielsku? * zapytał w suahili.

* Trochę.

Sam wskazał maczetę w pochwie przy jego pasie.

* Kisu. Bwaga ku. Nóż. Rzuć go. * Pokazał na swoje stopy. * Już.

Ochroniarz odczepił maczetę i rzucił w kierunku Sama, który podniósł ją i zwrócił się do pozostałej dwójki:

* Plan jest taki. Pójdziemy wszyscy do helikoptera. My pierwsi, wy tuż za nami. Rozciągniecie się w tyralierę...

* Po co? * zapytał Yaotl.

* Jeśli ktoś zacznie do nas strzelać, będziecie żywymi tarczami. Yaotl, przetłumacz to kolegom.

* Nie uciekniecie stąd z...

* Może nie, ale spróbujemy.

* A jeśli odmówimy? * odezwał się Nochtli.

* To ciebie pierwszego zastrzelę.

* Wątpię * powiedział Yaotl. * A jeśli nawet, to reszta ochrony Okafora zjawi się tu w niecałą minutę.

* Pewnie tak, ale ty tego nie dożyjesz. * Sam wycelował rewolwer w pierś Yaotla. * Pamiętasz pobyt w naszej willi?

* Tak.

* Traktowaliśmy cię przyzwoicie.

* Owszem.

* Ale przestaliśmy być mili. * Dla podkreślenia swoich słów Sam uniósł rewolwer na wysokość czoła Yaotla. * Chcesz się przekonać?

Yaotl pokręcił głową.

* Dopilnuj, żeby inni zrozumieli plan.

Yaotl przetłumaczył wszystko najpierw Nochtliemu, a potem ochroniarzowi w łamanym suahili. Obaj skinęli głowami.

* Co zamierzasz, Fargo? * zapytał Sama. * Gdybyś umiał latać, nie rozmawiałbyś z pilotem. Jeśli teraz się poddasz...

* Mamy dosyć tej wyspy * przerwał mu Sam. * Wynosimy się stąd i zabieramy nasz dzwon.

* Jest taki ważny, że chcecie dla niego umrzeć?

* Wy zamordowaliście dla niego dziewięć osób * wtrąciła się Remi. * Sam, on gra na zwłokę. Sam skinął głową.

* Wiem. Miej ich na oku. Muszę się pozbyć tych wózków. Yaotl, wyciągnij sznurowadła z butów i daj mi je.

Yaotl schylił się, wyjął sznurowadła i cisnął przed siebie. Sam podniósł je i poszedł do wózka golfowego. Pół minuty później kierownica była przywiązana jednym ze sznurowadeł. Sam zwolnił

hamulec, oparł ręce na przednim zderzaku i doprowadził wózek do szczytu wzgórza. Tam pchnął go i pojazd zaczął się staczać. Po kilku sekundach zniknął w ciemności. Powtórzywszy te czynności z cushmanem, wrócił do Remi.

* Gotowa? * spytał.

* To pojęcie względne.

* Nie wiem, jak szybko zareagują, kiedy zgaśnie światło, więc musimy się spieszyć.

Sam obserwował lornetę morską na dachu. Gdy dał znak, żeby ruszyli w stronę słupa z lampą, Remi go zatrzymała.

* Zaczekaj, Sam. * Zwróciła się do Yaotla i pozostałych: * Odwróćcie się twarzami do helikoptera. *

Wykonali polecenie. * Teraz patrzcie w górę na światło. * Kiedy to zrobili, wyjaśniła mężowi: * Żeby nic nie widzieli w ciemności.

* Jeszcze jeden powód, dla którego cię kocham * rzekł Sam z uśmiechem.

Gdy lorneta morska na dachu skierowała się na południowy zachód, podszedł do słupa z lampą, przyklęknął, wziął głęboki oddech, przeciął kabel ostrzem maczety i cofnął gwałtownie rękę. Strzeliło, zaiskrzyło i światło zgasło.

* Nic ci się nie stało? * zapytała Remi.

* Nie, ale porządnie mnie kopnęło * odparł. * Chodźmy.

Jedno skręciło w prawo, drugie w lewo, a gdy stanęli przed grupą, Sam rozkazał:

* Idziemy.

Mrugając oczami w ciemności, Yaotl i pozostali ruszyli za Remi w stronę helikoptera. Sam zamykał pochód z H&K wycelowanym w plecy mężczyzn.

* Pięć metrów * powiedziała Remi. * Trzy metry. Sam przystanął.

* Stop. Rozciągnijcie się w szereg * rozkazał i zwrócił się do żony: * Zrobię kontrolę przedstartową.

* Będę ich pilnowała.

Sam wrzucił plecaki do kabiny, otworzył drzwi pilota i wspiął się do środka. W świetle latarki ołówkowej uważnie przyjrzał się przyrządom. Starał się ignorować przyprawiającą o zawrót głowy ich liczbę i koncentrować na podstawowych. Po trzydziestu sekundach znalazł to, czego szukał.

Przesunął włącznik prądu. Oświetlenie wnętrza i tablicy przyrządów rozblęskło. Włączył pompę paliwa, a potem zasilanie pomocnicze, które rozpoczęło rozruch turbiny. Po kilku sekundach turbina zaskoczyła i zaczęła się rozkręcać. Rotory zaczęły wirować, najpierw wolno, potem coraz szybciej.

Sam wychylił się przez okno i zawołał do Remi:

* Niech oddadzą broń.

Przekazała rozkaz i mężczyźni kolejno wrzucili swoją broń do ładowni helikoptera. Gdy to zrobili, kazała im się cofnąć poza promień rotora.

Sam zobaczył, że obrotomierz wskazuje sto procent.

* Czas się pożegnać! * krzyknął do żony.

* Idę * odpowiedziała i wspięła się na pokład. Kątem oka obserwując mężczyzn, wsunęła broń do siatki zabezpieczającej na przegrodzie.

* Złap się czegoś! * zawołał Sam. Chwyliła się wolną ręką siatki.

* Już!

Sam wypróbował działanie drążka skoku okresowego i drążka skoku ogólnego, oceniając kąt natarcia łopaty wirnika, a potem pedały. Przesunął drążek skoku ogólnego i helikopter zaczął się wznosić.

Poruszył drążkiem skoku okresowego, skręcając najpierw w lewo, potem w prawo i w końcu podnosząc i opuszczając dziób.

* Mamy problem! * krzyknęła Remi.

* Jaki?

* Spójrz w prawo!

Sam zerknął przez boczne okno. Dopiero po chwili zdał sobie sprawę, co się dzieje. Yaotl, Nochtli i ochroniarz biegli ku ciemnemu prostokątnemu kształtowi, który pokonał kamienne ogrodzenie ładowiska i kierował się w stronę helikoptera. To był cushman. W bladej poświacie księżyca dostrzegł Riverę pochyloną nad kierownicą.

* Drzemka się skończyła! * rzuciła Remi.

* Byłem pewien, że o czymś zapomniałem! * odkrzyknął Sam. * O kluczykach!

Znów skupił się na przyrządach. Poruszył drążkiem skoku ogólnego, żeby nabrać wysokości. W pośpiechu szarpnął drążek skoku okresowego i nacisnął pedał sterowy. Helikopter znurkował w prawo. Sam skontrował za mocno. Śmigłowiec opadł w dół, odbił się od lądowiska i ponownie wzniósł. Sam zaryzykował zerknięcie przez boczne okno.

Cushman był w odległości dziesięciu metrów i szybko się zbliżał. Jakiś mężczyzna * chyba Nochtli * przebiegł przez lądowisko i rzucił się na platformę cushmana.

* Spowolnij ich! * polecił Sam. * Celuj w silnik! Jest większy!

Remi otworzyła ogień z jednego z kałasznikowów. Oddawała trzystrzałowe serie w ziemię przed cushmanem, ale bez skutku. Zmieniła cel. Pociski posiekały przód wózka, zrykoszetowały wśród iskier od zderzaka i roztrzaskały szklane włókno. Para buchnęła z komory silnikowej. Cushman zaczął zwalniać, ale zniknął pod helikopterem.

Sam pociągnął drążek skoku ogólnego, żeby nabrać wysokości.

* Nie widzę ich! * zawołała Remi.

Sam zerknął przez jedno boczne okno, potem przez drugie.

* Gdzie...

Nagle helikopter przechylił się na bok i opadł otwartymi drzwiami ku ziemi. Remi straciła równowagę i ześliznęła się w stronę otworu. Odruchowo wypuściła z rąk kałasznikowa, żeby chwycić się uprząży. Karabin zsunął się po pokładzie, odbił od skrzyni z dzwonem i zniknął za drzwiami.

* Straciliśmy AK! * krzyknęła Remi.

Chwilę później w otworze pojawiła się czyjaś ręka, szukając po omacku jakiegoś uchwytu dla dłoni. Remi zobaczyła głowę Nochtiego.

* Mamy pasażera! * zameldowała. Sam obejrzał się przez ramię.

* Kopnij go!

* Co?

* Zmiażdż mu palce!

Remi uniosła nogę i z całej siły walnęła obcasem w mały palec Nochtiego. Wrzasnął, ale wytrzymał. Ze sieknięciem podciągnął się na pokład i sięgnął do pasów mocujących skrzynię. Remi uniosła nogę do drugiego kopniaka.

Z dołu dobiegły trzy prawie jednoczesne strzały. Pociski trafiły w drzwi kabiny.

* Sam!

* Słyszę! Trzymaj się mocno, spróbuję go zrzucić! Szarpnął helikopterem w lewo i wyrztał przez oba boczne okna, żeby zlokalizować strzelca. Rivera stał na platformie cushmana z upuszczonym przez Remi kałasznikowem przy ramieniu. Wylot lufy błysnął ogniem i na szybie kokpitu po stronie pasażera pojawiła się pajęczyna pęknięć. Sam przestawił drążek skoku okresowego, kierując maszynę w lewo ku drzewom na skraju lądowiska. Pociągnął drążek skoku ogólnego, żeby nabrać wysokości.

W kabinie Remi kopnęła Nochtiego obcasem w udo. Jęknął, upadł twarzą na pokład i złamał sobie nos. Wciąż trzymając się jedną ręką siatki zabezpieczającej, Remi sięgnęła drugą nad głowę po broń. Sam spojrział w lewo i zobaczył ciemny zarys wierzchołków drzew. Pocisk przedziurawił zagłówek fotela pasażera, minął podbródek Sama i przebił przednią szybę. Sam pociągnął drążek skoku ogólnego, ale było już za późno. Konary drzew otarły się o spód śmigłowca.

* Dawaj, dawaj... * wymamrotał. * Remi, czy możesz...

* Jestem trochę zajęta!

Gałąź zahaczyła o belkę ogonową i maszyna obróciła się w prawo jak bączek. W kokpicie rozległy się alarmy. Czerwone i pomarańczowe kontrolki zaczęły błyskać na tablicy przyrządów. Sam poruszył drążkami skoku okresowego i ogólnego, żeby skontrować. Konary drzew uderzyły w okno kokpitu.

Remi trafiła dłonią na drewnianą kolbę jednego z kałasznikowów; chwyciła ją, mocno szarpnęła i wydobyła z siatki. Nagle poczuła opór. Przednia część karabinu zaczepiła o pas. Zerknęła przez ramię, w drzwiach podnosił się Nochtli. Przerzucił kolano przez krawędź i zaczął się wspinać ku Remi. Ręka ześlizgnęła się jej z kolby AK*47 i dotknęła jakiejś metalowej rury * lufy pistoletu. Remi złapała broń i wyrwała z siatki. Nochtli chwycił ją wolną ręką za kostkę. Zaciśnęła zęby i zamachnęła się pistoletem z bekhendu. Trafiła Nochtiego rękojeścią w szczękę. Głowa odskoczyła mu w bok. Wciąż na kolanach, zachwiał się, przewrócił do tyłu i zniknął w otworze drzwiowym.

* Już go nie ma! * zawołała Remi do Sama.

* Jesteś cała?

Wzięła kilka głębokich wdechów.

* Wstrząśnięta, ale nie zmieszana!

Pociski posiekały kadłub. Sam, dostrzegłszy dziurę w osłonie kokpitu, za pomocą drążka skoku okresowego i pedałów sterowych obrócił dziób we właściwym kierunku. Opuścił go i pociągnął drążek skoku ogólnego. Wśród zgrzytu drewna o aluminium śmigłowiec ruszył naprzód i wydostał się na otwartą przestrzeń. Sam pchnął drążek skoku ogólnego i zszedł poniżej linii drzew. Zatrzymał się w zawisie pięć metrów nad zboczem, poszukał wzrokiem oznaczenia H*V*C*P, o którym wspomniał Jingaro, i użył sprzęgacza. Helikopter zadrżał, przesunął się w bok, znurkował i ustabilizował w zawisie. Alarmy ucichły, pulsujące kontrolki zgasty. Sam zdjął ręce ze sterów i odetchnął głęboko. Remi zasunęła drzwi. Hałas rotorów przycichł.

Sam odwrócił się i wyciągnął rękę między fotelami. Remi chwyciła jego dłoń.

* Jesteś cała? * zapytał.

* Tak, a ty? Skinął głową.

* Wynośmy się stąd * rzekł. * Już i tak nadużyliśmy gościnności Okafora.

Rozdział 20

Duża Sukuti

Ledwo zostawili za sobą południowe wybrzeże wyspy, Sam zdał sobie sprawę, że ogień Rivery wyrządził poważne szkody. Pedały sterowe stały się gąbczaste, maszyna z lekkim opóźnieniem reagowała na ruchy drążkami skoku ogólnego i okresowego.

* Co podejrzewasz? * zapytała Remi.

* Mogła paść hydraulika. * Sam popatrzył na wskaźniki. * Silnik trochę się przegrzewa i ciśnienie oleju wygląda nie najlepiej.

* Co to oznacza?

* Nic dobrego.

* Daleko jeszcze do plaży?

* Około trzech mil.

* Rivera raczej nie odpuści.

* Na pewno nie. Tylko nie wiadomo, czy kogoś wezwą i jak szybko zareagują.

* Ani kiedy uruchomią rinkery.

* Spróbuję wylądować * powiedział Sam.

Wytracał wysokość i prędkość, dopóki nie zszedł trzydzieści metrów nad wodę i nie zwolnił do sześćdziesięciu węzłów. Morze było spokojne i czarne, z wyjątkiem odbicia stroboskopowych świateł pozycyjnych helikoptera.

* Namierzą nas po tych światłach * powiedziała Remi.

* Ze światłami czy bez, widzą nas przez big eyes. Gdy będziemy za plażą, wyłączę je. Na tle lądu nie będą mogli nas zobaczyć.

* Zakładasz, że będą nas ścigać.

* Muszę. * Przyjrzał się wskaźnikom. * Temperatura silnika trochę spadła, ale ciśnienie oleju nadal jest kiepskie, a stery wciąż są miękkie.

* Więc to hydraulika.

* Tak. Przez każdą z tych rzeczy możemy się skąpać. Potrzebujemy jeszcze jakichś czterech minut.

* I nieawaryjnego lądowania * dodała Remi.

* Tego też.

Przez przednią szybę widzieli, jak wschodnie wybrzeże Afryki przeistacza się z ciemnej smugi w rozpoznawalne fragmenty lądu. Pojawiły się drzewa, piaszczyste plaże, faliste wzgórza i meandrujące rzeki i strumienie.

Pół mili morskiej od plaży Sam poczuł szarpnięcie drążka skoku okresowego, a potem nad ich głowami rozległ się tomot. Kokpit i kabina zaczęły drżeć. Zabrzmiał alarm, rozbłyły żółte i czerwone kontrolki.

* To trochę straszne * powiedziała Remi z wymuszonym uśmiechem.

* Tylko trochę * zgodził się Sam. * Złap się czegoś. Będzie twarde lądowanie.

Pociągnął drążek skoku ogólnego, opuścił dziób helikoptera i przyspieszył do ponad osiemdziesięciu węzłów. Przez przednią szybę zobaczył, jak pod kadłubem przesuwają się płycizny, potem plaża i wreszcie czamozielony las. Wyłączył światła pozycyjne i zawołał:

* Widzę dużą piaszczystą łachę na wprost przy brzegu rzeki! Poradzisz sobie z dzwonem?

* W jakim sensie?

* Wypchniesz go przez drzwi?

* Oczywiście. Jaki jest plan?

* Zatrzymam się w zawisie. Ty, broń, nasze plecaki i dzwon wysiądziecie na łachę.

* A potem?

* Wyląduję w rzece.

* Co? Wykluczone...

* Sama powiedziałaś, że będą nas ścigać. Jeśli zdołamy zatopić helikopter, nie będą wiedzieli, gdzie zacząć poszukiwania.

* A zdołasz go zatopić?

* Tak, jeśli wyłączę rotory wystarczająco szybko.

* Znowu „jeśli” * odparła Remi. * Zaczynam nie cierpieć tego słowa.

* To będzie ostatnie „jeśli” przez jakiś czas.

* Akurat.

* Kiedy znajdziesz się na ziemi, poszukaj najgrubszego drzewa i schowaj się za nim. Jeżeli rotory nie wytracą wystarczająco prędkości, zanim helikopter się przewróci, pourywają się i zamieniają w szrapnele.

* Zanim się przewróci? Co ty kombinujesz?

* Helikoptery mają wysoko położony środek ciężkości. Gdy taka maszyna usiądzie na wodzie, zaraz kładzie się na boku.

* Nie podoba mi się to...

* Łacha jest coraz bliżej. Przygotuj się!

* Jesteś irytujący, wiesz o tym?

* Wiem.

Remi zakłęta pod nosem, odwróciła się i zwolniła rygle na mocowaniach wokół skrzyni. Okrążyła ją krabim chodem, oparła na niej nogi i przywarła plecami do przegrody. Dopchnęła skrzynię przez pokład do drzwi i zawołała:

* Gotowe!

Sam zredukował prędkość do piętnastu węzłów i zszedł dziesięć metrów nad łachę. Helikopter dygotał; wcześniejszy łomot powtarzał się w trzysekundowym cyklu i trząsał kadłubem od dziobu do ogona.

* Jest coraz gorzej * powiedziała Remi.

* Już niedaleko * odrzekł Sam, nie przestając się zniżać. * Sprawdzaj odległość.

Remi uchyliła drzwi kabiny i wystawiła głowę na zewnątrz.

* Sześć metrów... cztery i pół... trzy...

* Dasz radę? * spytał Sam.

* Od dawna nie uprawiam gimnastyki, ale potrafię skoczyć z trzech metrów z zawiązanymi oczami.

Sam włączył sprzęgacz zawisu. Zdjął ręce ze sterów. Helikopter skręcił, zadrzał, znurkował i ustabilizował się.

* Teraz! * zawołał Sam. * Pomachaj mi, jak będziesz na dole cała i zdrowa.

Remi podeszła, wetknęła głowę między fotele, pocałowała go i powiedziała:

* Powodzenia.

Wróciła do drzwi i odsunęła je do końca.

* Uważaj na płozy * ostrzegł Sam.

Naparła barkiem na skrzynię, wzięła głęboki oddech i pchnęła. Skrzynia wypadła przez otwór i zniknęła. Broń poszła w jej ślady. Remi jeszcze raz zerknęła na męża i skoczyła. Dziesięć sekund później zobaczył ją na piasku. Pokazała mu uniesiony kciuk i dała nura w ciemność.

Sam policzył do sześćdziesięciu, żeby dać Remi czas na znalezienie kryjówki, po czym chwycił drążek skoku ogólnego. Wyłączył sprzęgacz zawisu i sięgnął do drążka skoku okresowego. Lekko opuścił dziób śmigłowca i pozwolił, by kąt natarcia łopaty wimika przeniósł go znad łachy nad rzekę. Znalazłszy się nad miejscem wystarczająco szerokim i głębokim do jego celów, uniósł dziób i zatrzymał maszynę w zawisie.

Rozejrzył się po raz ostatni. Wiedział, że kiedy helikopter się zanurzy, w środku zapanuje ciemność. Bez wizualnych punktów odniesienia będzie musiał się ewakuować po omacku. Sprawdził, czy umie odpiąć pas bezpieczeństwa, przyjrzał się klamce drzwi kabiny i powtórzył w myślach kolejność czynności.

Pchnął lekko drążek skoku ogólnego i poczuł, jak śmigłowiec opada. Przywarł twarzą do okna w drzwiach. Płozy były jakieś półtora metra nad wodą. Wystarczy. Obawiał się, że niżej będzie miał zerowy margines błędu.

* Raz kozie śmierć * mruknął.

Wyłączył silnik i pociągnął drążek skoku ogólnego do oporu, żeby spowolnić wimik. Helikopter uderzył z hukiem w wodę i zaczął się przewracać w prawo. Drążek skoku ogólnego, pomyślał Sam i szarpnął nim w przeciwną stronę. Skutek był natychmiastowy. Przy maksymalnym kącie natarcia łopaty wimik wychylił się w lewo i przesunął środek ciężkości śmigłowca. Woda podchodziła do przedniej szyby, najpierw poziomo, potem ukośnie, gdy helikopter się przewracał. Sam przycisnął brodę do piersi, obiema rękami złapał się pasów i zacisnął zęby.

Poczuł wstrząs i przez chwilę widział wszystkie gwiazdy. Potem nic.

Ocknął się, kaszłąc. Woda wypełniała mu gardło. Szarpnął głowę w tył, znów zakasłał i zmusił się do otwarcia oczu. Widząc tylko ciemność, wpadł w panikę. Opanował się i zmusił do oddychania.

Wyciągnął rękę i wyczuł pod palcami coś twardego * koniec drążka skoku okresowego. Siła grawitacji ciągnęła mu głowę w lewo. Helikopter leżał na boku; rzeka była za płytka, żeby całkowicie kapotował. Na szczęście. Na nieszczęście, woda wlewała się do kabiny za Samem. Sięgała mu już do brody.

* Rusz się * mruknął.

Sięgnął w górę prawą ręką i wyczuł tapicerkę fotela pasażera. Macał dalej, dopóki nie znalazł pasa bezpieczeństwa. Uczepił się go, zanurzył lewą rękę w wodzie i wcisnął przycisk mechanizmu zwalnającego. Upadł na bok, a potem uniósł ręce i się podciągnął. Gdy sięgnął kolanami do przejścia między kokpitem i kabiną, włożył nogi do otworu i wyciągnął się tak, że dotknął stopami przegrody kabiny. Puścił się pasów i wsunął do środka resztę ciała. Kiedy stanął zgarbiony, woda sięgała mu do piersi. Podniósł ręce, wymacał drzwi kabiny i powiódł po ich krawędziach koniuszkami palców. Woda wlewała się przez szczeliny. Znalazł klamkę i nacisnął ją lekko. Działała.

* Głęboki oddech * powiedział do siebie.

Nabrał powietrza do płuc, pchnął klamkę w dół i odsunął drzwi. Woda zalała mu głowę. Zatoczył się do tyłu i zanurzył. Pozwolił, by fala doniosła go do ściany kabiny, i podkurczył nogi. Ciśnienie zmalało. Odbił się stopami, wyciągnął ręce przed siebie, chwycił się ościeżnicy i wypychał, wierzgając...

Wreszcie przebił głową powierzchnię.

* Sam! * usłyszał głos Remi.

Otworzył oczy i odwrócił się w wodzie, starając się zorientować, gdzie jest.

* Sam! ** zawołała ponownie.

Znów się odwrócił i zobaczył ją. Stała na brzegu i machała do niego.

* ...dyle! * krzyknęła.

* Co?

* Krokodyle! Płyń!

Sam natychmiast ruszył w stronę brzegu. Kiedy dotknął piasku, ukląkł, potem wstał i zatoczył się prosto w ramiona Remi. Wdrapali się po piasku na poziom gruntu i osunęli na ziemię.

* Zapomniałem o krokodylach * powiedział Sam kilka minut później.

* Ja też. Zauważyłam je na płyciźnie jakieś pięćdziesiąt metrów w górę rzeki. Jesteś cały? Nic sobie nie złamałeś?

* Chyba nie. Jak mi poszło?

Remi wskazała środek rzeki. Sam spojrzął w to miejsce, ale przez dłuższą chwilę niczego nie widział. Dopiero po kilkunastu sekundach dostrzegł kawałek łopaty wimika wystający piętnaście centymetrów

nad powierzchnię.

* Reszta poszła pod wodę * oznajmiła Remi. Sam uśmiechnął się ze znużeniem.

* Tak jak zaplanowałem.

* Zaplanowałeś?

* No dobrze, miałem nadzieję. Co z dzwonem?

* O dziwo, oprócz paru pęknięć skrzynia jest nietknięta. Zebrałam nasze plecaki i broń. Poszukajmy jakiejś kryjówki na wypadek, gdybyśmy mieli gości.

Rozdział 21

Nie chcąc, by zdradziły ich ślady ciągnięcia skrzyni, postanowili ją zostawić tam, gdzie upadła * wylądowała w wyschniętym strumieniu blisko brzegu rzeki. Zamaskowali ją karłowatymi krzewami, potem zatarli gałęziami oznaki swojej obecności i wycofali się z piaszczystej łachy na twardy grunt i do zagajnika. Trzydzieści metrów za linią drzew trafili na zagłębienie terenu o wymiarach trzy na trzy metry otoczone leżącymi kłódami. Mieli stamtąd widok nie tylko na skrzynię, ale również na otwartą przestrzeń między zagajnikiem a plażą.

Po zbadaniu podłoża lufami karabinów, żeby wypłoszyć węże i rozmaite odrażające robale, usadowili się w kryjówce. Sam wypatrywał gości, a Remi sprawdzała stan zawartości ich plecaków.

* Przypomnij mi, żebym wysłała list z podziękowaniami do firmy Ziploc * powiedziała. * Prawie wszystko w ich torbach foliowych jest suche. Telefon satelitarny działa.

* Na ile wystarczy bateria?

* Na jedno, najwyżej dwa połączenia.

Sam spojrzął na zegarek. Było tuż po drugiej nad ranem.

* Może pora skorzystać z propozycji Eda Mitchella * zaproponował.

Remi wyjęła wizytówkę pilota ze swojego plecaka i podała mężowi. Wybrał numer.

Po czwartym sygnale usłyszał chropawy głos Mitchella:

* Tak?

* Ed, tu Sam Fargo.

* Kto?

* Sam Fargo, twój pasażer na Mafię sprzed paru dni.

* A, tak... cześć... Która jest godzina, do cholery?

* Około drugiej. Mam mało czasu. Musimy się ewakuować.

* Dawno nie słyszałem tego słowa. Wpadliście w tarapaty?

* Można tak powiedzieć.

* Gdzie jesteście?

* Na kontynencie, jakieś siedem kilometrów na wschód od Dużej Sukuti * odrzekł Sam i opisał Edowi okolicę.

* Zostańcie tam * polecił Mitchell. * Zaczekaj chwilę. Sam usłyszał szelest papierów, potem Ed wrócił na linię.

* Wiecie, że tkwicie w samym środku krokodylowego piekła? * zapytał.

* Wiemy.

* Nie wyląduję tam samolotem. Będę musiał wziąć helikopter. To trochę potrwa.

* Wynagrodzimy ci to.

* Wiem, ale nie w tym problem. Prawdopodobnie zjawię się dopiero po świcie. Wytrzymacie?

* Będziemy musieli * odparł Sam.

* Ktoś otworzy do mnie ogień, jak przylecę?

* Możliwe.

Mitchell milczał dłuższą chwilę, potem zachichotał.

* A co tam, do cholery. Życie bez przygód to nie życie. Sam roześmiał się.

* Fakt.

* W porządku, nie wychodźcie z ukrycia. Będę tam, jak tylko się rozwidni. Na wypadek, gdybym miał konkurencję w strefie lądowania, wypuszczę niebieski dym, żebyście mnie nie zestrzelili.

Sam pożegnał się i rozłączył.

* Masz, pij. * Remi podała mu manierkę. Pociągnął duży łyk, zjadł kawałek konserwowej wołowiny i zrelacjonował żonie rozmowę z Mitchellem.

* Ten facet jest od dziś na stałe na naszej liście gwiazdkowej * podsumowała. * Więc będzie tu za cztery, pięć godzin?

* Najwcześniej.

Milczeli kilka minut, zajęci jedzeniem. Wreszcie Sam spojrzął na zegarek i powiedział:

* Minęło czterdzieści minut, odkąd opuściliśmy wyspę.

* Sądzisz, że...

Sam uniósł rękę i Remi urwała. Zaczęła nasłuchiwać.

* Słyszę je * powiedziała po chwili. * Dwa, gdzieś przy brzegu.

Sam skinął głową.

* Trudno rozpoznać, ale brzmią jak rinkery.

* Jak daleko w głębi łądu jesteście?

* Pół kilometra, może trochę więcej. Nasłuchiwali jeszcze kilka minut. Odgłos silników narastał, potem nagle umilkł.

* Dobili do brzegu * powiedział Sam.

Sprawdzili broń: dwa kałasznikowy * jeden z pełnym magazynkiem, drugi bez tuzina naboji, które Remi wystrzeliła do cushmana, magnum i H&K P30. Nie wiedzieli, czy to wystarczy, jeśli dojdzie do strzelaniny. Dotychczas udawało się im z Riverą i jego ludźmi, ale w bezpośredniej walce mieli małą szansę na pokonanie żołnierzy sił specjalnych.

* Usadówmy się wygodnie * zaproponował Sam. Wepchnęli plecaki pod próchniejącą kłodę i przysypali

je piaskiem, a potem położyli się głowa przy głowie, tak żeby każde z nich widziało dojścia z plaży.

Sam podał Remi garść błota do poczemienia twarzy i posmarował swoją. *

* Obiecuj mi coś * poprosiła. Spróbował zgadnąć.

* Apartament w Moevenpick?

* Myślałam o gorącym prysznicu i obfitym śniadaniu, ale skoro o tym wspomniałeś, ułożę listę...

Przez szparę między kłodami Remi zauważyła światło kilkaset metrów na wschód. Klepnęła Sama w ramię, wymówiła bezgłośnie „latarka” i wskazała kierunek. Snop światła zdawał się unosić w powietrzu; zniknął i znów pojawiał się wśród drzew, kiedy człowiek z latarką torował sobie drogę w głąb łądu.

* Rivera jest jak pies gończy * szepnął Sam.

* On pewnie powiedziałby to samo o nas, tylko mniej parlamentarnym językiem. Czekamy, dopóki nie zobaczymy białek ich oczu?

* Nie, trzymamy kciuki, żeby nie zapuścili się w naszą stronę.

* Dlaczego nie mieliby tego zrobić?

* W Afryce ciemność i las oznaczają drapieżniki.

* Obyłabym się bez tej ciekawostki.

* Przepraszam.

Jakby na zawołanie z oddali dobiegł gardłowy pomruk wielkiego kota. Słyszeli już taki odgłos, ale albo na zorganizowanym safari, albo siedząc bezpiecznie w domku myśliwskim. Tu, na odludziu, mroził krew w żyłach.

* Jest daleko * szepnął Sam.

Wkrótce do pierwszej latarki dołączyła druga; potem trzecia i czwarta. Mężczyźni szli tyralierą jak naganiacze na polowaniu. Po kilkunastu minutach grupa znalazła się tak blisko, że Fargowie zobaczyli postacie za latarkami. Nie zaskoczyło ich, że każdy z mężczyzn miał karabin szturmowy.

Po następnych pięciu minutach dotarli do piaszczystej łąchy. Jeden z mężczyzn * zapewne Rivera * mówił najwięcej, wskazując najpierw wzdłuż wybrzeża, a potem w głąb łądu. Oświetlali latarkami brzeg i wodę. Dwa razy snopy światła przesunęły się po wystającej z wody łopacie wimika, ale nie wywołało to żadnej reakcji. Nagle jeden z mężczyzn wskazał drugi brzeg rzeki. Pozostali prawie jednocześnie ściągnęli z ramion karabiny.

* Zauważyli naszych drapieżnych przyjaciół * szepnęła Remi.

Z uniesioną i odbezpieczoną bronią mężczyźni wycofali się z piaszczystej łąchy na porośniętą

krzakami teren. Naradzali się chwilę, a potem rozdzielili * jedna para ruszyła w dół, druga w górę rzeki. Tę dwójkę Sam i Remi uważnie obserwowali; jako że rzeka biegła wzdłuż północnego skraju zagajnika, mężczyźni mogli się zbliżyć do ich kryjówki na odległość zaledwie kilkunastu metrów.

* Rozglądałem się, kiedy lecieliśmy * rzucił cicho Sam. * Najbliższa przeprawa jest półtora kilometra w dół rzeki. Zaraz się przekonamy, jak bardzo są zdeterminowani.

Najwyraźniej świadomi zagrożeń kryjących się w wodzie, mężczyźni trzymali się w bezpiecznej odległości od brzegu i przemieszczali do miejsca, gdzie rzeka skręcała na wschód i łączyła z zagajnikiem. Tam skierowali się na południowy wschód, oświetlając latarkami linię drzew. Z odległości zaledwie dwudziestu metrów ich postacie były lepiej widoczne. Jeden, wysoki i chudy, miał oszczędne ruchy i pewny krok żołnierza. Fargowie rozpoznali Itzliego Riverę.

Nagle Sam poczuł pazury na kostce. Zanim zdążył powstrzymać odruch, wierzgnął nogą.

Niewidoczne zwierzę zapiszczało i czmychnęło w zarośla.

Rivera natychmiast przystanął i uniósł pięść w uniwersalnym żołnierskim geście „stop!” Jego towarzysz się zatrzymał i wolno przyklęknęli na jedno kolano. Zgasili latarki, rozglądali się i nasłuchiwali. Latarki znów rozbłysły i snopy światła zaczęły się przesuwać po drzewach, nieruchomiejąc sporadycznie tu i tam. Rivera zerknął przez ramię i zasygnalizował coś gestem swojemu towarzyszowi. Wstali, odwrócili się i zapuścili między drzewa dokładnie w kierunku kryjówki Fargów.

Sam poczuł dłoń Remi na ramieniu. Sięgnął w górę i ścisnął jej rękę.

Rivera i jego towarzysz byli w odległości dziesięciu metrów. Po chwili sześciu. Trzech.

Przystanęli i poświecili w szpary między kłodami wokół Fargów. Trzasnęły gałązki. Rivera szepnął coś do towarzysza. Sam i Remi poczuli, jak kłoda nad ich głowami opuszcza się o kilka centymetrów. Na jej krawędzi pojawiły się czubki butów i snop światła omiółł zagłębienie terenu.

Minęło pięć długich sekund.

Latarka zgasła. Buty zniknęły i rozległy się dwa tupnięcia, gdy Rivera schodził z kłody. Kroki się oddaliły.

Sam policzył do stu, potem wolno uniósł głowę i wyjrzał przez szparę. Rivera i jego towarzysz wrócili na skraj zagajnika i ruszyli na południe w kierunku piaszczystej łachy. Sam obserwował ich przez chwilę. Potem odwrócił głowę i szepnął do ucha Remi:

* Odchodzą. Zostaniemy tu na wypadek, gdyby wrócili.

Przez dwadzieścia minut leżeli bez ruchu, aż w końcu usłyszeli w oddali silniki rinkerów.

Sam odczekał kolejne pięć minut i wytoczył się spod kłody.

* Rozejrzę się.

Wypełzył z zagłębienia i zniknął. Wrócił po dziesięciu minutach.

* Już ich nie ma * oznajmił i pomógł Remi wydostać się z kryjówki.

Westchnęła ciężko.

* Mam nadzieję, że ten dzwon jest tego wart.

Ed Mitchell spełnił obietnicę. Gdy tylko słońce zaczęło przeświecać przez las na wschodzie, Fargowie usłyszeli warkot helikoptera. Na wszelki wypadek wpełzli z powrotem do kryjówki i wyglądali z niej ukradkiem, kiedy hałas rotorów narastał. Na zachodzie zobaczyli żółto*biały śmigłowiec Bell Przeleciał nad plażą i skręcił w głąb łądu wzdłuż biegu rzeki. Gdy dotarł nad piaszczystą łachę, drzwi pilota się otworzyły. Chwilę później nad ziemią zaczął się unosić niebieski dym.

Sam i Remi wyszli z zagłębienia i wstali.

* Gotowa do podróży do domu? * zapytał Sam. Kiedy Remi pokręciła głową, zachichotał. * Racja.

Najpierw gorący prysznic i śniadanie.

Godzinę później, ze skrzynią przypasaną bezpiecznie do pokładu bella, wylądowali na lotnisku w Ras Kutani. Mitchell pobiegł po swój pojazd, żeby wrócić do Dar es*Salaam, a Sam i Remi zadzwonili z telefonu satelitarnego do Selmy.

* Gdzie państwo byli? * zapytała szefowa ich zespołu badawczego. * Nie odchodziłam od telefonu.

* Chcesz powiedzieć, że martwiłaś się o nas? * odparła Remi.

* Owszem. Proszę się wytłumaczyć.

Sam zrelacjonował krótko wydarzenia ostatnich dni i zakończył wiadomością, że odzyskali dzwon.

Selma westchnęła.

* Szkoda, że nie mogę powiedzieć, że nie tracili państwo czasu.

* Co masz na myśli? * spytał Sam.

* Wczoraj dostaliśmy pierwszy transport z Muzeum Mortona. Wśród przysłanych rozmaitości znaleźliśmy coś w rodzaju dziennika... dziennika Blaylocka, mówiąc ściślej.

* To świetnie * ucieszyła się Remi, po czym dodała niepewnie: * Prawda?

* Byłoby świetnie * odparła Selma * gdyby nie to, że Winston Lloyd Blaylock, Mbogo z Bagamoyo, był obłąkany.

Rozdział 22

Goldfish Point, La Jolla, Kalifornia

Fargowie byli mocno zmęczeni, a że chcieli wziąć się do pracy od razu po powrocie do domu, spędzili większość lotu do Stanów, śpiąc i starając się nie myśleć o opinii Selmy o Winstonie Blaylocku. Selma nie miała skłonności do przesady, więc jej podejrzenie było zapewne słuszne. Oczywiście dzwon miał wartość historyczną, a zagadkowa inskrypcja na jego wewnętrznej powierzchni i obsesja Blaylocka na punkcie statku (o nazwie „Ophelia”, czy „Shenandoah”, czy „El Majidi”) sugerowała istnienie tajemnicy, która najwyraźniej skłoniła Iztliego Riverę i być może kogoś z meksykańskiego rządu do zamordowania dziewięciorga turystów.

Pete Jeffcoat i Wendy Corden czekali na Fargów w hali przylotów. Pete wziął ich bagaż podręczny.

* Wyglądacie na zmęczonych * powiedział.

* Szkoda, że nie widziałeś nas osiemnaście godzin i kilkanaście stref czasowych temu * odparł Sam.

* Co ci się stało? * zapytała Wendy, wskazując spuchnięty policzek Sama i jego zabandażowany palec. Na palcu miał porządny opatrunek, ale rozcięcie skóry na kości policzkowej pokrywał superklej. Ed Mitchell przysięgał, że to lepsze niż szwy.

* Przypaliłem naczynie żaroodporne i Remi dostała szalu * wyjaśnił Sam i zainkasował kuksaniec w ramię od żony.

* Mężczyźni są jak dzieci * zwróciła się Remi do Wendy.

* Cieszymy się, że wróciliście * powiedział Pete. * Selma rwała sobie włosy z głowy. Tylko nie mówcie jej, że wiecie to ode mnie.

* Wiadomo coś o dzwonie? * spytał Sam.

* Jest w drodze, mniej więcej w połowie trasy nad Atlantykiem. Jeśli dopisze nam szczęście, dotrze pojutrze.

* Orientujesz się, dlaczego Selma uważa Blaylocka za świra?

Wendy pokręciła głową.

* Od trzech dni próbuje poskładać to wszystko do kupy. Lepiej niech sama wyjaśni.

Domem i bazą operacyjną Sama i Remi była trzypiętrowa rezydencja w hiszpańskim stylu o powierzchni tysiąca stu piętnastu metrów kwadratowych i otwartym planie kondygnacji. Miała sklezione sufity z klonowymi belkami i tyle okien i świetlików, że środek do mycia szyb kupowali w czterdziestolitrowych wiadrach.

Na górze znajdowało się mieszkanie Fargów, a poziom niżej cztery apartamenty gościnne, salon, jadalnia i kuchnia wystająca nad klif. Pierwsze piętro zajmowały sala gimnastyczna ze sprzętem do aerobiku i treningu okrężnego, sauna, basen HydroWorx, ściana wspinaczkowa i przestrzeń z dziewięćdziesięcioma metrami kwadratowymi podłogi z twardego drewna, gdzie Remi ćwiczyła szermierkę, a Sam dżudo.

Na parterze o powierzchni stu osiemdziesięciu pięciu metrów kwadratowych mieściły się biuro Sama i Remi oraz pracownia Selmy z trzema stacjonarnymi stacjami roboczymi Mac Pro i dwoma zamontowanymi na ścianie trzydziestodwucalowymi telewizorami LCD. Wschodnią ścianę zajmowała duma i radość Selmy * ponad czterometrowe słonowodne akwarium o pojemności tysiąca ośmiuset dziewięćdziesięciu litrów z tęczowymi rybkami, których łacińskie nazwy znała na pamięć.

Do swojej drugiej miłości, herbaty, Selma podchodziła z równą namiętnością; całą szafkę w pracowni wypełniały najrozmaitsze gatunki, łącznie z hybrydą Darjeeling Phoobsering*Osmanthus, źródłem jej niespożytej energii, jak podejrzewali Sam i Remi.

Selma Wondrash wyglądała dziwnie: włosy upinała w zmodyfikowany kok z lat sześćdziesiątych,

nosiła okulary w rogowych oprawkach z łańcuszkiem na szyi i uniform złożony ze spodni khaki, adidasów i nierównomiernie ufarbowany T-shirt.

Mimo że była dziwna * a może właśnie dlatego * nikt nie znał się lepiej od niej na logistyce, badaniach i pozyskiwaniu źródeł.

Sam i Remi weszli do pracowni i zastali Selmę pochyloną nad akwarium. Pisała coś na clipboardzie. Gdy ich zobaczyła, skończyła pisać i odłożyła clipboard.

* Mój Centropyge loriculus wygląda na chorego * wyjaśniła i przetłumaczyła nazwę: * Cherubinek płomienny.

* To jeden z moich ulubieńców * odrzekła Remi. Selma z powagą skinęła głową.

* Witam państwa w domu.

Fargowie już dawno przestali ją namawiać, żeby zwracała się do nich po imieniu.

* Dobrze być z powrotem * powiedział Sam.

Selma podeszła do długiego stołu na środku pracowni i usiadła. Sam i Remi zajęli stołki naprzeciwko niej. Masywna laska Blaylocka leżała wzdłuż blatu.

* Dobrze państwo wyglądają * stwierdziła Selma.

* Pete i Wendy są innego zdania.

* Porównuję to, co widzę, z tym, co sobie wyobrażałam przez ostatnie kilka dni. Wszystko jest względne.

* To prawda * zgodziła się Remi. * Grasz na zwłokę, Selmo?

Selma zacisnęła usta.

* Nie lubię udzielać niekompletnych informacji.

* To, co ty uważasz za niekompletne, my uważamy za tajemnicze, a uwielbiamy tajemnice * odparł Sam.

* Więc spodoba się państwu to, co powiem. Najpierw krótki wstęp. Z pomocą Pete'a i Wendy rozłożyłam na czynniki pierwsze, zindeksowałam i opatrzyłam przypisami biografię Blaylocka autorstwa Mortona. Jest w naszym serwerze w formacie PDF, jeśli chcieliby państwo ją przeczytać, ale podam skondensowaną wersję. * Otworzyła teczkę na akta i zaczęła czytać: * Blaylock przybył do Bagamoyo w marcu tysiąc osiemset siedemdziesiątego drugiego roku w tym, co miał na grzbiecie, z kilkoma sztukami srebra, karabinem Henry kaliber 11 milimetrów, nożem myśliwskim, wystarczająco dużym, „by ściąć baobab”, wetkniętym do buta i krótkim mieczem przypasanym do biodra.

* Morton najwyraźniej miał natchnienie * powiedziała Remi i spojrzała na Sama. * Pamiętasz artykuł o zamordowanej brytyjskiej turystce?

Sam przytaknął.

* Sylvie Radford.

* Pamiętasz, co znalazła podczas nurkowania?

* Jakiś miecz. To strzał w ciemno, ale może ten miecz należał kiedyś do Blaylocka. Selmo, mogłabyś...

Selma już notowała.

* Zobaczę, czego uda mi się dowiedzieć.

* Krótki miecz łatwo pomylić z nożem myśliwskim. Może Morton źle to zrozumiał. Przepraszam, Selmo, mów dalej.

* Blaylock ewidentnie przerażał miejscowych. Był o trzydzieści centymetrów wyższy od wszystkich i ponury jak chmura gradowa. Gdy przybył do Bagamoyo, już pierwszej nocy kilku opryszków zebrało się i postanowili go okraść. Dwaj zginęli, a reszta potrzebowała pomocy lekarskiej.

* Zastrzelili ich * domyślił się Sam.

* Nie * odparła Selma. * Nie użył ani karabinu, ani noża, ani miecza. Walczył gołymi rękami. Potem już nikt go nie niepokoił.

* Pewnie o to chodziło * orzekł Sam. * Rozprawienie się bez broni z sześcioma ludźmi robi wrażenie.

* W istocie. Po tygodniu został ochroniarzem bogatego Irlandczyka na safari, a po miesiącu samodzielnym przewodnikiem. Jeszcze lepiej niż rękami posługiwał się Henrym. Tam, gdzie inni Europejczycy przewodnicy i myśliwi używali karabinów myśliwskich dużego kalibru, Blaylock potrafił położyć trupem szarżującego bawołu z przyładka, mbogo, jednym strzałem z Henry'ego. Jakies dwa

miesiące po przyjeździe zachorował na malarię i leżał przez sześć tygodni bliski śmierci. Opiekowały się nim jego dwie kochanki: Masajki pracujące w Bagamoyo. Choć Morton tego nie napisał, Blaylock po wyzdrowieniu najwyraźniej trochę zblizował. Znikał na całe miesiące. Wypuszczał się na „wyprawy w pogoni za wizją”, jak to nazywał. Żył wśród Masajów, miał konkubiny, uczył się u szamanów, mieszkał samotnie w buszu, szukał kopalni króla Salomona i Timbuktu, wykopywał skamieliny w wąwozie Olduvai, podążał szlakiem Mansy Musy w nadziei, że znajdzie jego złoto. Jest nawet anegdota, że to on pierwszy znalazł Davida Livingstone'a. Według relacji Mortona, Blaylock wysłał posłańca do Bagamoyo, żeby zawiadomił Henry'ego Mortona Stanleya. Krótco po tym, gdy ci dwaj spotkali się w pobliżu jeziora Tanganika, padło słynne zdanie: „Doktor Livingstone, jak mniemam?”

* Jeśli wierzyć Mortonowi * odezwała się Remi * Winston Lloyd Blaylock był takim dziewiętnastowiecznym Indianą Jonesem.

* Myśliwy, badacz, bohater, mistyk, Casanovą i niezniszczalny wybawca w jednym * podsumował Sam. * Ale to wszystko jest z biografii autorstwa Mortona?

* Zgadza się.

* A tak przy okazji, Morton pewnie dostał imię po Henrym Mortonie Stanleyu?

* To też się zgadza. Według drzewa genealogicznego rodziny zamieszczonego na końcu książki, wszyscy potomkowie Blaylocka w prostej linii dostawali imiona pochodzące od czegoś związanego z Afryką: miejsc, faktów historycznych, znanych postaci...

* Jeśli wzięłaś to wszystko z biografii, co z dziennikiem, o którym wspomniałaś? * zapytał Sam.

* Użyłam terminu „dziennik” z braku lepszego określenia. To właściwie składanka: pamiętnik, szkice z terenu...

* Możemy go zobaczyć?

* Jeśli państwo sobie życzą, jest w skarbcu. * Przy pracowni Selma miała archiwum z kontrolowaną temperaturą i wilgotnością. * W bardzo kiepskim stanie: nadgryziony przez owady, brudny, kartki zniszczone przez wodę posklejane... Pete i Wendy pracują nad renowacją. Fotografujemy i digitalizujemy strony, które możemy, a potem zajmujemy się zniszczonymi fragmentami. Jest jeszcze coś: pamiętnik służył Blaylockowi również za dziennik okrętowy.

* Co takiego? * zdziwiła się Remi.

* Blaylock nigdzie nie wspomina o „Shenandoah” ani o „El Majidi”, ale wiele wpisów wyraźnie wskazuje, że spędzał długie okresy na morzu. No i często wspomina o Ophelii.

* W jakim kontekście?

* To była jego żona.

* To chyba wyjaśnia jego obsesję * stwierdził Sam. * Nie tylko zmienił w myślach nazwę „Shenandoah”, lecz również wygrawerował imię żony na dzwonie.

* Ophelia nie jest afrykańskim imieniem * zauważyła Remi. * Musiało chodzić o kobietę poślubioną w Stanach.

* Masz rację * rzekła Selma. * W biografii nie ma o niej żadnej wzmianki, A w dzienniku Blaylock pisze o niej często, lecz bez żadnych szczegółów. Może bardzo ją kochał, a może z jakiegoś innego powodu nie przestawał o niej myśleć.

* Są jakieś daty w dzienniku? * zapytała Remi. * Coś, co moglibyśmy odnieść do biografii autorstwa Mortona?

* W obu książkach podano tylko miesiące i lata; w dzienniku jest ich bardzo niewiele. Próbuje coś dopasować, ale pojawiają się rozbieżności. Na przykład w biografii znaleźliśmy okres, kiedy Blaylock wędruje przez Kongo, tymczasem według dziennika był wtedy na morzu.

* Coś się nie zgadza * powiedział Sam.

* Tylko coś? * spytała Remi. * Ja mam już całą listę rozbieżności.

* Ja właściwie też. Ale zacznijmy od dziennika okrętowego. Jeśli przyjmujemy, że Blaylock był na morzu na pokładzie „Shenandoah” * to znaczy „El Majidi” * powstaje sprzeczność. Ze wszystkich relacji wynika, że sułtan Zanzibaru kupił „Shenandoah” w roku tysiąc osiemset sześćdziesiątym szóstym i statek stał opuszczony na kotwicy, dopóki nie został uszkodzony w tysiąc osiemset siedemdziesiątym drugim lub siedemdziesiątym dziewiątym. Chyba ktoś zauważyłby jego zniknięcie?

* Słusznie * zgodziła się Selma i zrobiła notatkę. * Następna zagadka: gdy sułtan Majid zmarł w październiku tysiąc osiemset siedemdziesiątego roku, zastąpił go jego brat i zaciekle rywal Sayyid

Barghash bin Said. To on stał się właścicielem „El Majidi”. Niektórzy historycy uważają za dziwne, że Sayyid nie zmienił nazwy statku, nie mówiąc o tym, że w ogóle go zatrzymał.

* Spróbujmy odtworzyć historię „Shenandoah” vel „El Majidi” * rzekł Sam.

Selma podniosła słuchawkę telefonu i wybrała numer archiwum.

* Wendy, możesz zestawić dzieje „Shenandoah” vel „El Majidi”? Dziękuję.

* Musimy też dowiedzieć się więcej o życiu Blaylocka przed jego przyjazdem do Afryki * wtrąciła Remi.

* Nad tym również pracuję * zapewniła Selma. * Dotarłam do starej przyjaciółki, która prawdopodobnie będzie mogła pomóc.

Wendy wyszła z archiwum, uśmiechnęła się i uniośszy palec na znak, żeby zaczekali, usiadła przy jednym ze stanowisk komputerowych. Pisała na klawiaturze kilka minut, po czym oznajmiła:

* Wszystko jest na ekranie. Selma wyświetliła zestawienie:

Marzec 1866: „Shenandoah” sprzedany sułtanowi Zanzibaru.

Listopad 1866: „Shenandoah” przybywa na Zanzibar, przemianowany na „El Majidi”.

Listopad 1866*październik 1870: „El Majidi” stoi na kotwicy lub sporadycznie odbywa rejsy handlowe.

Październik 1870: pierwszy sułtan umiera. Zaczynają się rządy brata.

Październik 1870*kwiecień 1872: „El Majidi” przypuszczalnie na kotwicy.

Kwiecień 1872: huragan uszkadza „El Majidi”. Statek wysłany do Bombaju do naprawy.

Lipiec 1872: „El Majidi” podobno tonie w drodze na Zanzibar.

Lipiec 1872*listopad 1879: prawie siedmioipółletnia luka w historii statku. Jego losy nieznane.

Listopad 1879: w drodze do Bombaju „El Majidi” podobno tonie w pobliżu wyspy Sokotra.

* Mamy dwie pozornie wiarygodne relacje o zatonięciu, które przeczą sobie wzajemnie, i ponad siedmioletnią białą plamę * podsumował Sam. * Selmo, jaka jest najwcześniejsza data w dzienniku Blaylocka?

* O ile zdołaliśmy się zorientować, sierpień tysiąc osiemset siedemdziesiątego drugiego, około pięciu miesięcy po jego przybyciu do Afryki i miesiąc po pierwszej informacji o zatonięciu „El Majidi”.

* Siedem lat * powiedziała Remi. * Gdzie on był przez cały ten czas?

Meksyk, stolica Meksyku

Dwa tysiące czterysta kilometrów na południe Itzli Rivera od godziny czekał w sekretariacie prezydenta.

Sekretarka Garzy, dwudziestokilkuletnia dziewczyna

o samych oczach, lśniących czarnych włosach i figurze jak klepsydra, siedziała za swoim biurkiem i pisała na komputerze; jej palce wskazujące wędrowały po klawiaturze i od czasu do czasu naciskały jakiś klawisz. Ma taką minę, jakby próbowała rozwiązać sudoku na mistrzowskim poziomie, pomyślał Rivera. Najwyraźniej nie kwalifikacje zawodowe zadecydowały o przyjęciu jej do pracy.

Ciekawe, czy Garza kazał dziewczynie zmienić imię na azteckie, zastanawiał się. A jeśli tak, to na jakie? Jakby w odpowiedzi na to pytanie z interkomu na biurku sekretarki dobiegł głos prezydenta:

* Chalchiuhtl, możesz przysłać pana Riverę.

* Tak jest, panie prezydencie. * Dziewczyna uśmiechnęła się do Rivery i wskazała mu drzwi absurdalnie długim paznokciem. * Może pan...

* Słyszałem, dziękuję.

Rivera pchnął dwuskrzydłowe drzwi, wszedł do gabinetu i zamknął je za sobą. Podeszedł do biurka Garzy i stanął w pozycji niby na baczność.

* Siadaj * rzekł prezydent. Rivera to zrobił.

* Czytałem twój raport * zaczął Garza. * Masz coś do dodania?

* Nie, panie prezydencie.

* Pozwól, że podsumuję, jeśli nie masz nic przeciwko temu...

* Oczywiście, że nie, panie prezydencie.

* To było pytanie retoryczne, Itzli. Ty i twoi ludzie zostaliście przechytrzeni przez tych poszukiwaczy skarbów... tych Fargów... Zdołaliście w końcu zdobyć dzwon i przetransportować go na wyspę Okafora, ale tylko po to, żeby sprzątnęli go wam sprzed nosa.

Rivera skinął głową.

* Fargowie nie tylko odzyskali dzwon * ciągnął Garza * ale również porwali helikopter Okafora wart

cztery miliony dolarów.

* A ja straciłem człowieka. Nochtli wypadł ze śmigłowca i skręcił sobie kark.

Prezydent zbył to machnięciem ręki.

* Nie wyjaśniłeś, jak Fargom w ogóle udało się dostać na pokład. Możesz to zrobić? Gdzie byłeś, kiedy to wszystko się działo?

Rivera odchrząknął i poruszył się niespokojnie.

* Byłem... nieprzytomny.

* Słucham?

* Ten mężczyzna, Sam Fargo, zaatakował mnie na pokładzie jachtu Okafora. Zaskoczył mnie.

Najwyraźniej trenuje jakieś sztuki walki.

* Najwyraźniej. * Garza obrócił się na krześle i wyjrzał przez okno. Bębnił chwilę palcami w blat biurka, po czym powiedział: * Jestem prawie pewien, że oni nie zrezygnują. Można by to wykorzystać. Jeśli są tacy sprytni, jak się wydają, to na pewno odwiedzą przynajmniej jeden z rejonów, które już przeszukaliśmy.

* Zgadzam się z tym.

* Dotrzyj do swoich kontaktów: urzędników imigracyjnych, pracowników lotnisk, do wszystkich, którzy będą mogli nas zawiadomić, kiedy Fargowie się pojawią.

* Tak jest, panie prezydencie. Zacznę od Antananarywy. Coś jeszcze?

Garza popatrzył surowo na Riverę.

* Masz na myśli to, czy poniesiesz jakieś konsekwencje swojej porażki?

* Tak, panie prezydencie. Prezydent zaśmiał się ponuro.

* Czego się spodziewasz, Itzli? Że będzie jak w filmie? Że wyjmę rewolwer z rękojeścią z masy perłowej i cię zastrzelę albo otworzę pod tobą zapadnię?

Rivera pozwolił sobie na uśmiech. Twarz Garzy stała się lodowata.

* Nadal jesteś najlepszym człowiekiem do tej roboty. Najlepszym, jakiego w ogóle mam. Chcę, żebyś dowiódł, że zasługujesz na moją wiarę w ciebie. Byłoby idealnie, gdyby Sam i Remi Fargo skończyli martwi.

* Tak jest, panie prezydencie, dziękuję panu.

* Jeszcze jedno. Trzeba się zająć organizacją pogrzebu.

* Nochtlego * domyślił się Rivera. * Tak jest, panie prezydencie, ja...

* Nie, nie, tego drugiego, Yaotla. On i jego żona zginęli dziś rano w wypadku samochodowym.

Rivera poczuł, jak jeżą mu się włosy na głowie.

* Co takiego?

* Smutne, prawda? Stracił panowanie nad kierownicą i spadł z urwiska. Oboje zginęli na miejscu.

* Mieli pięcioletnie dziecko.

Garza zmarszczył czoło, jakby rozważał tę kwestię.

* Tak, córeczkę. Nic jej nie jest. Była wtedy w szkole. Będziemy musieli znaleźć jej nowy dom. Tym też się zajmiesz?

* Tak, panie prezydencie.

Rozdział 23

Biblioteka Kongresu, Waszyngton

W szukaniu informacji o życiu Winstona Blaylocka przed przybyciem do Afryki obiecała im pomóc dawna przyjaciółka Selmy Juliannę Severson, która przejęła Dział Zbiorów Specjalnych Biblioteki Kongresu po jej odejściu.

Czekała na Fargów w wejściu służbowym do Jefferson Building od strony Drugiej ulicy. Dwa pozostałe gmachy tworzące kompleks biblioteczny * Adams i Madison * wznosiły się przecznice dalej, odpowiednio na wschód i południe.

Po wymianie uścisków dłoni Severson zaczęła:

* Miło mi państwa poznać...

* Proszę nam mówić po imieniu * przerwała jej Remi.

* Doskonale. Ja mam na imię Juliannę. Od dawna jestem waszą fanką. Pewnie nie zdajecie sobie z tego sprawy, ale wasze przygody rozbudzają zainteresowanie historią, zwłaszcza wśród dzieci.

* Dziękujemy, Juliannę * odrzekł Sam.

Wręczyła im dwie zalaminowane plakietki do noszenia na szyi.

* Karty identyfikacyjne czytelników * wyjaśniła z uśmiechem. * To część programu ochrony zbiorów. Od jedenastego września przepisy są znacznie ostrzejsze.

* Rozumiemy.

* Chodźmy, chętnie sama wam pomogę...

* To bardzo uprzejme z twojej strony * odpowiedziała Remi * ale nie chcemy zabierać ci czasu.

* To naprawdę żaden problem. Moja asystentka zajmie się wszystkim. * Severson skręciła na marmurowe schody, Sam i Remi ruszyli za nią. * Co wiecie o bibliotece?

* Byliśmy tu kilka razy, ale nigdy jako badacze * odparła Remi.

Fargowie wiedzieli, że samo zwiedzanie jest zapierającym dech w piersi przeżyciem. Biblioteka Kongresu, najstarsza instytucja federalna w kraju, została założona w tysiąc osiemsetnym roku i mieściła się w Capitol Building do roku tysiąc osiemset czteremastego, kiedy to brytyjskie oddziały podpaliły gmach i zniszczyły zbiory liczące trzy tysiące tomów. Rok później Kongres uchwalił ponowne otwarcie biblioteki i kupił składającą się z około sześciu tysięcy woluminów prywatną kolekcję Tomasza Jeffersona.

Obecnie zbiory biblioteki obejmowały trzydzieści trzy miliony książek i druków, trzy miliony nagrań, dwanaście i pół miliona fotografii, pięć milionów trzysta tysięcy map, sześć milionów zapisów nutowych i sześćdziesiąt trzy miliony manuskryptów * wszystko w niemal pięciuset językach * razem około stu czterdziestu pięciu milionów sztuk na ponad tysiącu stu dziewięćdziesięciu dwóch kilometrach półek.

* Wygląda bardziej jak katedra niż biblioteka * zauważyła Remi. * Architektura...

* Budzi podziw? * dokończyła Severson.

* Właśnie. Te marmurowe podłogi i kolumny, łuki, sklepienie sufity, wystrój...

Severson pokiwała głową.

* Selma określiła kiedyś to miejsce jako częściowo katedrę, częściowo muzeum, częściowo galerię, z dodaną odrobiną biblioteki. Przypuszczam, że po splądrowaniu biblioteki przez Brytyjczyków myślą przewodnią podczas rekonstrukcji było: „my im pokażemy”.

* Więcej, lepiej, bardziej ostentacyjnie * stwierdziła Remi. * Architektoniczne zagranie na nosie.

Severson się roześmiała.

* Idziemy do głównej czytelni? * spytał Sam.

* Nie, na pierwsze piętro, do rzadkich książek i zbiorów specjalnych. W głównej czytelni mamy dziś wycieczki

z miejscowych szkół podstawowych. Będzie tam trochę zamieszania.

Dotarli do drzwi z numerem 239 i weszli do środka.

* Jeśli chcecie zająć stół do pracy, ja usadowię się przy komputerze. Wprowadźcie nasz katalog jest coraz bardziej przyjazny dla użytkownika, ale będzie łatwiej, jeśli wykonam czarną robotę. Selma przemailowała mi część dokumentów i naświetliła sprawę: Winston Lloyd Blaylock, imię żony Ophelia, przebywał w Stanach Zjednoczonych przed marcem tysiąc osiemset siedemdziesiątego drugiego roku. Coś jeszcze?

* Mamy przybliżony rysopis * odrzekła Remi.

* Wszystko może się przydać.

* Metr dziewięćdziesiąt wzrostu, waga prawdopodobnie około stu dziesięciu kilogramów.

* Miał karabin Henry kaliber 11 milimetrów * dodał Sam. * O ile wiem, nie była to zbyt popularna broń.

* Na pewno nie tak jak winchestery, remingtony czy springfieldy. Henry nie był standardowym uzbrojeniem podczas wojny secesyjnej, ale wielu żołnierzy Unii kupowało sobie te karabiny za własne pieniądze. Rząd wyposażał w nie zwiadowców, oddziały szturmowe i siły specjalne. Żołnierze Konfederacji nie cierpieli karabinów Henry. Mogły mieć w magazynku szesnaście naboju, więc wyszkolony żołnierz potrafił oddać dwadzieścia osiem strzałów w ciągu minuty. W tamtych czasach to prawie jak z ręcznej broni maszynowej. Wiadomo, czy Blaylock potrafił dobrze posługiwać się henrym?

* Według naszego źródła, świetnie strzelał.

Severson skinęła głową. Zaczęła pisać i przez następne pięć minut słychać było tylko stukanie w

klawisze i jej pomruki „fascynujące” lub „interesujące”. W końcu podniosła wzrok.

* Mam tu informacje z archiwów państwowych. Dwa główne źródła: skompilowany przebieg służby wojskowej

i publikacje M594 oraz M861, czyli „służba jednostek wojskowych w ochotniczych organizacjach związkowych” Unii i Konfederacji.

* Jest jakaś wzmianka o Blaylocku?

* Dokładnie pięćdziesiąt dziewięć. Ponieważ Blaylock nosił karabin Henry, zaczniemy od Unii. *

Severson znów zabrała się do pisania. * Problem w tym, że wiele pozycji podaje tylko inicjał imion lub imienia i nazwisko. Jest kilku W. Blaylocków i dwóch W.L. Blaylocków. Przy pierwszym jest załącznik, kartoteka medyczna. Czy wasz Blaylock odniósł jakieś rany?

* Nic nam o tym nie wiadomo.

Severson postukała w ekran, najwyraźniej podekscytowana tym, co znalazła.

* Prawa noga amputowana w szpitalu polowym podczas bitwy nad Antietam. To chyba go wyklucza? Och, przepraszam, zabrzmiało to makabrycznie.

* Wszystko w porządku * zapewnił Sam. * Ty i Selma jednakowo uwielbiacie badania. Jesteśmy do tego przyzwyczajeni.

* W porządku, sprawdźmy następną pozycję. Hm, to ciekawe. Ten Blaylock został zwolniony z armii Unii we wrześniu sześćdziesiątego trzeciego, ale nie podano przyczyny. Nie został przeniesiony ani ranny, tylko po prostu zwolniony.

* Co to znaczy? * spytała Remi.

* Nie jestem pewna. Spróbuję poszukać czegoś więcej.

Piętnaście minut później Severson znów podniosła wzrok od komputera.

* Mam! Cały przebieg służby. To może być wasz człowiek: William Lynd Blaylock.

* Blisko * przyznał Sam. * Bardzo blisko.

* Rysopis też jest bardzo podobny: metr dziewięćdziesiąt wzrostu, dziewięćdziesiąt pięć kilogramów wagi.

* Nietrudno przytyć o dziesięć czy piętnaście kilo po odejściu z wojska * zauważyła Remi.

Severson zmarszczyła brwi.

* Części akt brakuje. Mam szczegóły szkolenia, przydziałów do jednostek, awansów, kampanii, w których brał udział, ocen... Ale po tysiąc osiemset sześćdziesiątym drugim wszystkie jego przydziały to „służba uzupełniająca”.

* Coś jak James Bond * powiedziała Remi.

* Nie jesteś daleka od prawdy * odparła Severson * ale w przypadku archiwów z okresu wojny secesyjnej termin „służba uzupełniająca” dotyczy zwykle jednostek partyzanckich * tego, co dzisiaj nazywamy siłami specjalnymi.

Sam zaczął wymieniać:

* Takich jak Loudoun Rangers, Quantrill's Raiders, Kansas Jayhawkers...

* Zgadza się * potwierdziła Severson. * Jeśli połączyć to z tajemniczym zwolnieniem Blaylocka z armii Unii w sześćdziesiątym trzecim, chyba mamy żołnierza, który stał się szpiegiem.

Popołudnie mijało. Severson siedziała przy komputerze, robiła notatki i od czasu do czasu dzieliła się z Samem i Remi swoimi ustaleniami. O czwartej przerwała i spojrzała na zegarek.

* Ależ ten czas ucieka. Już prawie pora zamykać. Nie musicie tu siedzieć. Wróćcie do hotelu i zjedzcie kolację. Zadzwoń do was, jeśli coś znajdę. Poprawka: kiedy coś znajdę.

* Proszę cię, Juliannę, ty też idź do domu * odrzekła Remi. * Na pewno masz inne plany.

* Nie. Moja współlokatorka nakarmi kota, a ja przekąszę coś tutaj.

* Nie możemy... * próbował protestować Sam.

* Żartujesz? * przerwała mu. * Dla mnie to jest jak wyprawa do Disney Worldu.

* Brzmi znajomo * powiedziała Remi z uśmiechem. * Ty i Selma na pewno nie jesteście spokrewnione?

* Należymy do tajnego stowarzyszenia Bibliotekarek Broni * odparła Severson. * Idźcie i dajcie mi robić swoje. Skontaktuję się z wami.

Jak zawsze podczas pobytu w Waszyngtonie, Fargowie zarezerwowali apartament Roberta Millsa w hotelu Monaco. Dwadzieścia minut po tym, jak wyszli z Biblioteki Kongresu, ich taksówka zatrzymała

się przed hotelowymi schodami pod czerwonym zadaszeniem. Portier otworzył im drzwi i wysiedli. Budynek hotelu, niegdyś siedziba Generalnego Urzędu Pocztowego Stanów Zjednoczonych, wznosi się w dziewiętnastowiecznej dzielnicy Penn Quarter niedaleko Mali, Smithsonianańskiego Muzeum Sztuki, Edgar Hoover Building, pomnika Marynarki Wojennej i tyłu pięciogwiazdkowych restauracji, że smakosz byłby zachwycony przez lata.

* Witam, państwo Fargo * powiedział portier, podszedł do bagażnika i wyjął ich bagaż. * Każę dostarczyć państwa rzeczy na górę. Proszę wejść, w recepcji czekają na państwa. Dziesięć minut później byli w swoim apartamencie. Wciąż zmęczeni po afrykańskiej odysei, zdrzemnęli się godzinkę, a potem wzięli prysznic, ubrali się do kolacji i zeszli do hotelowej restauracji Poste Moderne Brasserie.

Przejrzawszy listę win oraz menu, zamówili butelkę lekkiego, orzeźwiającego muscadet domaine de la quilla rocznik 2007 z doliny Loary, sałatkę z rukoli z bazylią, miętą i parmezanem oraz gotowane na parze omułki bouchot w białym winie z szafranem, gorczycą i czosnkiem.

Podobnie jak sama wizyta w Monaco, wybór tych dań był ich tradycją.

Remi wypila łyk wina, zamknęła oczy i westchnęła.

* Muszę ci coś wyznać, Sam. Uwielbiam przygody jak każda dziewczyna, ale nie ma to jak dobre jedzenie i wygodne łóżko z czystą pościelą.

* Nie przeczę.

Zadzwęczał iPhone Remi. Spojrzała na wyświetlacz i odłożyła aparat.

* Selma. Znalazła następny aztecki symbol w dzienniku Blaylocka.

Przed wyjazdem do Waszyngtonu poprosili asystentkę, żeby skoncentrowała się na szukaniu wszystkiego, co choćby w przybliżeniu przypomina hieroglif miquiztli. Za radą Selmy Remi ściągnęła z Internetu wysokiej rozdzielczości zdjęcie dwudziestoczerotonowego Kamienia Słońca, azteckiego kalendarza wystawionego w Narodowym Muzeum Antropologii w stolicy Meksyku.

* Jak dotąd, mamy cztery symbole * powiedziała.

* Jest jakiś dostrzegalny wzór? Jakies adnotacje przy symbolach?

* Żadnych. Selma mówi, że są pojedyncze.

* Będziesz musiała mi dać jakiś podręcznik dla początkujących o wszystkim, co azteckie.

* Zobaczę, co da się zrobić. Niewiele dawnych ludów miało bardziej skomplikowaną historię i kulturę.

Nawet po całym semestrze nauki o nich czuję się, jakbym ledwo liznęła ten temat. Każdy symbol ma mnóstwo znaczeń, a każdy bóg wiele tożsamości. Co gorsza, większość relacji przedstawia hiszpański punkt widzenia.

* Zwycięzcy piszą historię * rzekł sentencjonalnie Sam.

* Taka jest smutna prawda. Sam upił łyk wina.

* Wygląda na to, że Rivera i ktoś, dla kogo on pracuje, mają taką samą obsesję jak Blaylock, mimo że dzieli ich

sto czterdzieści lat. Wątek aztecki na pewno nie jest zbiegiem okoliczności. A może szczegóły przesłaniają nam istotę sprawy?

* Nie sądzę. Aztekowie to wspólny mianownik, który łączy Blaylocka, statek, dzwon i Riverę. Trzeba się dowiedzieć, jaką rolę odgrywają dzwon i statek.

Kelner przyniósł im sałatki.

* Przede wszystkim * powiedział Sam * wciąż nie wiemy, jak to się stało, że Riverę zainteresował „Shenandoah”. Nie wiemy nawet, czy w ogóle chodzi o „Shenandoah”. Poza „Ophelią”, co było pomysłem Blaylocka, statek miał jeszcze dwie inne nazwy: „Sea King” i „El Majidi”. Musimy więc ustalić nie tylko „co”, ale również „kiedy”.

* A może oni natrafili na coś związanego z Blaylockiem, na przykład inny dziennik albo jakieś listy. I może Selma ma rację, że Blaylock po malarii zwariował i bazgroły w jego dzienniku to czysta fantazja?

* Innymi słowy * podsumował Sam * to wszystko może być szukaniem wiatru w polu.

Na deser zjedli po kawałku ciasta truskawkowo*rabarbarowego i wypili po filiżance etiopskiej kawy bezkofeinowej. Wrócili do pokoju tuż przed dziewiątą. Lampka sygnalizująca wiadomość błyskała na telefonie.

* Byłam pewna, że o czymś zapomniałam * powiedziała Remi. * Nie dałam Juliannie numerów naszych komórek.

Sam zadzwonił do hotelowej poczty głosowej i włączył głośnik.

* Sam, Remi, tu Juliannę. Jest około wpół do dziewiątej. Zamierzam popracować w domu, ale będę w bibliotece jutro o szóstej rano. Przyjdźcie około ósmej. Chyba coś znalazłam.

Rozdział 24

Biblioteka Kongresu

Zjawili się przy wejściu służbowym o siódmej czterdzieści pięć. Ochroniarz sprawdził ich dokumenty tożsamości i zaprowadził do Działu Zbiorów Specjalnych na pierwszym piętrze. Juliannę Severson siedziała przy komputerze z głową na blacie biurka. Miała na sobie to samo ubranie, co poprzedniego dnia.

Kiedy weszli, wyprostowała się gwałtownie i rozejrzała. Na widok Fargów zamrugowała szybko kilka razy i się uśmiechnęła.

* Dzień dobry!

* Och, Juliannę * powiedziała Remi * ty chyba w ogóle nie poszłaś do domu.

* No cóż, naprawdę zamierzałam, ale wpadłam na trop, który prowadził do następnego i... Wiecie, jak to jest.

* Wiemy * potwierdził Sam. * Przynieśliśmy ci ze Starbucksa kawę, bajgle i serek śmietankowy.

Uniósł pudełko. Severson uśmiechnęła się szeroko.

Po wypiciu kawy i zjedzeniu bajgla wytarła usta, przeczesала palcami włosy i dołączyła do Fargów przy stole do pracy.

* Teraz lepiej * oznajmiła. * Dzięki.

Obok niej leżały teczka na akta wypchana wydrukami i żółty bloczek do notatek pełen zapisków.

* Wydrukuję, rzecz jasna, wszystkie materiały, jakie znalazłam, więc na razie podam po prostu najważniejsze fakty * zaczęła Severson. * Na szczęście wszystko, co znalazłam, już dawno zostało odtajnione i teraz to ogólnie dostępne źródła. Sprawdziłam, co tylko było można. Prywatne archiwa, zbiory uniwersytetów, dokumenty departamentu wojny i marynarki, rejestry tajnej służby, książki i periodyki...

* Zamieniamy się w słuch * rzekł Sam.

* Pozwólcie, że najpierw pokażę zdjęcie mojego Blaylocka. Powiecie mi, czy przypomina waszego.

Wyjęła fotografię z teczki i podsunęła przez stół. Remi wyświetliła na swoim iPhone'ie zeskanowaną wersję zdjęcia Blaylocka, które znaleźli w muzeum w Bagamoyo. Fotografia Severson przedstawiała wysokiego, barczystego dwudziestoparolatka w mundurze oficera armii Unii. Fargowie porównali zdjęcia.

* To on * stwierdził Sam. * U nas jest starszy, trochę posiwiał i opalony, ale to ten sam człowiek. Severson skinęła głową.

* Mężczyzna, którego znacie jako Winstona Lloyda Blaylocka, naprawdę nazywał się William Lynd Blaylock. Urodził się w Bostonie w roku tysiąc osiemset trzydziestym dziewiątym, studiował na Harvardzie i dwa lata przed czasem uzyskał dyplom matematyka, a ściślej * topologa.

* To znaczy? * zapytała Remi.

* Chodzi o geometrię przestrzenną * wyjaśnił Sam. * Zakrzywione powierzchnie, zdeformowane pola... Wstęga Möbiusa jest dobrym przykładem.

* Teraz rozumiem, czemu miał fioła na punkcie spirali Fibonacciego. Przepraszam, Juliannę, mów dalej.

* Miesiąc po uzyskaniu dyplomu został zatrudniony przez departament wojny.

* Jako kryptolog * domyśliła się Remi.

* Zgadza się. Według wszystkich relacji, Blaylock był geniuszem.

Fargowie wymienili spojrzenia. Znaleźli odniesienia do ciągu Fibonacciego i złotej spirali w dzienniku Blaylocka i zastanawiali się, czy nie kryją się za tym zaszyfrowane wiadomości. Przez lata wiele się nauczyli o ludziach, którzy ukrywają skarby, i o ludziach, którzy skarbów poszukują. Niezależnie od motywacji, zazwyczaj robili wszystko, aby ich obsesja nie wyszła na jaw. Jeśli było tak w wypadku Blaylocka, prawdopodobnie wykorzystał do tego celu to, co znał najlepiej: matematykę i

topologię.

* Kilka dni po tym * ciągnęła Severson * jak w kwietniu tysiąc osiemset sześćdziesiątego pierwszego roku został zaatakowany Fort Sumter, Blaylock zrezygnował z pracy i zaciągnął się do armii Unii. Po podstawowym przeszkoleniu otrzymał stopień podporucznika i natychmiast wysłano go na front. W lipcu i sierpniu walczył w kilku bitwach: pod Rich Mountain, pod Carrick's Ford i w pierwszej nad Buli Run. Dowiedział, że jest kimś więcej niż zbzikowanym matematykiem, bo awansował na porucznika i całą pierś obwieszono mu medalami za odwagę. Wiosną sześćdziesiątego drugiego dostał przeniesienie do Loudoun Rangers i służył pod rozkazami Samuela Meansa, który podlegał bezpośrednio sekretarzowi wojny Edwinowi Stantonowi. Jak już wspomniałeś, Sam, Loudoun Rangers byli odpowiednikiem współczesnych sił specjalnych. Działali w małych oddziałach za liniami wroga, żywili się darami ziemi, dokonywali wypadów i sabotaży oraz zbierali informacje wywiadowcze. Prawdziwi twardziele. Krótco przed włączeniem Rangersów do regulamej armii, co nastąpiło w tysiąc osiemset sześćdziesiątym czwartym, Stanton skierował Blaylocka i kilku innych do tajnej służby. Kilka miesięcy później Blaylock trafił do Liverpoolu w Anglii jako Winston Lloyd Babcock i pracował tam pod przykrywką dla niejakiego Thomasa Hainesa Dudleya.

* Głównego szpiega Lincolna * wtrącił Sam.

* Znasz tę postać? * zapytała Severson.

* Czytałem kilka książek, w których o nim wspomniano. O ile dobrze pamiętam, był kwakrem i konsulem Stanów Zjednoczonych w Liverpoolu. Kierował siatką szpiegowską tajnej służby w Zjednoczonym Królestwie.

* Miał prawie stu agentów * dodała Severson * którzy starali się wstrzymać potajemny dopływ zaopatrzenia

dla Konfederacji. Podczas wojny secesyjnej Anglia oficjalnie była neutralna, ale południowcy mieli tam mnóstwo sympatyków nawet w rządzie. Chcecie zgadnąć, jakie zadanie dostał Blaylock?

* Zmianie bander statków handlowych przeznaczonych do wykorzystywania przez marynarkę wojenną Konfederacji * odpowiedziała Remi.

* Zgadza się. A konkretnie, kierował komórką, która koncentrowała się na statku o nazwie „Sea King”, znanym później jako „Shenandoah”.

* Który uciekł * wtrącił Sam * i przez dziewięć następných miesięcy, jeszcze po zakończeniu wojny, niszczył flotę Unii.

* Dla Blaylocka * ciągnęła Severson * to była klęska, osobista i zawodowa.

* Zawodowa? * powtórzył Sam. * Ukarano go? Zwolniono ze służby?

* Nie, wręcz przeciwnie. Dudley bardzo cenił Blaylocka. Wystawił mu doskonałą opinię. W liście do szefa tajnej służby Williama Wooda z tysiąc osiemset sześćdziesiątego czwartego roku nazwał go jednym z najlepszych agentów, jakich miał przyjemność zatrudniać. Podejrzewam, że raczej sam Blaylock bardzo przejął się porażką. Dwa tygodnie później wszedł w Londynie na statek do Stanów. Kiedy wrócił do domu, dowiedział się, że jego żona Ophelia nie żyje. Została zabita przez partyzantów Konfederacji z Mosby's Rangers, jednego z tych samych oddziałów, z którymi Blaylock walczył, kiedy służył w Loudoun Rangers.

* Biedny człowiek * szepnęła Remi. * Czy to Ophelia była celem? Czy Mosby i jego ludzie szukali jej z powodu męża?

* Raczej nie. Według wszystkich relacji, znalazła się w niewłaściwym miejscu o niewłaściwej porze.

* Więc Blaylock wrócił do domu okryty hańbą i dowiedział się, że jego ukochana żona nie żyje * powiedział

Sam. * Zaczynam podejrzewać, że malaria nie była jedynym powodem jego szaleństwa.

* To oczywiste * odparła Remi.

* Tak jak jego obsesja * dodała Severson. * Selma przemailowała mi jego szkic statku. Zmienił nazwę na imię zmarłej żony... To dopiero jest miłość.

* Czy oni mieli dzieci? * spytała Remi.

* Nie.

* A co się z nim działo po powrocie do domu?

* Niewiele o tym wiadomo. Znalazłam informację, że w tysiąc osiemset sześćdziesiątym piątym został zatrudniony przez nowo utworzony Instytut Technologiczny Massachusetts. Wygląda na to, że znów

wiódł życie cywila jako wykładowca matematyki. Do marca siedemdziesiątego drugiego, kiedy pojawił się w Bagamoyo.

* Cztery lata po tym, jak „Shenandoah” sprzedano sułtanowi Zanzibaru * powiedziała Remi i dodała: * Może smutek Blaylocka przerodził się we wściekłość. „Shenandoah” mu uciekł, a jego żona zginęła właśnie w tym czasie. Jeśli Blaylock rzeczywiście był obłąkany, mógł winić ten statek za jej stratę. To brzmi dziwnie, ale umysł ludzki jest pełen tajemnic.

* Możesz mieć rację * przyznała Severson * ale moim zdaniem Blaylock nie wybrał się do Afryki ni z tego, ni z owego. Uważam, że został tam wysłany.

* Przez kogo? * zapytał Sam.

* Przez sekretarza wojny Williama Belknapa.

Fargo wie milczeli chwilę, analizując tę informację. W końcu Sam zapytał:

* Skąd wiesz?

* Nie mam pewności * zastrzegła Severson. * Tylko się tego domyślam na podstawie prywatnej korespondencji między Belknapem, sekretarzem marynarki wojennej George'em Robesonem i dyrektorem tajnej służby Hermanem Whitleyem. W liście do Belknapa i Robesona z listopada tysiąc osiemset siedemdziesiątego pierwszego roku Whitley cytuje otrzymany ostatnio raport wywiadowczy. Nie wymienia źródła, ale są tam trzy fragmenty, które rzuciły mi się w oczy. Po pierwsze, raporty wywiadowcze, które „sugerują, żeby apostołowie kapitana Jima poszli w jego ślady”; po drugie, „nasz człowiek na Zanzibarze uważa nas za głupców”; i po trzecie, „wiem z pewnego źródła, że wiadome miejsce kotwiczenia jest często puste”.

* „Nasz człowiek na Zanzibarze” * powiedziała Remi * to mógł być sułtan Majid.

* A „kapitan Jim” to być może kapitan „Shenandoah” James Waddell * rzekł Sam. * Użycie słowa „apostołowie” jest interesujące. I raczej nieprzypadkowe. Taki człowiek jak Whitley nie doszedłby do swojego stanowiska bez dobrej znajomości języka. Apostoł to żarliwy wyznawca, ktoś zdecydowany iść za przykładem przywódcy. Co do pustego miejsca kotwiczenia...

* Mogło chodzić o miejsce, gdzie sułtan podobno porzucił nowo nazwany „El Majidi” * dokończyła Remi.

* To nie wszystko * podjęła Severson. * W liście napisanym kilka dni później Belknap i Robeson namawiają Whitleya do skontaktowania się z „naszym przyjacielem kwakrem”, Thomasem Hainesem Dudleyem, jak się domyślam, i zapytania go, czy miałby jakichś agentów, którzy mogliby zbadać sprawę „wiadomego statku”. Sześć tygodni później Whitley odpowiedział. Według „źródła kwakra”, wiadomy statek zauważono, ale nie w miejscu jego kotwiczenia. Było to w Dar es*Salaam, gdy wracał do portu, cytuję: „wyposażony w pełne ożaglowanie, napęd parowy i działa, z załogą złożoną z wykwalifikowanych marynarzy rasy kaukaskiej”.

Fargowie milczeli dłuższą chwilę. W końcu Sam powiedział:

* Jeśli trafnie odgaduję, „apostołowie” kapitana Waddella obsadzili „Shenandoah”, by prowadzić działania wojenne.

* Najlepsze dopiero będzie * ciągnęła Severson. * W tym samym liście Whitley informuje Belknapa i Robesona, że polecił kwakrowi, Dudleyowi, wysłać jego najlepszego człowieka do Dar es*Salaam w celu zbadania sytuacji.

* A wiemy, kogo Dudley uważał za swojego najlepszego agenta: Blaylocka * rzekł Sam.

* Który przybył do Bagamoyo parę miesięcy później * dodała Remi.

* Wszystko pasuje, ale jak sama powiedziałaś, Juliannę, na razie to tylko domysły.

* Jeszcze nie skończyłam katalogować listów, ale znam kogoś, kto mógłby wam pomóc. Nie wybralibyście się do Georgii?

Rozdział 25

Savannah, Georgia

Sam i Remi zarezerwowali miejsca w samolocie, który odlatywał wczesnym popołudniem z Dulles. Wylądowali w Savannah parę minut przed trzecią.

Sam zajął się wypożyczeniem samochodu, a Remi sprawdziła swoją pocztę głosową.

* Selma dostała dzwon dziś rano * oznajmiła, kiedy podszedł do niej z kluczykami w ręku.

Uśmiechnął się i westchnął teatralnie.

* Muszę wyznać, że po tym wszystkim, co przeszliśmy, żeby go zdobyć, widziałem oczyma wyobraźni, jak wypada z samolotu i tonie w oceanie.

* Ja też. Selma mówi, że dotarł w doskonałym stanie. Zadzwoń do Dobo; przyjedzie po dzwon. Alexandru Dobo, który wolał, żeby zwracano się do niego po nazwisku, był surferem i plażowym obibokiem.

ale jednocześnie specem od renowacji i ekspertem Fargów w obcych im dziedzinach. Przez wiele lat był głównym konsultantem Wydziału Architektury, Renowacji i Konserwacji Uniwersytetu Ovidius w Konstancy w Rumunii i kustoszem tamtejszego Muzeum Marynarki Wojennej oraz Narodowego Muzeum Archeologii i jeszcze nie natknął się na artefakt, którego nie potrafiłby odrestaurować. Ponieważ Selma pochodziła z sąsiadujących z Rumunią Węgier, lubili wspominać swoje „stare kraje” i sprzeczać się na ich temat.

* Powiedziała, że Dobo popracuje nad dzwonem jeszcze dziś * dodała Remi.

* Co, warunki do surfowania są kiepskie?

* Najwyraźniej.

* Jak im idzie z dziennikiem?

* Powiedziała tylko, że nadal pracują.

W języku Selmy oznaczało to powolny, ale stały postęp, któremu mogą zagrozić jakiegokolwiek dalsze pytania.

* Wspomniała też o spirali i ciągu Fibonacciego. Jedno i drugie wszędzie się powtarza. Jak mantra. Interesujący człowiek, ten Blaylock.

Sam zabrzączał kluczykami.

* Chodźmy.

* Co wzięłeś?

* Cadillaca escalade.

* Sam...

* Hybrydowego.

* W porządku.

Według Sama i Remi Savannah uosabiała urok i historię Południa. Lubili tamtejsze ocienione dębami ulice, pełne kwitnących wiśni place i dobrze utrzymane pomniki; podobały im się ozdobione kolumnami domy plantatorów oraz rozległe neoklasycystyczne rezydencje. Nawet brzęczenie cykad było częścią uroku Savannah. Właśnie słabość do tego miasta sprawiła, że bez wahania skorzystali z propozycji Severson, aby się tu wybrać.

Mimo upału przyciemnione szyby escalade mieli opuszczone, żeby móc podziwiać widoki.

Przytrzymując trzepoczący na wietrze kapelusz plażowy, Remi zapytała:

* Dokąd właściwie jedziemy?

* Na Whitaker Street. To niedaleko Forsyth Parku i Heyward House.

Dawny letni dom niegdysiejszego plantatora i sygnatariusza Deklaracji Niepodległości był jednym z wielu zabytkowych budynków w dzielnicy Bluffton. Spacer po Bluffton to spacer przez historię.

Zaparkowali po wschodniej stronie Forsyth Parku pod rozłożystym dębem i przeszli przecnicę na południe do ciemnoszarego domu z jasnozielonymi okiennicami. Sam sprawdził adres, który dała im Severson.

* To tutaj.

Ręcznie malowany szyld nad schodami ganku informował: „Muzeum i galeria Cynthii”.

Kiedy wspięli się po stopniach, pies rasy coonhound o białym pysku podniósł łeb z maty, na której leżał, szczerząc się i znowu zasnął.

Po chwili za siatkowymi drzwiami ukazała się bardzo chuda kobieta w białej spódnicy i różowej bluzce.

* Witam państwa * powiedziała z melodyjnym akcentem z Georgii.

* Dzień dobry * odrzekła Remi.

* Bubba to mój dzwonek u drzwi.

* Jest w tym dobry * przyznał Sam.

* O tak, traktuje swoją pracę bardzo poważnie. Proszę wejść.

Otworzyła drzwi i Fargo wie weszli do środka.

* Cynthia * przedstawiła się kobieta i wyciągnęła rękę.

* Remi...

* Fargo, wiem. A pan to Sam Fargo.

* Zgadza się. Skąd pani...

* Juliannę uprzedziła mnie o waszym przyjeździe. A nie wiem wielu gości, więc się domyśliłam.

Proszę dalej. Właśnie robię herbatę.

Niepewnym, ale zarazem pełnym gracji krokiem zaprowadziła ich do salonu. Ciężkie ozdobne meble, koronkowe firanki oraz fotele i kanapy z aksamitnymi obiciami wyglądały jak dekoracje do Przemienię z wiatrem.

* Jak poznała pani Juliannę, Cynthia? * zapytał Sam.

* Staram się być w Waszyngtonie raz w roku, bo uwielbiam historię tego miasta. Poznałam Juliannę jakieś pięć lat temu podczas zwiedzania. Najwyraźniej uznała moje natrętne pytania za zabawne, bo od tamtej pory jesteśmy w kontakcie. Ilekroć znajdę coś nowego, czego nie potrafię zidentyfikować, zwracam się do niej o pomoc. Odwiedza mnie tutaj. Przepraszam, sprawdzę, co z herbatą. * Zniknęła za jakimiś drzwiami i wróciła po dwóch minutach. * Parzy się. Zanim będzie gotowa, pokażę państwu to, co przyjechaliście zobaczyć.

Poprowadziła ich przez przedpokój i krótki korytarz do przestronnego słonecznego pokoju o śnieżnobiałych ścianach.

* Witam w Muzeum i Galerii Cynthii * powiedziała. Podobnie jak w muzeum Mortona w Bagamoyo, tu też

był nadmiar artefaktów, tyle że związanych z wojną secesyjną: od kul muszkietowych i karabinów po naszywki na mundury i dagerotypy.

* Zgromadziłam to wszystko sama * pochwaliła się Cynthia. * Na polach bitew, wyprzedażach garażowych i domowych... Nie macie państwo pojęcia, co można znaleźć, jeśli człowiek wie, czego szuka. O rany, ale mądrze to zabrzmiało, prawda?

Fargowie się roześmieli.

* Istotnie * przyznała Remi.

* Rozejrzycie się państwo później, a na razie zobaczcie to.

Cynthia podeszła do ściany zawieszonych od góry do dołu oprawionymi fotografiami i szkicami.

Zlustrowała wzrokiem kolekcję.

* A, tutaj jest * rzekła, pokuśtykała do rogu i zdjęła obrazek w czarnej ramce o wymiarach dziesięć na piętnaście centymetrów. Podała go Samowi.

Ziamisty dagerotyp przedstawiał trój masztowiec na kotwicy.

* Mój Boże * szepnęła Remi. * To on.

* Spójrz na to * rzekł Sam, wskazując dolny prawy róg fotografii.

Widniało tam napisane wyblakłym atramentem słowo „Ophelia”.

Pięć minut później siedzieli w salonie z filiżankami herbaty w dłoniach i wciąż patrzyli z niedowierzaniem na zdjęcie.

* Gdzie pani ją znalazła? * spytał Sam.

* Ta Juliannę to ma pamięć... ejdetyczną, tak to się chyba nazywa.

* Fotograficzną.

* Właśnie. Dziś rano przysłała mi mailem szkic ołówkiem z prośbą, żebym porównała go z moim.

Przypuszczam, że należy do państwa?

* Niezupełnie * odparła Remi. Cynthia uśmiechnęła się i machnęła ręką.

* Powiedziałam Juliannę, że można by je uznać za bliźniacze, mimo różnego tworzywa. Wszystko jest identyczne, łącznie z inskrypcją.

* „Ophelia”.

* Tak. Niestety, niewiele o niej wiemy.

* Jak to? * zapytał Sam.

* Przepraszam, uprzedzam fakty. William Lynd Blaylock był moim praprapra... nie jestem pewna, ile „pra*”, ale był moim wujem.

Cynthia uśmiechnęła się i wypita mały łyk herbaty.

Fargowie wymienili spojrzenia. Remi zapytała:

* Pani nazywa się Blaylock?

* O nie, nie. Ashworth. Tak jak Ophelia, zanim wyszła za Williama. Po śmierci ciotki Ophelii moja prapra... moja babka Constance pozostawała z Williamem w kontakcie. Oczywiście, to była tylko przyjaźń, ale podejrzewam, że mieli do siebie słabość. William często do niej pisał; zaczął kilka miesięcy po powrocie z Anglii i ta korespondencja trwała do końca. O ile pamiętam, do roku tysiąc osiemset osiemdziesiątego trzeciego.

* Do końca * powtórzył Sam. * To znaczy do jego śmierci?

* Niestety nie wiem. Nikt nie wie, co się z nim stało. Mówię o ostatnim liście, jaki przysłał babci Constance. * Oczy Cynthii zabłyśły. * Mój Boże, są ich tuziny, z pięknymi znaczkami i stemplami pocztowymi z całego świata. To dopiero było indywidualium. Stale miał jakieś przygody, ciągle czegoś szukał. O ile wiem, babcia Constance obawiała się, że William jest trochę niezdrów na umyśle. Traktowała jego opowieści z odrobiną rezerwy.

* Mówiła pani o listach * odezwała się Remi. * Czy nadal...

* O tak, naturalnie. Są w piwnicy. Chcą państwo je zobaczyć?

Samowi odebrało mowę, więc tylko skinął głową.

Ruszyli za Cynthią przez kuchnię i zeszli po wąskich schodach do piwnicy. Panowały tam ciemność, zimno i wilgoć, kamienne ściany były nierówne, a betonowa podłoga popękana. Cynthia włączyła światło i w pomieszczeniu rozbłysła pojedyncza sześćdziesięciowatowa żarówka. Fargowie się rozejrzeli. Wszędzie stały tekturowe pudła różnej wielkości i kształtów.

* Widzą państwo te trzy pudełka na buty? * zapytała Cynthia. * Obok tego z bożonarodzeniową choinką?

Sam skinął głową.

* Są w nich listy.

Gdy po powrocie do salonu Fargowie otworzyli pudełka, poczuli ulgę, widząc, że listy zostały włożone do foliowych toreb Ziploc z zamknięciem strunowym.

* Cynthio, jest pani naszą bohaterką * oświadczył Sam.

* Drobiazg. Ale mam jeden warunek * odparła surowo. * Spełnicie go?

* Oczywiście * zapewnił Sam.

* Musicie na nie uważać i zwrócić mi je, kiedy już skończycie.

* Nie bardzo rozumiem * powiedziała Remi. * Pozwala nam pani...

* Naturalnie. Wiem od Juliannę, że jesteście porządnymi ludźmi. Próbujecie ustalić, co się stało z wujem Blaylockiem, w Afryce czy gdziekolwiek skończył. To w naszej rodzinie zagadka od stu dwudziestu siedmiu lat. Byłoby miło ją rozwiązać. Jestem za stara na takie przygody, ale chętnie usłyszę państwa relację. Obiecujecie mi, że tu wrócić i wszystko mi opowiecie.

* Obiecujemy * powiedział Sam.

Rozdział 26

La Jolla, Kalifornia

Pete, Wendy, zabierzcie to do skarbcza i szybko oceńcie. * Selma podsunęła im pudełka na buty przez blat.

Wzięli je i po chwili zniknęli w archiwum.

Sam i Remi, niepewni stanu listów Blaylocka, oparli się pokusie otwarcia toreb Ziploc przed powrotem do domu.

* Owocna podróż * stwierdziła Selma.

* Twoja przyjaciółka Juliannę jest niesamowita * powiedziała Remi.

* Gdybym kiedyś wpadła pod autobus, pewnie od razu zatrudniliby ją państwo na moje miejsce.

* Zanimbyśmy wezwali pogotowie czy potem, jak myślisz? * spytał Sam.

* Żartowniś z pana. A ta Ashworth... wydała się wiarygodna?

* Tak * odparła Remi. * Na podstawie dziennika Blaylocka i jego biografii autorstwa Mortona

powinniśmy być w stanie ocenić autentyczność listów.

Selma skinęła głową.

* Czy chcą państwo zobaczyć, jaki postęp zrobiliśmy w sprawie dziennika?

* Nie możemy się doczekać * odrzekł Sam.

Gdy usiedli przy stole do pracy twarzami do najbliższego ekranu LCD, Selma pilotem połączyła się z serwerem. Zlokalizowała odpowiedni plik i kliknęła na nim dwa razy. Na ekranie pojawił się obraz:

* O kurczę * mruknął Sam. * Ktoś się napracował. To dzieło geniusza albo świra.

* Albo marzyciela * odparła Remi. * W tym wypadku Blaylock nie sprawia wrażenia bujającego w obłokach. Miał osobowość typu A, zanim powstał ten termin.

* To typowa strona * wyjaśniła Selma. * Na niektórych jest tylko pismo, ale większość to mieszanka notatek i rysunków, zarówno odręcznych, jak i wykonanych według szablonu lub przy użyciu przyborów kreślarskich.

* W lewym górnym rogu jest jakaś ręcznie narysowana mapa * zauważył Sam. * Z napisem pośrodku: „Wielki zielony wysadzany klejnotami ptak”. Na prawo jest tekst, którego nie mogę odczytać, a dalej figury geometryczne. Próbowalaś powiększyć tekst?

Selma przytaknęła.

* Wendy miała nad tym popracować, jest specjalistką od grafiki. Ale im bardziej to powiększałyśmy, tym bardziej było niewyraźne.

* A co jest na dole po prawej? „Orizaga”? Selmo, widziałaś to gdzieś indziej?

* Tak, w wielu miejscach. Remi podeszła do ekranu.

* Pośrodku, z lewej i prawej widzę napisy „Leonardo Kłamca” i „63 wielkich ludzi”. Między nimi ciąg cyfr: 1123581321. Chyba jakiś szyfr.

* Na dole po prawej jest jakiś ptak * dodała Selma.

* „Wielki zielony wysadzany klejnotami”? * podsunęła Remi.

* Możliwe. Co do dwóch rysunków pośrodku: tego, który przypomina malowidło naskalne, i łuku pod nim, pojawiają się na bardzo wielu stronach.

Wszyscy troje zamilkli i przez kilka minut wpatrywali się w ekran. Sam zmrużył oczy, wstał, podszedł do monitora i postukał w rząd cyfr, które wcześniej wskazała Remi.

* Chyba jestem bardziej zmęczony, niż myślałem. To ciąg Fibonacciego. * Wiedząc, że żona nie podziela jego zamiłowania do matematyki, wyjaśnił: * Po dodaniu do siebie dwóch pierwszych cyfr otrzymujemy sumę równą trzeciej. Kiedy dodamy do siebie trzecią i czwartą, ich suma równa się piątej, i tak dalej.

Wrócił do stołu i napisał na bloczku do notatek:

$$1 + 1 = 2 \quad 1 + 2 = 3$$

$$2 + 3 = 5$$

$$3 + 5 = 8$$

* To jest również podstawą tego, co nazywa się złotym podziałem albo spiralą Fibonacciego. Pokażę ją wam.

Podszedł do jednego z komputerów, poszukał jej w Google i kliknął dwa razy na miniaturze. Na ekranie pojawił się diagram:

* Tworzy się siatkę z dowolnie wybranych liczb Fibonacciego i nakłada na nią łuk. Pierwsze pole może mieć centymetr kwadratowy lub metr kwadratowy. Nieważne.

* Właśnie to jest na jednej ze stron dziennika * powiedziała Remi. * Spirala Fibonacciego.

* Tak * potwierdził Sam. * A przynajmniej jej część. Spirala jest kluczowa dla wielu teorii geometrycznych. Spirale występują powszechnie w przyrodzie; taką formę mają muszle i pąki kwiatów. Grecy często wykorzystywali spirale w architekturze. Nawet projektanci sieci komputerowych i graficy używają spirali do tworzenia kompozycji. Badania naukowe wykazały, że złota spirala jest z natury przyjemna dla oka. Nikt nie wie dokładnie dlaczego.

* Ale czemu Blaylock miał obsesję na jej punkcie? * zastanawiała się Remi. * Do czego jeszcze może ona służyć?

* Do wszystkiego, co ma związek z geometrią. Czytałem, że Narodowa Agencja Bezpieczeństwa wykorzystuje ciąg i spiralę Fibonacciego w kryptografii, ale nie pytaj mnie, w jaki sposób, bo się na tym nie wyznaję. Selmo, są jeszcze jakieś rysunki, które się powtarzają?

Selma podniosła słuchawkę telefonu i zadzwoniła do archiwum.

* Pete, pamiętasz rysunek dwanaście alfa cztery? Zgadza się, właśnie ten. Ile razy się powtarza?

Zdigitalizowałeś go już? Dobra, daj go na serwer. Chcę go pokazać państwu Fargo. Zaczekam.

Chwilę później odłożyła słuchawkę, sięgnęła po pilota i znów połączyła się z serwerem.

* Rysunek, który nazwaliśmy dwanaście alfa cztery, powtarza się dziewięć razy, zwykle na marginesie.

Wendy wyizolowała go ze strony, ale nadal nie jest wyraźny.

Selma najechała wskaźnikiem na miniaturę i kliknęła dwa razy. Obraz się powiększył:

* Wygląda jak czaszka * stwierdził Sam.

* Mnie też ją przypomina * powiedziała Selma.

Sam spojrzał na żonę. Przechyliła głowę i patrzyła na rysunek zmrużonymi oczami.

* Remi... Remi... Zamrugła i spojrzała na męża.

* Tak?

* Znam tę minę. Zauważyłaś coś, prawda?

Remi wstała i podeszła do jednego z komputerów. Jej palce zaczęły śmigać po klawiaturze. Po chwili, nie odwracając się, powiedziała:

* Odkąd wpadamy na Riverę i jego ludzi, zastanawiam się, dlaczego ich imiona są azteckie.

Myślałam, że to zwykle dziwactwo. Na studiach miałam wykłady z historii Ameryki Środkowej i byłam

pewna, że już widziałam ten rysunek. * Nacisnęła jeszcze kilka klawiszy i mruknęła: * Jest...

Odwróciła się na krześle i wskazała ekran.

* To miquiztli. W języku nahuatl, czyli azteckim, symbolizuje śmierć.

Rozdział 27

Dość złowieszcze * stwierdził Sam.

* Symbolizuje również życie pozagrobowe * odparła Remi. * Wszystko zależy od kontekstu. Selmo, mamy inne?

* Tak, trzy. * Selma wyświetliła je na ekranie:

Remi przyglądała się im przez chwilę, po czym spytała:

* Mamy jakieś rysunki do porównania? Selma sięgnęła po słuchawkę, żeby sprawdzić.

* Jeśli się nie mylę * ciągnęła Remi * te też są azteckie. Ten z prawej to tecpatl. Symbolizuje nóż z krzemienia lub obsydianu. Środkowy to cipactli, czyli krokodyl. Ostatni to xochitl, kwiat. Symbolizuje ostatni dzień dwudziestodniowego miesiąca.

* Były oddzielnie, tak jak pierwszy? Bez żadnych adnotacji? * zapytał Sam.

* Bez * odparła Selma, która właśnie skończyła rozmawiać przez telefon. * Wendy już ładuje do serwera wyczyszczone obrazy.

Zamknęła aktualne pliki i otworzyła nowe. Były oznaczone jako „Krzemień”, „Krokodyl” i „Kwiat”.

* Moim zdaniem pasują do siebie * powiedziała.

* Moim też * odrzekł Sam. * Wszystkie są z azteckiego kalendarza. Warto byłoby zobaczyć całość.

* Mam ten, który Remi mi ściągnęła. * Selma przewinęła ekran, znalazła właściwy plik i kliknęła na nim dwa razy. Pojawił się obraz:

* To dopiero kalendarz * mruknął Sam. * Jak zdołali go zrobić?

* Byli pracowici i cierpliwi * odparła Remi. * Wszystkie symbole, które dotąd znaleźliśmy, należą do kręgu miesięcy. Ten jest czwarty, licząc od krawędzi.

* Jakie dokładnie wymiary ma tamten w Meksyku?

* Trzysta sześćdziesiąt pięć centymetrów średnicy i sto dwadzieścia dwa grubości.

* Musiał być duży, żeby coś było widać. Fascynujące.

* Zwłaszcza kiedy sobie uświadamiasz, że ma ponad pięćset lat. Z czego trzysta przeleżał pod głównym placem. Znaleźli go robotnicy remontujący katedrę. To jedna z ostatnich pozostałości kultury azteckiej.

Zadzwęczała komórka Selmy. Odebrała, słuchała chwilę i odpowiedziała:

* Będziemy na miejscu. Dowiedz go do bocznej bramy. Pete wyjdzie do ciebie.

Rozłączyła się i zwróciła do Fargo:

* Dobo jest w drodze z dzwonem.

* Szybki jest * stwierdziła Remi.

* Jak błyskawica * powiedział Sam.

Dwadzieścia minut później Pete Jeffcoat i Dobo weszli bocznymi drzwiami do pracowni. Jeden pchał, drugi ciągnął zrobioną z desek i sięgającą im do piersi konstrukcję na kółkach, wewnątrz której wisiał dzwon z „Shenandoah”. Dobo usunął z niego nalot i pąkle, zostało tylko kilka ciemnych plam.

Brązowa powierzchnia lśniła w blasku oświetlających pracownię lamp halogenowych.

Dobo, ubrany w kombinezon roboczy i biały T-shirt, wziął się pod boki i przyjrzał swojemu dziełu.

* Ładnie wyszło, co?

* Wspaniała robota * pochwalił Sam.

Gdyby nie uśmiech niemal przyklejony do twarzy, Alexandru Dobo wyglądałby groźnie ze swoją łysą czaszką i sumiastymi wąsami. Remi powiedziała kiedyś, że to Kozak zagubiony w czasie.

* Dzięki, przyjacielu. * Dobo klepnął Sama w plecy. Sam zrobił krok dla złapania równowagi, potem drugi,

żeby się odsunąć.

* Zajrzysz do środka? * zapytał Rumun. * Zajrzyj! Piotr, pomóż.

Dobo i Pete zdjęli dzwon z haka, unieśli, odwrócili do góry nogami i włożyli do klatki.

* Zobacz, zobacz!

Fargowie i Selma podeszli i zajrzeli do wnętrza dzwonu.

* Nie jestem zaskoczony * odezwał się po chwili Sam.

* Ja też nie * powiedziała Remi.

We wnętrzu dzwonu widniały tuziny, jeśli nie setki, wygrawerowanych na chybił trafił symboli, które wyglądały na azteckie.

* Wszystko w zwariowanym pociągu Blaylocka * mruknął Sam, nawiązując do piosenki Ozzy'ego Osbourne'a Crazy Train.

Fargowie zebrali cały zespół i przez kilka godzin wspólnie rozważali kolejne kwestie. Doszli do wniosku, że sedno sprawy zawiera się w dwóch pytaniach:

1. Czy choroba umysłowa Blaylocka podaje w wątpliwość wszystko, co odkryli?
2. Czy Rivera i jego ludzie prowadzą poszukiwania pod wpływem odkryć Blaylocka, czy na podstawie innych dowodów?

Rivera najwyraźniej albo czegoś szukał, albo starał się zapobiec znalezieniu czegoś, a to coś było prawdopodobnie azteckiego pochodzenia.

* Jeśli rzeczywiście zamordowali tamtych turystów * powiedział Pete Jeffcoat * to pewnie próbują coś ukryć. Trudno mi uwierzyć, że tylko z powodu Blaylocka. Przecież mogliby zadać takie same pytania o tego faceta jak my.

* Słuszna uwaga * przyznał Sam.

* Jeżeli tak jest * odezwała się Wendy * to może Blaylock nie był obłąkany, tylko po prostu ekscentryczny i coś było w jego obsesji na punkcie Azteków.

* I na punkcie tamtego statku * dodała Selma.

* W porządku, przyjmijmy takie założenie * zdecydowała Remi. * Nie wiemy, jak i dlaczego, ale Blaylock znikował na punkcie „Shenandoah” czy też „El Majidi”. Potem skupił się na wszystkim, co azteckie. Zanim pójdziemy dalej, musimy się dowiedzieć, kiedy to się stało i co było powodem.

* Jak wam idzie z listami Cynthii? * zapytał Sam Pete'a i Wendy.

* Za jakąś godzinę powinniśmy mieć wszystkie zbadane * odparła Wendy. * Następne dwie zajmie skanowanie i rozpoznanie tekstu przez komputer. Potem będziemy mogli posortować je według dat i poszukać kluczowych słów.

* Macie jakieś wielkie plany na dzisiejszy wieczór?

* Teraz już tak * odrzekł Pete.

Przyzwyczajona do tego, jak funkcjonuje umysł jej męża, Remi nie była zaskoczona, kiedy się obudziła nad ranem i zastała go siedzącego na brzegu łóżka z iPadem Apple na kolanach. Zegar na nocnym stoliku pokazywał czwartą dwanaście.

* Moment olśnienia? * zapytała.

* Myślałem o chaosie.

* Jasne.

* I o tym, że większość matematyków nie wierzy w niego. Wiedzą, że istnieje, jest nawet teoria chaosu, ale chyba wszyscy w głębi duszy wierzą w ukryty porządek. Nawet jeśli nie jest oczywisty.

* Potrafię to zrozumieć.

* Więc po co Blaylock zadawał sobie tyle trudu, żeby wygrawerować azteckie hieroglify wewnątrz dzwonu? I dlaczego akurat tam?

* Przypuszczam, że to pytanie retoryczne * odrzekła Remi.

* Poniekąd. Czytałaś ten wiersz w dzienniku Blaylocka?

* Nawet nie wiedziałam, że jest tam jakiś wiersz.

* Właśnie go znalazłem. Pete i Wendy go przysłali * wyjaśnił Sam i wyrecytował:

W sercu mej miłości piszę o mym oddaniu
Na Engai gyrare wierzę moim stopom
Z góry, ziemia się obraca,
mój dzień jest przepołowiony
Słowa Starożytnych
Słowa Ojca Algarismo.

* Nieźle jak na matematyka * oceniła Remi.

* Jestem ciekaw, czy wykorzystał dzwon dlatego, że jest trwały, w przeciwieństwie do papieru. I czy wybrał go z powodu kształtu.

* Nie nadążam.

* Pierwsza linijka wiersza * „W sercu mej miłości piszę o mym oddaniu” * musi dotyczyć jego żony Ophelii, której imieniem nazwał „El Majidi”.

* A dzwon okrętowy mógł być uważany za serce statku * domyśliła się Remi.

* Właśnie. Teraz drugi wers: „Na Engai gyrare wierzę moim stopom”. W suahili Engai to odpowiednik masajskiego słowa „Bóg”, a gyrare to łaciński synonim wiru lub spirali.

* Takiej jak spirala Fibonacciego. Boski wzór w przyrodzie.

* Tak myślę. Blaylock korzystał ze spirali, by kierować swoimi krokami. Grawerując na dzwonie źródło swojego oddania, swojej obsesji, używał spirali Fibonacciego jako swego rodzaju szyfru.

* A że zanim wykonał inskrypcje, jego żona zginęła i znalazł „Shenandoah”, jego „oddanie” stało się czymś zupełnie innym * odrzekła Remi. * Ale co z wirem? Jak on właściwie tutaj pasuje?

* Pamiętasz złotą spiralę?

* Tak.

* To wyobraź ją sobie nałożoną na wnętrze dzwonu w taki sposób, że zaczyna się od korony i wije w dół coraz szerzej ku ustom.

Remi kiwała głową.

* A punkty, gdzie przecina symbole, oznaczają... * wzruszyła ramionami * ...co?

* Nie wiem, może to ma coś wspólnego z trzema ostatnimi linijkami wiersza. Jeszcze nad tym pracuję.

Wiem tylko, że elementy najczęściej powtarzające się w jego dzienniku to spirala Fibonacciego i azteckie symbole. Jeśli Blaylock coś ukrywał, oba prawdopodobnie się z tym wiązały.

Wstali, zaparzyli dzbanek kawy i zeszli na dół do pracowni. Selma spała na łóżku polowym w rogu.

Lampy halogenowe pod sufitem były przyciemnione. Pete i Wendy siedzieli przy stole do pracy z otwartymi laptopami.

* Kawy? * szepnął Sam.

Wendy uśmiechnęła się, pokręciła głową i wskazała kolekcję puszek po red bullu na blacie.

* Prawie skończyliśmy * oznajmił Pete. * Torby Ziploc zrobiły swoje. Tylko zgaduję, ale moim zdaniem te listy były chronione w ten czy inny sposób już wcześniej.

* Macie całość? * zapytała Remi. Wendy przytaknęła.

* Oprócz kilku nieczytelnych fragmentów. Za parę godzin wszystko będzie wgrane i posortowane.

* Sam chce się z wami podzielić pewnym przecuciem * powiedziała Remi.

* Zamieniamy się w słuch.

Sam wyłożył im swoją teorię. Pete i Wendy rozważali ją przez chwilę, potem równocześnie skinęli głowami.

* To możliwe * przyznał Pete.

* Jak najbardziej * dodała Wendy. * Blaylock był matematykiem. Oni uwielbiają porządek w chaosie.

Z rogu dobiegł zachrypnięty głos Selmy:

* Że co?

* Śpij * odparła Remi.

* Za późno. Już się obudziłam.

Wstała z połówki i podeszła do stołu. Remi nalała jej kawy i podsunęła kubek przez blat. Gdy Selma piła kawę małymi łykami, Sam przedstawił jej swoją teorię na temat spirali, dzwonu i symboli.

* Warto spróbować * oceniła. * Spirala zaczynała się w koronie dzwonu i kończyła na jego krawędzi. A jeśli nie?

Sam uśmiechnął się ze znużeniem.

* To trudno.

Rozpoczęli burzę mózgów. Na szczycie ich listy była skala spirali Fibonacciego, gdyż może ona mieć dowolny wymiar. Gdyby Blaylock rzeczywiście wykorzystywał spiralę, zastosowałby wielkość odpowiednią do powierzchni pierwszego pola w siatce. Rozważali rozmaite pomysły przez godzinę, zanim uświadomili sobie, że zmierzają donikąd.

* To może być cokolwiek * powiedział Sam, trąc oczy. * Jakaś liczba, notka, gryzmoł...

* Albo coś, czego jeszcze nie widzieliśmy * dodała Remi. * Coś, co przeoczyliśmy.

Wykończony Pete Jeffcoat położył głowę na blacie i wyciągnął przed siebie ręce. Uderzył prawą dłoń w łaskę Blaylocka i strącił ją na podłogę.

* Cholera! Przepraszam.

* Nic się nie stało. * Sam przyklęknął, żeby podnieść łaskę. Nagle zamarł i popatrzył na gałkę.

* Co jest? * spytała Remi.

* Potrzebna mi latarka.

Wendy wyjęła z szuflady latarkę diodową i mu podała. Sam oświetlił gałkę łaski.

* Jest wydrążona * mruknął. * Przydałaby się długa peseta.

Wendy mu ją wręczyła.

Sam wsunął pęsetę do otworu, obracał nią przez chwilę, po czym ostrożnie ją wyciągnął. W pęsecie tkwił róg pergaminu.

Rozdział 28

N o jasne * wymamrotał Sam. * To nie mogło być coś prostego. Takiego jak mapa z wielkim znakiem X.

Uważając, żeby nie uszkodzić pergaminu, Pete i Wendy zabrali łaskę Blaylocka do archiwum, aby ją zbadać i zakonserwować.

Dziesięć minut później na ekranie LCD w pracowni pojawił się cyfrowy obraz:

* Musieliśmy to trochę zmniejszyć * wyjaśnił Pete, wyszedłszy ze skarbca. * W rzeczywistości mapa ma wymiary piętnaście na dwadzieścia pięć centymetrów.

* A co z notatkami wzdłuż wybrzeża? * zapytał Sam.

* Jak zdigitalizujemy mapę, Wendy zrobi swoje czary w Photoshopie i spróbuje je wyczyścić. Ich rozmieszczenie i duże litery „R” na początku sugerują, że to nazwy rzek, prawdopodobnie po francusku. Część słowa w górnym lewym rogu: runes, też może coś wyjaśnić. Jest jeszcze jedna notatka. Widzicie strzałkę, którą nalażyłem?

* Tak * potwierdziła Remi.

* To jakiś mikroskopijny napis na górze tej małej wyspy. Nad nim również pracujemy.

Drzwi archiwum się otworzyły i wyszła Wendy z prostokątem pergaminu ściśniętym między dwiema przezroczystymi płytami z poliwęglanu.

* Co to jest? * zapytała Remi.

* Niespodzianka za drzwiami numer dwa * odparła Wendy. * To było zrolowane na dnie łaski.

Położyła pergamin na stole.

Fargowie i Selma podeszli bliżej i przyglądali mu się przez kilkanaście sekund. W końcu Remi szepnęła:

* To kodeks. Aztecki.

W obliczu dwóch różnych artefaktów podzielili siły. Pete i Wendy usiedli do komputera, żeby zidentyfikować mapę, a Fargowie i Selma zajęli się nowym pergaminem.

* Słowo „kodeks” pochodzi od łacińskiego codex, które oznacza kłoc * zaczęła Remi * ale z czasem stało się określeniem każdej oprawionej książki lub pergaminu. Zanim oprawianie stało się powszechną praktyką, właściwie wszystko mogło być uznane za kodeks, nawet pojedynczy kawałek

pergaminy. Kiedy Hiszpanie najechali Meksyk w tysiąc pięćset dziewiętnastym roku...

* To dobra pora * wtrącił Sam * na krótki kurs historii Azteków.

* W porządku. Wśród historyków nie ma zgody co do ich dziejów i kultury, podam więc wam wyśrodkowaną wersję. Aztekowie to populama nazwa grupy ludów mówiących językiem nahuatl, określanych przez część historyków jako Mexica; wymawia się to „Meszika”, które przybyły do środkowego Meksyku gdzieś z północy w szóstym wieku naszej ery.

* „Gdzieś z północy” brzmi raczej mało konkretnie * zauważyła Selma.

Remi przytaknęła.

* To kolejne źródło kontrowersji. Ale dojdę do tego za chwilę. Aztekowie napływali do doliny Meksyku, wypierając i wchłaniając inne plemiona, a także przejmując część ich kultury. Trwało to mniej więcej do dwunastego wieku. W tym czasie władza w regionie pozostawała w rękach Tepaneków z Azcapotzalco. Ujmę to krótko: rządy się zmieniały, sojusze były zawierane i zrywane, a Aztekowie znajdowali się na dole hierarchii społecznej. Do roku tysiąc trzysta dwudziestego trzeciego, kiedy to, według legendy, ukazał się im orzeł z wężem w dziobie siedzący na szczycie kaktusa. Po kilku latach wędrowni dotarli do bagnistej, słabo zaludnionej wyspy na środku jeziora Texcoco, które dziś już prawie zniknęło; jest pod miastem Meksyk, i właśnie tam zobaczyli orła z wężem na kaktusie. Przestali wędrować i zbudowali miasto, które nazwali Tenochtitlan. Mimo że ich nowa stolica została wzniesiona na mokradłach, dokonali architektonicznego cudu. Tenochtitlan zajmowało obszar około trzynastu kilometrów kwadratowych po zachodniej stronie jeziora Texcoco. Zbudowali na groblach drogi na kontynent, z podnoszonymi mostami, żeby umożliwić żeglugę, akwedukty, by zaopatrywać miasto w słodką wodę, place i pałace oraz odpowiedniki współczesnych dzielnic mieszkalnych i centrów biznesowych, wszystkie połączone kanałami. Kiedy populacja stała się za duża, aby mogła się wyżywić płodami z kontynentu, stworzyli pływające ogrody nazywane chinampas, które dawały plony nawet siedem razy w roku. Pod koniec lat dwudziestych piętnastego wieku powstało trójprzymierze sformowane przez Tenochtitlan, Texcoco i Tlacopan. Rosło ono w siłę, a wszystkie plemiona spoza przymierza były ujarzmiane. Na przestrzeni następnego wieku Aztekowie i Tenochtitlan stopniowo wspięli się na sam szczyt.

* I wtedy zjawił się Cortes * powiedział Sam.

* Zgadza się. Wiosną tysiąc pięćset dziewiętnastego roku. W ciągu dwóch lat imperium Azteków zostało prawie całkowicie zniszczone.

* Jakie są główne kontrowersje dotyczące Azteków? * spytała Selma.

* Skąd przybyli: z północy czy z południa, i z jak daleka. Ich kultura pod wieloma względami przypomina kultury innych ludów środkowoamerykańskich: Tolteków, Majów, Olmeków; rodzi się więc pytanie: co było pierwsze, jajko czy kura? Czy to po prostu kwestia skrzyżowania kultur, czy też któryś z tych ludów był prekursorem? Wielu historyków uważa, że właśnie Aztekowie dali początek Ameryce Środkowej.

* Mówiłaś o kodeksach... * przypomniał Sam. Remi skinęła głową.

* Kiedy Cortes dokonał podboju i imperium Azteków upadło, istniało mnóstwo kodeksów. Autorami większości z nich byli jezuici i franciszkanie, część napisali żołnierze i dyplomaci, a kilka podyktowali sami Aztekowie. Te ostatnie są bardzo rzadkie i jeszcze kilkaset lat temu zupełnie nie brano ich pod uwagę. Odstają bowiem od hiszpańskiej wersji, według której Aztekowie byli dzikusami, a konkwista stanowiła realizację woli samego Boga. Rozumiecie, o co chodzi.

* Zwycięzcy piszą historię * skomentował Sam.

* Otóż to.

* Mówi pani o Kodeksie Borbonicus, Mendozy, Florenckim... * odezwała się Selma.

* Zgadza się. Są ich dziesiątki. Ukazują życie Azteków przed konkwistą, podczas niej lub po niej. Niektóre opisują życie codzienne tego ludu, inne to relacje z przybycia Cortesa i bitew, jeszcze inne koncentrują się na ceremoniach religijnych i tak dalej.

Remi wyjęła z szuflady szkło powiększające i pochyliła się nad kodeksem. Przez dziesięć minut oglądała każdy

centymetr kwadratowy pergaminu, potem wyprostowała się i powiedziała:

* Tematycznie bardzo przypomina Kodeks Boturini, napisany przez anonimowego azteckiego autora między rokiem tysiąc pięćset trzydziestym a tysiąc pięćset czterdziestym pierwszym, mniej

więcej dziesięć lat po upadku imperium. Opowiada o podróży Azteków z Aztlan do dzisiejszego Meksyku.

* Skąd? * zapytał Sam.

* Z Aztlan, jednej z dwóch mitycznych ojczyzn ludów mówiących językiem nahuatl, do których zalicza się Azteków. Historycy nie są zgodni co do tego, czy Aztlan to tylko legenda, czy też miejsce, które naprawdę istnieje.

* Wspomniałaś o dwóch ojczyznach.

* Druga to Chicomoztoc, czyli Siedem Jaskiń. Ważna w azteckiej tradycji ludowej i religii. Spójrzcie na nasz kodeks. Widzicie kształt wydrążonego kwiatu w dolnym prawym rogu? * Sam i Selma przytaknęli.

* Tak zwykle przedstawiano Chicomoztoc. Ale ten jest trochę inny. Będę musiała zrobić kilka porównań.

* Jeśli dobrze to odczytuję * rzekł Sam * symbolizuje on podróż morską. Przypuszczam, że czółno to metafora?

* Trudno powiedzieć. Ale zauważyłeś przedmiot podobny do grzebienia na jego burcie?

* Owszem.

* To aztecki hieroglif, który oznacza liczbę sto.

* Ludzi czy statków?

* Biorąc pod uwagę jego umieszczenie, raczej to drugie.

* Sto statków * powtórzył Sam. * Płynących z Chicomoztoc do... Dokąd?

* Może tam, gdzie występuje ten ptak i przedmiot pod nim? * podesunęła Selma. * Co to jest? Nie mogę rozpoznać.

* Wygląda jak miecz * rzekł Sam. * Albo pochodnia.

* Nie wiem dlaczego, ale ten ptak wydaje mi się znajomy * stwierdziła Selma.

* Powinien * odparła Remi. * Identyczny był w dzienniku Blaylocka. Jest jeszcze coś, co powinniście rozpoznać.

Sam postukał w kształt zajmujący górną połowę kodeksu.

* To też jest z dziennika Blaylocka.

* Brawo, panie Fargo * powiedziała Remi i wręczyła mu szkło powiększające. * A teraz spójrz na inskrypcję.

Sam pochylił się nad kodeksem.

* Mój hiszpański nie jest najlepszy * uprzedził * ale to idzie tak: Dado este 12vo dia de Julio, ano de nuestro Señor 1521, por su alteza Cuauhtemotzin. Jcwier Orizaga, S.J.

Podniósł wzrok.

* Remi?

* W wolnym przekładzie: „Dwunastego dnia lipca roku pańskiego tysiąc pięćset dwudziestego pierwszego przez Jego Wysokość Cuauhtemotzina. Javier Orizaga, S.J.”

* Orizaga... To kolejna zagadka z dziennika Blaylocka: „Czy Orizaga tu był?”

* Tu, czyli gdzie? * zastanawiała się Selma. * W Chicomoztoc?

* Nie wiadomo * odparła Remi. * Ale wciąż nie widzicie prawdziwej bomby.

Bez dalszych wyjaśnień podeszła do komputera, wywołała przeglądarkę i przez pięć minut surfowała po stronach famsi.org * Fundacji Wspierania Studiów Środkowoamerykańskich. W końcu odwróciła się na krześle.

* Skrót „S.J.” przy nazwisku Orizagi najwyraźniej oznacza Towarzystwo Jezusowe. On był jezuitą. A dwunasty lipca tysiąc pięćset dwudziestego pierwszego roku to dwanaście dni po La Noche Triste, czyli „smutnej nocy”. Hiszpanie wycofali się wtedy z Tenochtitlan po tym, jak Cortes i jego konkwistadorzy zmasakrowali setki Azteków, łącznie z ich władcą, Montezumą II, w Templo Mayor, głównej świątyni. To był przełomowy moment w historii azteckiego imperium. W sierpniu następnego roku Tenochtitlan zostało zrównane z ziemią, a ostatni władca Azteków, Cuauhtemotzin, schwytyany i poddany torturom.

* Cuauhtemotzin * powtórzył Sam i odwrócił się z powrotem do kodeksu. * To on, według Orizagi, podyktował ten kodeks.

* Zdawał sobie sprawę, że los jego ludu jest przesądzony, i chciał, żeby ktoś się dowiedział... * wyszeptwała Selma.

Remi skinęła głową.

* Jeśli ten kodeks jest autentyczny, możemy mieć przed sobą ostatnią wolę Azteków.

Rozdział 29

Madagaskar na Oceanie Indyjskim

Znowu Afryka * mruknął Sam, zatrzymując range rovera na poboczu drogi gruntowej. Wyłączył silnik i zaciągnął hamulec ręczny. * Cholema Afryka.

* Jesteśmy prawie pięćset kilometrów od wybrzeża * odrzekła Remi. * Dla Malgaszów ich wyspa jest światem samym w sobie.

Sam podniósł ręce na znak, że się poddaje. Wiedział, że Remi ma rację. Podczas maratonu San Diego*Atlanta*Johannesburg*Antananarywa mieli mnóstwo czasu na czytanie o Madagaskarze.

Wysiedli, podeszli do tyłu rovera i zaczęli zbierać swój ekwipunek.

Mapa z laski Blaylocka pozostawała zagadką zaledwie kilka godzin. Gdy Pete i Wendy przeszukali bazy danych kartograficznych, które Fargowie zgromadzili przez lata, okazało się, że jest fragmentem większej, sporządzonej przez francuskiego badacza nazwiskiem Moreau w roku 1873, dwadzieścia trzy lata po zbrojnym zajęciu wyspy przez Francuzów. Niepełne słowo w górnym lewym rogu brzmiało Prunes, po francusku „śliwki” * gdyż taką nazwę nadał badacz atolom wzdłuż linii brzegowej. Pete i Wendy nie mieli większych trudności z dopasowaniem nazw rzek i wyizolowaniem konkretnej części wybrzeża.

Wciąż jednak pozostawało tajemnicą, dlaczego Madagaskar był taki ważny dla Blaylocka. Sam i Remi mieli nadzieję znaleźć odpowiedź na to pytanie na miejscu, podczas gdy Selma, Pete i Wendy oraz Juliannę Severson w Bibliotece Kongresu analizowali dziennik Blaylocka, jego listy do Constance Ashworth i nowo nazwany Kodeks Orizagi.

Poza aktualną mapą topograficzną Fargowie dysponowali zalaminowaną kopią mapy Moreau i powiększeniem pewnej zatoczki na wybrzeżu, przy której Pete znalazł miniaturową notatkę. Blaylock zwykł przelewać na papier jedynie urywki myśli, nie byli więc zaskoczeni, że notatka składa się z dwóch liczb i zaledwie czterech słów:

1442 długości 315° Do Paszczy Lwa

Madagaskar, czwarta największa wyspa na Ziemi, jest pod wieloma względami osobnym światem.

Osiemdziesiąt procent żyjących tam gatunków roślin i zwierząt nie występuje nigdzie indziej: lemury wszelkiej maści, zamieszkujące jaskinie krokodyle, mięsożerne rośliny i plujące żuki, olbrzymie pareczniki, trzydzieści dwa gatunki kameleonów, dwieście dwa gatunki ptaków i rozmaitość baobabów, które wyglądają jak wymyślone przez reżysera filmu science fiction. Za to nie ma ani jednego endemicznego jadowitego węża.

Historia Madagaskaru jest równie niezwykła. Oficjalnie zaczęła się w VII wieku, kiedy Murzyni Bantu wykorzystywali obozowiska wzdłuż północnego krańca wyspy jako faktorie dla przepływających arabskich kupców, ale znaleziska archeologiczne z ostatnich dziesięcioleci sugerują, że pierwsi osadnicy przybyli na Madagaskar z Celebesu w Indonezji między III a VI wiekiem naszej ery.

Przez następne tysiąc sto lat wyspa była zamieszkała przez portugalskich, hinduskich, arabskich i somalijskich osadników, aż nadeszła epoka odkryć geograficznych i zaczęła się rywalizacja o Afrykę.

Europejskie mocarstwa kolonialne i piraci ruszyli na Madagaskar. Rządziły nim kolejne dynastie aż do schyłku XVIII wieku, kiedy lud Merina zdołał z pomocą Brytyjczyków przejąć kontrolę nad większością wyspy i utrzymać hegemonię prawie przez sto lat, do francuskiej inwazji w 1883 roku. W roku 1896 Francja zaanektowała Madagaskar, a tamtejsza rodzina królewska została zesłana do Algierii.

Sprawdzili ekwipunek, założyli plecaki i się rozejrzeli. Droga numer 2 poprowadziła z lotniska w Antananarywie wśród wyżyn ciągnących się wzdłuż środka wyspy na nadmorskie niziny porośnięte lasem deszczowym i pełne wąwozów z kilkusetmetrowymi skarpami i wodospadami. Za nimi był kanał Pangalanes, osiemsetkilometrowy łańcuch naturalnych i sztucznych jezior i zatoczek.

Właśnie tam mieli nadzieję znaleźć miejsce, które Blaylock oznaczył zagadkową notatką. Potem musieliby przejść „1442 długości” (laski Blaylocka, jak przypuszczali) w kierunku 315 na kompasie i poszukać „Paszczy Lwa”. Problem polegał na tym, że Moreau, autor mapy,

najwyraźniej opuścił Dzień Kartografii w Szkole Badaczy. Nie miał żadnego wycucia skali i odległości, więc Fargowie musieli prowadzić poszukiwania metodą prób i błędów.

* To nie brzmiało prosto * powiedziała Remi * ale patrząc na okolicę... * Urwała i pokręciła głową.

* Tak * przyznał Sam * to kraina, o której czas zapomniał.

Sam pierwszy zszedł z drogi na ścieżkę, która przypominała zwierzęcy szlak i znikła po stu metrach. Wyciągnął z pochwy maczetę i zaczął wycinać roślinność sięgającą mu do czubka głowy. Przy każdym kroku ostre liście raniły im odsłoniętą skórę, a kolczaste łodygi czepiały się ubrań, musieli więc często przystawać i się uwalniać. Gdy po półgodzinie pokonali jakieś czterysta metrów, otworzyła się przed nimi polana wielkości garażu. Remi popatrzyła na wyświetlacz przenośnego odbiornika GPS, rozejrzała się i wskazała kierunek. Ruszyli dalej. Sam wyrąbywał ścieżkę, Remi nawigowała. Minęło kolejne pół godziny. Byli złani potem, a ubrania mieli takie mokre, jakby się w nich wykąпали. Mimo palącego słońca oboje czuli lekki chłód. Po następnych trzydziestu minutach Sam zatrzymał się nagle i uniósł rękę, sygnalizując ciszę. Zerknął za siebie na Remi i postukał się w nos. Skinęła głową. Dym. Gdzieś w pobliżu płonęło ognisko.

Na lewo od nich rozległ się szelest. Coś się ruszało w zaroślach. Stali nieruchomo, starając się zlokalizować dźwięk. Powtórzył się, ale nieco dalej.

Nagle męski głos zawołał:

* Nie zgubiliście się przypadkiem, dobrzy ludzie? Sam spojrzał na żonę. Wzruszyła ramionami, więc odkrzyknął:

* Nazwałbym to nie „zgubieniem się”, ale raczej „nieoczekiwaną eksploracją”!

Mężczyzna zachichotał.

* To coś nowego. Jeśli chcielibyście zrobić sobie przerwę, to mam kawę.

* Jasne, czemu nie? Gdzie...

* Spójrzcie w lewo.

Zrobili to. Chwilę później płonący koniec gałęzi ukazał się nad zaroślami dziesięć metrów od nich.

* Jeśli przejdziecie jeszcze dziesięć kroków prosto, traficie na zwierzęcy szlak. Doprowadzi was na miejsce.

* Już idziemy.

Pięć minut później dotarli na polanę otoczoną karłowatymi baobabami. Między dwoma z nich wisiał siatkowy hamak. Na środku polany leżały dwie kłody do siedzenia i płonęło małe ognisko. Około siedemdziesięcioletni siwy mężczyzna z kozią bródką uśmiechnął się do nich. Miał zielone oczy o szelmowskim spojrzeniu.

* Witam. Siadajcie.

Fargowie zrzucili plecaki, usiedli na kłodzie naprzeciwko niego i się przedstawili.

Mężczyzna skinął głową, uśmiechnął się i odrzekł:

* Wszyscy nazywają mnie Kid.

Sam wskazał rewolwer na jego biodrze.

* Z powodu tego?

* Mniej więcej.

* To webley?

* Dobre oko. Model Mark VI, kaliber 11,56 milimetra. Z tysiąc dziewięćset piętnastego roku.

* Wystarczy tej rozmowy o broni, chłopcy * odezwała się Remi. * Dziękujemy za zaproszenie. Czujemy się, jakbyśmy byli w tej głuszy od dwóch dni.

* Według madagaskarskiego czasu to około dwóch godzin.

Sam spojrzał na zegarek.

* Ma pan rację. * Zauważył u stóp mężczyzny ponad półmetrową piramidę z grud ziemi. * Mogę spytać...

* A, to. Madagaskarskie trufle. Najlepsze na świecie.

* Nigdy o nich nie słyszałam * odparła Remi.

* Większość jest sprzedawana do Japonii. Po dwa tysiące dwieście dolarów za kilogram.

* Wygląda na to * powiedział Sam * że obok pańskich butów leży ładne kilka tysięcy.

* Fakt.

* Jak pan je znajduje? * zapytała Remi.

* Na podstawie zapachu, ogólnej lokalizacji, śladów zwierząt. Po dziesięciu latach to bardziej wycucie niż cokolwiek innego.

* Dziesięć lat? Mam nadzieję, że nie spędza pan całego czasu tutaj.

Kid zachichotał.

* Nie. Sezon na trufle trwa tylko pięć tygodni w roku. Pozostałe czterdzieści siedem tygodni spędzam u siebie na plaży niedaleko Andevoranto. Trochę wędkuję, trochę nurkuję, trochę wędruję i dużo patrzę na zachody słońca.

* Brzmi wspaniale.

* I takie jest. Z wyjątkiem zadrapań na ciele.

Fargowie zerknęli na czerwone ślady na swoich ramionach i nogach. Mężczyzna sięgnął do starego brezentowego plecaka opartego o kłodę, pogrzebał w nim i wyjął nieoznakowaną buteleczkę. Rzucił ją Remi.

* Miejscowa receptura * wyjaśnił. * Czyni cuda. Tylko nie pytajcie, co to jest.

Posmarowali zadrapania zielonkawą, cuchnącą maścią i zaczerwienienia natychmiast zniknęły.

* Pachnie jak zwierzęcy mocz i... * zaczął Sam. Kid się uśmiechnął.

* Mówiłem, żebyście nie pytali. * Nalał wszystkim po kubku kawy z poczemiałego od sadzy ekspresu, który stał na obrzeżu ogniska. * A teraz powiedzcie mi, co tu robicie.

* Szukamy pewnego miejsca, które albo istnieje, albo nie * odrzekł Sam.

* A, syreni śpiew zaginionych łądów. Tak się składa, że legendarne miejsca to jedna z moich specjalności.

Sam wyjął z bocznej kieszeni swojego plecaka mapę Moreau i podał Kidowi.

Ten przyglądał się jej uważnie przez pół minuty.

* Mam dobrą i złą wiadomość * powiedział, oddając Samowi mapę. * Od której zacząć?

* Od złej * odparła Remi.

* Spóźniliście się o jakieś osiemdziesiąt lat. Ten odcinek Pangalanes zniknął po trzęsieniu ziemi w tysiąc dziewięćset trzydziestym drugim roku.

* A dobra wiadomość?

* To teraz suchy ład. I mogę was doprowadzić na odległość kilku metrów od miejsca, którego szukacie.

Gdy dopili kawę, Kid zasypał ognisko, spakował swój ekwipunek i ruszyli w drogę: on na czele, Remi w środku, Sam z tyłu. Nie potrzebował maczety ani kompasu, aby znajdować ścieżki wśród gąszczu roślinności. Mimo wieku szedł pewnym, oszczędnym krokiem, co sugerowało, że spędzał więcej czasu pod gołym niebem niż pod dachem. Po czterdziestu minutach marszu zawołał przez ramię:

* To miejsce, którego szukacie! Co w nim jest takiego wyjątkowego?

Remi spojrzała na Sama z pytającą miną. Pomyślała chwilę, po czym rzekł:

* Sprawia pan wrażenie uczciwego człowieka. Mylę się?

Kid zatrzymał się, odwrócił i uśmiechnął.

* Nie. Dochowałem więcej tajemnic, niż zrobiłem kroków.

Sam wytrzymał jego spojrzenie i zaproponował:

* Niech pan prowadzi, opowiemy panu pewną historię.

Kid skinął głową i ruszył dalej.

* Słyszał pan o statku „Shenandoah”? * spytał Sam.

Po godzinie zarośla zaczęły się przerzedzać i wkrótce znaleźli się na sawannie z kępami baobabów. Półtora kilometra na lewo od nich trawiasty obszar ustępował miejsca lasowi deszczowemu, który ciągnął się do skarpy. Na prawo widzieli kanał Pangalanes, a za nim błękit Oceanu Indyjskiego. Przystanęli, żeby napić się wody. Wziąwszy solidny łyk ze swojej manierki, Kid powiedział:

* Wygląda na to, że z tego Blaylocka był niezły artysta.

* Problem w tym * odparła Remi * że wciąż nie wiemy, ile w jego historii jest prawdy, a ile fantazji wywołanej malarią i smutkiem.

* To błogosławieństwo i zarazem przekleństwo przygody * rzekł Kid. * Ale moim zdaniem trzeba korzystać z okazji pójścia mniej uczęszczaną drogą.

Sam uśmiechnął się i uniósł manierkę.

* Wypijmy za to. Stuknęli się manierkami.

* Odpocznijcie trochę * zaproponował Kid * a ja pójdę na zwiady. Jesteśmy blisko, ale muszę się rozejrzeć.

Zrzucił plecak i ruszył przez trawę do kolan. Fargowie usiedli na ziemi i wsłuchali się w szum fal zalewających plażę. Nadleciał rój tęczowych motyli. Unosiły się przez chwilę nad ich głowami i pofrunęły dalej. Z pobliskiego baobabu zwiisał lemur katta i przyglądał się im. Po kilku minutach wspiął się powoli w górę i zniknął z widoku.

Wrócił Kid.

* Eureka * oznajmił po prostu.

Gdy po pięciu minutach dotarli na szczyt niewielkiego pagórka o stromych zboczach, Kid zatrzymał się i rozpostarł ręce.

* To tutaj? * zapytał Sam.

* Tak. Po trzęsieniu ziemi zatoczka się zamknęła, woda wyparowała i tylko górna część wyspy pozostała odsłonięta. Przez osiemdziesiąt lat sztormy wypełniły depresję mułem z oceanu.

Fargowie się rozejrzeli. Pagórek miał powierzchnię najwyżej czterdziestu metrów kwadratowych.

* Chyba znajdziemy środek i zaczniemy iść * powiedziała Remi.

* Ile długości zapisał Blaylock? * spytał Kid.

* Tysiąc czterysta czterdzieści dwie. Około trzech kilometrów.

Kid spojrział na niebo.

* Według madagaskarskiego czasu to trzy do czterech godzin, w większości z powrotem w lesie deszczowym. Proponuję rozbić obóz.

Rozdział 30

Madagaskar

Wstali krótko po świcie. Sam i Remi poszli się obmyć do stawu zalewowego, a Kid przygotował śniadanie złożone z trufli i manioku podanego jak starte ziemniaki smażone z cebulą. Gdy wrócili do obozu, woda w ekspresie do kawy zaczynała wrzeć. Remi napełniła kubki, a Sam pomógł Kidowi podać posiłek. Zaczęli jeść.

* Wiecie coś o sytuacji politycznej na Madagaskarze? * spytał Kid między kęsami.

* Tylko to, co czytaliśmy w gazetach * odparł Sam. * Zamach stanu, nowy prezydent i obalony były prezydent na emigracji.

* Więc nie wiecie, że były prezydent wrócił z emigracji. Podobno przebywa w Maroantsetrze na północnym wybrzeżu. Jeśli zdoła zgromadzić wystarczająco dużo ludzi i broni, pewnie wybuchnie wojna domowa, a jeśli mu się to nie uda, dojdzie do masakry. Tak czy inaczej, nie jest to najlepszy okres dla białych na wyspie. W dużych miastach nie ma problemu, ale tutaj... * Kid wzruszył ramionami * trzeba bardzo uważać.

* Na co?

* Głównie na facetów z kałasznikowami jeżdżących pikapami.

* Czyli musimy się starać zobaczyć ich wcześniej niż oni nas.

* Otóż to. Nawet jeśli nie wygląda się na wartego zachodu, mogą zaatakować. Porywają ludzi nie tylko dla okupu, ale i w celu wywarcia nacisku.

* Jeśli dopisze nam szczęście * rzekł Sam * zdążymy wrócić do Antananarywy przed nocą.

* Po znalezieniu tego, czego szukacie * dopowiedział Kid z uśmiechem.

* Albo po przekonaniu się, że nic tu nie ma * dodała Remi.

Krótko przed ósmą spakowali ekwipunek, wspięli się na pagórek, wzięli namiar na „315” i ruszyli gęsiego przez sawannę. Kid szedł na czele, Remi w środku, a Sam zamykał tyły z przenośnym odbiornikiem GPS ustawionym na tryb kierunek/odliczanie: 1442 długości laski Blaylocka o wysokości 213 centymetrów równały się odległości 3071 metrów.

* Miejmy nadzieję, że laska nie skurczyła się ani nie wydłużyła przez ostatnie sto trzydzieści lat * powiedział Sam.

* I że Blaylock był dobry w posługiwaniu się taśmą mierniczą * dodała Remi.

Zanim dotarli do skraju lasu deszczowego, buty i nogawki spodni mieli mokre od rosy.

Kid stanął przed ścianą dżungli i polecił:

* Zaczekajcie chwilę.

Przeszedł wzdłuż linii drzew najpierw pięćdziesiąt metrów na północ, a potem na południe.

* Tędy! * zawołał, gdy wrócił.

Sam i Remi dołączyli do niego. Nie byli zaskoczeni, że znalazł szlak.

Gdy zagłębili się w las, słońce przygasło i pozostały tylko cienkie smugi światła na roślinności wokół nich.

* Tysiąc sześćset siedemdziesiąt metrów za nami, tysiąc czterysta do przejścia * oznajmił Sam.

Szli dalej. Wkrótce teren zaczął się wznosić ku wyżynom. Szlak się zwęził, najpierw do szerokości ramion, potem do trzydziestu centymetrów, więc w niektórych miejscach musieli z niego schodzić i się schylać. Ostre jak brzytwy liście i kolczaste łodygi znów dawały się im we znaki.

Kid zarządził postój.

* Słyszycie to? * spytał. Sam skinął głową.

* Strumień. Gdzieś na lewo.

* Zaraz wrócę. * Kid dał nura ze szlaku i zniknął w lesie.

Wrócił po dziesięciu minutach.

* Jest około trzydziestu metrów na południe * oznajmił. * Płynie mniej więcej równoległe do naszej trasy. Daleko jeszcze?

Sam sprawdził na wyświetlaczu GPS*u.

* Kilometr.

* Czyli trzy według madagaskarskiej skali * powiedziała Remi.

* W korycie strumienia będzie się łatwiej szło. Tylko uważajcie na krokodyle.

* Krokodyle? * zdziwiła się Remi.

* Nie słyszeliście o madagaskarskich krokodylach jaskiniowych?

* Słyszeliśmy, ale myśleliśmy, że to tylko takie gadanie * odparł Sam.

* Nie. Madagaskar to jedyne miejsce na świecie, gdzie żyją. Aligatory i krokodyle są egzotemiczne: ciepłota ich

ciała zależy od temperatury otoczenia, więc nagrzewają się na słońcu, a chłodzą w cieniu i wodzie. Naszym krokodylom nie jest to potrzebne. „National Geographic” badał je kilka lat temu, ale ten fenomen wciąż pozostaje zagadką. W każdym razie zdarza się, że rano korzystają z podziemnych strumieni, by wyruszyć na polowanie, zanim słońce zacznie prażyć.

* A jak można je zauważyć? * spytała Remi.

* Wypatrujcie kłód unoszących się na wodzie. Jeśli kłoda ma gałki oczne, to nie jest kłoda. Róbcie dużo hałasu i sprawiajcie groźne wrażenie. Wtedy się wyniosą.

Strumień był płytki i miał piaszczyste dno, więc szybko posuwali się naprzód, obserwując wskazania GPS*u. Gdy wyświetlił sto dwadzieścia metrów, strumień skręcił najpierw na południe, potem znów na północ i z powrotem na zachód, by wreszcie rozszerzyć się w okoloną głazami lagunę. Na jej zachodnim brzegu wodospad o szerokości dwunastu metrów uderzał w skalną półkę, wzbijając do góry mgiełkę kropelek.

Sam spojrzał na GPS.

* Sześćdziesiąt metrów * powiedział.

* Kierunek? * spytała Remi. Wskazał wodospad.

Po chwili milczenia Remi zapytała:

* Widzisz to?

* Co? * odparł.

* Łeb lwa. * Wskazała miejsce, gdzie woda spadała ze skalnej półki. * Te dwa wypiętrzenia to ślepie. Pod nimi jest paszcza. A woda... Jak się dłużej popatrzy, niektóre strugi przypominają kły.

* A niech mnie! * wykrzyknął Kid. * Ona ma rację.

* Jak zwykle * mruknął Sam.

* Może wasz Blaylock jednak nie był stuknięty.

* Przekonamy się.

Sam zrzucił plecak, rozebrał się do pasa i włożył wodoszczelną lampę czołową. Zapalił ją, skierował snop światła na swoją dłoń i zgasił.

* Tylko wstępne rozpoznanie? * upewniła się Remi.
* Zgadza się. Pięć minut, nie dłużej.
* Zaczekaj chwilę * powiedział Kid, pogrzebał w swoim plecaku i wyjął morską flarę. * Krokodyle tego nie cierpią. * Wydobył z plecaka drugi rewolwer, podobny do jego webleya. * A tego jeszcze bardziej. Sam zważył broń w rękę.
* Nie rozpoznaję go. To też webley?
* Rewolwer automatyczny Webley*Fosbery. Jeden z pierwszych samopowtarzalnych bębenkowców. Łamany, kaliber 11,56 milimetra, sześcioprowadzący. Niezbyt skuteczny powyżej czterdziestu pięciu metrów, ale powala każdy trafiony cel.
* Dzięki * rzekł Sam i spytał: * Ile właściwie ich masz?
* Webleyów? Gdy ostatnio liczyłem, było osiemnaście. Coś w rodzaju hobby.
* Stare rewolwery i truflę * podsumowała Remi. * Jesteś ciekawym człowiekiem, Kid. Sam włożył flarę do jednej kieszeni szortów, a webleya do drugiej i ruszył wokół laguny. Przeskakiwał z głazu na głaz, unikając mokrych miejsc, co stawało się tym trudniejsze, im bliżej był wodospadu. Gdy znalazł się w odległości wyciągniętej ręki, odwrócił się, pomachał Remi i Kidowi, po czym dał nura i zniknął.
Cztery minuty później wyłonił się z powrotem, wskoczył na pobliski głaz, strząsnął wodę z włosów i wrócił na plażę.
* Za wodospadem jest grotę * oznajmił. * Ma głębokość jakichś sześciu metrów i szerokość około czterech i pół metra. Wejście blokuje naniesione przez wodę gałęzie, gnijące kłody i sterty trawy, ale za tym wszystkim wyraźnie widać otwór. To pozioma szczelina, jak w zepsutych i nie do końca opuszczonych drzwiach garażowych.
* Trudno uciec przed przeznaczeniem * odparła Remi z uśmiechem.
* O czym ona mówi? * zapytał Kid.
* Podczas tej przygody * wyjaśnił Sam * nie musieliśmy jeszcze schodzić pod ziemię, co jest rzadkością, wzięwszy pod uwagę, czym się zajmujemy. Wcześniej bywały dające się zabarykadować drzwi i możliwe do zaryglowania krypty. Aby coś zabezpieczyć lub zachować w tajemnicy, miało się tylko dwa wyjścia: zakopać to albo ukryć w jaskini.
* Więc nigdy nie przeżyliście całkowicie naziemnej przygody?
* Nie * potwierdził Sam.
* Dlatego regularnie uprawiamy wspinaczkę i alpinizm jaskiniowy * dodała Remi.
* Jaskinie są nisko na mojej liście ulubionych miejsc * wyznał Kid * więc jeśli nie macie nic przeciwko, zostawię wam całą przyjemność. Zostanę na gospodarstwie.
Dziesięć minut później Fargowie, wyposażeni w odpowiedni sprzęt, wrócili do wodospadu i dali nura do grotę. Światło słoneczne przygasło za zasłoną wody. Włączyli lampy czołowe.
Sam przysunął się do Remi i powiedział przez szum:
* Stań z boku. Zobaczą, czy mamy jakieś towarzystwo. Bądź gotowa do użycia flary.
Przeszła na drugą stronę grotę, a Sam znalazł długą gałąź w tworzącej tamę stercie. Zaczął badać szczątki, wpychając koniec gałęzi do dziur i kręcąc nią. Nie było żadnej reakcji, nic się nie poruszyło. Przez następne dwie minuty kopał piętą w kłody, też bez skutku.
* Chyba wszystko gra! * oznajmił.
Wzięli się do pracy. Rozbierali wolno stos, aż utworowali sobie drogę do tylnej ściany. Ukłękli przed szczeliną o wysokości stu dwudziestu centymetrów. Płytki strumyk płynął przez grotę do wodospadu. Sam wsunął gałąź do otworu i potrząsnął nią. Znowu nic się nie poruszyło. Wyjął z kieszeni webleya, pochylił się, przywarł twarzą do skały i poświecił lampą czołową od prawej do lewej. Wyprostował się i pokazał Remi znak „okej”.
* Jeszcze raz do wyłomu! * zawołała.
* My dwoje, my szczęśliwi dwoje * odpowiedział.
* Nie ma to jak Szekspir dla nadania tonu.

Madagaskar

Pokonawszy zaledwie półtora metra, znaleźli się w owalnej jaskini szerokości trzydziestu i wysokości dziesięciu metrów ze zwisającymi z góry stalaktytami. Snopy światła ich lamp czołowych sięgały tylko na odległość dziesięciu metrów, ale zdolali zauważyć, że przestrzeń jest luźno podzielona na „pomieszczenia” przez naturalne kolumny. Żył kwarcu w ścianach mieniły się i skrzyły. Podłoże * mieszanek skały i mułu chrzęszczącego pod butami * przecinał wąski, kręty strumyk.

* Dobre miejsce do rozpoczęcia poszukiwań * orzekł Sam.

Remi przytaknęła i ruszyli wzdłuż strumyka w głąb jaskini.

* Jestem trochę zawiedziona * odezwała się Remi po kilku minutach.

* Wiem. Ale dzień dopiero się zaczął.

Ich ostatnia przygoda speleologiczna zakończyła się nie tylko rozwiązaniem zagadki zaginionej piwnicy Napoleona,

lecz również odkryciem, które pozwoliło napisać na nowo część historii starożytnej Grecji.

Gdy pokonali jakieś pięćdziesiąt metrów, Sam dostrzegł w świetle lampy czołowej skałę w kształcie klina. Po obu jej stronach tunele biegnęły w ciemność.

* Wybieraj * powiedział do Remi. * Prawy czy lewy?

* Prawy.

Przeskoczyli strumyk i zapuścili się w prawy tunel. Po pięciu metrach podłoże zaczęło opadać i woda sięgnęła łydek. Sam oświetlił powierzchnię i zobaczył słaby prąd. Poszli dalej. W pewnej chwili Remi stanęła i zgasła swoją lampę czołową. Sam zrobił to samo.

Po dziesięciu sekundach usłyszeli jakiś dźwięk, jakby skóra otarła się o kamień, i coś się poruszyło w ciemności przed nimi. Znowu cisza i następny dźwięk: jakby ciężki mokry ręcznik uderzył w skałę.

Fargowie spojrzeli na siebie i prawie równocześnie wymówili bezgłośnie słowo „krokodyl”. Skóra była łuską ocierającą się o skałę, a mokry ręcznik silnie umięśnionym ogonem uderzającym w kamień.

Usłyszeli ciężkie stąpanie w wodzie. Sam wyciągnął webleya i wycelował w ciemność. On i Remi jednocześnie włączyli swoje lampy czołowe.

Pięć metrów przed sobą zobaczyli sunący w ich kierunku pysk i dwa wpatrujące się w nich ślepie pod grubymi powiekami. Dalej, na granicy zasięgu snopów światła ich lamp, widać było pół tuzina pokrytych łuską ciał. Paszcze były rozdziawione, ogony waliły w wodę.

* Flara * rozkazał Sam.

Remi posłusznie sięgnęła po flarę i tunel wypełniło migotliwe czerwone światło. Opuściła flarę do poziomu kolan i pomachała nią przed nadpływającym krokodylem. Zatrzymał się, otworzył paszczę i wydał cichy syk.

* Kid miał rację * stwierdziła. * Nie lubią tego.

* Zaczynij się cofać * polecił Sam. * Wolno. I nie odwracaj się tyłem do nich.

Nie spuszczać wzroku z posuwającego się naprzód krokodyla, zaczęli się ostrożnie wycofywać. Sam zerknął przez ramię.

* Jeszcze dziesięć kroków i będziemy na pochyłości, a potem w zwężeniu * instruował żonę. * Kiedy tam dojdziemy, wetknij flarę w piasek. Zobaczymy, jak im się to spodoba.

W odpowiednim miejscu klepnął Remi w ramię. Przyklekła, wbiła flarę w muł, podniosła się i ruszyła dalej z dłonią Sama wciąż na ramieniu. W połowie pochyłości niecałe dwa metry przed syczącą flarą stanął krokodyl. Próbował ją ominąć najpierw z lewej strony, potem z prawej, znów znieruchomiał i po chwili wycofał się do wody. Wkrótce zniknął z widoku.

* Jak długo palą się flary? * zapytała Remi.

* Takie jak ta? Dziesięć do piętnastu minut. Jeśli dopisze nam szczęście, zdążymy przez ten czas sprawdzić drugi tunel.

* A jeśli nie?

* Wtedy się przekonamy, czy jestem dobry w strzelaniu z webleya.

Zagłębiali się w lewy tunel, przystając co kilka kroków i nasłuchując. Po jakichś dwunastu metrach tunel nagle się rozszerzył w niemal okrągłą jaskinię. Światło lampy Remi padło na ciemny podłużny przedmiot na ziemi. Oboje zatrzymali się i cofnęli o dziesięć kroków, grzęznąc w piasku.

* Czy to... * szepnęła Remi.

* Wątpię. * Sam wziął głęboki oddech. * Ale sprawdźmy.

Podeszli do przedmiotu na taką odległość, by widzieć go w blasku lamp.

* Wygląda jak spróchniały słup telefoniczny * zauważyła Remi.

Miała rację, lecz Sam dostrzegł przymocowane do niego trzy drewniane krzyżulce i jakieś wiązania, bardzo zniszczone, ale wciąż rozpoznawalne.

* To pływak łodzi * szepnęła Remi.

Sam skinął głową i powiódł snopem światła wzdłuż krzyżulców do punktu, gdzie łączyły się z podłużną stertą częściowo zgnitego drewna, trochę dłuższą od „słupa telefonicznego” i o kilkakrotnie większej średnicy.

* To łódź z odsadnią * rzekł. * I to duża. Co najmniej dziesięciometrowa.

Okrążyli ją i z drugiej strony zobaczyli identyczną konstrukcję złożoną z krzyżulców i pływaka. Łódź miała półtora metra szerokości i metr dwadzieścia wysokości od kila do nadburcia, zwężający się dziób, sterczący bukszpryt i ściętą rufę. W śródkręciu wyrastał z kadłuba dwuipółmetrowy złamany maszt; górną część, długości około trzech metrów, leżała na ziemi, jej koniec opierał się o nadburcie. Kadłub przed masztem przykrywał niski dwuspadowy dach.

* Sam, cofnij się * szepnęła Remi.

Gdy zrobił za nią kilka kroków do tyłu, wskazała ziemię pod łodzią. To, co w pierwszej chwili wzięli za zwykle wypiętrzenie podłoża, okazało się ponadpołmetrową platformą ze starannie ułożonych kamieni.

* To ołtarz * powiedział Sam.

Sprawdziwszy flarę przeciw krokodylom, która wypaliła się do połowy, obejrzeli dokładnie pływak łodzi. Remi zrobiła zdjęcia całej konstrukcji, a potem zbliżenia poszczególnych części. Sam pobrał czubkiem ostrza szwajcarskiego scyzoryka próbki drewna i wiązań.

* Wszystko jest pokryte jakąś żywicą * powiedział do żony, wachając materiał.

* To by wyjaśniało stosunkowo dobry stan łodzi * odrzekła.

Sam przeszedł nad pływakiem z prawej burty, podszedł do kadłuba i zajrzał do środka. Wokół podstawy masztu leżała jakaś rozkładająca się tkanina. Upstrzona brązowymi i szarymi plamami, zamieniła się częściowo w zastygłą galaretowatą masę.

* Remi, musisz to zobaczyć. Dołączyła do niego przy nadburciu.

* Żagiel * stwierdziła i zaczęła fotografować.

Sam wyjął z pochwy maczetę i, trzymany przez Remi za pas, żeby nie wpadł do łodzi, pochylił się, by delikatnie wsunąć ostrze w zbutwiałe płótno.

* Jest jak łupina cebuli * mruknął, podnosząc kawałek żagla.

Kiedy włożył go do torby Ziploc, którą przygotowała Remi, żagiel rozpadł się na trzy części. Remi zamknęła szczelnie torbę i zaniosiła do swojego plecaka, gdzie już schowała inne próbki.

Sam podszedł do rufy. Z pawęży wystawał bulwiasty drewniany przedmiot, który przypominał zdeformowaną piłkę do futbolu amerykańskiego pochyloną na podstawce do wykopu. Sam musiał się chwilę zastanowić, zanim sobie uświadomił, co widzi. Remi stanęła za nim.

* Nasz tajemniczy ptak * powiedziała. Skinął głową.

* Z Kodeksu Orizagi i dziennika Blaylocka.

* jak on go nazwał? „Wielkim zielonym wysadzonym klejnotami ptakiem”. Chyba nie chodziło mu o tego?

Zrobiła kilkanaście zdjęć rzeźby aparatem cyfrowym.

* Obejrzyjmy bukszpryt * zaproponował Sam. * Na łodziach takie rzeczy często występują parami.

Przeszli do dziobu. Zgodnie z przypuszczeniem Sama bukszpryt też zdobyła rzeźba, w nieco lepszym stanie niż ta na rufie. Właściwie sam bukszpryt był rzeźbą, która przedstawiała węża z szeroko rozwartą paszczą i piórami na łbie.

* Wiesz, co to przypomina? * spytała Remi.

* Nie. A powinienem?

* Pewnie nie. Jest mniej wymyślny i wystylizowany, ale to wypisz, wymaluj Quetzalcoatl, aztecki bóg nazywany Wielkim Pierzastym Wężem.

* Spryciarz * mruknął Sam po chwili.

* Kto?

* Blaylock. Ukrył mapę Moreau i kodeks w swojej lasce z ważnego powodu. Miał obsesję, ale chodziło o coś więcej niż o „Shenandoah” czy „El Majidi”.

* Może od nich to się zaczęło * spekulowała Remi * lecz w pewnym momencie znalazł coś albo dowiedział się czegoś, co zmieniło jego zainteresowanie. Ciekawe, jak ktoś, kto przypląnął tą łodzią, umieścił ją w jaskini?

* Jeżeli nie ma tu innego wejścia z dala od krokodyli, trzeba było ją rozebrać, przenieść przez wodospad i złożyć z powrotem.

* To mnóstwo pracy. Jesteśmy trzy kilometry od plaży, a łódź waży kilka ton.

* Marynarze są bardzo przywiązani do swojego statku, zwłaszcza jeśli pokonają nim wzburzone morze. Może dowiemy się więcej po zbadaniu próbek, ale wzięwszy pod uwagę zapiski Blaylocka, ta łódź mogła być aztecka. Czyli miałyby ile? Co najmniej sześćset lat?

* To byłaby prawdziwa rewolucja w historii Azteków. Nie ma żadnych relacji o tym, że odbywali podróże poza przybrzeżne wody Meksyku, a co dopiero przez Pacyfik i wokół Przylądka Dobrej Nadziei.

* Nie rozumiemy się, moja droga.

* Jak to?

* Ty myślisz o żegludze z zachodu na wschód w szesnastym wieku, a ja ze wschodu na zachód dużo wcześniej.

* Chyba żartujesz?

* Wcale nie. Sama powiedziałaś, że historycy nie są pewni, skąd pochodzili Aztekowie. A jeśli stoimy przed jakimś protoazteckim statkiem migracyjnym?

Rozdział 32

Madagaskar

Remi już miała odpowiedzieć, gdy w jaskini zabrzmiał huk wystrzału. Na lewo od nich coś uderzyło w stalagmit. Zgasili lampy czołowe i rzucili się na ziemię. Leżeli nieruchomo, wstrzymując oddech, i czekali na następne strzały. Nie padły. U wylotu prawego tunelu dopalała się flara. Czerwone światło migotało na ścianie.

* Widzisz coś? * szepnęła Remi.

* To chyba było na zewnątrz. Zaczekaj tu. Zaraz wrócę. Sam wstał, podbiegł do kolumny minerałów i wyjrzał

zza niej. Niczego nie zobaczył ani nie usłyszał, więc ruszył dalej. Biegł zygzakiem od osłony do osłony, aż dotarł do ściany przy wejściu i przywarł do niej plecami. Wyciągnął webleya i dał nura do otworu.

Trach!

Pocisk trafił w podłoże obok niego i zrykoszetował. Sam wbiegł do groty, skręcił w lewo i znalazł się koło wodospadu. Położył się na brzuchu, wczołgał między dwa głazy i wsunął głowę pod kaskadę wody. Zmrużył oczy i popatrzył na lagunę. Zobaczył sześciu mężczyzn z karabinami szturmowymi. Byli w podartych dżinsach, złachanych T-shirtach i wojskowych butach i mieli białe chusty z czerwonymi rogami zawiązane wokół głów. Dwaj uklękli przy ich plecach i zaczęli wyjmować zawartość.

Sam zlustrował wzrokiem teren wokół laguny i otaczające ją drzewa, ale nigdzie nie dostrzegł Kida.

Jeden

z mężczyzn * przywódca, sądząc po zachowaniu i pistolecie samopowtarzalnym przy pasie * warknął coś do kompanów i wskazał wodospad. Jego podwładni ruszyli wokół laguny.

Sam wycofał się rakiem, schował webleya do kabury i popędził z powrotem do jaskini. Remi czekała tam, gdzie ją zostawił.

* Sześciu ludzi, wszyscy uzbrojeni * oznajmił. * Zapewne rebelianci, o których mówił Kid.

* Widziałeś go?

* Nie, chyba uciekł.

* To dobrze.

* Idą tu. Mamy minutę, najwyżej dwie.

* Ilu?

* Pięciu.

* Nierówne szansę do wymiany ognia. Moglibyśmy pójść drugim tunelem i poszukać wyjścia, ale nie bardzo mam ochotę zostać pożarta.

Sam uśmiechnął się szeroko.

* Nasi goście pewnie też nie. Poszukaj lepszej kryjówki, a ja trochę narozrabiam. Za moment będę z powrotem.

Popędził przez jaskinię, przeskoczył strumyk i skręcił w prawy tunel. Wyrwał flarę z piasku, zbiegł po pochyłości do krawędzi wody, zatrzymał się i włączył lampę czołową. Pięć metrów od siebie zobaczył bezładną mieszaninę łuskowatych ogonów, pazurzystych łap i zębatych pysków. Naliczył co najmniej trzy krokodyle. Syczały i rzucały się, gdy omiało je światło.

* Przepraszam, że przeszkadzam * mruknął.

Wziął zamach i cisnął dopalającą się flarę w głąb tunelu. Wylądowała na grzbiecie najbliższego krokodyla i stoczyła się między gady. Dostały szału. Zaczęły uciekać od flary ku pochyłości.

Sam zgasił lampę czołową, odwrócił się i popędził z powrotem. Kiedy dotarł do strumyka, zobaczył błysk

lampy przy przeciwległej ścianie. Ruszył w tamtą stronę i zastał Remi przycupniętą za półkolem głazów. Gdy zahamował z poślizgiem i opadł na kolana, usłyszał głosy w wejściu do jaskini.

* Gospodarze są niespokojni? * spytała Remi szeptem.

* Owszem. Jeśli flara nie zgaśnie, nasi goście powinni pójść prosto na nią.

* I spotka ich przykra niespodzianka.

* Miejmy nadzieję, że nie obróci się przeciwko nam.

Nie minęła minuta, a jednostajny szum wodospadu wyraźnie się zmienił, gdy mężczyźni przechodzili przez kaskadę. Wkrótce rozległy się kroki, a następnie głosy w głównej jaskini. Po chwili umilkły, zastąpione przez ledwo słyszalne szuranie butów na kamieniu.

* Jeden człowiek. Zwiadowca * szepnęła Sam.

To był przełomowy moment. Jeśli zwiadowca postanowi zbadać sprawę flary w pojedynkę, krokodyle prawdopodobnie zmuszą jego i resztę grupy do ucieczki. Jeżeli natomiast mężczyźni pójdą razem, powstałe zamieszanie może wchłonąć również Sama i Remi.

Nasłuchiwali. Kroki ucichły. Ktoś coś zawołał. Znow cisza, a potem kroki kilku ludzi w tunelu wejściowym. Mężczyźni zapuszczali się w głąb jaskini. Fargowie wyraźnie widzieli słabe czerwone światło dopalającej się flary w prawym korytarzu. A kiedy tamci je zobaczą?

Sam i Remi rozglądali się, próbując zlokalizować grupę.

* Są przy przeciwległej ścianie * szepnęła Remi. Chrzęst kamieni pod butami umilkł. Ktoś coś zawołał, po malgasku, jak sądził Sam. Chociaż nie zrozumiał słów, usłyszał w głosie mężczyzny zaskoczenie, więc przypuszczał, że okrzyk brzmiał: „Patrzcie, flara!”

Cokolwiek zostało powiedziane, odniosło pożądany skutek. Mężczyźni ruszyli dalej, ale ich kroki wydawały

się ostrożniejsze. Wkrótce Fargowie zobaczyli w blasku flary pierwszą postać. Potem następną. I kolejne. Jeden za drugim, mężczyźni skierowali się w dół pochyłości. Pod ich stopami rozległ się plusk.

* Lada... * szepnęła Sam. Gardłowy wrzask wypełnił jaskinię.

* ...moment * dokończył Sam.

Do pierwszego wrzasku dołączył drugi, a potem następne. Remi udało się rozpoznać jedno słowo, przekleństwo.

* Ktoś miał problem z kontrolą nad pęcherzem * szepnęła.

Sam wyciągnął webleya i oparł lufę na skale przed sobą.

Przez jaskinię dobiegły pluski, a po nich tupot na kamiennej pochyłości. Huknęły pojedyncze strzały, a potem zaterkotały serie z automatów, odbijające się echem od ścian. Wylot prawego tunelu rozświetlały pomarańczowe błyski z luf. Mężczyźni cofali się tyłem w górę, przewracali i wstawali.

* Naliczyłem pięciu * szepnęła Sam.

* Ja też.

Dotarłszy z powrotem na poziomy grunt, rebelianci odwrócili się i puścili sprintem. Czterej pędzili

prosto do wyjścia, ale jeden, najwyraźniej spanikowany, rzucił się na oślep przez jaskinię ku kryjówece Fargów. Potknął się w strumyku, upadł i przeczołgał na drugą stronę. Wstał, zrobił kilka kroków w kierunku Sama i Remi, po czym zatrzymał się i rozejrzał dookoła.

Na tle blasku flary był widoczny tylko zarys jego sylwetki. Sam wycelował z webleya w punkt między jego ramionami.

* Odwróć się, do cholery... * mruknął. Zdarzało mu się strzelać do ludzi, ale zawsze robił to z najwyższą niechęcią i tylko w razie absolutnej konieczności. * Odwróć się...

Od głównego wejścia ktoś zawołał:

* Rakotomalala!

Mężczyzna obrócił się, znieruchomiał na moment i popędził w tamtą stronę. Sam opuścił webleya i odetchnął głęboko. Gdy znów usłyszał przerwę w szumie wodospadu, wstał, podkradł się do wejścia i wśliznął do groty. Wpełzł między głazy, wysunął głowę przez kaskadę i popatrzył na lagunę.

Mężczyźni byli tak spanikowani, że żaden nie przeskakiwał po głazach, tylko wracali wplaw. Właśnie dotarli do plaży. Gestykulując gorączkowo i krzycząc, zaczęli relacjonować swoje spotkanie z krokodylami przywódcy, który przez chwilę gromił ich wzrokiem, po czym warknął jakiś rozkaz.

Posłusznie wzięli plecaki Sama i Remi i ruszyli gęsiego w dół rzeki.

Sam obserwował ich, dopóki nie zniknęli za zakrętem, odczekał jeszcze pięć minut i wrócił do Remi.

* Wynieśli się * oznajmił.

* Jesteś pewien?

* Nie, ale albo ruszymy się teraz, albo zaczekamy do nocy, a wolałbym tu nie zostawać. Już wystarczająco kusiliśmy los, jeśli chodzi o naszych gadzich gospodarzy.

Remi zerknęła w stronę prawego tunelu. Krokodyle trochę się uspokoiły, ale syki i walenie ogonami nie wróżyły niczego dobrego.

* Lepiej wyjść teraz * przyznała.

Coś się poruszyło na pochyłości i długi pysk wyłonił się z cienia. Szczęki rozwarły się powoli, potem zamknęły i pysk wycofał się z powrotem w mrok.

* Zdecydowanie lepiej * stwierdziła Remi.

Rozdział 33

Madagaskar

Zanim opuścili jaskinię, Sam wyrzął przez kaskadę, by sprawdzić, czy droga wolna. Nikogo nie zobaczył, więc wrócili na lagunę, dopłynęli żabką do plaży i wyszli z wody. Remi wyzymała włosy, a Sam suszył buty.

W pewnej chwili Remi pochyliła się i powiedziała do męża:

* Ktoś do nas macha.

* Gdzie?

Wskazała wzrokiem kępę zarośli, z której wystawało przedramię. Dłoń trzymała webleya model Mark VI i gestykulowała gorączkowo, jakby chciała ich nakłonić do ucieczki.

Sam sięgnął po webleya przy pasie.

Trach!

Pocisk trafił w piasek między jego nogami.

Sam zamarł, Remi też, z palcami wciąż wplątanymi we włosy. W kępie zarośli przedramię Kida zniknęło z widoku.

* Wrócili * powiedziała Remi.

* Na to wygląda. Przeczytałaś w przewodniku rozdział o manierach i etykiecie na Madagaskarze?

* Myślałam, że ty to zrobiłaś.

* Niestety nie.

Sam uniósł ręce i się obrócił. Remi również. Tak jak się spodziewali, na szczycie lwiej głowy nad wodospadem zobaczyli sześciu rebeliantów. Stojący blisko skalnej półki ich przywódca zawołał:

* Nie ruszać się! Rozumiecie? Nie ruszać się! Sam skinął głową i odkrzyknął".

* Rozumiemy! Mamy się nie ruszać!

Pod czujnym okiem samotnego snajpera na szczycie lwiej głowy pozostali rebelianci zeszli na dół jakimś niewidocznym szlakiem między skałami i otoczyli Fargów półkolem. Przywódca wystąpił naprzód, zmierzył wzrokiem Remi i wyciągnął webleya zza pasa Sama.

* Dobra broń * odezwał się łamaną angielszczyzną.

* Owszem * zgodził się Sam.

* A ty to kto?

* Sam.

* Ja Tolotra. A kobieta?

Sam, przypomniawszy sobie pewien madagaskarski zwyczaj, opuścił prawą rękę i wskazał Remi, pamiętając, żeby zagiąć palec wskazujący ku sobie.

* Moja żona. Remi.

Tolotra skinął głową i powiedział:

* Sam... Remi. Teraz zakładnicy.

Sam zrozumiał, że jego znajomość madagaskarskiego zwyczaju nie będzie furtką ku wolności.

Jeden z rebeliantów wyciągnął zza pasa dwa kawałki liny i ruszył w stronę Fargów, jakby chciał związać im ręce. Tolotra odprawił go gestem i zwrócił się do Sama:

* Spróbujecie uciec, zastrzelimy was. Żadnej ucieczki. Obiecujecie?

Sam uniósł prawą rękę, skrzyżował ceremonialnie palec wskazujący ze środkowym i uroczyście skinął głową.

* Za nic w świecie. Remi przewróciła oczami.

* O Boże * mruknęła.

Tolotra analizował chwilę gest Sama, potem uśmiechnął się i powtórzył:

* Za nic w świecie. * Odwrócił się do swoich ludzi, pokazał im taki sam gest i powiedział jeszcze raz: * Za nic w świecie!

* Za nic w świecie! * zawołali wesoło. Remi szepnęła do męża:

* Jeśli któryś z nich ma rozmówki angielskie, to już po nas. Wiesz o tym, prawda?

Rebelianci otoczyli Fargów i cała grupa wymaszerowała z plaży, mijając kryjówkę Kida w odległości zaledwie półtora metra. Szli równolegle do rzeki, a dwaj mężczyźni z tyłu cały czas celowali w Sama i Remi. Wkrótce Fargowie kompletnie stracili orientację.

Po czterdziestu minutach wędrówki wyszli z dżungli na sawannę. Sam nie miał pojęcia, jak daleko są od trasy, którą przemierzył wcześniej z Remi i Kidem. Ocean był na lewo od nich, zalesiona skarpa na prawo. Kierowali się więc na południe.

Po następnych dwudziestu minutach znów zapuścili się w dżunglę, ale tym razem szli prosto, więc Sam zdołał się połapać, gdzie są.

* Chyba jesteśmy blisko drogi * szepnęła do Remi.

* Prawdopodobnie tak nas znaleźli * odszepnęła. * Zobaczyli rovera... wiesz, czyjego?

* Wiem, on jest gdzieś tutaj.

Idący na czele Tolotra odwrócił się i warknął:

* Nie rozmawiać!

Uniósł skrzyżowane palce, jakby dla nadania wagi swojemu rozkazowi. Sam odwzajemnił gest.

* Jak miło * mruknęła Remi. * Zdobyłeś przyjaciela.

* Mam nadzieję, że nie będę musiał go zastrzelić.

* Z czego? Z niewidzialnej procy?

* Nie, z mojego webleya * odparł Sam, nie odrywając wzroku od Tolotry. * Kiedy mu go odbiorę.

* Nie rozmawiać!

Kilka minut później Tolotra dotarł do skrzyżowania szlaków i skręcił w prawo. Teren wznosił się coraz bardziej, aż w końcu musieli się chwytać odsłoniętych korzeni i nisko zwisających gałęzi. Wspinaczka nie wywarła żadnego wpływu na dyscyplinę wśród bandytów; ilekroć

Sam i Remi się rozglądali, widzieli wycelowane w siebie wyloty luf co najmniej dwóch karabinów.

Szlak doprowadził ich do naturalnych stopni z korzeni na zboczu wzgórza. Dotarli na szczyt i znaleźli się na szutrowej drodze. Jakies pół kilometra na południe na poboczu stał biały rdzewiejący pikap chevy, a przed nim rangę rover Fargów.

* Dokąd teraz? * zapytał Sam.

On i Remi nie mieli złudzeń. Wprawdzie Tolotra nie pozwolił związać im rąk, ale to nie był hollywoodzki film. Każda próba ataku na kogoś z rebeliantów nie tylko by się nie powiodła, lecz prawdopodobnie skończyła śmiercią ich obojga.

* Do tajnego miejsca * odparł Tolotra.

* Chcecie dostać okup?

* Tak.

* Skąd wiecie, że jesteście coś wari?

Tolotra zastanawiał się chwilę, jakby szukał odpowiednich angielskich słów.

* Plecaki, ubrania, aparat fotograficzny, wszystko drogie. Samochód też.

* Jest wypożyczony * wyjaśniła Remi.

* Co?

* Nic.

Sam, ufając swojemu przeczuciu, że Kid ich nie opuścił, rozglądał się ukradkiem. Kątem oka dostrzegł ruch na zboczu nad drogą. Między dwoma głazami mignęły siwe włosy.

* Mamy złoto * oznajmił.

Odniosło to pożądaną skutek. Wszyscy rebelianci odwrócili się twarzami do Sama, a Tolotra podszedł o krok bliżej.

* Złoto? Gdzie? Ile?

Nad głazem pojawiła się głowa Kida. Napotkawszy spojrzenie Sama, mrugnął porozumiewawczo, wskazał w kierunku dwóch samochodów na poboczu i schował się z powrotem.

Sam popatrzył na żonę. Poznał po jej minie, że też widziała Mitchella.

* Ile tego jest, jak myślisz, Remi?

* Nie wiem... kilkadziesiąt monet double eagle.

To wystarczyło Tolotrze. Zmrużył oczy i skinął głową.

* Gdzie?

* W naszym hotelu w Antananarywie.

* Dacie nam monety i będziecie wolni.

Bez wątpienia kłamał, ale był to krok w dobrym kierunku. Nawet gdyby Kid nie zdołałby tu interweniować, wyszliby dużo lepiej na podróży do cywilizacji niż w przeciwną stronę.

* Jedziemy * zarządził Tolotra.

Grupa znów utworzyła formację z Samem i Remi w środku. Fargowie rozglądali się ukradkiem, wypatrując Kida, ale zniknął bez śladu. Cokolwiek zaplanował stary zbieracz trufli, musieli być gotowi do błyskawicznej reakcji.

Zrównali się z pikapem chevy i zatrzymali. Plecaki Fargów trafiły na pakę.

* Bądź czujna * szepnął Sam do Remi.

Tolotra i czterej inni rebelianci stanęli przy tylnej klapie samochodu i zaczęli rozmawiać. Szósty pilnował więźniów z karabinem wycelowanym w ich plecy. Sam zgadywał po gestach Tolotry, że zastanawiają się, jak wjechać do Antananarywy * stolicy wroga.

Remi pierwsza zdała sobie sprawę, że Kid realizuje swój plan. Napotkawszy spojrzenie męża, powiodła wzrokiem nad dachem pikapa w górę na szczyt środkowego Mędrca. Sam dopiero po chwili zauważył, że głaz wielkości beczki zbliża się centymetr za centymetrem do krawędzi.

* Gdy się ruszę, biegnij do rangę rovera * szepnął. Tolotra odwrócił się i zgromił go wzrokiem. Sam wzruszył ramionami i uśmiechnął się przepaszająco.

* Okej * odszepnęła Remi.

Na szczycie Mędrca głaz dotarł do krawędzi, gdzie się zatrzymał. Fargowie wzięli głęboki oddech i czekali. Głaz przemieścił się jeszcze trochę, przekroczył krawędź i zaczął spadać. Zbocze było strome i gładkie, z wyjątkiem kilku wybojów u stóp, więc nie odrywał się od podłoża. Sam jednak wiedział, że gdy tylko uderzy w pierwszy wybój, stanie się kamiennym pociskiem artyleryjskim.

Nie znając malgaskiego, zrobił to, czym miał nadzieję wywołać największą panikę: wydał niemęski, piskliwy wrzask, wskazał zbocze i krzyknął:

* Głaz!

Tolotra i jego ludzie jednocześnie spojrzeli w górę. Nie dysponując wiedzą, jaką mieli Fargowie, wszyscy zamarli i po prostu się gapili. Sam dał dwa susy naprzód, zwałił Tolotrę z nóg kopnięciem

piętą za kolano i wyszarpnął mu webleya zza pasa.

Strażnik coś wrzasnął, „stój!”, jak przypuszczał Sam. Obawiając się, że rebeliant za chwilę weźmie na muszkę uciekającą Remi, złapał Tolotrę lewą ręką za kołnierz i zdzielił rewolwerem w skroń. Tolotra jęknął i zwiotczał.

Sam obrócił się na pięcie i opadł na kolana, mając Tolotrę między sobą a czterema innymi rebeliantami. Dwaj cofali się w poprzek drogi, a dwaj inni przekradali na drugą stronę pikapa. Sam wycelował z webleya w strażnika, który właśnie unosił karabin do ramienia, prowadząc lufą Remi pędzącą do rangę rovera.

Nacisnął spust i trafił mężczyznę w mostek. Niczym kukielka z odciętymi sznurkami rebeliant runął martwy na ziemię. Sam opasał lewym ramieniem szyję Tolotry, przyciągnął go bliżej i skierował webleya w stronę dwóch mężczyzn, którzy cofali się w poprzek drogi. Obaj mierzyli do niego z karabinów i najwyraźniej zastanawiali się, czy zaryzykować oddanie strzału. Sam brał na muszkę to jednego, to drugiego. Słyszał, jak po drugiej stronie pikapa dwaj pozostali mężczyźni przedzierają się przez wysoką trawę wzdłuż pobocza.

Bum! Ziemia zadrzżała raz, potem drugi, jakby maszerował olbrzym.

* Głaz się odbija! * wrzasnęła Remi.

* Gdzie?

* W twoim kierunku! Bum! Tym razem bliżej.

Rebelianci po drugiej stronie pikapa wrzasnęli.

* Uciekają! * zawołała Remi.

Dwaj mężczyźni przed Samem też wzięli nogi za pas; odwrócili się i wystartowali sprintem w głąb drogi. Bum!

* Trzymaj się, Sam! Jest tuż, tuż! Trzy... dwa... jeden...

Sam zwinął się w kłębek. Nad jego głową rozległ się zgrzyt stali. Szkło się rozprysło. Poczuł, jak pikap sunie bokiem i pcha go razem z Tolotrą po szutrze. Nad nimi przemknął cień. Bum! Głaz uderzył w drugą stronę drogi, odbił się i zniknął za poboczem, kosząc drzewa na swojej trasie. Po dziesięciu sekundach zapadła cisza. Sam podniósł wzrok i rozejrzał się dookoła.

W głębi drogi czterej rebelianci przestali uciekać. Po krótkiej naradzie ruszyli z powrotem w kierunku Fargów. Sam zaobserwował wcześniej, do której kieszeni Tolotra schował kluczyki do rovera.

* Remi, odpalaj rovera! * krzyknął, wyciągając je. Rzucił żonie kluczyki, a potem wycelował webleya w zbliżających się rebeliantów.

Jeden zatoczył się w bok, złapał za udo i upadł. Ułamek sekundy później rozległ się huk. Sam nigdy nie słyszał tego charakterystycznego basowego odgłosu, ale domyślił się, że to wystrzał z rewolweru Webley Model Mark VI kaliber 11,56 milimetra z 1915 roku.

Trzej pozostali rebelianci zatrzymali się gwałtownie i odwrócili w stronę Mędrców.

Następny pocisk trafił w ziemię między nogami środkowego mężczyzny. Dwaj rebelianci cofnęli się o kilka

kroków, ale trzeci wolno się uczył. W półprzysiadzie, lustrując wzrokiem wyżej położony teren, uniósł karabin do ramienia. Dostał postrzał w lewą rzepekę i przewrócił się z wraskiem.

Od strony Mędrców bezcielesny głos coś krzyknął. Dwaj jeszcze uzbrojeni rebelianci rzucili broń.

Następny okrzyk. Sprawni mężczyźni pomogli wstać rannym towarzyszom i cała grupa zaczęła się oddalać drogą.

Sam zepchnął z siebie nieprzytomnego Tolotrę i wstał. Podeszła Remi i oboje przyjrzeni się wrakowi pikapa. Oprócz czterech pogiętych kikutów, które tworzyły kabinę, został zgilotynowany.

* Można by pomyśleć, że właśnie tak to zaplanowałem! * zawołał Kid, wyłaniając się spomiędzy drzew u stóp Mędrców i ruszając ku nim.

* A nie? * zapytał Sam.

* Tego nie powiem.

* Ty naprawdę wiesz, jak odwrócić uwagę * stwierdziła Remi.

Kid zatrzymał się przed nimi.

* Matka natura to sprawiła, moja droga. I szczęśliwe odbicie, rzecz jasna.

* Dzięki, że nas nie zostawiłeś * odezwał się Sam.

* Nie ma o czym mówić.

Sam uniósł webleya*fosbery, przez chwilę ważył go w dłoni, a potem wręczył Kidowi. Mitchell zmarszczył brwi i pokręcił głową.

* Jest twój.

* Słucham?

* Do dziś jeszcze nikt z niego nie strzelał. Jest taka tradycja... chińska, o ile pamiętam.

Remi się uśmiechnęła.

* Jeśli ocalisz komuś życie, to stajesz się za niego odpowiedzialny * powiedziała.

Kid wzruszył ramionami.

* Tak czy inaczej, panie Fargo, jest teraz twój.

* Dzięki. Nigdy tego nie zapomnę. A co zrobimy z tymi dwoma? * Sam wskazał Tolotrę i martwego mężczyznę na drodze.

* Zostawimy ich. Im prędszej wrócić do Antananarywy, tym lepiej. * Widząc ponure miny Sama i Remi, dodał: * Nie myślcie o tym. Zabiliby was.

* Skąd wiesz? * spytała Remi.

* W ciągu ostatnich pięciu lat zdarzyły się tu sześćdziesiąt trzy porwania. Bez względu na to, czy zapłacono okup czy nie, żaden zakładnik nie przeżył. Wierzcie mi, to była kwestia wy albo oni. Fargo wie rozważyli to i skinęli głowami. Sam ucisnęła Kidowi dłoń, a Remi go uściskała. Potem wzięli swoje plecaki ze skrzyni ładunkowej pikapa i ruszyli do range rovera.

* Jeszcze jedno * zawołał Mitchell.

Sam i Remi się odwrócili. Kid pogrzebał w swoim plecaku, wyjął mały worek i wręczył go im.

* Trufle za wasze kłopoty * powiedział, przeciął drogę i zniknął w zaroślach.

Sam obrócił worek w rękach. Z boku widniał czerwony nadruk „Truffle”, a dalej logo * duże „C” i mniejszymi literami napis „usslera”.

* Miło z jego strony * stwierdziła Remi. * Ale co to jest „usslera”?

Rozdział 34

Madagaskar

Gdy pokonali prawie połowę trasy do Antananarywy i zbliżali się do miasteczka o nazwie Moramanga na skrzyżowaniu dróg o numerach 2 i 44, zadzwieczał ich telefon satelitarny. Odebrała Remi, która siedziała na miejscu pasażera.

* To Rube * oznajmiła po chwili i włączyła głośnik.

* Cześć, Rube! * zawołał Sam.

* Gdzie jesteście?

* Na Madagaskarze.

* Cholera. Tego się obawiałem.

* Coś mi mówi * rzekła Remi * że nie z powodu ogólnej niechęci do tej wyspy.

* Ktoś zaflagował wasze paszporty na lotnisku w Antananarywie.

* Kiedy?

* Kilka dni przed waszym przylotem.

* Co to właściwie znaczy? * spytał Sam. * Urząd imigracyjny nas nie zatrzymał, kiedy przechodziliśmy kontrolę.

* Właśnie to mnie niepokoi. Gdyby to było na szczeblu rządowym, zatrzymaliby was wtedy. W języku szpiegowskim takie zaflagowanie nazywa się „odnotowaniem z powiadomieniem”. Ktoś po prostu chciał wiedzieć, kiedy się zjawicie.

* I to nie musi być nikt z rządu * domyślił się Sam.

* W krajach Trzeciego Świata, gdzie przeciętny roczny dochód wynosi kilkaset dolarów, możesz kupić odnotowanie z powiadomieniem za cenę filiżanki kawy. A że Rivera ma układy w Afryce...

* Rozumiem * przerwał Sam. * Co proponujesz?

* Prawdopodobnie ktoś was szuka, więc nie wracajcie do Antananarywy. Niech Selma da wam namiar na jakieś prywatne lotnisko i pilota, który nie ma nic przeciwko pracy za gotówkę i nie obchodzą go paszporty.

Taki był minus tego, czym się zajmowali. Sam i Remi byli znani w środowisku poszukiwaczy przygód i skarbów i choć niektórzy ich krytykowali, cieszyli się szacunkiem. Gdyby zostali przyłapani na przekraczaniu granicy na fałszywych paszportach, mogliby mieć więcej kłopotów, niż było to warte: aresztowanie, wydalenie, nagłówki w prasie, uznanie za persona non grata, być może nawet utrata bezcennych kontaktów w środowisku naukowym. Zwykle załatwiali wszystko uczciwie, toteż stawali się łatwymi celami dla kogoś, kto chciał i mógł przekupić właściwą osobę we właściwym miejscu.

* Znamy tutejszą sytuację polityczną * powiedziała Remi. * Jak ona wpływa na stan rzeczy?

* Źle. Trzymajcie się blisko cywilizacji i dowiadujcie, gdzie są posterunki policji.

* Z tym może być problem. W tej chwili jesteśmy trochę na uboczu.

* Dlaczego nie jestem tym zaskoczony? W porządku, dajcie mi chwilę. * Telefon umilkł na dwie minuty, potem Rube wrócił na linię. * Rebelianci będą gotowi do zmasowanego ataku za jakiś tydzień, ale to nie wyklucza lokalnych potyczek. Miasta w promieniu osiemdziesięciu kilometrów od Antananarywy powinny być w miarę bezpieczne. Im większe, tym lepiej. Rebelianci są zgromadzeni na północy, więc kierujcie się na południe. Minus jest taki...

* Że Rivera i jego zbiry będą rozmawiali tak samo i szukali nas właśnie tam * dokończył Sam.

* Zgadza się. Szkoda, że nie mogę bardziej pomóc.

* Rube, jesteś najlepszy. Nigdy w to nie wątp. Odezwiemy się, gdy będziemy bezpieczni.

Zadzwonili do Selmy. Wysłuchała ich, zadała kilka pytań, powiedziała, że już się do tego bierze, i się rozłączyła. Remi zaczęła studiować mapę, a Sam prowadził.

* Mamy dwie możliwości * oznajmiła po paru minutach. * Możemy wybrać jedną z kilkudziesięciu lokalnych dróg, używam tego terminu bardzo umownie, które prowadzą na południe, albo zbliżyć się na odległość kilku kilometrów do Antananarywy. Jest tam asfaltowa dwupasmówka, która okrąży miasto od wschodu, a potem łączy się z trasą numer 7.

* Jakie są te lokalne drogi?

* Takie, jakich się można spodziewać: gruntowe i szutrowe. Jeśli zdecydujemy się na siódmkę, podróż wydłuży się o pięć do sześciu godzin. Dojedziemy późno w nocy.

* Głosuję za asfaltem.

* Popieram.

* Teraz kolejna sprawa. To, że Rivera zaflagował nasze paszporty akurat tutaj, o czymś świadczy. Remi pokiwała głową.

* Wiedzieli, że tu coś jest. Ale czy tylko łódź, którą znaleźliśmy, czy coś jeszcze?

* Ustalimy to, kiedy się dowiemy, dlaczego zainteresował ich Madagaskar. Podejrzewam, że byli tu wcześniej i nie znaleźli tego, czego szukali.

* Co rodzi pytanie: gdzie jeszcze byli?

Popołudnie mijało. Za Moramangą, jadąc cały czas na zachód, mijali kilometry pól ryżowych i miasteczka o oryginalnych nazwach, które Remi określała jako „częściowo malgaskie, częściowo francuskie, ze szczyptą włoskiego”: Andranokobaka, Ambodigavo, Ambatonifody...

Piętnaście kilometrów na wschód od Anosibe Ifody krajobraz zaczął się zmieniać, ustępując miejsca tropikalnemu lasowi urozmaiconemu poszarpanymi brązowymi wzgórzami, które przypominały Samowi i Remi Toskanię. Urwiste skarpy lśniące w słońcu wyrastały ponad wierzchołkami drzew na północy i południu. Krótco po trzeciej zatrzymali się na stacji benzynowej Jovenna na obrzeżach Manjakandriany. Remi weszła do środka po przekąski i wodę, a Sam tankował samochód.

Przecnicę dalej skręcił z za rogu w stronę stacji biały policyjny volkswagen passat. Nadjechał statecznie z prędkością trzydziestu kilometrów na godzinę i zwolnił, gdy zrównał się z rangą roverem. Po kilku sekundach przyspieszył, oddalił się, zahamował i zaparkował przy drodze. Sam zobaczył przez tylną szybę, jak kierowca odczepia coś od deski rozdzielczej i podnosi do ust.

Wróciła Remi z czterema butelkami wody i kilkoma paczkami precli.

* Masz marsową minę * zauważyła.

* Może to zmęczenie albo paranoja, albo jedno i drugie, ale mam wrażenie, że interesuje się nami policja.

* Policja? Gdzie?

* Biały volkswagen passat za nami, pod markizą ze starym szyldem Coca*Coli.

Remi spojrzała w boczne lustro.

* Widzę go.

* Kierowca zwolnił przy nas, potem zaparkował i sięgnął po mikrofon radia.

Sam włączył silnik. Siedzieli w milczeniu przez kilka minut. Wreszcie Remi zapytała:

* Co my właściwie robimy?

* Dajemy mu szansę.

* Jeśli to sprawa urzędowa * domyśliła się Remi * zatrzyma nas tutaj. Jeśli nie... chodzi o „odnotowanie z powiadomieniem”.

* Zgadza się. * Sam wrzucił bieg. * No, kochanie, czas znów zabawić się w pilota. Wracamy.

* Dokąd?

* Mam nadzieję, że donikąd. Jeśli nie pojedzie za nami, zawrócimy.

* A jeżeli pojedzie?

* To wybierzemy jedną z lokalnych dróg, o których wspominałaś.

* Siedzi nas * oznajmiła Remi kilka minut później. Patrzyła przez tylną szybę, odkąd opuścili Manjakandrianę. * Jest jakieś półtora kilometra za nami.

* Zbliżają się spadki i zakręty. Mów mi, ilekroć stracisz go z oczu.

* Po co?

* Jeśli przyspieszymy, kiedy nas widzi, zorientuje się, że uciekamy; a w ten sposób może zdołamy od niego odskoczyć, zanim się połapie.

* Sprytnie, Fargo.

* O ile się uda.

* A jeśli spróbuje nas zatrzymać?

* Nie chcę nawet o tym myśleć.

Przez następny kwadrans Sam jechał według wskazówek Remi. Wcisnął gaz do dechy i liczył do dziesięciu, kiedy kazała mu przyspieszać, a potem zwalniał do przepisowej prędkości. Powoli zwiększyli dystans dzielący ich od passata o prawie kilometr.

* Czy któraś z dróg lokalnych nie jest szutrowa ani gruntowa? * zapytał.

Remi popatrzyła na mapę.

* Trudno powiedzieć, ale ta przed nami wygląda na trochę szerszą niż inne. Jak dotąd, na tej mapie oznaczało to asfalt. A dlaczego pytasz?

* Brak smugi kurzu.

* Po szybkim skręcie * odrzekła i dodała: * To może działać w obie strony.

Sam zmarszczył brwi.

* Masz rację. Powiedz mi, jak będzie się zbliżał zakręt.

Przez kilka minut Remi porównywała mijane drogi i drogowskazy z oznaczeniami na mapie.

* To powinien być następny zakręt na południe. * Zmierzyła paznokciem odległość. * Za jakieś pół kilometra. Tuż za tym wzgórzem.

* Co z naszym przyjacielem?

* Trudno orzec, ale chyba przyspieszył.

Pokonali szczyt wzgórza i zaczęli zjeżdżać w dół. Sam zobaczył przed sobą skręt, o którym mówiła Remi. Wcisnął pedał gazu do podłogi i rangę rover gwałtownie przyspieszył. Remi zapała się o deskę rozdzielczą. Sto metrów przed skrętem Sam przeniósł nogę na hamulec, wdepnął go tak, żeby nie wpaść w poślizg, i zwolnił do sześćdziesięciu pięciu kilometrów na godzinę.

* Trzymaj się * uprzedził i obrócił kierownicę w prawo.

Wewnętrzne koła nie oderwały się od nawierzchni, ale Sam zorientował się, że przestrzelił zakręt. Odbił w lewo, przyhamował i znów szarpnął kierownicę. Tył rovera zarzucił. Tylne koło po stronie kierowcy zsunęło się z pobocza i wóz zaczął przechylać się na bok. Sam przewyciężył odruch skontrowania w prawo i poszedł poślizgiem. Przednie koło po stronie kierowcy spadło z pobocza.

Dodał gazu, szarpnął kierownicę w prawo i rover wrócił na drogę.

* Mocno w prawo! * zawołała Remi, wskazując lukę w roślinności za poboczem.

Sam zareagował natychmiast gwałtownym hamowaniem. Kiedy rover się zatrzymał, wrzucił wsteczny, cofnął wóz o trzy metry, dał bieg do jazdy w przód i skręcił w lukę. Otoczył ich cień. Roślinność

drapała boki samochodu. Rover stanął, gdy zderzak stuknął w drewniany płot otaczający pastwisko. Remi przeszła po środkowej konsoli na tylne siedzenie i uniosła głowę, żeby wyjrzeć przez boczną szybę.

* Jesteśmy poza drogą? * spytał Sam.

* Tak. Powinien tu być lada chwila * odparła Remi, a pół minuty później oznajmiła: * Jedzie.

Odwróciła się na siedzeniu i odetchnęła z ulgą.

* Możemy tu siedzieć przez...

Z głównej drogi dobiegł odgłos hamowania. Fargowie zamarli.

Gdy Sam usłyszał po chwili pisk opon, westchnął i powiedział do żony:

* Zapnij pas, Remi.

Droga, choć asfaltowa, była wąska i kręta, bez linii środkowej i z wyboistymi pobocznymi. Jadąc z maksymalną prędkością, zyskali prawie kilometr, zanim usłyszeli, jak passat wchodzi poślizgiem w zakręt za nimi. Kiedy wypadli z za następnego łuku, mignął im jakiś znak drogowy.

Remi zdążyła się zorientować, że ostrzegawczy.

* Wąski most przed nami! * zawołała do Sama.

Dodał gazu na prostej. Po obu stronach dżungla zdawała się zamykać wokół nich. Końce gałęzi zawadzały o boczne szyby. Z przodu pojawił się most.

* Oni to nazywają mostem? * prychnęła Remi.

Był przerzucony nad wąskim wąwozem i zakotwiczony do brzegów stalowymi linami, ale nie miał ani filarów, ani pylonów. Zamiast balustrad po obu stronach biegł sznur rozciągnięty między słupkami. Nawierzchnię tworzyły ułożone równolegle trzydziestocentymetrowe deski z pustymi przestrzeniami i rzadko rozmieszczone poprzecznice.

Sam dał po hamulcach. On i Remi zerknęli przez boczne okna, ale nic nie zobaczyli. Żadnej luki w roślinności, żadnego skrzyżowania. Żadnej kryjówki. Na tablicy obok nich widniał napis w języku francuskim:

„Przejazd przez most pojedynczo. Ograniczenie prędkości do 5 km/h”.

Sam spojrzał na żonę. Zmusiła się do uśmiechu i powiedziała:

* To jak z odrywaniem plastra opatrunkowego.

* Nie zastanawiaj się, tylko zrób to.

* Właśnie.

Sam ustawił przednie koła rovera w jednej linii z deskami na moście i wdepnął gaz. Rover ruszył.

Za nimi rozległ się pisk opon. Remi odwróciła się na siedzeniu i zobaczyła, jak passat wypada z zakrętu, lekko zarzuca i prostuje tor jazdy.

* Dziesięć do jednego, że liczył na ten most * powiedziała.

* Nie zakładałam się * odparł Sam, trzymając kierownicę tak mocno, że zbieleły mu knykcie.

Przednie koła rovera pokonały pierwszą poprzecznicę i znalazły się na deskach. Drewno zatrzęszczało.

* Nie ma już odwrotu * oznajmił Sam. * Zwalnia?

* Nie... tak. Ale się nie zatrzymuje * odrzekła Remi. Sam dodał gazu. Wskazówka prędkościomierza przekroczyła dziesięć kilometrów na godzinę.

Remi opuściła boczną szybę, wystawiła głowę na zewnątrz i popatrzyła w dół.

* Powinienem o czymś wiedzieć? * spytał Sam.

* Jakies piętnaście metrów pod nami jest rzeka.

* Wolno płynąca?

* Wręcz odwrotnie.

* W porządku, kochanie, wystarczy.

Remi cofnęła głowę i znów spojrzała przez tylną szybę.

* Jest już prawie na moście * poinformowała męża. * Ostrzeżenie najwyraźniej nie zrobiło na nim wrażenia.

* Miejmy nadzieję, że wie więcej niż my. Minęli połowę mostu.

Chwilę później poczuli, jak rangę rover lekko nurkuje. Obciążony podwójnie most zaczął falować jak skakanka, którą macha się pionowo na obu końcach.

* Interferencja fal * mruknął Sam.

* Co takiego? * spytała Remi.

* Interferencja. Kiedy dwie fale o różnych amplitudach nakładają się na siebie...

* Dzieją się złe rzeczy * dokończyła. * Już rozumiem.

Rangę rover wznosił się i opadał, piętnaście centymetrów w każdym kierunku, jak oceniał Sam. Remi poczuła, że żołądek podchodzi jej do gardła.

* Nie mamy jakichś proszków przeciwko chorobie morskiej?

* Niestety nie, moja droga. Ale już prawie jesteśmy. Za przednią szybą pojawił się przeciwległy kraniec mostu. Sześć metrów... trzy... Sam zacisnął zęby, poczekał, aż rover zacznie nurkować, i dodał gazu. Prędkościomierz pokazał dwadzieścia pięć kilometrów na godzinę. Rover podskoczył na ostatniej poprzecznicy i znalazł się na twardym gruncie.

Remi zerknęła przez tylne okno.

* Sam, patrz... * szepnęła. Sam popatrzył przez ramię.

Gdy zabrakło równoważącego ciężaru rovera, most wystrzelił do góry, a potem gwałtownie opadł i policyjny passat na ułamek sekundy zawisł w powietrzu. Wylądował trochę krzywo. Przednie koło po stronie kierowcy trafiło w szczelinę. Z trzaskiem podobnym do wystrzału najbliższa poprzecznica pękła. Passat przechylił się i zsunął głębiej w dziurę. Przód samochodu, łącznie z komorą silnikową, zawisł nad przepaścią.

* O Boże... * jęknęła Remi.

Sam otworzył swoje drzwi i wysiadł.

* Co ty robisz?! * zawołała.

* To tylko gliniarz, który wykonuje rozkaz * odparł.

* I który cię zastrzeli, kiedy się zbliżysz do jego samochodu.

Sam wzruszył ramionami, podszedł do tyłu rovera i otworzył klapę bagażnika. Sięgnął do swojego plecaka i znalazł piętnastometrowy zwój ćwierćcalowej linki spadochronowej. Uważając, by pozostać po stronie „górnego” boku passata, dotarł po desce do drzwi pasażera. Pod nim płynęła z szumem rwąca, spieniona rzeka, wyrzucając do góry pióropusze wodnej mgiełki. Ukucnął i obejrzał podwozie; sytuacja była bardziej niebezpieczna, niż się spodziewał. Passat wisiał tylko na tylnym kole od strony kierowcy, które zaklinowało się między deską a poprzecznicą.

* Mówisz po angielsku! * spytał Sam.

Po chwili wahania gliniarz odpowiedział z francusko*malgaskim akcentem:

* Trochę.

* Chcę cię wydostać...

* Tak, proszę.

* Nie zastrzel mnie.

* Okej.

* Powtórz, co przed chwilą powiedziałem.

* Chcesz mi pomóc. Nie zastrzelę cię. Wyrzucę broń przez okno.

Sam podszedł do tyłu samochodu i wyrzucił zza zderzaka, żeby widzieć drzwi kierowcy. Z otwartego okna wyłoniła się ręka z rewolwerem, który po chwili spadł w mgiełkę poniżej. Sam wrócił do drzwi pasażera.

* W porządku, trzymaj się.

Rozwinął linkę spadochronową, złożył ją na pół, związał luźne końce i zrobił na całej jej długości węzły w metrowych odstępach. Szarpnął na próbę sznurową balustradę mostu i wrzucił koniec linki przez okno pasażera.

* Jak powiem, że będę ciągnął, zaczniesz się wspinać. Rozumiesz?

* Rozumiem. Mam się wspinać.

Sam zapętlił swój koniec linki wokół jednego ze słupków balustrady, chwycił go oburącz, zawołał: „Teraz!” i zaczął ciągnąć. Samochód zaczął się kołysać i skrzypieć. Drewno się odłupywało.

* Wspinaj się! * rozkazał Sam.

W oknie pasażera ukazały się dwie czarne ręce, potem głowa i twarz.

Passat przechylił się mocniej i zsunął kilkadziesiąt centymetrów niżej. Szyba rozprysła się z trzaskiem.

* Szybciej! * krzyknął Sam. * Wspinaj się! Pociągnął linkę jeszcze raz i gliniarz wygramolił się przez okno. Opadł na brzuch w poprzek deski, nogi dyndały mu w powietrzu. Sam pochylił się, złapał go za kołnierz

i przyciągnął bliżej. W tym momencie pękła poprzecznicą i passat runął w przepaść. Chwilę później Sam usłyszał potężny plusk.

Zasapany mężczyzna przetoczył się na plecy i spojrzał w górę na swojego wybawcę.

* Dziękuję.

* Nie ma za co. * Sam zaczął zwijać linkę. * Wybacz, ale nie proponuję ci podwiezienia.

Gliniarz skinął głową.

* Dlaczego nas śledziłeś?

* Nie wiem. Komendant ogłosił stan pogotowia. Tylko tyle wiem.

* Na jakim obszarze jest ten stan pogotowia?

* W Antananarywie i daleko wokół niej.

* Kiedy złożyłeś ostatni meldunek?

* Kiedy się zorientowałem, że skręciliście w tę drogę.

* Co powiedzieli?

* Nic * odrzekł gliniarz.

* Czy przed nami są jakieś drogi z północy? Gliniarz się zastanowił.

* Tak, trzy przed główną drogą na zachód do Tsiafahy.

* Masz komórkę?

* Została w samochodzie.

Sam popatrzył na policjanta z powątpiewaniem.

* Mówię prawdę. * Gliniarz poklepał się po przednich kieszeniach, przetoczył i to samo zrobił z tylnymi.

* Przepadła.

Sam skinął głową. Gdy skończył zwijać linkę, odwrócił się i ruszył do rangę rovera.

* Dziękuję! * zawołał gliniarz.

* Nie ma sprawy! * odkrzyknął Sam przez ramię. * Ale lepiej nie mów nikomu, że ci pomogłem, bo ludzie, którzy płacą twojemu komendantowi, zabiją cię.

Rozdział 35

Madagaskar

Naprawdę myślisz, że by go zabili? * spytała Remi, kiedy Sam wsiadł do samochodu i powtórzył jej rozmowę z gliniarzem.

* Nie wiem, ale jeśli w to uwierzył, będzie siedział cicho. Remi nachyliła się do męża i pocałowała go w policzek.

* Postąpiłeś słusznie, Fargo. Sam się uśmiechnął.

* Prawdopodobnie ktoś zaproponował mu miesięczną pensję tylko za śledzenie pary turystów. Nie winie go za to, że dał się skusić. Jeśli chcą nas przechwycić, samochód wyjedzie pewnie z jednej z trzech asfaltowych dróg, o których wspomniał.

* Pewnie tak. * Remi rozłożyła mapę i studiowała ją przez chwilę. * Tsiafahy leży na południe od Antananarywy na trasie numer 7. Jeśli zdołamy tam dotrzeć...

* Jak daleko jest do skrętu na Tsiafahy?

* Sześćdziesiąt kilometrów. I następne trzydzieści do samego miasta.

Sam spojrzał na zegarek.

* Może uda nam się zdążyć przed nocą.

Bardzo szybko zdali sobie sprawę, że ich optymizm był nieuzasadniony. Za mostem droga nadal wiodła przez dżunglę, co ogromnie spowalniało tempo podróży. Wreszcie przecięli skrzyżowanie z pierwszą asfaltową szosą i wkrótce znaleźli się na szlaku wzdłuż usianej gładzami rzeki * tej samej, jak przypuszczali, którą przekroczyli pół godziny wcześniej.

* Za trzy kilometry będzie następne skrzyżowanie * oznajmiła Remi.

Pięć minut później Sam je zobaczył.

Remi wskazała przez przednią szybę.

* Coś widziałam... jakiś błysk.

* To zderzak * odparł. * Schył się. Jeśli zobaczą tylko mnie, to może dadzą spokój.

Remi skuliła się na siedzeniu. Kiedy zrównali się z asfaltówką, Sam zerknął przez boczne okno. Granatowy SUV marki Nissan był zaparkowany na poboczu kilkadziesiąt centymetrów od skrzyżowania.

* Co się dzieje? * zapytała Remi. Sam spojrzął w lusterko wsteczne.

* Rusza... Jedzie za nami.

Remi usiadła prosto, wzięła lometkę z podłogi i popatrzyła przez tylną szybę.

* Kierowca i pasażer. Mężczyźni, sądząc po sylwetkach. Widzę nalepkę wypożyczalni samochodów Europ*car na zderzaku.

* To nie wróży niczego dobrego. Przyspieszają?

* Nie, utrzymują równe tempo. Ale wiesz, na każdego szczura, którego zobaczysz, przypada dziesięć, których nie widzisz.

Skinął głową. Jeśli nissan rzeczywiście ich ścigał, to przed nimi mógł być drugi, a może nawet trzeci samochód.

* Ile mamy do następnej asfaltowej drogi? Remi sprawdziła na mapie.

* Sześć i pół kilometra.

Pokonanie tej odległości zajęło im prawie dziesięć minut. Nissan wciąż utrzymywał ich prędkość. Remi na przemian studiowała mapę i obserwowała przez lometkę ewentualnych prześladowców.

* Czego się po nich spodziewasz? * zapytał Sam z uśmiechem.

* Albo zostawią nas w spokoju, albo wciągną piracką flagę na maszt.

* Skrzyżowanie się zbliża. Powinno być za tym zakrętem.

Remi odwróciła się twarzą do przedniej szyby, a gdy pokonali zakręt, zawołała:

* Sam!

Pięćdziesiąt metrów przed nimi stał w poprzek drogi czerwony SUV marki Nissan.

* Masz swoją piracką flagę * rzekł Sam.

Zjechał lekko w lewo, na środek drogi, wycelował maskę prosto w drzwi pasażera nissana i dodał gazu. Silnik rovera zaryczał.

* Chyba się nie usuną * powiedziała Remi, zaparta rękami o deskę rozdzielczą.

* Zobaczymy.

Remi zerknęła przez ramię.

* Nasz ogon zmniejszył dystans.

* Do ilu?

* Do trzydziestu metrów i szybko się zbliża.

* Trzymaj się, Remi.

Sam wcisnął kciukiem przycisk w dźwigni ręcznego hamulca i pociągnął ją do góry. W ciągu dwóch sekund prędkość rovera spadła o połowę. Kierowca nissana, nie widząc świateł stopu, które by go w porę ostrzegły, zareagował z opóźnieniem. Nissan wyrósł w lusterku wstecznym rovera. Sam szarpnął kierownicę w prawo i nacisnął pedał hamulca. Nissan odbił w lewo, żeby uniknąć kolizji. Sam zerknął w boczne lusterko i zobaczył, że zrównuje się z nim. Skręcił gwałtownie w lewo i usłyszał zgrzyt metalu o metal. Czerwony nissan wypełnił przednią szybę rovera. Sam obrócił kierownicę mocno w prawo, ominął nissana poboczem i wrócił na drogę.

* Mało brakowało, Fargo * odezwała się Remi.

* Przepraszam. Widzisz granatowego? Remi sprawdziła.

* Tak, jest jakieś dwieście metrów za nami. Czerwony wykręca.

Po dwóch minutach oba nissany siedziały im na ogonie. Wprawdzie silnik rovera miał większą moc, ale niżej

położony środek ciężkości nissanów dawał im przewagę na łukach. Z każdą sekundą zmniejszały dystans.

* Jakież pomysły? * zapytała Remi.

* Jestem otwarty na propozycje.

Remi rozłożyła mapę i zaczęła wodzić palcem po ich trasie, mamrocząc pod nosem. Wyjęła jeden z przewodników ze schowka pod deską rozdzielczą i przerzuciła kartki. Nagle podniosła wzrok.

* Widzisz zakręt w lewo?

* Zaraz go minimy.

* Skręć!

Sam zahamował ostro i skręcił w poprzeczną drogę gruntową. Mignął im drogowskaz: „Lac De Mantasoa”.

* Jezioro Mantasoa? * spytał. * Jedziemy powędkować?

* Tam są promy * odparła Remi. Spojrzała na zegarek. * Najbliższy odpływa za cztery minuty.

Sam zerknął w lusterko wsteczne. Nissany wchodziły poślizgiem w zakręt.

* Coś mi mówi, że nie będziemy mieli czasu kupić biletów.

* Miałam nadzieję, że coś wymyślisz.

* Postaram się * zapewnił.

Droga biegła serpentynami w dół między skarpami. Dżungla tworzyła nad nimi sklepienie, które zasłaniało słońce. Minęli brązową tablicę z żółtą literą „P”, piktogramem samochodu i napisem „50 m”.

* Prawie jesteśmy * poinformowała Remi. * Miejmy nadzieję, że na parkingu będzie tłok.

Sam pokonał ostatni zakos i droga rozszerzyła się w mały plac z wymalowanymi ukośnie białymi liniami. Na prawo wznosiła się zalesiona skarpa; na lewo, za pasem dobrze utrzymanego trawnika, płynęła rzeka * spokojna, w przeciwieństwie do poprzedniej. Na parkingu stało osiem samochodów.

Na końcu placu, przed ścianą drzew, była altanka służąca za kasę biletową. Z jej prawej strony biegła droga dojazdowa zablokowana łańcuchem wiszącym między dwoma słupkami.

* Nie widzę promu * powiedział Sam. Remi mu pokazała.

* Właśnie odpłynął.

Sam zobaczył wachlarz piany na powierzchni rzeki. Opuścił swoją szybę i usłyszeli charakterystyczny odgłos kół łopatkowych.

* Już są * oznajmiła Remi.

Spojrzał w lusterko wsteczne. Granatowy nissan wypadł zza ostatniego zakrętu, czerwony tuż za nim.

* Coś wymyśliłem * pochwalił się Sam. * Ale nie wiem, czy to nie głupi pomysł.

* Wszystko jest lepsze od siedzenia tutaj * odparła Remi.

Sam wcisnął pedał gazu do podłogi, ominął slalomem zaparkowane samochody i wjechał przez krawężnik na trawnik przed kasą biletową. Opony rovera straciły przyczepność na wilgotnej trawie i zarzuciło tyłem wozu. Sam skontrował, skręcił w prawo i wycelował maskę w wylot drogi dojazdowej.

* Módl się, żeby te słupki nie były głęboko zabetonowane! * zawołał.

Remi zgarbiła się na siedzeniu i oparła stopy na desce rozdzielczej.

Zderzak rovera walnął w łańcuch. Fargów szarpnęło do przodu. Sam uderzył czołem w kierownicę.

Podniósł wzrok, na wpół spodziewając się, że utknęli, ale zobaczył gałęzie drzew smagające przednią szybę. Remi zerknęła w boczne lusterko. Oba słupki zostały wyrwane jak spróchniałe pniaki.

* Ścigają nas? * zapytał Sam.

* Jeszcze nie. Na razie stoją na parkingu.

* Dobrze. Niech to przedyskutują.

To, co wziął za drogę dojazdową, okazało się zrytym koleinami traktem, niewiele szerszym od rovera. Z prawej

strony wyrastała skarpa; z lewej, za drzewami, był brzeg rzeki. Sam ścisnął mocniej kierownicę i starał się utrzymać rovera na szlaku.

* Masz guza na czole * zauważyła Remi. * Jaki jest plan?

* Wyprzedzić prom i dojechać przed nim do następnej przystani. Przyda się do tego twój przewodnik.

Remi zaczęła przerzucać kartki.

* Niestety, jest za mało szczegółowy.

* Nie ma zaznaczonej żadnej przystani? Remi pokręciła głową.

* Nie, i według tej mapy nie ma również żadnej drogi.

* Ciekawe. Jesteśmy na drodze, która nie istnieje i prowadzi donikąd. Może nasi przyjaciele też nie istnieją?

Remi obejrzała się za siebie i przechyliła głowę najpierw w jedną, potem w drugą stronę, żeby coś zobaczyć między drzewami.

* Przykro mi, ale nadjeżdżają.

* Co z promem?

* Nie widzę... Zaczekaj! Jest! Jakies dwieście metrów za nami. * Oczy jej zabłyśły. * Taki jak na

Missisipi, z rufowym kołem łopatkowym.

Droga pięła się w górę i była coraz bardziej wyboista. Rover podskakiwał na odsłoniętych korzeniach. Gdy dotarli na szczyt wzniesienia, Sam zahamował zaledwie pięć metrów przed ścianą drzew; równoległe do niej biegła ścieżka.

* Ta ścieżka... * zaczął.

* Prowadzi w dół do rzeki * dokończyła Remi.

Sam przesunął dźwignię automatycznej skrzyni biegów w położenie parkingowe i otworzył przyciskiem tylną klapę. Zebrali swoje rzeczy, popędzili do bagażnika i chwycili plecaki.

U stóp zbocza granatowy nissan pokonał zakręt i skierował się w górę.

Sam podał żonie swój plecak.

* Poradzisz sobie z tym wszystkim?

* Tak.

* To uciekaj.

Remi wystartowała, a on wrócił do przednich drzwi, wrzucił wsteczny i pobiegł truchtem obok rovera, obracając kierownicą. Kiedy tylne koła znalazły się za krawędzią zbocza, zatrzasnął drzwi i odskoczył na bok. Kierowca nissana, widząc toczącego się ku niemu rovera, zahamował. Skrzynia biegów zgrzytnęła, gdy wrzucał wsteczny. Czerwony nissan wyjechał zza zakrętu i zatrzymał się z poślizgiem.

* Za późno * powiedział Sam.

Tył rovera podskoczył na odsłoniętych korzeniach, oderwał się od ziemi i spadł na maskę nissana.

Kiedy drzwi kierowcy się otworzyły, Sam wyciągnął webleya, przykucnął i strzelił w nie. Zatrzasnęły się z powrotem. Sam wpakował kulę w maskę czerwonego nissana, odwrócił się i uciekł.

Dogonił Remi chwilę później. Okazało się, że ścieżka nie prowadzi w dół do rzeki, lecz przez nią. Remi stała przed pieszym mostem. Kiedy Sam do niej dołączył, oddała mu plecak.

* Ten most wygląda solidniej niż poprzedni * powiedziała.

Na lewo dostrzegli dziób promu wylaniający się zza zakrętu. Z kominą buchał czarny dym. Zobaczyli kilkunastu ludzi stojących wzdłuż relingów i paru na dziobie.

* Biegiem! * zawołał Sam.

Ruszył pierwszy. Remi popędziła za nim.

Zatrzymali się w połowie mostu. Prom był w odległości trzydziestu metrów. Sam spojrzął przez ramię.

Między drzewami dostrzegł jakąś postać. Ktoś usiłował wspiąć się po zboczu.

Remi wychyliła się przez sznurową balustradę.

* Za duża wysokość * stwierdziła.

* Od dziobu * zgodził się Sam. * Ale spójrz na górny pokład za sterówką. To jaldes cztery metry, może nawet mniej.

* A dlaczego nie dach sterówki? To tylko...

* Bo spróbujemy podróżować na gapę. Machaj, Remi, zwróć na nas uwagę!

* Po co?

* Rivera raczej nie zacznie strzelać przy takiej widowni.

* Wieczny optymista.

Zaczęli machać, wołać, pohukiwać. Ludzie na dziobie i wzdłuż relingów zobaczyli ich i odmachali.

Dziób promu zniknął pod mostem.

* Dziesięć sekund * uprzedził Sam. * Przyciśnij plecak. Gdy tylko wylądujesz na pokładzie, ugnij kolana i przetocz się po nim. * Pomógł żonie przejść przez balustradę. * Gotowa?

Remi ścisnęła jego rękę.

* Ty też skoczysz, tak?

* Oczywiście. Jak będziesz na dole, znajdź jakąś osłonę na wypadek, gdyby jednak zaczęli strzelać.

Dach sterówki przesunął się pod ich stopami, a chwilę później komin. Sam zerknął w lewo. Przez mgielkę dymu zobaczył, jak Itzli Rivera zatrzymuje się z poślizgiem na końcu mostu. Ich oczy spotkały się na moment. Sam odwrócił wzrok, ścisnął rękę Remi i krzyknął:

* Skacz!

Ledwie skoczyła, poczuł, jak most drży od kroków Rivery i jego ludzi. Przeszedł przez sznurową balustradę i spojrzął w dół. Między kłębam dymu zobaczył Remi na pokładzie. Gramoliła się na czworakach.

Skoczył.

Upadł na pokład, odbił się od swojego plecaka i przetoczył w prawo. Remi chwyciła go za przedramię.
~ Tędy.

Poczłogał się za nią i wpadł na przeszkodę * tylną ścianę sterówki, jak przypuszczał. Usiedli i oddychali głęboko, dopóki serca nie przestały im walić.

Spojrzeni na oddalający się most. Rivera i trzech jego ludzie stali przy sznurowej balustradzie i patrzyli na nich. Jeden sięgnął do pasa po pistolet samopowtarzalny. Sam wyjął swojego webleya, uniósł nad głowę i pokiwał nim.

Rivera warknął coś do mężczyzny i ten schował broń do kabury.

* Pomachaj tym miłym panom, Remi * powiedział Sam.

Rozdział 36

Goldfish Point, La Jolla, Kalifornia

Tajemnice zostały wyjaśnione, a zagadki rozwiązane * oznajmiła Selma, wchodząc do pracowni z Pete'em i Wendy.

Fargowie siedzieli przy stole do pracy i pili podwójne espresso. Tak jak poprzednio, większość transatlantyckiego lotu do domu przespali, ale wciąż byli wykończeni.

Po skoku z mostu na parowiec postanowili udawać turystów. Spacerowali po pokładach i podziwiali widoki wraz z innymi pasażerami. Nie tylko nikt ich nie poprosił o pokazanie biletów, ale stewardzi w białych kurtkach podali im koktajle i kolację w głównym salonie. Po dniu spędzonym na pełzaniu przez jaskinie, odstraszeniu krokodyli, walce z rebeliantami, robieniu uników przed spadającymi głazami i ucieczce przed pościgiem byli zachwyceni, że mogą spokojnie posiedzieć i ktoś ich obsługuje.

Gdy prom przybił do nabrzeża wystającego z zalesionego półwyspu, zeszli ze wszystkimi na ląd i ruszyli dobrze utrzymaną żwirową ścieżką. Prowadziła do trzypiętrowego dworku, który przypominał rezydencję plantatora

z Południa sprzed wojny secesyjnej. Tabliczka na słupku informowała, że to hotel Hermitage. Zaskoczeni widokiem takiego pałacu w madagaskarskiej głuszy, patrzyli na pasażerów promu wchodzących przez pergolę do holu.

Za nimi kobiecy głos powiedział bezbłędną francuszczyzną:

* Witamy w hotelu Hermitage.

Fargowie odwrócili się i zobaczyli uśmiechniętą czarną kobietę w niebieskiej spódnicy i nieskazitelnie białej bluzce.

* Parlez-vous anglais? * zapytała Remi.

* Oczywiście, madame. Mogę w czymś pomóc?

* Odłączyliśmy się od naszej grupy * rzekł Sam. * Czy mogłaby pani zorganizować nam transport z powrotem do Tsiafahy?

Kobieta skinęła głową.

* Bien sur.

Godzinę później byli w Tsiafahy. Zadzwonili do Selmy, która załatwiła im nocleg w prywatnym hostelu, a następnego ranka odlecieli czarterem do Maputo w Mozambiku.

Teraz Selma usiadła na stołku obok nich i powiedziała:

* Wyglądają państwo na zmęczonych.

* Chyba niezbyt dokładnie zrelacjonowaliśmy ci naszą madagaskarską przygodę * odrzekł Sam.

Pokiwała głową i machnęła ręką.

* Krokodyle, rebelianci, głazy... Tak, pamiętam. Tymczasem my ciężko pracowaliśmy nad rozwiązaniem nierozwiązywalnego.

* Czy wspominaliśmy ci o...

* Selmo * przerwała mężowi Remi * poświęcamy ci całą naszą uwagę.

* To dobrze. Próbkę pobrane przez państwa z łodzi z odsadniami wysłaliśmy do laboratorium w Point Loma. Powinniśmy mieć wyniki za parę dni. Zdjęcia łodzi

i zeskanowany Kodeks Orizagi przemailowałam profesorowi Dydellowi. Obiecał wypowiedzieć się jutro.

Remi, widząc pytającą minę Sama, wyjaśniła:

* Stan Dydell. Mój wykładowca antropologii w Boston College. Selma, czy...

* Nie podałam mu żadnych szczegółów. Powiedziałam tylko, że prosi go pani o zrobienie podstawowej ekspertyzy. Co do tajemniczego Blaylocka, to Pete, Wendy i ja...

* Głównie my * uściśliła Wendy.

* ...przeczytaliśmy większość jego listów do szwagierki. Naszym zdaniem Blaylock i Constance się kochali, choć bardziej ona jego niż on ją.

* Dlaczego tak uważacie?

* W kilku pierwszych listach z Afryki Blaylock pisze głównie o swoich podróżach. Jest bardzo powściągliwy. Zapewnia, że chciałby odwzajemniać uczucia Constance, ale równocześnie wyznaje... * Selma zerknęła do notatek i zacytowała: * „Obawiam się, że mój żal po stracie drogiej Ophelii przerodziłby się w rozdzierające serce poczucie winy”. Obszernie relacjonuje początek pobytu w Bagamoyo i kilkakrotnie używa określenia „moja misja”, ale nie wdaje się w szczegóły.

* Potem to się zmienia * wtrącił Pete.

* Owszem * potwierdziła Selma. * W późniejszych listach Blaylock stawiał kropki pod niektórymi znakami w tekście.

Sam pokiwał głową.

* Prosty szyfr: wyróżnione znaki tworzą ukrytą wiadomość.

* Niezupełnie. Blaylock, dobry matematyk, użył innej metody. Oszczędzę państwu szczegółów, powiem tylko, że wykorzystywał daty i numery stron do tworzenia filtra subtrakcyjnego. Na przykład, jeśli filtrem jest trzy, to bierze się literę „G”, odejmuje trzy znaki i otrzymuje „D”.

* Jedną z pierwszych rzeczy, jakich się dowiedzieliśmy * wtrąciła Wendy * to że Constance Ashworth pracowała dla tajnej służby. Była łączniczką Blaylocka z ludźmi sprawującymi władzę. Sam zachichotał.

* Tego się nie spodziewałem. Jak na to wpadliście?

* Ukryta wiadomość w trzecim liście Blaylocka brzmi: „Poinformuj Camdena, statek w Bombaju w naprawie; załoga, sami ludzie Maksymiliana, zakwaterowana w Stone Town”.

* Ludzie Maksymiliana to kto? * spytała Remi.

* Po wojnie secesyjnej * wyjaśnił Sam * cesarz Meksyku Maksymilian I otworzył granicę dla żołnierzy Konfederacji, którzy chcieli dalej walczyć. Stany Zjednoczone wspierały wtedy partyzantów próbujących obalić Maksymiliana, zaproponował więc konfederatom następujący układ: obronicie mnie, a potem razem zmiemy się z amerykańskimi siłami rządowymi. Są różne szacunki, ilu konfederatów na to poszło, ale najwyraźniej wystarczająco wielu, by zaniepokoić Waszyngton. Połącz meldunek Dudleya, że załogę „El Majidi” tworzyli biali, ze wzmianką Blaylocka o ludziach Maksymiliana. To musiała być operacja wywiadu Konfederatów. Ktoś wybrał się do Meksyku, zwerbował marynarzy i wysłał ich na Zanzibar, gdzie czekał „El Majidi”.

* Ale po co?

* Żeby kontynuować to, czego zaprzestał „Shenandoah”. Ten statek dokonał mnóstwa zniszczeń, a w Konfederacji istniało wiele potężnych frakcji, które poprzysięgły walkę mimo kapitulacji.

* Ciekawe, jak uzyskali dostęp do „El Majidi” * zastanawiała się Wendy.

* Trudno powiedzieć. Jedno wiemy na pewno: drugi sułtan Zanzibaru, brat władcy, który kupił „Shenandoah”, nie cierpiał tego statku, ale choć miał okazję go zatopić po huraganie w tysiąc osiemset siedemdziesiątym drugim roku, nie zrobił tego. Wręcz odwrotnie, kazał go zaholować do Bombaju do naprawy, co musiało kosztować krocie.

* Może tajna klika konfederatów już go kupiła i sułtan nie miał wyjścia * podsunął Pete.

Sam podszedł do jednego z komputerów i zaczął pisać. Po paru minutach odwrócił się na krześle.

* Pierwszy sułtan Zanzibaru * rzekł * tępił handel niewolnikami w swoim kraju. Kiedy jego brat przejął władzę, przywrócił stare porządki.

Selma pokiwała głową.

* Więc gdyby Konfederacja jakimś cudem stanęła na nogi, drugi sułtan miałby gotowy rynek niewolników.

* To tylko spekulacje, ale kawałki układanki pasują do siebie.

* Wróćmy do pierwszej zaszyfrowanej wiadomości Blaylocka * zaproponowała Remi. * Kto to był Camden?

* W Camden w New Jersey urodził się Thomas Haines Dudley * odparła Selma. * Uważamy, że było to przezwisko nadane mu przez Blaylocka, a nie jego oficjalny kryptonim. Dudley też wymyślił przydomek dla Blaylocka: Jotun.

* W mitologii staroskandynawskiej * dodała Wendy * Jotun był olbrzymem o nadludzkiej sile.

* Jasne! * wykrzyknął Sam. * Jotun. Jak mogłem zapomnieć?

Remi trąciła go w ramię.

* Nie wymądrzaj się * mruknęła i zwróciła się do Selmy. * Mów dalej.

* W innym liście do Dudleya, z lipca tysiąc osiemset siedemdziesiątego drugiego roku, Blaylock zameldował, że „El Majidi”, prawdopodobnie znów jako „Shenandoah”, wrócił do portu z załogą na pokładzie. Blaylock podejrzewał, że naprawę statku zakończono przynajmniej miesiąc wcześniej i od tamtej pory przebywał na morzu.

* Czy w rejonie Oceanu Indyjskiego zdarzyły się wtedy jakieś niewyjaśnione ataki? * spytał Sam.

* Mnóstwo. Grasowało tam wówczas więcej piratów niż na Morzu Karaibskim. Ale nie udało nam się powiązać „Shenandoah II” z żadnym z nich. Tak czy inaczej, Blaylock kończy meldunek zdaniem: „Wszedłem w posiadanie solidnego statku i otrzymałem sharpсы”.

* Te karabiny? * zapytał Sam, a Selma skinęła głową. * Dudley musiał zorganizować dostarczenie ich Blaylockowi.

* „Chamicka załoga * ciągnęła Selma * szybko się uczy i pokonuje strach przed wodą. Powinienem być gotowy do podjęcia pościgu pod koniec miesiąca. Zamierzam przyłapać ich na gorącym uczynku”.

* Chamicka? * powtórzył Sam. * Pierwsze słyszę.

* Ja nie * wtrąciła Remi. * Chamici to dawna nazwa Masajów. Wygląda na to, że nasz tajemniczy pan Blaylock zwerbował masajskich wojowników do pościgu za „Shenandoah II”.

* No cóż, trzeba przyznać, że miał talent do efektownych posunięć * stwierdził Sam. * Według Mortona przez jakiś czas żył wśród Masajów.

* Owszem * potwierdziła Selma. * Z jego listów wynika, że zbadał tereny położone na zachód od Bagamoyo i zaprzyjaźnił się z Masajami. Stąd ich werbunek.

* No dobrze, jest lipiec tysiąc osiemset siedemdziesiątego drugiego roku. „Shenandoah II” ma nową załogę i jest przygotowany do walki. Co dalej?

* Dalsze wydarzenia znamy z zaszyfrowanych meldunków Blaylocka i część z nich dopasowaliśmy do nielicznych datowanych wpisów, które znaleźliśmy w jego dzienniku. Kilka tygodni później Blaylock i jego załoga wyszli w morze boumem, dużą dwumasztową dawką, i zaczęli polowanie na „Shenandoah II”, który wymknął się z portu parę dni przed nimi. Po miesiącu Blaylock dostał meldunek, że jednostka odpowiadająca opisowi „Shenandoah II” zatopiła dwa amerykańskie statki towarowe w pobliżu Zatoki Adeńskiej. Sprawdziliśmy w bazach danych i okazało się, że w tamtym rejonie rzeczywiście zostały wtedy zatopione dwa statki; oba ataki przypisano piratom.

* Niewiele się pomyłono * zauważył Sam.

* Blaylock nie był marynarzem, lecz okazał się dobrym kapitanem, a Masajowie znakomitą załogą. Nie chciał atakować „Shenandoah II” ani bezpośrednio, ani na morzu, ale przez cały lipiec i sierpień go śledził. Zbierał raporty wywiadowcze i czekał na odpowiedni moment. W nocy szesnastego września przyłapał „Shenandoah II” na kotwicy u wybrzeża wyspy Sainte Annę na Seszelach, około tysiąca stu mil morskich na wschód od Zanzibaru. Zakotwiczył bouma w pobliskiej zatoczce, a potem on i jego ludzie zeszli na ląd, przecięli cypel, podpłynęli wpław do „Shenandoah” i wzięli go szturmem w iście pirackim stylu. Nie padł ani jeden strzał, ale masajscy wojownicy nie znali litości. Z siedemdziesięcioosobowej załogi „Shenandoah II” ocalało tylko sześciu ludzi: kapitan, jeden z oficerów i czterech marynarzy. Oficjalny raport o tej akcji dotarł do Stanów Zjednoczonych w listopadzie. Blaylock napisał Dudleyowi, że zostawił niedobitki załogi „Shenandoah II” na Sainte Annę.

* Wiadomo, co się z nimi stało? * zapytała Remi.

* Niestety, niczego nie znalazłam. Blaylock, rozdzielwszy swoją załogę między bouma i „Shenandoah

II", wziął kurs z powrotem na Zanzibar. Dwieście sześćdziesiąt mil morskich na wschód od Seszeli złapał ich sztorm i „Shenandoah II” zatonął.

* Zatonął? * powtórzyła zdumiona Remi.

* Blaylock dołączył do swojego raportu dla Dudleya zaszyfowaną wiadomość dla Constance. * Selma odwróciła kartkę notatnika i odczytała: * „Po zdobyciu „Shenandoah II” natychmiast zrobiliśmy inwentaryzację. Ku mojemu wielkiemu zaskoczeniu, w kajucie kapitana znalazłem coś niezwykłego: wysadzaną klejnotami zieloną statuetkę wielkiego ptaka wykonaną z nieznanego mi minerału i przedstawiającą gatunek, którego nigdy nie spotkałem. Muszę wyznać, droga Constance, że byłem urzeczony”.

Fargowie milczeli chwilę. Wreszcie Sam powiedział:

* To wyjaśnia wzmiankę w jego dzienniku.

* I rysunki ptaka * dodała Remi i zwróciła się do męża: * Pamiętasz te wszystkie wypchane ptaki zwisające z sufitu w muzeum Mortona w Bagamoyo? Blaylock miał obsesję. Co jeszcze napisał w liście, Selmo?

* Parafrazuję, ale treść jest taka: stwierdził, że spełnił obowiązek wobec ojczyzny nie raz, lecz dwa razy, a gdy jej służył, stracił żonę. Przyznał, iż okłamał Dudleya, raportując, że „Shenandoah II” zatonął. Błagał Constance o wybaczenie i poinformował ją, że zamierza ustalić, gdzie załoga „Shenandoah II” znalazła wysadzanego klejnotami ptaka, a następnie odzyskać resztę skarbu.

* Jakiego skarbu? * zainteresował się Sam. * Wiedział, że jest coś jeszcze?

* Nie napisał o tym ani słowa. Przynajmniej nie otwartym tekstem. Ale biorąc pod uwagę charakter jego dziennika, wszystko może być tam ukryte.

* A co z dziennikiem okrętowym „Shenandoah II”? * spytała Remi. * Jeśli Blaylock uważał, że poprzednia załoga znalazła wysadzanego klejnotami ptaka podczas swoich rejsów, to powinien był zacząć poszukiwania od dziennika okrętowego.

* Nigdzie nie wspomina o dzienniku okrętowym, ale zgadzam się z panią.

* Moim zdaniem * powiedział Sam * wszystko, co uznał za ważne w dzienniku okrętowym „Shenandoah II”, przepisał do swojego.

* W każdym razie * ciągnęła Selma * po zdobyciu „Shenandoah II” nadal pisał do Constance, ale jego listy stawały się coraz bardziej irracjonalne. Moim zdaniem świadczą, że Blaylock tracił rozum.

* Mamy jeszcze czternaście do rozszyfrowania * dodał Pete.

* Wygląda na to * rzekł Sam * że Blaylock spędził resztę życia, żeglując po oceanie na pokładzie „Shenandoah

II”, gryzmoląc w swoim dzienniku, patrząc na wysadzanego klejnotami ptaka i grawerując hieroglify wewnątrz dzwonu, pochłonięty poszukiwaniem skarbu, który mógł nie istnieć.

* Może nie chodziło tylko o skarb * powiedziała Remi. * jeśli Kodeks Orizagi jest oryginalny, a łódź z pływakami jest tym, czym myślimy, to gdzieś po drodze Blaylock mógł się natknąć na tajemnicę, którą Cortes i jego konkwistadorzy zabrali ze sobą do grobu: prawdę o pochodzeniu Azteków.

Rozdział 37

Goldfish Point, La Jolla, Kalifornia

Jest mnóstwo niewyjaśnionych wątków * zauważył Sam. Wziął bloczek do notatek i długopis i zaczął pisać:

* Jak/kiedy Morton wszedł w posiadanie dziennika Blaylocka, jego laski i Kodeksu Orizagi?

* Jak/kiedy dzwon z „Shenandoah” znalazł się u wybrzeża wyspy Chumbe? Jak odpadło serce dzwonu?

* Co jeszcze? * zapytał, kiedy skończył. Remi sięgnęła po bloczek i dopisała:

* Co Rivera i jego pracodawca wiedzą o Blaylocku? Jak się w to zaangażowali? Czego szukają?

* Jak Rivera dowiedział się o Madagaskarze?

* Coś mi świta, jeśli chodzi o punkt: „Czego szukają?” * powiedział Sam. * Rivera pracuje dla meksykańskiego rządu, zgadza się?

* Można tak śmiało założyć.

* Wiemy, że obecna partia rządząca, Mexica Tenochca prezydenta Garzy, doszła do władzy na fali ultranacjonalizmu, dumy z przedkolonialnego dziedzictwa Meksyku, i tak dalej. Wiemy również, że Rivera i jego zbiry noszą azteckie imiona, podobnie jak większość przywódców Mexica Tenochca i członków gabinetu. „Narastająca aztecka fala”, jak nazwała to prasa, umożliwiła im wygranie wyborów.

Podniósł wzrok i wszyscy skinęli głowami.

* A co, jeśli ci, dla których pracuje Rivera, znają prawdę o Aztekach? I to od dawna?

* W ciągu ostatnich siedmiu lat na Zanzibarze zmarło tragicznie dziewięcioro turystów * powiedziała Remi. * Jeżeli rzeczywiście zostali zamordowani, to próby zatuszowania faktów trwają co najmniej tak długo.

Sam przytaknął.

* Jeśli Blaylock znalazł to, co myślimy, jego odkrycie może zrewolucjonizować historię Ameryki Środkowej.

* Czy to wystarczający powód, żeby zabijać? * spytała Wendy.

* Oczywiście * odparła Remi. * Gdyby wyszło na jaw, że członkowie obecnego rządu wygrali wybory dzięki kłamstwu, to bardzo szybko mogliby stracić władzę albo nawet zostać aresztowani? Wyobraź sobie, że George Waszyngton tuż po wybraniu go na pierwszego prezydenta Stanów Zjednoczonych okazuje się zdrajcą. To trochę jak porównywanie jabłka z pomarańczą, ale wiecie, o co chodzi.

* Więc prezydent Garza może być w to bezpośrednio zamieszany? * spytał Pete.

* Tak, mógł wspierać Riverę od początku * odparł Sam. * W tej chwili mamy tylko dziennik Blaylocka i jego listy. Przeczucie mówi mi, że tam są ukryte wyjaśnienia.

* Od czego proponuje pan zacząć? * zapytała Selma.

* Od jego wiersza. Masz go?

Selma przerzuciła kartki notatnika i wyrecytowała:

W sercu mej miłości piszę o mym oddaniu

Na Engai gyrare wierzę moim stopom

Z góry, ziemia się prostuje

Z modlących się rąk mój dzień jest poćwiartowany,

gyrare raz, drugi

Słowa Starożytnych, słowa Ojca Algańsmo.

* Pierwsze dwie linijki już rozgryźliśmy * Blaylock mówi o dzwonie i spirali Fibonacciego. Teraz musimy rozszyfrować trzy ostatnie.

Podzielili się na dwa zespoły. Selma, Pete i Wendy mieli jeszcze raz przeczytać listy Blaylocka do Constance Ashworth, szukając jakichś wskazówek, które mogli wcześniej przeoczyć, a Sam i Remi przenieśli się do solarium z dziennikiem Blaylocka przesłanym przez Selmę do ich iPadów.

Wyciągnęli się na szeszlonych ocienionych przez palmy w donicach i rozłożyste paprocie. Po godzinie Sam mruknął:

* Leonardo Kłamca.

* Słucham?

* To określenie Blaylocka. Zapewne miał na myśli Leonarda Fibonacciego.

* Słynnego dzięki ciągowi i spirali.

* Zgadza się. Ale dlaczego „kłamca”?

* Właśnie chciałam zapytać, o co w tym wszystkim chodzi.

* Ciągu Fibonacciego nie odkrył sam Leonardo; on tylko pomógł go rozpowszechnić w Europie.

* Więc skłamał na temat odkrycia?

* Nie, nigdy nie przypisywał sobie tej zasługi. Blaylock, jako matematyk, musiał o tym wiedzieć.

Zaczynam się zastanawiać, czy to określenie nie miało jakiegoś ukrytego znaczenia.

* Jakiego?

* O ile wiem, ten ciąg jest kojarzony z Hemacządrą, dwunastowiecznym matematykiem hinduskim i jednocześnie autorem poematu epickiego Żywy sześćdziesięciu trzech świątobliwych mężów.

* Wspomnianego w dzienniku Blaylocka.

* Tak, dokładnie naprzeciwko słów o Leonardzie Kłamcy.

* Na pewno celowo. Ale o co biega?

* Nie jestem pewien. Trzeba dokładniej przyjrzeć się tej stronie.

Gdy Fargowie wrócili do pracowni, Sam zwrócił się do Wendy:

* Muszę zobaczyć, co jest wokół linijki „Sześćdziesięciu trzech świątobliwych mężów”.

* Da się zrobić. Poczekaj chwilę. * Otworzyła plik w Photoshopie, wprowadziła jakieś modyfikacje i oznajmiła: * Gotowe. Powinno być na twoim ekranie za... już.

Sam przyjrzał się uważnie obrazowi.

* Mogłabyś wyizolować i powiększyć przestrzeń wokół liczby sześćdziesiąt trzy? * poprosił.

Gdy pojawił się nowy obraz, wpatrywał się w niego przez chwilę, po czym rzekł:

* Za mało wyraźny. Interesują mnie te małe znaki nad i pod cyframi.

Wendy zabrała się do pracy i po kilku minutach na ekranie pojawił się nowy obraz:

* Spróbuj teraz. Musiałam trochę zmienić kolor, ale jestem pewna, że te znaki...

* Jest doskonale * przerwał jej Sam, wpatrzony w ekran.

* Zechcesz się podzielić z resztą klasy? * spytała Remi.

* Założyliśmy, że Blaylock wykorzystał spiralę Fibonacciego do zaszyfrowania tego, co jest wewnątrz dzwonu. Siatka linii rozpoczynająca spiralę może być dowolnej wielkości, więc kwestia skali stanowiła brakujący kawałek łamigłówki. Teraz go mamy.

* Nie bardzo rozumiem * powiedziała Selma.

* Wzmianka o Leonardzie * wyjaśnił Sam * była pomyślana jako wskazanie linijki „sześćdziesięciu trzech świątobliwych mężów”. Spójrzcie w górę i trochę w prawo od cyfry trzy.

* To cudzysłów * powiedziała Wendy.

* Albo symbol cala * zauważył Pete.

* Otóż to * rzekł Sam. * A teraz spójrzcie na kreskę pod liczbą sześćdziesiąt trzy. To znak odejmowania. Jeśli opuścicie symbol cali w dół i podniesiecie znak odejmowania w górę, otrzymacie...

* Napisał coś na bloczku do notatek i odwrócił go, żeby wszyscy zobaczyli:

* Blaylock mówi nam, że początkowe pole w jego spirali ma trzy cale.

Szybko zdali sobie sprawę, że ich znajomość matematyki nie wystarczy do odtworzenia spirali. Blaylock wymyślił kombinację dzwon*spirala, posilkując się wiedzą z zakresu topologii. Potrzebowali eksperta, więc Sam zadzwonił do jednego ze swoich dawnych wykładowców. George Milhaupt po przejściu na emeryturę zamieszkał w odległości zaledwie, stu dwunastu kilometrów na Mount Palomar, gdzie zajmował się amatorsko astronomią w tamtejszym obserwatorium. Krótkie wyjaśnienie Sama tak go zaintrygowało, że natychmiast wsiadł do samochodu i przyjechał do La Jolla w ciągu zaledwie dwóch godzin.

Milhaupt, niski siedemdziesięcioletni z wianuszkami siwych włosów wokół głowy, wszedł za Samem do pracowni i rozejrzał się badawczo.

* Wspaniale * ocenił i ucisnął wszystkim dłoń. * Gdzie ta zagadka?

Sam ograniczył informacje do „Shenandoah”, dzwonu i odpowiednich fragmentów dziennika Blaylocka. Kiedy skończył, Milhaupt milczał pół minuty, kiwając w zamyśleniu głową. W końcu rzekł:

* Dobrze zrobiłeś, Sam, że zadzwoniłeś do mnie. Nieźle sobie radziłeś z matematyką, ale topologia nigdy nie była twoją mocną stroną. Jeśli przyniesiesz mi dzwon, twoje kalkulacje dotyczące Fibonacciego i duży szkicownik, a potem zostawisz mnie samego, to zmierzę się z panem Blaylockiem i zobaczymy, co z tego wyjdzie.

Półtorej godziny później zgrzytliwy głos Milhaupta dobiegł z domowego interkomu:

* Halo...? Skończyłem.

Sam, Remi i pozostali wrócili do pracowni. Na stole, wśród cyrkli, ołówków, taśm miemiczych i gryzmołów na luźnych kartkach, leżał szkic:

Cała piątka okrążyła stół z oczami utkwionymi w rysunku, przechylając głowy to w jedną, to w drugą stronę.

* Zabił nam pan klina * stwierdził Sam.

* Widzicie adnotację „PG” w górnym prawym rogu i liczby blisko krzywizny u dołu dzwonu?

* Tak.

* To jest, rzecz jasna, moje odręczne pismo, ale takie same litery są również wewnątrz dzwonu. Przypuszczam, że oznaczają „prawo góra”.

Fargowie spojrzeli na niego zaskoczeni.

* Przeoczyliśmy to * przyznała Remi.

* Nie przejmujcie się. Są mikroskopijne. Bez szkła powiększającego ja też bym ich nie zauważył.

Adnotacje „PG” są na samej krawędzi dzwonu.

* Powiedział pan „adnotacje” * rzekła Remi * w liczbie mnogiej.

* Bo są dwie. Mam drugi szkic, ale poza porządkiem symboli oba są identyczne. Kiedy zobaczyłem dwie adnotacje „PG”, uznałem je za punkty orientacyjne i jednocześnie końce pary spiral. Co do tego, dlaczego są dwie spirale... podejrzewam, że wyjaśnienie jest ukryte w wierszu. Jak widzicie, każdemu znakowi „X” towarzyszy desygnator; każdy oznacza inny hieroglif. Napisałem legendę do tego.

* Zdumiewające * powiedział Sam. * Wyobrażacie sobie, ile to wymagało cierpliwości?

Milhaupt uśmiechnął się i zatarł ręce.

* A teraz wziębym się do wiersza pana Blaylocka. Selma odczytała go na głos.

* No cóż, zgadzam się z waszą interpretacją dwóch pierwszych linijek * stwierdził Milhaupt. * Jeśli chodzi o pozostałe... mam pewien pomysł. Przede wszystkim, ten gość myślał abstrakcyjnie, co jest szczególnie dziwne w wypadku matematyka.

* Był niezłym artystą * zgodził się Sam. * Podejrzewamy, że mógł mieć nierówno pod sufitem.

* A, rozumiem. Trzeba więc zachować dystans do tego wszystkiego. No cóż, słowa: „Z góry, ziemia się prostuje” sugerują dwie spirale, na które trzeba spojrzeć z góry. Adnotacje w dzwonie zdają się to potwierdzać. Zgadzacie się ze mną?

Wszyscy przytaknęli.

* Czwarta linijka: „Z modlących się rąk mój dzień jest poćwiartowany, gyrare raz, drugi”, jest trochę bardziej złożona, ale że jesteśmy pewni kwestii widoku z góry, „modlące się ręce” mogą symbolizować wskazówki zegara skierowane ku północy. Podejrzewam, że słowa „mój dzień jest poćwiartowany” oznaczają, iż pan Blaylock podzielił swój „zegar” na cztery części: północ, godzinę trzecią, szóstą i dziewiątą. Zgodnie z tym założeniem słowa „gyrare raz, drugi” oznaczają zapewne, że mamy obrócić pierwszą spiralę do pozycji godziny trzeciej, a drugą do pozycji godziny szóstej.

Milhaupt zademonstrował to: obrócił swoje szkice * górny otwartym końcem spirali w prawo, a dolny otwartym końcem spirali w dół. Popatrzył kolejno na wszystkich członków grupy.

* Coś komuś świta? Pokręcili głowami.

* Mnie też nie * powiedział Milhaupt. * Jak brzmi ostatnia linijka wiersza?

* „Słowa Starożytnych, słowa Ojca Algarismo” * wyrecytowała Selma.

* Co do pierwszej części * odezwała się Remi * to chyba wiemy, co Blaylock miał na myśli.

* Mówi pani o azteckich hieroglifach wewnątrz dzwonu? * spytał Milhaupt z szerokim uśmiechem. * Nie mam pojęcia, jak je przetłumaczyć, ale wy pewnie tak?

Sam skinął głową.

* Pochodzą z azteckiego kalendarza. Trzydzieści miesięcy, trzydzieści odpowiadających im symboli.

* Pan Blaylock był najwyraźniej zafascynowany Aztekami.

* Końcowa część * ciągnął Sam * „słowa Ojca Algarismo”, zabiła nam klina.

* Chętnie wam to wyjaśnię. Moje zamięłowanie do mało znanej historii matematyki wreszcie na coś się przyda. Nie ma żadnego Ojca Algarismo. Algarismo to portugalski odpowiednik słowa „algorytm”. Oznacza po prostu cyfrę.

* Więc po przetłumaczeniu * powiedziała Remi * ostatnia linijka brzmi: „Słowa Azteków połączone z liczbami”. Sam, ty znasz się na kryptografii. Coś ci to mówi?

* Chyba tak. Przypominam sobie stronę w jego dzienniku zapełnioną samymi kropkami.

* Ja też ją pamiętam * wtrąciła Wendy. * Znajdę ją. Zniknęła w archiwum.

* Widzę po twojej minie, że coś kombinujesz * zwróciła się Remi do męża.

* Podejrzewam, że nie chodzi o połączenie azteckich słów z liczbami. Trzeba je przetłumaczyć. Na przykład, weź symbol krzemienia i zastąp litery odpowiadającymi im liczbami.

Remi zapisała na bloczku:

14,23,30,7, 17, 12,7, 19

* Prosty szyfr podstawieniowy * zauważył Milhaupt. Sam skinął głową.

* Zgadza się. Myślę, że spirale Blaylocka to zwykłe mydlenie oczu. Spójrzcie na te dwa obrócone

szkice. Jeśli

wyprostujecie końce spiral, otrzymacie poziomy i pionowy rząd hieroglifów.

* Coś w rodzaju siatki * rzekła Remi, Z interkomu dobiegł głos Wendy:

* Sam, znalazłam stronę, o którą ci chodziło. Jest na ekranie.

Selma sięgnęła po pilota i włączyła telewizor. Zgodnie z opisem Sama, strona zawierała tylko skupiska rozmieszczonych pozornie na chybił trafił kropek * szereg za szeregiem, kolumna za kolumną.

* Ile jest skupisk? * zapytał. Remi już liczyła.

* Sto sześćdziesiąt dziewięć. Trzydzieście pionowo i trzydzieście poziomo. Tyle samo, co w twoim pomysle siatki spirali. I tyle samo, ile jest miesięcy w kalendarzu azteckim.

* Mamy zwycięzcę * ogłosił Milhaupt. * Teraz musicie tylko ulokować kropki w siatce i zorientować się, co to wszystko znaczy.

Sam z zapalem wziął na warsztat „tajemnicę siatki kropek Blaylocka”. Przetłumaczenie znaczeń azteckich hieroglifów z języka nahuatl na angielski, a potem zastąpienie ich liczbami było proste, ale czasochłonne. Kiedy skończył, zaczął lokować skupiska kropek w odpowiadających im rzędach i kolumnach. Otrzymał coś, co przypominało zwichrowane sudoku. Eksperymentował z różnymi metodami kryptograficznymi i tuż przed północą znalazł system typu dwójkowego, gdzie pozycje kropek określały, które liczby w siatce zostały użyte.

Po wysłuchaniu jego teorii Remi zapytała:

* Wypróbowałeś to?

* Tak. Poza „pustymi” skupiskami cała reszta to współrzędne geograficzne. To jest mapa.

Rozdział 38

Goldfish Point, La Jolla, Kalifornia

Sam i Remi, każde z kubkiem kawy w ręku, weszli do pracowni o ósmej rano. Selma, Pete i Wendy stali przed dwumetrową mapą Oceanu Indyjskiego przyklejoną do ściany niebieską taśmą malarską. Sześć godzin wcześniej Fargowie poszli się przespać, zostawiając Pete'owi i Wendy naniesienie współrzędnych na mapę świata.

* Ze stu sześćdziesięciu dziewięciu lokalizacji w siatce Blaylocka osiemdziesiąt dwie są zerowe * powiedział teraz Pete. * Z pozostałych osiemdziesięciu siedmiu pięćdziesiąt trzy są na środku oceanu, co daje trzydzieści cztery lokalizacje na lądzie. To te, które tu widzicie.

Współrzędne, oznaczone czerwonymi pineskami połączonymi białym sznurkiem, tworzyły gigantyczne odwrócone „V”, które zaczynało się w pobliżu Madagaskaru, miało szpic cztery i pół tysiąca kilometrów na północny wschód przy Sri Lance i kończyło się u wybrzeża Sumatry, ponad dwa tysiące kilometrów na południowy wschód.

* Gdzie jest reszta pinesek? * zapytał Sam.

* Wyciągnęliśmy je * odparła Selma. * Chcieliśmy, żebyście państwo zobaczyli najpierw ten wzór.

Fargowie rozpoznali błysk w jej oczach. Selma, Pete i Wendy odkryli coś ważnego.

* Mów * poprosiła Remi.

* Kiedy wróciliście z Madagaskaru i przedstawiliście teorię migracji Azteków ze wschodu na zachód, zaczęłam trochę szukać. W ostatnich latach archeolodzy i antropolodzy znajdują coraz więcej dowodów na to, że Malgasze, tubylcza ludność Madagaskaru, przybyli tam drogą morską w pierwszym lub drugim wieku naszej ery z Indonezji, a konkretnie z wyspy Celebes. Trafiłam na mapę z trasą, którą prawdopodobnie pokonali.

Selma sięgnęła po pilota i włączyła telewizor.

Oznaczona czerwoną linią trasa prowadząca z Indonezji do wschodniego wybrzeża Afryki była prawie identyczna z tą na ścianie pracowni.

* Nie do wiary * powiedział Sam.

* Blaylock wysunął tę teorię sto dwadzieścia lat wcześniej niż dzisiejsi eksperci * stwierdziła Remi. * To imponujące, ale...

* To nie wszystko * przerwała jej Selma.

Pete i Wendy usunęli pineski, oderwali taśmę i zdjęli mapę. Pod nią była druga, pokazująca obszar od wschodniego wybrzeża Afryki do Ameryki Południowej. W niej także tkwiły czerwone pineski połączone białym sznurkiem.

* To lokalizacje Blaylocka? * zapytał Sam.

* Tak * potwierdziła Selma.

Pineski zaczynały się w pobliżu nadmorskiego miasta Lumbo w Mozambiku i ciągnęły w poprzek Afryki do zachodniego wybrzeża Angoli, potem wzdłuż niego w górę, a następnie przez Atlantyk do najbardziej wysuniętego na wschód krańca Brazylii, gdzie skręcały na północ i biegły wzdłuż wybrzeża Ameryki Południowej od Trynidadu i Tobago do Morza Karaibskiego.

* Czyżby Blaylock był w tych wszystkich miejscach? * zastanawiała się Remi.

* Zdobył „Shenandoah” w tysiąc osiemset siedemdziesiątym drugim * odparł Sam * a potem zaczął szukać skarbu z wysadzonym klejnotami ptakiem. Kto wie, ile czasu spędził na morzu? Może nawet kilkadziesiąt lat.

* To wygląda znajomo * stwierdziła Remi. * Pete, Wendy, przysuńcie, proszę, pierwszą mapę do tej. Zrobili, o co prosiła.

Remi przyglądała się obu mapom dłuższą chwilę, po czym spytała z uśmiechem:

* Widzicie to?

* Co? * zapytał Sam.

W odpowiedzi Remi podeszła do jednego z komputerów.

* Wendy uczyła mnie korzystania z Photoshopu. Zobaczmy, co już umiem. Usiądźcie. To może mi zająć kilka minut.

Zasłoniła sobą monitor, żeby nikt nie mógł zobaczyć, co robi. Sam przechylił się na stołku i próbował ją podejrzeć.

* Zapomnij o tym, Fargo * mruknęła.

* Przepraszam.

Dwadzieścia minut później Remi oznajmiła:

* W porządku. Wszyscy pamiętają Kodeks Orizagi? Przytaknęli.

* A symbol biegnący w poprzek górnej połowy? Znów skinęli głowami.

* Włącz telewizor, Selmo.

* A niech mnie * powiedział Sam, spojrzawszy na ekran. * Patrzyliśmy na to cały czas. Nie dostałaby żadnej nagrody kartograficznej, ale wszystko, co ważne, na niej jest. Kiedy Malgasze przybyli na Madagaskar?

* W pierwszym lub drugim wieku naszej ery.

* A kiedy Aztekowie pojawili się w Meksyku?

* W szóstym wieku.

Indonezja

* Malgasze przetarli szlak z Celebesu, a kilka wieków później większa armada, sto statków, jeśli Kodeks Orizagi jest dokładny, dotarła do Madagaskaru, ale się tam nie zatrzymała. Płynęła dalej na zachód, aż odkryła Meksyk.

* Taka podróż musiałaby trwać lata * zauważył Pete. * Sam marsz przez Afrykę zająłby pół roku albo więcej. Jeśli, skromnie licząc, załoga jednej łodzi z odsadniami składałaby się z ośmiu ludzi, byłoby ich razem ośmiuset.

* Prawdziwy exodus * przyznała Remi.

* Skąd wiemy, że nie okrążyli południowego krańca Afryki? * zapytała Wendy.

* Z dwóch powodów * odrzekła Remi. * Po pierwsze, tego rejonu nie ma na ich mapach; po drugie, nie wyobrażam sobie, żeby ktoś opłynął Przylądek Dobrej Nadziei łodzią z odsadniami.

* To jedne z najniebezpieczniejszych wód na świecie * zgodził się z nią Sam. * A teraz pytanie za milion dolarów: jakie miejsce na twojej mapie zostało oznaczone dużym znakiem zapytania?

* Przyłapałeś mnie. Indonezja to spory obszar. Blaylock prawdopodobnie właśnie tam miał nadzieję znaleźć swój skarb. Dla Azteków to był Chicomoztoc. Kiedy król Cuauhtemotzin dyktował Orizadze kodeks, starał się wyjaśnić, skąd przybyli jego przodkowie, ale po wiekach przekazywania tej historii z pokolenia na pokolenie sam nie potrafił określić tego bardziej precyzyjnie.

* Ja przede wszystkim chciałbym wiedzieć * powiedział Pete * dlaczego w ogóle się przemieścili.

Na to pytanie dostali częściową odpowiedź dwie godziny później, gdy dawny wykładowca Remi, Stan Dydell, zadzwonił do Selmy z prośbą o wideokonferencję. Usiedli wokół telewizora i po chwili na ekranie pojawiła się uśmiechnięta twarz Dydella. Zewnętrznie był przeciwieństwem George'a Milhaupta: wysoki, chudy, z gęstą szpakowatą czupryną.

* Dzień dobry, Remi, miło mi cię widzieć.

* Wzajemnie, profesorze.

* Ten mężczyzna obok ciebie to pewnie Sam.

* Miło mi pana poznać, profesorze * rzekł Sam, po czym przedstawił Pete'a i Wendy.

Dydell skinął głową.

* Nie bardzo nadążam za rozwojem techniki, więc pomaga mi sekretarka. Chyba nie macie nic przeciwko temu?

* Ależ skąd * zapewniła Remi.

* Na pewno nie możecie się doczekać rozmowy o waszym odkryciu, więc przejdę do rzeczy. Zacznę od zdjęć, które przysłaliście. Sama łódź nie jest unikatem: kształt czółna, dwie odsadnie i jeden maszt. Ale jej wielkość robi wrażenie. Prawdopodobnie sami już zauważyliście, że rzeźba na bukszprycie jest niezwykle podobna do Quetzalcoatl, boga Azteków nazywanego Wielkim Pierzastym Wężem.

* Owszem * potwierdziła Remi.

* Ale co to oznacza? * spytał Sam.

* Jak w większości azteckich mitów, Quetzalcoatl odgrywał wiele ról, zależnie od okresu i okoliczności. Bywał kojarzony z wiatrem, planetą Wenus, sztuką i wiedzą. Uważano go także za opiekuńczego boga azteckich kapłanów. Wierzono, że za jego sprawą ziemia jest oddzielona od nieba i że jest on stwórcą rodzaju ludzkiego.

* A co z drugą rzeźbą, tą na rufie?

* To najwyraźniej ptak, ale go nie rozpoznaję. Pergamin, który macie, jest kopią Kodeksu Orizagi, ale domyślam się, że to też już wiecie.

* Tak * potwierdziła Remi.

* A czy wiecie, że to może być jedyna istniejąca kopia?

* Nie, tego nie wiedzieliśmy.

* Dotychczas uważano, że nie ma żadnej kopii, tylko oryginał. W skrócie historia wygląda tak: jezuita Javier Orizaga przybył do Meksyku wraz z siłami inwazyjnymi Cortesa. Przewodził całej grupie zakonników, którzy mieli pomagać w nawracaniu dzikich. Kilka miesięcy po tym, jak napisał swój kodeks, władze Kościoła kazały mu wracać. Kiedy dotarł do Hiszpanii, kodeks skonfiskowano, a sam Orizaga trafił do więzienia. Po dwóch latach został uwolniony, ale wydalono go z zakonu. Opuścił Hiszpanię i pożegłował do dzisiejszej Indonezji, gdzie pozostał do śmierci w roku tysiąc pięćset pięćdziesiątym szóstym.

* Wie pan, gdzie dokładnie przebywał? * spytał Sam.

* Nie, ale mogę sprawdzić. Ten kodeks, który macie... Gdzie go znaleźliście?

* W Afryce.

* Ciekawe. Jeśli jest autentyczny, dokonaliście niewiarygodnego odkrycia. Zbadaliście go?

* Jeszcze nie.

* Trzeba to zrobić. Jeśli jest autentyczny, może być niezwykle ważny.

* Dlatego, że został podyktowany Orizadze przez ostatniego władcę Azteków? * zapytał Sam.

* Nie tylko. Muszę przyznać, że górna część zabiła mi klina. Co do dolnej... Zaintrygowała mnie scena pośrodku, która najwyraźniej przedstawia podróż morską wielkiej liczby statków. Na dole po lewej stronie jest chyba pokazane przybycie Azteków do miejsca, które stało się potem ich stolicą Tenochtitlan. * Widząc zdumione miny Fargów, Dydell zachichotał i ciągnął dalej: * Pozwólcie, że przypomnę popularną legendę o pochodzeniu Azteków. Według niej uznali oni, że znaleźli swoją ojczyznę, kiedy zobaczyli siedzącego na kaktusie orła, który zjadał węża. Ilustracja na waszym kodeksie przedstawia to samo. Wprawdzie ptak jest inny i nie ma węża, ale główny motyw pozostaje.

* Skąd te różnice? * zapytał Sam.

* Moim zdaniem to przypadek czegoś, co nazywam IM: ikonografią migracyjną. Rozważam tę teorię od jakiegoś

czasu. Zakłada ona, że kiedy starożytne ludy migrowały, zmieniały swoje mity tak, by przystawały do nowego otoczenia. Gdyby Aztekowie ze Starego Świata przybyli do Meksyku dziewięć wieków przed powstaniem imperium, ich ikonografia radykalnie by się zmieniała w miarę, jak krzyżowaliby się z miejscowymi. Fargowie wymienili spojrzenia.

* Brzmi sensownie * powiedział Sam.

* To dobrze, bo zaczynają się schody * odrzekł Dydell. * Rysunek w dolnym prawym rogu najwyraźniej przedstawia Chicomoztoc. Przyjrzelście mu się dokładnie?

* Nie * przyznała Remi.

* No cóż, jest wiele różnic między tradycyjnym obrazem Chicomoztoc a waszym. Przede wszystkim, nie ma arcykapłana w wejściu i brakuje twarzy, które zwykle są zgrupowane w każdej z siedmiu jaskiń.

* Rzeczywiście. Jak mogłam to przeoczyć?

* Nie rób sobie wyrzutów. Na zajęciach ledwo poruszyliśmy temat Chicomoztoc. Teraz popatrz, co jest pośrodku jaskini. Pozwoliłem sobie powiększyć skany, które mi przysłałaś. * Dydell odwrócił się do sekretarki. * Glorio, mogłabyś... Okej, dzięki. * Znowu spojrzął w obiektyw. * To czterystuprocentowe powiększenie. Gloria mówi, że obraz powinien już być na waszym ekranie. Jest?

* Jest * potwierdził Sam.

* Zwróćcie uwagę na stworzenie między dwoma postaciami mężczyzn pośrodku jaskini. Lokalizacja sugeruje, że jest obiektem czci. Dolna połowa to Quetzalcoatl, ale górą trudno rozpoznać. To może być ogon albo coś zupełnie innego.

* Jeden mężczyzna stoi, drugi klęczy * zauważył Sam. * To musi coś znaczyć.

* W istocie. Sugeruje błaganie. Zauważyliście, że postać z prawej strony coś trzyma?

* Aztecki symbol krzemienia * odparła Remi.

* Słusznie. Sklasyfikowałbym tę scenę jako przedstawienie ceremonii złożenia ofiary, gdyby nie fakt, że Aztekowie używali bardzo metaforycznego języka. Krzemień może symbolizować rozstanie i zerwanie dawnych więzów. A teraz sensacja. Na tradycyjnych rysunkach Chicomoztoc są dwa rzędy śladów stóp: jeden prowadzi do jaskini, a drugi na zewnątrz. Na waszym rysunku jest tylko jeden.

* I prowadzi na zewnątrz * zauważył Sam.

* Jeśli połączycie to wszystko: błagającą postać, Quetzalcoatla, krzemień, ślady stóp, będziecie mieli ceremonię wygnania. Mężczyzna z lewej strony i wszyscy jego zwolennicy zostali wypędzeni. Kodeks wskazuje, że opuścili Chicomoztoc, weszli na pokłady statków, pożegnali na zachód i trafili do Meksyku, gdzie stali się ludem uważanym przez historyków za Azteków.

* Czy znany jest los oryginału Kodeksu Orizagi? * zapytała Remi. * Kościół go zniszczył czy może jest przechowywany w jakimś archiwum?

* Ani jedno, ani drugie, ale jestem pewien, że zależało im, żeby nigdy nie ujrzał światła dziennego. W tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym drugim Kościół zorganizował aukcję starych, ale generalnie nieciekawych artefaktów: listów, ilustracji i tak dalej. Najwyraźniej ktoś coś pokręcił i Kodeks Orizagi też wystawiono na licytację. Kupił go jakiś meksykański milioner, o ile pamiętam, potentat kawowy.

* Jak się nazywał? * spytał Sam. Dydell zastanowił się chwilę.

* Garza. Alfonso lub Armando, nie pamiętam dokładnie.

Rozmawiali z Dydellem jeszcze kilka minut. Gdy skończyli, Sam i Remi niemal jednocześnie powiedzieli do Wendy:

* Myślisz, że udałoby ci się wyczyścić...

* .. obraz Quetzalcoatla * dokończyła z uśmiechem. * Już się robi.

Selma już siedziała przy komputerze.

* Mam * oznajmiła po chwili. * Alfonso Garza, ojciec Cristiana, znanego obecnie jako Quauhtli Garza, prezydenta Meksyku i lidera partii Mexica Tenochca.

Fargowie się uśmiechnęli.

* Garza zdobył kodeks * powiedział Sam * i tak jak Blaylock połknął bakcyła. Wciągnęło go to.

* I doprowadziło tam, gdzie się nie spodziewał * dodała Remi.

Pół godziny później Wendy skończyła.

* Musiałam się pobawić w kreatywne łączenie punktów, ale chyba wyszło mi tak, jak by wyglądało w oryginale.

* Znajomy wizerunek * stwierdził Sam. Remi skinęła głową.

* Ptak Blaylocka.

Dzień zakończył telefon, na który Sam i Remi czekali, ale ze zmęczenia o tym zapomnieli. Selma odebrała, słuchała przez chwilę, po czym odłożyła słuchawkę i podeszła do swojego komputera. Minutę później drukarka laserowa ożyła. Po kolejnej Selma wróciła do stołu z plikiem kartek.

* Wyniki badań laboratoryjnych próbek pobranych z łodzi z odsadniami * oznajmiła.

* Co ustalono? * spytał Sam. Selma przebiegła wzrokiem strony.

* Drewno to durian występujący na Borneo, w Indonezji i Malezji.

* Następny punkt dla Indonezji * zauważył Sam.

* W żywicy z kadłuba są soki pewnego podgatunku kauczukowca, który również rośnie w Indonezji. I wreszcie tkanina wyjęta z wnętrza łodzi... zawiera włókna liści pandanu, rattanu i palmy gebang.

* Niech zgadnę * powiedziała Remi. * Wszystkie są używane do wyrobu żagli?

Selma potwierdziła.

* I wszystkie rosną w Indonezji * domyślił się Sam.

* Dobrze państwu idzie * odparła Selma. * Mam od razu zarezerwować bilety lotnicze czy poczekać do rana?

Rozdział 39

Palembang, Sumatra, Indonezja

Żwir zachrząsał pod kołami samochodu, gdy Sam zjechał na pobocze i zatrzymał się pod konarami puchowca pięciopręcikowego.

* Okej, wygrałaś * powiedział do żony. * Ale zanim zaryzykuję życie i wysiądę, żeby zapytać o drogę, daj mi jeszcze raz spojrzeć na plan miasta.

Jak większość mężczyzn, szczylił się, że jest wyposażony w wewnętrzny kompas, który nie pozwala mu się zgubić, ale nauczył się również poddawać w sytuacjach, kiedy ten kompas wydawał się chwilowo zawodzić. A teraz była właśnie taka sytuacja.

Próbując ukryć uśmiech, Remi podała mu plan i nie odzywała się, kiedy Sam go studiował.

* To musi być gdzieś tutaj * mruknął.

* Z pewnością.

Jeden z punktów o współrzędnych geograficznych, które rozszyfrowali, znajdował się tam, gdzie Javier Orizaga spędził ostatnie lata życia. Byli pewni, że to nie zbieg okoliczności, ale nadal nie mieli odpowiedzi na wiele pytań.

Czy spędziwszy wiele lat na poszukiwaniach źródła pochodzenia „wielkiego zielonego wysadzanego klejnotami ptaka” i poznawszy po drodze prawdziwą historię Azteków, Blaylock usłyszał o kodeksie Orizagi i przybył tu w nadziei znalezienia kopii, czy też natknął się na kodeks gdzie indziej? I co sprowadziło tutaj Orizagę: skarb czy historia ludu, którego eksterminacji był świadkiem?

Godzinę po zakończeniu wideokonferencji profesor Dydell zadzwonił do nich i podał nazwę miasta, w którym Orizaga mieszkał przez dwadzieścia ostatnich lat życia: Palembang na Sumatrze.

Liczący półtora miliona mieszkańców Palembang, zwany „Wenecją Wschodu”, jest nie tylko najstarszym miastem Indonezji, założonym w VII wieku, ale również największą aglomeracją w południowej części Sumatry.

Fargowie nie mieli pojęcia, co * jeśli w ogóle cokolwiek * znajdą w przybranej ojczyźnie Orizagi. Ale wszystkie tropy * poszukiwania Blaylocka, jego dziennik, mapy, kodeks, sam Orizaga i wyniki badań laboratoryjnych * prowadziły do tego miejsca w Indonezji.

* Orizaga ułatwiłby nam życie, gdyby zostawił adres * powiedział Sam. * To doprawdy nietaktowne, że tego nie zrobił.

* Jestem pewna, że by zrobił, gdyby wiedział, że się do niego wybieramy * odrzekła Remi. * Tamta kobieta mówiła, że dom jest czerwony czy zielony?

* Zielony.

Poprzedniego dnia odwiedzili sześć lokalnych muzeów i kilku historyków specjalizujących się w dziejach miasta sprzed holenderskiej kolonizacji. Żaden z kustoszy nie słyszał o Orizadze i wszyscy radzili Fargom pójść do miejskiego archiwum i poszukać jakiejś wzmianki o jezucie na mikrofilmach z

artykułami prasowymi.

Sam wodził palcem po planie miasta i od czasu do czasu schylał głowę, żeby spojrzeć przez przednią szybę na nazwy ulic. Wreszcie złożył plan i oddał go Remi.

* Wiem, gdzie się pomyliłem * oznajmił z pewnym siebie uśmiechem.

* Ogólnie czy tutaj?

* Bardzo zabawne.

Wrzucił bieg, zaczekał na lukę w sznurze pojazdów, włączył się do ruchu i dał gazu.

Po dwudziestu minutach jazdy bocznymi ulicami znaleźli się w strefie przemysłowej pełnej magazynów. Za nimi zobaczyli cichy, obsadzony drzewami zaułek mieszkalny. Budynki były małe i stare, ale dobrze utrzymane. Sam zatrzymał się przed domem, który w Stanach określono by jako utrzymany w stylu ranczerskim: seledynowe ściany, brązowe okiennice i biały sztachetowy płót na wprost ukryty za pnąciami z czerwonymi kwiatami.

Doszli ścieżką do ganku, wspięli się po schodkach i zapukali do frontowych drzwi. Usłyszeli kroki na drewnianej podłodze, a po chwili w progu ukazał się mniej więcej pięćdziesięcioletni biały mężczyzna w starannie odprasowanych spodniach khaki i białej koszuli z przypinanymi rogami kołnierzyka.

* Dzień dobry * odezwał się z oksfordzkim akcentem.

* Szukamy Domu Sukasari * wyjaśniła Remi.

* To tutaj. W czym mogę pomóc?

* Chodzi nam o mnicha, który mógł mieszkać w tej okolicy w szesnastym wieku.

* Tylko tyle? Myślałem, że spróbują mi państwo sprzedać jakiś odkurzacz albo garnki * odrzekł mężczyzna z cierpkim uśmiechem. * Proszę wejść. * Cofnął się, żeby ich wpuścić. * Nazywam się Robert Marcott.

* Sam i Remi Fargo.

* Proszę za mną. Zrobię herbatę i opowiem państwu wszystko, co wiem o piętnastowiecznej Indonezji.

* Proszę mi wybaczyć tę uwagę * powiedziała Remi * ale nie wydaje się pan zaskoczony naszym pytaniem.

* Nie jestem. Zapraszam tutaj, proszę usiąść. Wytlumaczę to.

Wprowadził ich do gabinetu z regałami na książki od podłogi do sufitu. Na perskim dywanie stał stolik do kawy w otoczeniu kilku ratanowych krzeseł. Sam i Remi usiedli.

* Zaraz wrócę * rzekł Marcott i zniknął w bocznych drzwiach.

Usłyszeli brzęk porcelany, potem gwizd czajnika. Gospodarz zjawił się z powrotem z serwisem do herbaty, napełnił filiżanki Fargo i usiadł naprzeciwko nich.

* Kto państwa tu skierował? * zapytał.

* Pani Ratsami...

* Urocza kobieta. Nie wie nic o historii Sumatry przed dwudziestym wiekiem.

* Miała wrażenie, że to jakieś muzeum.

* Drobną nieścisłość językową: historyk kontra muzeum. Wprawdzie językiem urzędowym jest tu indonezyjski, ale nie brak też dialektów. Zrezygnowałem z prób poprawiania ludzi. Dziesięć lat temu napisałem książkę o chrześcijaństwie w Indonezji. Najwyraźniej przekształciła mnie w muzeum. * Marcott wstał, podszedł do jednej z półek, zdjął z niej jakąś książkę i podał Remi.

* Bóg na Jawie * przeczytała tytuł.

* Mogło być gorzej. Mój wydawca chciał ją zatytułować Jezus na Jawie.

Sam zachichotał.

* Tak, to byłby koszmar * powiedział Marcott. * W każdym razie przyjechałem tutaj zbierać materiały do książki, zakochałem się w tym kraju i zostałem. To było piętnaście lat temu. Szukają państwo jakiegoś mnicha?

* Tak, jezuita nazwiskiem Javier Orizaga. Podobno przybył tu pod koniec lat dwudziestych szesnastego wieku, prawdopodobnie...

* A, Orizaga. W tysiąc pięćset dwudziestym ósmym. Tak się złożyło, że mieszkał jakieś trzy kilometry na wschód stąd. Oczywiście tamta chata już nie istnieje. Na jej miejscu jest teraz restauracja z hamburgerami.

* Co może pan nam o nim powiedzieć? * spytała Remi.

* A co chcecie wiedzieć?
* Ile ma pan czasu? * wtrącił Sam.
* Nieograniczoną ilość.
* To proszę nam opowiedzieć wszystko.
* No cóż, ciężko pracował, żeby pomagać miejscowym, ale był jednym z tysięcy misjonarzy, którzy przybywali do Indonezji w ciągu ostatnich pięciuset lat. Otworzył szkołę biblijną, pomagał w tutejszych szpitalach i mnóstwo czasu spędzał w wioskach, gdzie próbował zbawiać dusze.
* Słyszał pan kiedykolwiek o Kodeksie Orizagi? * zapytał Sam.
Marcott pokręcił głową.
* Nie, a biorąc pod uwagę nazwisko, chyba powinienem. Mam się wstydzić niewiedzy?
* Ależ skąd * odparła Remi i przedstawiła mu krótko historię kodeksu, pomijając szczegóły dotyczące zawartości i pochodzenia.
* Fascynujące * ocenił Marcott. * Czy tym kodeksem zasłużył się Kościołowi, czy wręcz odwrotnie?
* To drugie.
* Więc współczuła Aztekom. Szkoda, że nie wiedziałem o tym wcześniej. Mógłbym mu poświęcić cały rozdział. Jest pewna interesująca historia, ale nie pasowała do książki, więc ją pominąłem. Orizaga zmarł w roku tysiąc pięćset pięćdziesiątym szóstym, dwadzieścia osiem lat po przybyciu do Indonezji, a przynajmniej wtedy widziano go po raz ostatni.
* Jak to? * zdziwiła się Remi.
* W listopadzie tamtego roku Orizaga oznajmił swoim zwolennikom, że odkrył jakieś święte miejsce w dżungli i zamierza odszukać... Co to było?... * Marcott urwał i postukał palcem wskazującym w dolną wargę. * A, tak. Nazwał to siedmioma jaskiniami albo światem siedmiu jaskiń. Coś w tym rodzaju. Wyruszył do dżungli i już nie wrócił. O ile się orientuję, uważano go za wariata.
* Więc poszedł do dżungli i po prostu przepadł? * spytał Sam.
* Tak, zniknął bez śladu. Wiem, że to brzmi bardzo dramatycznie, ale przecież nawet dzisiaj takie rzeczy się zdarzają. Pięćset lat temu były na porządku dziennym. Tutejsze dżungle są naprawdę niebezpieczne. * Marcott uśmiechnął się smutno. * Szczerze żałuję, że nie poświęciłem mu przynajmniej kilku stron w książce.
* Pewnie nie ma pan już swoich materiałów źródłowych na jego temat? * spytała Remi.
* Niestety nie. Ale mogę zrobić coś lepszego: skontaktować państwa z moim źródłem informacji, o ile jeszcze żyje.
Pojechali za dwudziestoletnim bmw Marcotta do jednego z osiedli mieszkalnych w dzielnicy Plaju. Drogi były tu gruntowe, a domy, o powierzchni nie większej niż pięćdziesiąt pięć metrów kwadratowych, miały dachy z blachy falistej, ściany z niepomalowanych desek i moskitiery w oknach. Przy większości były maleńki ogródek warzywny i zagroda dla kur albo kóz.
Marcott zatrzymał się przed jednym z domów. Fargowie zrobili to samo i wysiedli.
* On nie zna angielskiego i jest po dziewięćdziesiątce * uprzedził Marcott.
* Kto to taki?
* Dumadi Orizaga. Javier związał się z miejscową kobietą i miał z nią dziesięcioro dzieci. Dumadi jest jego potomkiem w linii prostej.
* Myślałam, że Orizaga był jezuitą * powiedziała Remi.
* Owszem, ale w pewnym momencie wycofał się ze ślubów zakonnych, łącznie z celibatem.
* Może z powodu nieprzyjemnej przeprawy z Kościołem * zasugerował Sam.
Ruszyli ścieżką do siatkowych drzwi. Dopiero po czwartym uderzeniu Marcotta w ościeżnicę pojawił się powłóczący nogami bardzo stary mężczyzna w białym bezrękawniku. Miał niewiele ponad metr pięćdziesiąt wzrostu, lekko skośne oczy i pomarszczoną twarz o raczej europejskich niż azjatyckich rysach.
Marcott powiedział coś do niego po indonezyjsku. Starzec uśmiechnął się, skinął głową i otworzył drzwi. Weszli do środka.
Wnętrze domu było podzielone na trzy części: przestrzeń do siedzenia o wymiarach sześć na sześć metrów z czterema plastikowymi krzesłkami ogrodowymi i stolikiem do kawy z tekturowego pudła, oraz dwa boczne pomieszczenia * sypialnię z łazienką i kuchnię. Dumadi wskazał gościom krzesła. Gdy usiedli, Marcott przedstawił Fargów i wyjaśnił, że przyjechali do Palembang, żeby dowiedzieć się

jak najwięcej o Orizadze. Dumadi coś odpowiedział.

* Pyta, dlaczego państwo się nim interesują * przetłumaczył Marcott. * Indonezyjczycy są bardzo powściągliwi, jeśli chodzi o ich rodziny, nawet po pięciuset latach. Kult przodków to głęboko zakorzeniona tradycja.

Sam i Remi wymienili spojrzenia. Nie spodziewali się, że znajdą potomka Orizagi, więc nie przedyskutowali wcześniej, jak z nim rozmawiać.

* Proszę mu powiedzieć prawdę * rzekł Sam. * Jeśli kodeks jest czyjąkolwiek własnością, to właśnie jego.

Remi skinęła głową i sięgnęła do swojej sportowej torby po szarą kopertę. Wyjęła z niej zeskanowany kodeks i podała Dumadiemu.

* Niech pan mu powie * zwrócił się Sam do Marcotta * że to należało do Orizagi i prawdopodobnie ma coś wspólnego z tym, dlaczego tu przybył.

Marcott przetłumaczył. Dumadi pokiwał głową, ale nic nie powiedział. Cisza się przedłużała. W końcu Marcott znów się odezwał. Starzec położył kodeks na tekturowym pudle, wstał i poczłapał do sypialni. Po chwili wrócił, podszedł do Remi i wręczył jej jakiś papier oprawiony w ramkę.

Wykonany stylizowaną kaligrafią oryginał bardzo się różnił od zdjęcia, ale Fargowie nie mieli wątpliwości, że to piktograficzna mapa z Kodeksu Orizagi.

Dumadi wskazał ramkę, potem skan i powiedział coś do Marcotta, który przetłumaczył:

* Nie rozpoznaje dolnej części, ale góma jest przekazywana w jego rodzinie od wieków.

* Dlaczego? * spytał Sam.

Marcott zapytał Dumadiego, wysłuchał jego odpowiedzi i rzekł:

* To herb Orizagów.

* Czy on wie, co oznacza?

* Nie.

* Nikt nie wspominał mu, co może oznaczać?

* Nie * odparł Marcott. * Dumadi mówi, że zawsze był w rodzinie. Przypuszcza, że był ważny dla Orizagi, i to mu wystarcza.

Sam sięgnął do koperty Remi, wyjął wykonaną przez Wendy wersję Quetzalcoatl i podał Dumadiemu.

* Czy to coś dla niego oznacza?

Marcott spytał starca, wysłuchał odpowiedzi i przetłumaczył:

* Która część, brzydki wąż czy ptak?

* Ptak.

Dumadi usiadł ze stęknieniem, zanim odpowiedział.

* Nie ma dla niego konkretnego znaczenia * wyjaśnił Marcott. * To po prostu ptak. Widywał takie w ogrodach zoologicznych.

* Tutaj? * spytała Remi.

* Nie pamięta dokładnie gdzie. Widział takiego w dzieciństwie. Jego ojciec nazywał tego ptaka „czubatym” z powodu wypukłości z tyłu głowy.

* Co to za ptak? Jak się nazywa? * zapytał Sam.

* Nogal hełmiasty. Dumadi mówi, że w naturze są dużo ładniejsze niż na tym rysunku. Średniej wielkości, czarny grzbiet, biała klatka piersiowa, żółte ubarwienie wokół oczu i pomarańczowy dziób. Coś jak kolorowy kurczak.

Dumadi powiedział coś do Marcotta, który przetłumaczył:

* Chce wiedzieć, czy ten rysunek ma coś wspólnego z Orizagą.

* Tak * potwierdził Sam.

* Przypomina mu pewną opowieść o Orizadze. Chcielibyście ją usłyszeć?

* Bardzo chętnie * odparła Remi.

* Jak w większości ich rodzinnych opowieści, szczegóły mogły się z czasem zmienić, ale sens jest taki: pod koniec życia Orizaga był dobrze znany mieszkańcom Palembang. Bardzo go lubili, ale uważali, że jest opętany przez złego ducha.

* Dlaczego? * zapytał Sam.

Marcott przetłumaczył pytanie i wysłuchał odpowiedzi Dumadiego.

* Z tych samych powodów, o których wspomniałem wcześniej. Wciąż wędrował po dżungli i mówił o jaskiniach i bogach. Twierdził, że przybył tu, aby znaleźć siedzibę tych bogów... Wiedzą państwo, o co chodzi. Nikt się nie bał Orizagi; ludzie przypuszczali, że ten zły duch robi sobie żarty z biednego starego człowieka. W dniu swego zniknięcia Orizaga oznajmił, że wybiera się na poszukiwanie „jaskiń bogów” i że pozna to miejsce, kiedy znajdzie „wylęgarnię wielkich ptaków”.

Rozdział 40

Dżakarta, Indonezja

Jesteś tego pewna, Selmo? * zapytał Sam.

On i Remi siedzieli na łóżku w apartamencie w Four Seasons. Dzień wcześniej, po wyjściu od Dumadiego i rozstaniu z Robertem Marcottem, pojechali na lotnisko imienia sułtana Mahmuda Badaruddina II i odbyli czterystukilometrowy lot wycarterowanym samolotem do Dżakarty. Four Seasons wydawał się odpowiedni na bazę operacyjną.

* Przyparłam go do muru * odparła Selma * i przyznał się.

* A to cwaniak * mruknął Sam. * Ciekawe, czy w ogóle ma wnuki w londyńskim college'u.

* I czy rzeczywiście jest umierający * dodała Remi.

* Jedno i drugie jest prawdą. Sprawdziłam. Ale i tak jest oszustem.

Poza wieloma pytaniami bez odpowiedzi jedna sprawa szczególnie dręczyła Selmę: skąd Rivera i jego szef, prezydent Garza, wiedzieli, że Fargowie będą na Madagaskarze? Uważała, że są tylko dwa źródła informacji: Cynthia Ashworth, posiadaczka listów Constance, i Morton, właściciel muzeum Blaylocka oraz sklepu z osobliwościami. Czy Rivera i Garza dotarli do któregoś z nich?

Wcieliwszy się, najlepiej jak umiała, w „złego glinę”, zaczęła od Mortona. Zarzuciła mu, że sprzedał materiały Blaylocka innym i zagroziła, że jeśli się nie przyzna, pozwie go do sądu. Morton załamał się w ciągu dwóch minut.

* Nie znał nazwiska Rivery i nie wiedział, jak trafił do muzeum, ale jakieś pięć lat temu on i kilku jego zbirów zjawili się tam i zaczęli wypytywać o Blaylocka i „Shenandoah”. Morton nie ufał Riverze, ale bał się, że potraktują go brutalnie, jeśli nie będzie współpracował, więc w nocy zabrał wszystkie ważne materiały z magazynu i ukrył je w swoim domu. Kiedy następnego ranka przyszedł do muzeum, zobaczył, że zostało splądrowane. Rivera złożył mu wizytę kilka godzin później i był bardzo uprzejmy. Morton chętnie pokazał całe zbiory, bo nie było już wśród nich papierów Blaylocka: kartek z jego dziennika, niektórych rysunków i map...

* W tym mapy Madagaskaru * domyśliła się Remi.

* Tak. Zauważył na niej mikroskopijny napis, więc urwał tę część i większy kawałek dał Riverze.

Podobno to go zadowoliło. Sfinalizowali transakcję i Rivera wyszedł. Ale Morton nie jest głupi, więc przeniósł materiały Blaylocka ze swojego domu w inne miejsce.

* I w nocy włamano się do jego domu * odgadł Sam.

* Zgadza się. Morton celowo spędził tę noc u przyjaciół. Twierdzi, że podstęp się udał i Rivera już nie wrócił.

* A pięć lat później zjawiliśmy się my i zadawaliśmy te same pytania. Dlaczego nam nie wyciął takiego samego numeru?

* Bo chciał przejść na emeryturę i zadbać o wnuki. Kiedy zaproponowali mu państwo sześćdziesiąt tysięcy zamiast dwudziestu, postanowił wszystko oddać.

* Więc nie mamy pojęcia, co wie Rivera * podsumowała Remi.

* Nie * potwierdził Sam. * Informacje uzyskane od Mortona naprowadziły go na pewien trop i umożliwiły zrobienie postępów, ale nie takich, by mógł rozwiązać sprawę.

Teraz, z nami na scenie, Rivera i Garza mogą dojść do końca. Musimy być przygotowani, że się pojawią... o ile już tego nie zrobili.

* Co się wiąże z następną sprawą * informowała dalej Selma. * Rozszyfrowaliśmy resztę listów Blaylocka do Constance. Spróbujecie zgadnąć, jaką datę nosi ostatni?

* Nie * odparł Sam.

- * Nawet roku?
- * Selmo, nie baw się w zgadywanki.
- * Tysiąc osiemset osiemdziesiąty trzeci.
- * To znaczy, że Blaylock szukał tu swojego skarbu jedenaście lat * stwierdziła Remi.
- * A co z listami w tym czasie? * spytał Sam.
- * Było tylko kilka przez jakiś rok po tym, jak Blaylock zdobył „Shenandoah II”. Swoim zwyczajem we fragmentach pisanych otwartym tekstem głównie relacjonował podróże. Są tam prawie wszystkie niewiarygodne historie z biografii Mortona. One były zwykłym mydleniem oczu. Jedna z zaszyfrowanych wiadomości dla Constance świadczy, że był przekonany, iż Dudley i inni odkryli jego kłamstwo o „Shenandoah” i go szukają.
- * A szukali?
- * Trudno orzec. A nawet gdyby wiedzieli, prawdopodobnie machnęliby na to ręką, bo przecież Blaylock wykonał zadanie. „Shenandoah II” przepadł. Przestał być zagrożeniem.
- * Wróćmy do ostatniego listu * powiedział Sam.
- * Dobrze. Nosi datę trzeciego sierpnia tysiąc osiemset osiemdziesiątego trzeciego roku i został wysłany z Bagamoyo. Przeczytam kluczowy fragment: „Odkryłem w końcu wskazówkę, o którą się modliłem. Z Bożą pomocą znajdę źródło pochodzenia wielkiego zielonego wysadzanego klejnotami ptaka i zostanę wynagrodzony, na co od tak dawna czekam. Jutro pożegluję do Cieśniny Sundajskiej. Spodziewam się, że rejs potrwa dwadzieścia trzy*dwadzieścia pięć dni. Napiszę, gdy tylko będzie to możliwe. Twój W”.
- * Cieśnina Sundajska? * upewnił się Sam.
- * Tak.
- Sam zamknął oczy, a na jego twarzy pojawił się półuśmiech.
- * Co jest? * zapytała Remi.
- * Blaylock opuścił Bagamoyo trzeciego sierpnia tysiąc osiemset osiemdziesiątego trzeciego roku, czyli, jeśli trafnie ocenił czas podróży, dotarł do celu około dwudziestego siódmego sierpnia.
- * Zgadza się...
- * W Cieśninie Sundajskiej jest wulkan Krakatau. Dwudziestego siódmego sierpnia tysiąc osiemset osiemdziesiątego trzeciego roku nastąpiła jego erupcja.

Rozdział 41

Sam i Remi, miłośnicy historii, sporo wiedzieli o tragicznych wydarzeniach z 1883 roku. Archipeląg, na którym wznosi się słynny wulkan, zajmuje około dwudziestu kilometrów kwadratowych oceanu i leży prawie w samym środku Cieśniny Sundajskiej, między Jawą i Sumatrą. Przed kataklizmem składał się z trzech wysp: Lang, Verlaten oraz Rakaty * największej z nich, z trzema stożkami wulkanicznymi o wspólnej nazwie Krakatau. Wulkan bywał groźny już wcześniej, na przestrzeni wieków trzykrotnie doszło do jego erupcji.

Dwudziestego maja, trzy miesiące przed ostatecznym wybuchem, w zboczu Perbuatanu, najdalej na północ wysuniętego stożka, pojawiła się wielka szczelina i zaczęła się z niej wydobywać para wraz z pióropuszcami popiołu wyrzucanymi do atmosfery na wysokość sześciu i pół tysiąca metrów. Mieszkańcy pobliskich wiosek widywali już taką aktywność wulkanu, nie zwracali więc na nią zbytniej uwagi. Początkowo wydawało się, że słusznie. Pod koniec miesiąca Krakatau się uspokoił i przez następne tygodnie nic się nie działo.

Szesnastego czerwca erupcje znów się zaczęły i przez kilka dni czarny dym zasnuwał rozległe obszary morza i lądu. Kiedy się rozwiął, widoczne stały się potężne słupy popiołu wydostające się z dwóch stożków wulkanu. Podniósł się też poziom przypliwów w cieśninie, więc zakotwiczone statki musiano mocniej przycumować, żeby nie wpadły na brzeg.

Po trzech tygodniach uaktywnił się trzeci stożek wulkanu i wkrótce popiół zaczął się gromadzić na pobliskich wyspach. W niektórych miejscach jego warstwa przekraczała pół metra, ginęły pod nią zwierzęta, a bujne niegdyś lasy zastępował księżycowy krajobraz.

Erupcje trwały ponad dwa miesiące. Dwudziestego piątego sierpnia o pierwszej po południu Krakatau

wszedł w fazę paroksyzmu. W ciągu godziny czarna chmura popiołu uniosła się dwadzieścia dziewięć kilometrów pod niebo, a wybuchy niemal nie ustawały. Na statki znajdujące się w odległości nawet dwudziestu mil morskich spadały kawałki gorącego pumeksu wielkości piłek golfowych. Wieczorem, gdy nad cieśniną zapadła ciemność, niewielkie tsunami uderzyły w brzegi Jawy i Sumatry. Następnego ranka tuż przed wschodem słońca nastąpiły trzy erupcje, każda kolejna silniejsza od poprzedniej. Wybuchy były tak głośne, że słyszano je w Perth w Australii, trzy tysiące dwieście kilometrów na południowy wschód, i na archipelagu Maskarenów, cztery tysiące osiemset kilometrów na zachód.

Tsunami powstałe po każdej erupcji rozeszły się z prędkością ponad dwustu kilometrów na godzinę, przewaliły przez wybrzeża Jawy i Sumatry i zalały wyspy oddalone o pięćdziesiąt mil morskich. O dziesiątej dwie Krakatau oddał ostatnią salwę z siłą wybuchu dwudziestu tysięcy bomb atomowych. Stożki wulkaniczne, wyrzuciwszy całą magmę, zapadły się, zabierając ze sobą trzydzieści sześć kilometrów kwadratowych wyspy i żłobiąc kalderę o szerokości sześciu i pół kilometra i głębokości ponad dwustu czterdziestu metrów. Powstałe tsunami zmiotło całe wioski, tysiące ludzi zginęło w ciągu zaledwie kilku minut. Drzewa zostały wyrwane z korzeniami, a łąd ogołocony z wszelkiej roślinności.

W ślad za ogromną falą podążyły spływy piroklastyczne, gargantuiczne lawiny ognia i popiołu, który runęły z rykiem ze zboczy Krakatau do Cieśniny Sundajskiej. Pędzący z prędkością stu trzydziestu kilometrów na godzinę potok lawy o temperaturze sześciuset pięćdziesięciu stopni Celsjusza spowodował zagotowanie się powierzchni wody pod nim i powstanie warstwy pary, która przeniosła go na odległość trzydziestu mil morskich. Wszystko na jego drodze zostało zwęglone lub zatopione, bez względu na to, czy było dziełem człowieka czy natury.

Zanim zapadła cisza po ostatniej eksplozji, w ciągu trzydziestu godzin zginęło * wedle różnych szacunków * od trzydziestu sześciu do stu dwudziestu tysięcy osób.

Rozdział 42

Cieśnina Sundajska, Indonezja

Z głośnika w rogu kawiarnianego patio dobiegł komunikat:

* „Uwaga, pasażerowie z biletami. "Krakatau Explorer" odpływa za pięć minut. Proszę wchodzić na pokład po trapie rufowym".

Informację powtórzono po indonezyjsku, francusku, niemiecku i jeszcze raz po angielsku.

Fargowie, siedzący przy stoliku w rogu obok treliazu z kwitnącą bugenwillą, dopili kawę i wstali. Sam rzucił na blat dwa banknoty o nominałach pięciu tysięcy rupii indonezyjskich i wyszli spod markizy na nabrzeże.

* Widzisz ich gdzieś? * zapytała Remi.

* Nie. A ty?

* Też nie.

Wcześniej tego ranka, gdy mikrobus dowożący turystów do „Krakatau Explorera” ruszył z ronda przed Four Seasons, Samowi wydało się, że dostrzegł Itzliego Riverę, ale podczas półtoragodzinnej jazdy z Dżakarty do portu w kurorcie Carita Beach nie zobaczyli nic więcej. Jazda pełnym turystów mikrobusem nie była ich ulubioną formą podróży, ale zdawali sobie sprawę, że jeśli Rivera i jego ludzie rzeczywiście są w Indonezji, spotkanie z nimi na pustej drodze w jawajskim lesie deszczowym mogłoby być katastrofalne w skutkach.

Co więcej, wycieczka statkiem do pozostałości wulkanu i nowo otwartego Muzeum Krakatau była nie tylko pierwszym etapem podążania tropem feralnego rejsu Blaylocka, ale również sposobem wyciągnięcia Rivery z ukrycia i wywarcia na niego presji. Meksykanin nie mógł sobie pozwolić na ponowne zgubienie Fargów. Samowi i Remi przypominało to pływanie wśród rekinów * lepiej mieć je w polu widzenia niż czekać, aż wyłonią się z mroku i zaatakują.

Dołączyli do kolejki wsiadających pasażerów przy trapie rufowym, weszli na pokład i wybrali miejsce przy relingu na sterburcie. „Krakatau Explorer” był trzydziestosześcioletnim płaskodennym promem z ulokowaną wysoko na dziobie podłużną sterówką z dwuspadowym dachem. Pokład rufowy

o wymiarach dwadzieścia cztery na dwanaście metrów zajmowały rzędy pokrytych niebieskim winylem ławek.

Sam obserwował nabrzeże, a Remi przyglądała się pasażerom; oceniła, że jest ich około sześćdziesięciu.

* Ciągłe nic * powiedziała.

* Tam też * rzekł Sam.

Na nabrzeżu dwaj pracownicy portowi odłączyli trap, a jeden z członków załogi zamknął bramkę. Cumy zostały zdjęte i wciągnięte na statek. Trzej załoganci stanęli przy relingu i drągami odepchnęli prom od brzegu. Rozległa się syrena okrętowa, silniki ożyły, „Explorer” odbił od nabrzeża i skierował się na zachód do cieśniny.

Trzy godziny później z interkomu dobiegł męski głos:

* Panie i panowie, wkrótce okrążymy cypel, żeby podpłynąć do muzeum.

Zgodnie z zapowiedzią, po kilku minutach prom skręcił w lewo i wziął kurs na wschód wzdłuż północnego brzegu. Pasażerowie stłoczyli się przy relingu, by popatrzeć na stromy klif o wysokości sześciuset metrów * tylko tyle pozostało z wyspy po erupcji wulkanu.

Prom dobił do nabrzeża przy muzeum i został przycumowany. Gdy opuszczono trap, Fargowie zeszli z pokładu i skierowali się do głównego budynku. Zakotwiczony do dna morskiego przy zachodniej krawędzi kaldery, miał powierzchnię czterystu pięćdziesięciu metrów kwadratowych i ściany z hartowanego szkła. Według folderu, który Sam i Remi dostali w Four Seasons, w muzeum zgromadzono największy na świecie zbiór pamiątek i materiałów źródłowych związanych z Krakatau. W klimatyzowanym wnętrzu były bambusowe podłogi, ciemnoszare ściany i sklezione sufity. Na ściankach działowych umieszczono zdjęcia, grafiki i ilustracje, a na wolno stojących platformach ulokowano ocalałe z katastrofy artefakty. W każdej części znajdował się kiosk multimedialny z monitorem LCD i ekranem dotykowym.

Do Fargów podeszła jedna z przewodniczek, młoda Indonezyjka w niebieskiej sukience.

* Witam w Muzeum Krakatau. Może mają państwo jakieś pytania?

* Interesuje nas, jakie statki cumowały w cieśninie podczas erupcji * odparła Remi.

* Rozumiem. Przejdźmy do ekspozycji poświęconej temu zagadnieniu. Tędy, proszę.

Poszli za kobietą do części z napisem „Jednostki pływające”. Na dwóch ścianach wisiały powiększone dagerotypy ukazujące cieśninę oraz okoliczne zatoki i porty. Na trzeciej umieszczono strony z dzienników okrętowych, wycinki prasowe, listy i ilustracje. Na platformie pośrodku zgromadzono ocalałe wyposażenie statków, które zaskoczyła eksplozja.

* Ile statków znajdowało się wtedy w tym rejonie? * spytała Remi.

* Oficjalnie czternaście, ale w tysiąc osiemset osiemdziesiątym trzecim codziennie kursowały tam i z powrotem setki małych kutrów rybackich oraz łodzi towarowych.

* To lista statków i ich załóg? * zapytał Sam, wskazując tablicę pamiątkową na tylnej ścianie.

* Tak * potwierdziła przewodniczka.

* Znam jedną z tych nazw: „Berouw”. Kobieta skinęła głową.

* Nie dziwię się. „Berouw” był bocznokołowym parowcem zakotwiczonym w zatoce Lampung pięćdziesiąt mil morskich od Krakatau. Porwała go tsunami i przeniosła kilka kilometrów w górę rzeki Koeripan. Pozostał prawie nietknięty, ale cała załoga zginęła.

* Jest tylko trzynaście nazw * zauważyła Remi.

* Słucham?

* Wspomniała pani o czterestu statkach, a tu wymieniono tylko trzynaście.

* Jest pani pewna? * Przewodniczka podeszła do tablicy i policzyła nazwy. * Rzeczywiście. Dziwne. To na pewno jakaś pomyłka.

Remi się uśmiechnęła.

* Dziękujemy za pomoc. Pozwiedzamy jeszcze trochę.

* Oczywiście. Proszę skorzystać z kiosku multimedialnego. Wszystkie dokumenty znajdujące się w naszych zbiorach, nawet te niewystawione, są do wglądu.

Remi podeszła do Sama.

* Miałam nadzieję, że „Shenandoah” będzie na liście.

* A zdjęcie wystarczy? * odparł.

* Co?

Wskazał fotografię na samej górze powiększoną do wymiarów metr dwadzieścia na metr osiemdziesiąt. Objaśnienie obok informowało:

„Widok w kierunku północno*wschodnim z pokładu brytyjskiego statku towarowego »Salisbury« zakotwiczonego jedenaście mil morskich na wschód od Krakatau w dniu 27 sierpnia 1883 roku. W tle wyspa Pulau Legundi i wejście do zatoki Lampung”.

* Widzisz go? * spytał Sam.

* Widzę.

Na pierwszym planie, na tle Pulau Legundi, był trzymasztowy kliper z osprzętem rejoyem i pomalowaną na czarno górną częścią kadłuba.

* To nic nie znaczy * orzekła Remi. * Mnóstwo statków w tamtym okresie wyglądało tak samo jak „Shenandoah”.

* Zapewne * przyznał.

* Sprawdźmy. „Shenandoah” miał siedemdziesiąt metrów długości, masę tysiąca dwustu ton i wyposażenie bojowe. Gwarantuję ci, że gdyby taki statek wpłynął do Cieśniny Sundajskiej, każdy oficer na wachcie odnotowałby ten fakt.

Podeszli do kiosku multimedialnego i zaczęli przeszukiwać muzealne archiwum. Było usystematyzowane według tematów, dat i kluczowych słów. Po godzinie wypróbowywania różnych kombinacji słów Sam trafił na zapis kapitana niemieckiego statku handlowego „Minden”.

Wyświetlił na ekranie przetłumaczony tekst:

„26 sierpnia 1883 roku, godzina 14.15: Minął nas za rufą niezidentyfikowany żaglowo*parowy kliper z ośmioma furtami armatnimi w sterburcie. Nie odpowiedział na powitanie. Zakotwiczył po południowej stronie Pulau Legundi”.

Przewinął kilka następujących zapisów i znów się zatrzymał:

„27 sierpnia 1883 roku, godzina 6.30: Erupcje się nasilają. Omal nie zalała nas gigantyczna fala. Wydałem załozie rozkaz przygotowania się do natychmiastowego odpłynięcia”.

* Idźmy dalej * mruknął Sam. Stuknął w ekran dotykowy i kolejny zapis wypełnił ekran:

„27 sierpnia 1883 roku, godzina 8.00: Żeglujemy z maksymalną prędkością kursem 041. Mamy nadzieję dotrzeć na zawietrzną stronę Pulau Sebesi. Niezidentyfikowany kliper nadal zakotwiczony po południowej stronie Pulau Legundi. Znów nie odpowiedział na powitanie”.

Sam kontynuował przewijanie, w końcu przerwał.

* To był ostatni zapis kapitana „Mindena” * rzekł. * To mógł być „Shenandoah”. Czas się zgadza, opis też: sześć furt armatnich.

* A jeśli był? * rozważała Remi. * Kapitan „Mindena” dokonał ostatniego zapisu dwie godziny przed ostatnią erupcją Krakatau. Jakikolwiek statek widzieli, prawdopodobnie uciekł stamtąd lub zwały się na niego tsunami albo spływ piroklastyczny.

* Istnieje trzecia możliwość * odrzekł Sam.

* Jaka?

* Spotkał go taki sam los jak „Berouwa”. Został przeniesiony w głąb lądu.

* I do tej pory go nie znaleziono?

* Może nie.

* Sumatra to duża wyspa. Gdzie proponujesz zacząć? Sam znów wskazał fotografię.

* W miejscu jego ostatniego zakotwiczenia.

* Cześć, Fargowie * odezwał się ktoś za nimi. Odwrócili się i zobaczyli Itzliego Riverę.

* Ciągłe na siebie wpadamy * powiedział Sam. * Szczerze mówiąc, wolelibyśmy obejść się bez tego.

* Mogę to załatwić.

* Jeśli ci pomożemy dokończyć to, czego sam nie jesteś w stanie dokończyć.

* Czytasz w moich myślach.

* Problem z tym planem jest taki * wtrąciła się Remi * że potem nas zabijesz.

* Nie muszę.

* Otóż musisz * odparł Sam. * Ty to wiesz i my to wiemy. Znamy mroczną tajemnicę Garzy, a to wystarczy, by obalić jego rząd. Mamy znacznie więcej informacji od innych twoich ofiar. Zamordowałeś pewną kobietę na Zanzibarze tylko dlatego, że znalazła jakiś miecz.

* I osiem innych osób z dużo bardziej błahych powodów * dodała Remi.
Rivera wzruszył ramionami.
* Co mogę powiedzieć?
* Na przykład: „Gdzie jest najbliższy wieżowiec, z którego mógłbym skoczyć?”
* Mam lepszą propozycję. Przekażecie mi wszystkie informacje, a ja powiem mojemu szefowi, że was zabiłem.
* Naprawdę uważasz, że jesteśmy tacy naiwni? * zapytała Remi. * Po tym wszystkim, co razem przeszliśmy? Wolno się uczysz, Rivera.
* Dotychczas mieliście szczęście, ale ono nie trwa wiecznie.
* Nie jestem pewien, czy dobrze cię rozumiem * rzekł Sam. * Wariant pierwszy: dajemy ci wszystko, co mamy, a ty nas mordujesz. Wariant drugi: nic ci nie dajemy i liczymy na to, że szczęście nadal będzie nam dopisywało.
* Skoro ująłeś to w ten sposób * odparł Rivera * zmienimy warunki. Dacie mi to, co chcę, a ja obiecuję, że zabiję was szybko i bezboleśnie. Jeśli odmówisz, dalej będziemy się bawili w kotka i myszkę. Dobrze wiesz, że w końcu was złapię, a wtedy będę torturował twoją żonę, dopóki nie dasz mi tego, co chcę.
Sam popatrzył Rivierze w oczy.
* Powinieneś się nauczyć dobrych manier * warknął. Rivera odchylił połę kurtki i odsłonił rękojeść pistoletu.
* A ty powinieneś się nauczyć dyskrecji.
* Moja żona też tak twierdzi.
* Oboje jesteście uparci. Wyjdziemy teraz razem. Jeśli mnie zaatakujesz albo spróbujesz zwrócić na nas uwagę, to zastrzelę najpierw twoją żonę, a potem ciebie. Idziemy. Mam tu łódź.
* Nie.
* Że co?
* Słyszałeś.
* Ja nie blefuję, Fargo. Zastrzelę was oboje.
* Wierzę, że spróbujesz. Ale nie myśl, że ci to ułatwię.
* Nikt mnie nie zatrzyma. Zniknę, zanim zjawi się policja.
* I co dalej? Naprawdę myślisz, że mamy ze sobą wszystkie dowody? Twój problem polega na tym, że nie doceniasz ludzi. Przeszukałeś nasz pokój w hotelu i niczego nie znalazłeś, zgadza się?
* Tak.
* Wzięliśmy tylko kilka zdjęć, które musiałeś już widzieć. Jeśli nas teraz zabijesz, cała sprawa się wyda. Zanim wrócisz do Meksyku, wszystkie stacje telewizyjne ją nagłośnią.
* Nie przyjechalibyście tu, gdybyście mieli wszystko, co jest wam potrzebne. Nie macie tego, co znalazł Blaylock.
* Więc jest nas troje.
* Nie zapominaj, że od prawie dziesięciu lat robię wszystko, by utrzymać to w tajemnicy. Wy jesteście w to zaangażowani od paru tygodni. Cokolwiek znajdziecie czy opowiecie, my to odkręcimy. Wiesz, dla kogo pracuję, i jaki on jest potężny. Nawet jeśli zdołacie przeżyć, zrobimy z was parę żądnych pieniędzy i sławy poszukiwaczy skarbów, którzy wymyślili fantastyczne kłamstwo dla własnych korzyści.
* Ale nie stracimy życia * powiedziała Remi.
* Ani poczucia humoru * dodał Sam. * Jeśli jesteś taki pewny siebie, to wracaj do domu i nie przejmuj się, co będzie.
* Nie mogę. Jestem żołnierzem. Dostałem rozkazy.
* No to mamy impas. Zastrzel nas albo odejdz. Rivera zastanawiał się chwilę, wreszcie skinął głową.
* Niech będzie po waszym. Ale pamiętajcie: bez względu na to, co się wydarzy, dopilnuję, żebyście nie opuścili Indonezji żywi.

Rozdział 43

Zatoka Lampung, Sumatra

Sam cofnął przepustnice i obrócił łódź burtą do wiatru. Zwolniła, zatrzymała się i zaczęła kołysać z burty na burtę. Kilkaset metrów na lewo znajdowała się Mutun, jedna z kilkudziesięciu zalesionych wysepek wzdłuż brzegów zatoki, a na prawo, w oddali, Indah Beach.

* No to jak będzie? * spytał.

* Już to przerabialiśmy, Sam * odparła Remi. * Odpowiedź nadal brzmi „nie”. Jeśli ty zostajesz, to ja też.

* Więc wracajmy do domu.

* Przecież nie chcesz.

* To prawda, ale...

* Zaczynasz mnie wnerwiać, Fargo.

Wiedział o tym. Kiedy Remi zwracała się do niego po nazwisku, oznaczało to, że jej cierpliwość jest na wyczerpaniu.

Po spotkaniu z Riverą w muzeum wsiedli na prom do Soi Marbella, około piętnastu mil od Carita Beach. Kiedy czekali, aż odbije od brzegu, Sam obserwował motorówkę Rivery, dopóki nie zniknęła za cyplem Tanjung na południowym zachodzie.

Wróciwszy na Jawę, pojechali taksówką do Four Seasons, spakowali się i zamówili kolejną taksówkę, która zawiozła ich na lotnisko. Weszli na pokład następnego czarteru Batavia Air i polecili do Lampung. Wylądowali krótko przed zapadnięciem zmroku, znaleźli hotel nad zatoką kilka kilometrów na południe wzdłuż wybrzeża i stamtąd zadzwonili do Selmy.

Fargowie uznali, że im prędzej dotrą na Pulau Legundi, tym lepiej. Wprawdzie spodziewali się obecności Rivery, ale jego pojawienie się w muzeum i groźby skłoniły ich do szybkiego działania.

Selma jak zwykle dokonała cudu: siedmiometrowe motorowe pinisi * typ wąskiego, płaskodennego kecza * czekało na nich w porcie przed wschodem słońca. Teraz, koło południa, mieli za sobą jedną trzecią trasy do Pulau Legundi.

* Jeszcze nigdy nie daliśmy się zastraszyć takim ludziom jak Rivera * powiedziała Remi. * Dlaczego teraz miałoby być inaczej?

* Dobrze wiesz dlaczego * odparł Sam. Podeszła do niego i położyła mu dłoń na ramieniu.

* Prowadź, Sam. Dokończmy to razem.

Sam się uśmiechnął.

* Jesteś niezwykłą kobietą, Remi.

* Wiem. A teraz prowadź.

Późnym popołudniem smuga na zachmurzonym horyzoncie zaczęła się przeistaczać w zielone szczyty i skaliste wybrzeże. Niezamieszкана Pulau Legundi, przypominająca kształtem postrzępiony przecinek, miała mniej więcej sześć i pół kilometra długości i trzy szerokości. Jak wszystkie wyspy w Cieśninie Sundajskiej i wokół niej, została zasypana popiołem wulkanicznym z Krakatau. Przez sto trzydzieści lat wiatry, deszcze i cierpliwość matki natury zamieniły ją w odizolowany obszar bujnego lasu tropikalnego.

Gdy słońce chowało się za szczytami Legundi, Sam wpłynął pinisi do osłoniętej zatoczki na wschodnim wybrzeżu. Zwiększył obroty silnika i wprowadził dziób na trzymetrowy pas białego piasku. Remi wyskoczyła z łodzi, a Sam sięgnął po ich plecaki i rzucił je na ląd. Potem wysiadł, przywiązał cumę dziobową do pobliskiego drzewa i ukucnął obok żony, która rozłożyła na piasku mapę turystyczną kupioną w hotelu.

* Stąd jest niecałe półtora kilometra do zachodniej strony * powiedział Sam, który przed wyjściem z muzeum przestudiował kilka cyfrowych map w kiosku multimedialnym i zapamiętał pozycję statku. * O ile się orientuję, „Shenandoah”...

* Jeżeli to był on.

* Mam taką nadzieję. Jeśli podzielił los „Berouwa”, powinien być tu, w tej płytkiej zatoce.

* Przypomnij mi, co się stało z „Berouwem”.

* Został zepchnięty w głąb łądu. Wszystkie mniejsze jednostki albo poszły na dno, albo zniszczyły je ostatnie tsunami. Przypuszczam, że „Berouw” jako jedyny był zakotwiczony w ujściu rzeki.

* Na drodze najmniejszego oporu.

* Otóż to. Jeśli poprowadzisz linię od Krakatau przez miejsce zakotwiczania statku na ląd,

zobaczysz...

* Wąwóz * dokończyła Remi, pochyliwszy się nad mapą.

* Zgadza się. Głęboki, ze stupięćdziesięciometrowymi szczytami po obu stronach. Kończy się poniżej trzeciego wierzchołka, kilkaset metrów od przeciwległego wybrzeża. Ma półtora kilometra długości i czterysta metrów szerokości.

* „Shenandoah” mógł się roztrzaskać w drobny mak albo zostać przepchnięty przez wyspę i zatonać po drugiej stronie * zauważyła Remi. * Jesteśmy czterdzieści kilometrów od Krakatau. „Berouw” był dwa razy dalej i skończył w głębi łądu.

* Po pierwsze, szczyty wokół naszego wąwozu są dużo bardziej strome niż gdziekolwiek indziej wzdłuż rzeki. Po drugie, „Shenandoah” miał co najmniej cztery razy większą masę niż „Berouw”, stalowe wręgi i podwójnej grubości poszycie kadłuba. Skonstruowano go tak, żeby był wytrzymały.

* Słuszne uwagi.

* Miejmy nadzieję, że przełożą się na rzeczywistość.

* Jedno cały czas nie daje mi spokoju...

* Co takiego?

* Jak „Shenandoah” przetrwałby wpływ piroklastyczny?

* Tak się składa, że mam pewną teorię. Chcesz posłuchać?

* Nie. Jeśli się okaże, że miałeś rację, wtedy mi powiesz. A jeżeli się mylisz, to będzie bez znaczenia. Pięć minut po wejściu w gęszcz roślinności zdali sobie sprawę, że madagaskarskie lasy nie umywają się do tych na Pulau Legundi. Drzewa rosły tu tak gęsto, że Sam i Remi musieli przeciskać się między nimi bokiem. W dodatku pnie od góry do dołu oplatały liany. Zanim pokonali sto metrów, Sama rozboleło ramię od machania maczetą.

Znaleźli niewielką polankę i ukucnęli, żeby napić się wody. Owady krążyły wokół nich, a w górze hałasowały niewidoczne ptaki. Remi wyjęła z plecaka środek odstraszający insekty, pokryła nim odsłonięte części ciała Sama, a potem on ją posmarował.

* To może być dobry znak * powiedział.

* Co?

* Na większości pni drzew jest warstwa pleśni i pnączy? To jak warstwa ochronna. A co dobre dla drzew, mogło być dobre również dla statku. * Pociągnął kolejny tyk z manierki i podał ją żonie. * Będzie się łatwiej szło, jak znajdziemy się wyżej.

* Dlaczego?

* Więcej słońca to mniej lian.

* Ale wyżej to także bardziej stromo * odparła Remi i westchnęła. * No cóż, w życiu nie ma nic za darmo.

Sam spojrział na zegarek.

* Zostały dwie godziny do zachodu słońca. Mam nadzieję, że nie zapomniałaś zapakować hamaka z moskitierą...

* Nie. Ale zapomniałam zabrać grill, steki i chłodziarkę z zimnym piwem.

* Tym razem ci wybaczę.

Przedzierał się jeszcze półtorej godziny, wspinając się nieprzerwanie na zachodnie zbocze szczytu. Wreszcie Sam zarządził postój. Rozciągnęli hamak między dwoma drzewami, sprawdzili szwy moskitiery, wpełzli do środka i posilili się konserwą wołową oraz suszonymi owocami. Dwadzieścia minut później zapadli w głęboki sen.

Symfonia dżungli obudziła ich tuż po wschodzie słońca. Zjedli szybko śniadanie i znów ruszyli w drogę. Zgodnie z przewidywaniami Sama, w miarę jak wspinali się coraz wyżej, las się przerzedzał, aż w końcu mogli się poruszać bez pomocy maczety. Kwadrans po dziesiątej wyszli spomiędzy drzew na granitową platformę szerokości trzech metrów.

* Niezły widok * powiedziała Remi, zrzucając plecak. W dole rozpościerały się błękitne wody Zatoki Sundajskiej. W oddali majaczyły strome klify wyspy Krakatau, a za nią zachodnie wybrzeże Jawy. Podeszli do krawędzi skalnej platformy. Sto pięćdziesiąt metrów pod nimi, u podnóża zbocza, znajdowało się dno wąwozu. Po obu stronach wznosiły się szczyty tworzące północną i południową

ścianę jaru. Sam wąwóz biegł prosto i lekko skręcał w pobliżu wybrzeża oddalonego o jakieś półtora kilometra. Sani wskazał skrawek wody widoczny za wylotem jaru.

* Tam był zakotwiczony.

* To dlaczego tam nie zaczęliśmy?

* Z dwóch powodów. Po pierwsze, to jest nawietrzna strona cieśniny. Może mam lekką paranoję, ale wolałem, żeby nikt nas nie widział.

* A drugi powód?

* Tu jest lepszy punkt obserwacyjny. Remi się uśmiechnęła.

* Spodziewałeś się, że zauważymy stąd maszt wystający spomiędzy koron drzew?

Sam odwzajemnił uśmiech.

* Tak. Ale niczego takiego nie widzę. A ty?

* Też nie. Teraz jest dobry moment, żebyś mi wyłożył swoją teorię. Jak „Shenandoah” mógł przetrwać spływ piroklastyczny?

* No cóż, ty pewnie znasz naukowe określenie tego, co ja nazwałem „efektem pompejańskim”.

Pompeje, które padły ofiarą wybuchu Wezuwiusza w roku 79 naszej ery, zasłynęły również z powodu „mumii”, odlewów ciał mieszkańców zastygłych w ostatnich momentach życia. Potok gorącego popiołu i pumeksu, który przetoczył się przez miasto, pogrzebał wszystko, co napotkał na swojej drodze.

Ludzie i zwierzęta, zaskoczeni na otwartej przestrzeni, w ciągu kilku chwil upiekli się żywcem i zostali przysypani. Kiedy zwłoki się rozkładały, powstałe płyny i gazy utwardziły wewnątrz skorupy.

* Chyba właśnie takiego terminu się używa * odparła Remi. * Ale tutaj było trochę inaczej.

* Właśnie na to liczę. Jeżeli „Shenandoah” został tu zepchnięty, nasiąkł wodą z tsunami i znalazł się pod tysiącami ton mokrej roślinności i drzew. W czasie spływu piroklastycznego cała wilgoć zamieniła się w parę i warstwa roślinności uległa zwęgleniu, ale nie sam statek, mam nadzieję.

Remi kiwała głową.

* Byłby więc zagrzebany w kilkumetrowej warstwie popiołu i pumeksu.

* Taka jest moja teoria.

* To dlaczego jeszcze go nie odnaleziono? Sam wzruszył ramionami.

* Bo nikt go nie szukał. Ile artefaktów odkrywa się dosłownie centymetry od miejsca, gdzie wszyscy prowadzą wykopaliska od lat?

* Mnóstwo.

* Poza tym „Shenandoah” miał siedemdziesiąt metrów długości i dziesięć szerokości, a ten wąwóz jest... * obliczył w pamięci * dwadzieścia pięć razy dłuższy i czterdzieści razy szerszy.

* Niegłupi jesteś, Samie Fargo. * Remi spojrzała w dół zбочa przed nimi. * Jak uważasz? Damy radę tędy zejść?

* Myślę, że tak * odparł Sam.

Schodzenie było powolne, ale w miarę bezpieczne. Wykorzystując pnie rosnących ukośnie drzew jako stopnie, przemieszczali się w dół zбочa i zarazem coraz głębiej w dżunglę. Po pewnym czasie korony drzew całkiem zasłoniły słońce i otoczył ich półmrok. Sam zarządził postój.

Wypił kilka łyków wody i ruszył wzdłuż pochyłości, rzuciwszy przez ramię:

* Zaraz wrócę.

Przyniósł dwa grube proste kije i krótszy wręczył Remi.

* Pogrzebacz? * zapytała.

* Tak. Jeżeli statek tu jest i przykrywa go warstwa skamieniałej roślinności i popiołu, to są w niej puste przestrzenie. Jeśli sprawdzimy wystarczająco duży teren, na pewno na coś natrafimy.

* Jeżeli...

* Nie kończ, bo zapeszysz.

Przez następne sześć godzin maszerowali ramię w ramię wzdłuż dna wąwozu. Wbijali kije w ziemię, starając się posuwać zakosami wzdłuż linii północ-południe.

* Szósta * rzekł Sam, zerknąwszy na zegarek. * Dokończymy ten odcinek i robimy fajrant.

Remi uśmiechnęła się ze zmęczeniem.

* Potem ułożymy się w przytulnym hamaku i... * Potknęła się i upadła ze stęknieniem.

Sam podszedł do niej i przyklęknął.

* Nic ci się nie stało? * spytał.

Przetoczyła się, zacisnęła usta i zdmuchnęła kosmyk włosów z policzka.

* Nie * odparła. * Ale jestem już tak zmęczona, że robię się niezdama.

Sam podniósł się i pomógł jej wstać.

* Gdzie mój kij? * zapytała.

* U twoich stóp.

* Co? Gdzie?

Sam wskazał w dół. Z gliniastego piasku wystawało pięć centymetrów kija Remi.

* Albo to jakaś magiczna sztuczka * powiedział * albo właśnie trafiliśmy na pustą przestrzeń.

Rozdział 44

Pulau Legundi, Cieśnina Sundajska

Cofnęli się ostrożnie i przyjrzeni uważnie ziemi dookoła.

* Widzisz coś? * zapytała Remi.

* Nie.

* Wejść na drzewo.

* Jeśli dotąd się nie zapadliśmy, to chyba już się nie zapadniemy.

* Poczujesz mnie.

Remi cofała się ostrożnie, a gdy uderzyła pupą w pień, odwróciła się i wspięła na najniższą gałąź.

Sam zdjął plecak i położył na ziemi, po czym, trzymając kij poziomo niczym linoskoczek, doszedł krok za krokiem do wystającego z piasku końca kija żony. Ukląkł, odłożył swój kij i wyciągnął kij Remi. Wyjął z kieszeni spodni lampę czołową i poświecił do dziury.

* Głęboko * powiedział. * Nie widzę dna.

* Co chcesz zrobić?

* Poszerzyć dziurę i wejść tam, ale jest już prawie ciemno. Rozbijmy obóz i zczekajmy do rana.

Spali bardzo niespokojnie. Co jakiś czas budzili się i wspólnie rozważali, co też może leżeć kilka metrów od ich hamaka. Trzymając * dosłownie i w przenośni * ten sam kurs, którym Winston Blaylock podążał podczas swoich poszukiwań, mieli wrażenie, że tropią „Shenandoah” od lat.

Gdy tylko wzeszło słońce, szybko zjedli śniadanie i wspięli się na pagórek, tym razem wyposażeni w dziesięciometrowy zwój nylonowej liny żeglarskiej, którą dostali razem z pinisi.

Remi zawiązała jeden koniec liny wokół najbliższego drzewa, a Sam zrobił na drugim końcu pętlę, którą włożył przez ramiona, tak że opasywała go pod pachami.

Podszedł do dziury, ukląkł i zaczął strącać kijem bryły gliniastego piasku oraz zastygłego popiołu w niewidoczną pustkę poniżej, cofając się na kolanach w miarę, jak dziura się powiększała. Po pięciu minutach otwór miał wielkość włazu.

Sam wstał i zawołał przez ramię:

* Trzymasz mnie?

Remi naprężyła linę i zaparła się stopami o pień.

* Tak.

Sam ugiął kolana i podskoczył. Potem jeszcze raz, trochę wyżej. Rozejrzał się dookoła i spytał:

* Widzisz jakieś pęknięcia?

* Nie, jest czysto.

Sam tupnął raz, drugi i jeszcze kilka razy.

* Chyba jest w porządku * oznajmił.

Remi zablokowała swój koniec liny i dołączyła do męża przy otworze. Rozplątał pętlę i zawiązał linę na pasku lampy czołowej. Włączył lampę i zaczął opuszczać ją do dziury, odliczając długości przedramienia. Gdy lina się poluzowała, co oznaczało, że lampa leży na dnie, pochylili się i zajrzeli w mrok.

* Czy to... * szepnęła Remi. * Nie, to niemożliwe.

* Owszem, możliwe. To stopa kościotrupa * odparł Sam i spojrzał na nią. * Wiesz, chyba zejść pierwszy.

* Świetny pomysł.

Po wyciągnięciu lampy zrobili na linie węzły wspinaczkowe i znów wrzucili ją do dziury. Sam wśliznął się do otworu i zaczął opuszczać rękę za ręką.

Niczym geolog badający odsłoniętą ścianę klifu, miał wrażenie, że wędruje w dół przez historię.

Pierwszą warstwę tworzyła zwykła gleba, ale pół metra niżej kolor się zmienił, najpierw na jasnobrązowy, a później na brudnoszary.

* Jestem na poziomie popiołu! * zawołał.

W popiele zaczęły się pojawiać skupiska czegoś, co przypominało skamieniałe drewno.

Sam dotknął stopami dna szybu. Kopnięciami zrobił stopnie w jego bokach i wolno przeniósł ciężar ciała na nogi. Ze ściany wystawało to, co wzięli za stopę kościotrupa.

* To zwykły korzeń! * stwierdził Sam.

* Dzięki Bogu.

* Następny prawdopodobnie okaże się ludzkim szczątkiem.

* Wiem.

* Podaj mi kij.

Remi zrobiła to. Sam chwycił kij obiema rękami i poruszał nim najpierw tak, jakby robił dziury pod słupki, a potem tak, jakby mieszał w gamku. Dziobał i skrobał szyb, aż uznał, że wystarczająco powiększył szerokość. Wokół niego wirowały pióropusze popiołu. Gdy kurz opadł, Sam ukucnął i powtarzał czynności, dopóki nie poszerzył szybu jeszcze o metr.

* Jaka jest głębokość? * zapytała Remi.

* Mniej więcej dwa i pół metra * odparł, uniósł kij i wsunął go za pas. * Będziemy musieli wybrać ten urobek.

* Zaczekaj * poprosiła Remi, a po chwili zawołała: * Worek w drodze na dół!

Jeden z nylonowych worków na ich rzeczy wylądował Samowi na głowie; do sznurkowego ściągacza była przywiązana linka spadochronowa. Sam ukucnął, napełnił worek i Remi wciągnęła go na górę.

Po dwóch następnych transportach szyb był czysty.

Sam zaczął się opuszczać. Pod ciężarem górnych warstw mieszanina stawała się coraz bardziej zwarta. Na głębokości trzech metrów szary kolor przeszedł w brązowy, a wreszcie w czarny.

Sam zatrzymał się i odwrócił głowę w bok, by skierować snop światła lampy czołowej na to, co zauważył. Zaparł się stopami o boki szybu, żeby nie stracić równowagi.

* Mam deskę! * poinformował.

Po kilku sekundach usłyszał słaby głos Remi:

* Opisz ją.

* To poziomy kawałek grubości około ośmiu centymetrów. Widzę jakieś dwadzieścia centymetrów.

* Osiem centymetrów grubości to za mało na spardek. Czy to może być dach pokładówki? Innymi podwyższonymi konstrukcjami były komin, świetlik maszynowni, świetlik mesy oficerskiej i sterówka. Widzisz jakieś ślady szkła?

* Nie. Ruszam dalej.

Gdy dotarł do dna szybu, który wydrążył, usunęli następną porcję urobku. Sam zrobił nogami stopnie i sięgnął po kij. Przy pierwszym uderzeniu usłyszał stuk drewna w drewno. Za drugim razem to samo.

Wydrążył szyb do końca, wychylił się w dół i oświetlił dno lampą czołową.

* Widzę pokład! * krzyknął.

Gdy dotknął stopami pokładu, drewno zaskrzypiało i ugięło się pod jego ciężarem. Odsunąwszy butem szczątki, tupnął. Rozległ się satysfakcjonujący trzask. Po kilkunastu następnych tupnięciach powstała półmetrowa dziura. Resztki martwej materii organicznej wpadły do otworu.

* Wchodzę! * zawołał Sam.

Ręka za ręką opuścił się do środka. Światło dzienne zniknęło, pozostał tylko blask jego lampy czołowej. Dotknął stopami jakiejś twardej powierzchni. Wypróbował jej wytrzymałość. Okazała się mocna. Puścił ostrożnie linę.

* Jestem na dole! * oznajmił. * Chyba jest bezpiecznie.

* Schodzę * odpowiedziała Remi.

Dwie minuty później dołączyła do niego. Zapaliła lampę czołową i oświetliła dziurę nad ich głowami.

* To musi być dach pokładówki * powiedziała.

* Więc tutaj jest pokład mieszkalny * stwierdził Sam. I grobowiec, uświadomił sobie, omiatając snopem

światła przestrzeń wokół. Po obu stronach wisiało około dwudziestu hamaków. Wszystkie były zajęte przez szkielety ze skrawkami wyschniętego ciała na nieosłoniętych ubraniach częściach.

* Zupełnie jakby leżeli i czekali na śmierć * szepnęła Remi.

* Pewnie tak było * odparł Sam. * Kiedy statek został przysypany, mieli trzy wyjścia: udusić się, umrzeć z głodu albo popełnić samobójstwo. Chodźmy. Wybierz kierunek.

Jedynie plany statku, jakie widzieli, pochodziły ze stoczni, gdzie go zbudowano. Nie mieli pojęcia, czy sułtan Zanzibaru albo Blaylock dokonali jakichś zmian we wnętrzu. Pokład mieszkalny był bliski oryginałowi, ale co z resztą pomieszczeń?

Remi wybrała dziób i ruszyli w tamtą stronę. Pokład był w tak dobrym stanie, że gdyby dostali się tu w inny sposób, nigdy by nie zgadli, że są pod czterometrową warstwą ziemi.

* To efekt braku tlenu * orzekł Sam. * Jest tu hermetycznie zamknięty od stu trzydziestu lat.

Snopy światła ich lamp padły na drewnianą kolumnę blokującą im drogę.

* Fokmaszt? * zapytała Remi.

* Tak.

Dalej trafili na przegrodę i dwa stopnie prowadzące w górę do dawnej kwatery podoficerów, zamienionej w magazyn drewna i płótna żaglowego.

* Chodźmy na rufę * zaproponował Sam. * Jeśli Blaylocka nie było na pokładzie w chwili katastrofy, to będzie albo w mesie oficerskiej, albo w swojej kajucie.

* Zapewne.

* Chociaż bardzo bym chciał zbadać wszystko, uważam, że to jeden z tych momentów, kiedy rozważa powinna wziąć górę nad odwagą.

* Masz rację * przyznała Remi. * To by zajęło pełnemu zespołowi archeologicznemu całe lata.

Skierowali się ku rufie. Ich kroki dudniły głucho na pokładzie, a przyciszone głosy odbijały się echem od przegród.

Przeszli przez właz pokładu mieszkalnego i zobaczyli przed sobą grotmaszt, a za nim przegrodę i drabinę prowadzącą w górę na główny pokład.

* Ślepy zaułek * stwierdziła Remi. * Chyba że postanowimy dostać się na główny pokład i do mesy oficerskiej.

* Nazwijmy to wariantem B. Zgodnie z planami statku, za tą przegrodą są zasobnie węgla i gómy poziom maszynowni, a dalej ładownia rufowa. Wiadomo, że sułtan przewoził od czasu do czasu nielegalne ładunki. Sprawdźmy, czy przystosował statek do ich transportu.

Prawie dwumetrowa przegroda biegła przez całą szerokość pokładu. Oświetlili ją lampami od jednego końca do drugiego i dokładnie pod miejscem, gdzie drabina przechodziła przez pokład w górę, Remi zauważyła w jednej z desek wgłębienie wielkości ćwierćdolarówki. Gdy wsunęła w nie kciuk, rozległ się szcęk i kłapa na zawiasach odchyliła się w dół. Sam opuścił ją do końca, stanął na palcach i zajrzał do otworu.

* Niski korytarz * oznajmił.

* Prowadzi we właściwym kierunku * stwierdziła Remi. Podsadził ją do włazu, sam podciągnął się do środka

i ruszyli na czworakach w stronę rufy.

* Chyba jesteśmy nad zasobnikami węgla * powiedział. Kiedy pokonali następne trzy metry, Remi zameldowała:

* Przegroda przed nami.

Spróbowała ją odsunąć i po chwili w ciasnej przestrzeni rozległ się szcęk metalu.

* Następny właz * oznajmiła, znikając w otworze. Sam usłyszał uderzenie jej stóp w stalową kratę.

Podczołgał się do włazu. Na wprost zobaczył słupek. Chwycił się go i wy dostał z korytarza.

Stali na pomoście z barierką. Podeszli do krawędzi i poświecili lampami czołowymi w dół. Z ciemności wyłoniły się kształty maszyn, dźwigarów i rur.

Dotarli pomostem do przegrody rufowej, gdzie znaleźli krótką drabinę, która prowadziła w górę do kolejnego włazu. Przeszli przez otwór do pomieszczenia o wysokości niespełna półtora metra.

Sam omiół je snopem światła, żeby się zorientować, gdzie są.

* Jesteśmy dokładnie pod mesą oficerską. Tu musi być następny...

* Znalazłam go! * zawołała Remi z odległości kilku metrów.

Sam odwrócił się i zobaczył, że Remi stoi przed dyndającą klapą w suficie.

* Cwaniak z tego sułtana * powiedziała z uśmiechem. * Jak myślisz, to było wejście do jego haremu?

* Wcale bym się nie zdziwił * odparł Sam, podszedł do żony i zrobił strzemię ze złożonych dłoni. *

Wchodź.

Znaleźli się w dziesięciometrowym korytarzu, po którego prawej stronie było pięć drzwi. Sam otworzył pierwsze i szepnął:

* Kibel.

Zajrzeli kolejno do pozostałych pomieszczeń, niewątpliwie kajut oficerskich. Pierwsze dwie były puste, ale w dwóch kolejnych na każdej z usytuowanych piętro woi leżał ludzki szkielet.

* Pogrzebani żywcem * szepnęła Remi. * Mój Boże, ile to trwało?

* Bez względu na to, jak długo, to musiał być koszmar.

Na końcu korytarza skręcili w prawo i weszli w następny, który biegł wzdłuż lewej burty ku dziobowi. Z jednej strony też były kwatery. Po drugiej znajdowały się pojedyncze drzwi prowadzące do mesy oficerskiej.

* Chcesz tam zajrzeć? * spytał Sam.

* Lepiej nie * odparła Remi. * Mam już dość widoku szkieletów.

* Więc zostało nam jedno pomieszczenie do sprawdzenia.

Zawrócili w stronę rufy, gdzie były grube dębowe drzwi z ciężkimi zawiasami z kutego żelaza i taką samą klamką.

* Kajuta kapitańska * powiedział Sam.

* Serce mi wali * wyznała Remi.

* Mnie też.

* Kto pierwszy?

* Panie mają pierwszeństwo.

Sam wycelował swoją lampę czołową nad ramieniem żony, żeby oświetlić jej drogę. Położyła dłoń na klamce, po chwili wahania nacisnęła ją i pchnęła drzwi. Spodziewali się skrzypnięcia zawiasów, więc byli zaskoczeni, kiedy otworzyły się bezszelestnie.

Z planów statku wynikało, że kajuta kapitańska na „Shenandoah” ma trzy metry długości i dwa i pół szerokości. W porównaniu z kłitkami oficerów, nie mówiąc już o kwaterze marynarzy, była luksusowa. Fargowie zajrzeli do środka i zobaczyli go w tym samym momencie.

Dokładnie na wprost nich, przodem do czterech okien rufowych, stał bujany fotel. Nad jego oparcie wystawała czaszka, naga poza pojedynczymi pasmami jasnych włosów i kilkoma kawałkami wyschniętej skóry.

Remi przestąpiła próg, Sam za nią i podeszli z obu stron do postaci w fotelu.

Winston Blaylock miał na sobie buty z cholewami, spodnie khaki i kurtkę myśliwską. Nawet jako szkielet robił imponujące wrażenie: szerokie bary, długie nogi, potężna klatka piersiowa.

Ręce złożył na podolku. Trzymał w nich statuetkę nogala helmiastego wielkości piłki futbolowej. Ptak patrzył w górę na Sama i Remi, jego fasety skrzyły się zielono w blasku ich lamp.

Sam sięgnął ostrożnie w dół i unióś statuetkę. Jeszcze chwilę przyglądali się doczesnym szczątkom Blaylocka, a potem przeszukali kajutę. Nie znaleźli ani dziennika okrętowego, ani żadnych dokumentów poza trzema arkuszami pergaminu pokrytego po obu stronach starannym pismem Blaylocka. Remi przebiegła wzrokiem treść.

* Listy do Constance * powiedziała.

* Daty? * spytał Sam.

* Czternasty sierpnia, dwudziesty sierpnia i... * Remi się zawahała. * Ostatni jest z szesnastego września.

* Trzy tygodnie po tym, jak „Shenandoah” został tu pogrzebany.

Wrócili korytarzem przy sterburcie, a potem w dół przez właz, maszynownię i ciasny tunel na pokład mieszkalny.

Remi wspięła się na górę wykopany szybem, zaczęła, aż Sam przywiąże statuetkę do końca liny, i wyciągnęła ją na powierzchnię. Rzuciła linę z powrotem na dół i Sam wszedł na górę.

Nazbierali małych gałęzi, ułożyli z nich nad szybem kratownicę i przysypali ją mokrym piaskiem.

* Nie powinniśmy zostawiać ich tam na dole * powiedziała Remi.

* Wrócimy tu * odparł Sam * i dopilnujemy, żeby się nimi zajęto; nimi wszystkimi.

Oboje byli podekscytowani odkryciem, więc trzygodzinna droga powrotna szybko im minęła. Gdy Sam dostrzegł między drzewami biały piasek plaży, natychmiast zorientował się, że ich łódź zniknęła.

* Remi, stój * wychrypiał.

Błyskawicznie zdjął plecak, odpiął suwak górnej kieszeni, wyjął statuetkę i cisnął ją w krzaki. Włożył plecak z powrotem i ruszył dalej.

Remi odwróciła się i widząc minę męża, zeszywniała.

* Co się dzieje? * spytała szeptem.

Z prawej strony zza drzew dobiegł głos Itzliego Rivery:

* To się nazywa zasadzka, pani Fargo. * Cofnąć się * rozkazał Rivera. * Jeszcze półtora metra i będziecie na piasku. Karabin jest wycelowany w twoją żonę, Fargo. Jeszcze jeden krok, pani Fargo. Remi posłuchała.

* Zrzuć plecak. Zrobiła to.

* Teraz pan, panie Fargo. Naprzód z rękami do góry. Gdy Sam posłusznie zszedł ze szlaku na plażę, Rivera

wyłonił się zza drzew. Na lewo od niego drugi mężczyzna, uzbrojony w karabin szturmowy, zrobił to samo. Rivera uniósł radio do ust i coś powiedział. Dziesięć sekund później motorówka okrążyła półwysep, wpłynęła do zatoczki i zatrzymała się dwa metry od brzegu. Na pokładzie byli dwaj mężczyźni, również uzbrojeni w karabiny.

* Znaleźliście statek? * zapytał Rivera. Sam uznał, że kłamstwo nie ma sensu.

* Tak.

* Blaylock był na pokładzie?

* Tak.

Sam i Remi wymienili spojrzenia. Wiedzieli, jakie będzie następne pytanie.

* Znaleźliście coś ciekawego?

* Trzy listy.

* Przeszukaj ich * warknął Rivera do mężczyzny za plecami Fargów.

Mężczyzna podszedł do nich, zdjął im plecaki, zawłókł je trzy metry dalej i przeszukał. Znalazłszy iPhone'a i telefon satelitarny, roztrzaskał aparaty kolbą karabinu i kopnął szczątki do wody. Potem wrócił do Sama i Remi i zrewidował ich.

* Nic * zameldował Riverze. * Tylko listy.

* Możesz je zatrzymać * powiedział Rivera do Sama. * W zamian wezmę twoją żonę.

Sam zrobił krok w kierunku Rivery.

* Tylko spróbuj * warknął.

* Sam, nie! * krzyknęła Remi.

Mężczyzna za nim rzucił się naprzód i walnął go kolbą karabinu w plecy tuż powyżej nerek. Sam opadł na kolana, ale zaraz się podniósł i wychrypiał:

* Rivera, możesz...

* Wziąć ciebie zamiast niej? Nie, dzięki. * Rivera sięgnął do kieszeni po komórkę i rzucił ją Samowi. * Jest na kartę, nie do wytopienia. Zostały trzy minuty rozmowy. Masz dwadzieścia cztery godziny na zlokalizowanie Chicomoztoc.

* Tyle czasu nie wystarczy.

* To już twój problem. Gdy się z nim uporasz, wciśnij gwiazdkę i sześćdziesiąt dziewięć, a ja odbiorę. Ale pamiętaj: minutę po upływie doby zabiję twoją żonę.

Sam odwrócił się do Remi.

* Wszystko będzie dobrze * zapewnił. Zmusiła się do uśmiechu.

* Wiem.

* Zabrać ją * rozkazał Rivera mężczyźnie z karabinem. Ten, trzymając Remi na muszce, poprowadził ją do

motorówki. Dwaj ludzie na pokładzie wciągnęli ją przez nadburcie i pchnęli na jedno z tylnych siedzeń.

Sam odwrócił się z powrotem do Rivery, który powiedział:

* Chyba nie musisz ci mówić, żebyś nie zawiadamiał policji i nie próbował żadnych innych numerów?

- * Nie.
- * Twoja łódź jest zakotwiczona po drugiej stronie półwyspu.
- * Dopadnę cię, Rivera.
- * Co?
- * Jeśli coś jej zrobisz, poświęcę resztę życia i wszystkie pieniądze na to, żeby cię dopaść. Rivera się uśmiechnął.
- * Wierzę ci * odparł.

Rozdział 45

Dwadzieścia dwie godziny później, południowy rejon Celebesu

Sam popatrzył na wskaźniki, żeby sprawdzić prędkość lotu, wysokość, ciśnienie oleju i paliwo.

Wszystkie napisy na tablicy przyrządów były po serbsku.

Buroniebieski hydroplan Ikarus Kurir miał sześćdziesiąt lat i należał kiedyś do jugosłowiańskich sił powietrznych. Okna przeciekały, silnik stukał, pływaki były mocno powgniatane, a stery miały takie luzy, że maszyna reagowała na naciśnięcia pedałów dopiero po dwóch sekundach.

Mimo to Sam Fargo nigdy w życiu nie był bardziej zadowolony z samolotu.

Tysiąc sześćset kilometrów na wschód od Dżakarty Ikarus okazał się jedynym hydroplanem do wypożyczenia, kupienia lub ukradzenia i Sam miał nadzieję, że jeśli nie rozbije się w ciągu najbliższej godziny, jakoś doleci do Remi. To, czy pozostaną przez kilka następnych dni, zależało od planu, który opracowali z Selmą.

Gdy tylko motorówka Rivery zniknęła z widoku, Sam odnalazł statuetkę nogala hełmiastego, otworzył swój plecak, przejrzał rzeczy i zostawił tylko niezbędne. Listy Blaylocka schował do torby Ziploc.

Dopłynięcie wpław do pinisi zajęło mu niecałe siedem minut, ale podróż łodzią do najbliższej osady na wschodnim brzegu zatoki Lam*pung trwała aż półtorej godziny. Zszedłszy na ląd, pokonał truchtem półtora kilometra do skupiska baraków z blachy falistej na obrzeżach strefy przemysłowej. W biurze jednego z zakładów poprosił o możliwość skorzystania z telefonu i zadzwonił do Selmy. Wysłuchała go i odrzekła:

- * Za mało czasu.
- * Wiem, ale więcej nie mamy.
- * Zawiadomić Rube'a?
- * Nie. Nie zdąży nic zdziałać. Niech Pete i Wendy zorganizują mi powrót do Dżakarty.
- * Już się robi.

Pięć godzin po opuszczeniu Pulau Legundi Sam wylądował w Dżakarcie. Zameldował się w najbliższym hotelu, gdzie mógł wypożyczyć laptop i skorzystać z połączenia Wi*Fi, po czym znów skontaktował się z Selmą.

* Nie obchodzi mnie, czy mamy rację co do lokalizacji * powiedział. * Muszę tylko wysłać ją Riverze i namówić go na spotkanie.

* Można spreparować dowody. Wendy wyczaruje coś w Photoshopie...

* Wstrzymaj się z tym * rzekł Sam i spojrzął na zegarek. * Przez sześć godzin musimy popracować nad każdym tropem, jakim dysponujemy. Jeśli zaprowadzi nas to donikąd, zrealizujemy twój plan.

Powtórzmy: Orizaga zniknął, prawdopodobnie szukając Chicomoztoc. Zatrzymał się na Sumatrze?

* Nie wiemy.

* On i Blaylock koncentrowali się na nogalu hełmiastym. Orizaga powiedział, że pozna Chicomoztoc, kiedy znajdzie „wylęgarnię wielkich ptaków”. Musiał mieć na myśli nogale, zgadzasz się ze mną?

* Wydaje się to logiczne.

* Gdzie one występują?

* Są na liście zagrożonych gatunków. Żyją tylko na Celebesie i wyspie Buton.

* A pięćset lat temu?

* Nie wiem.

* Niech Pete i Wendy zrobią listę znawców nogali hełmiastych.

* Nawet nie wiemy, czy są tacy.

* Od wszystkiego są specjaliści. Trzeba zapytać o wylęganie, skupiska, migrację... No dobrze, wracamy do Celebesu. Tam żyli Malgasze, zanim przenieśli się na Madagaskar, a na Madagaskarze znaleźliśmy łódź Blaylocka. Te dwie przesłanki przemawiają za Celebesem. Co wiesz o historii tej wyspy?

Sam usłyszał szelest papierów.

* Celebes uważa się za część pomostu lądowego między Australią i Nową Gwineą * odrzekła Selma.

* Osady ludzkie były tam już trzydzieści tysięcy lat przed naszą erą...

* Bardziej współcześnie * przerwał jej Sam.

* Szukam od paru dni, ale znalazłam niewiele informacji dotyczących okresu przed szesnastym wiekiem, kiedy na wyspę przybyli Portugalczycy.

* Acoż językiem i sztuką? Są jakieś podobieństwa do Azteków albo ich protoplastów?

* Wendy się tym zajmuje, ale ma ten sam problem co ja. Poza nielicznymi dużymi miastami na Celebesie są tysiące kilometrów kwadratowych lasu deszczowego, wygasłe wulkany i niewiele więcej. Niektórych miejsc w ogóle jeszcze nie zbadano. W Internecie jest bardzo mało danych dotyczących tamtejszej sztuki. Gdybyśmy mieli kilka tygodni...

* Nie mamy kilku tygodni. Mamy sześć godzin. Jeśli znajdziesz cokolwiek, co kojarzy się z Aztekami, natychmiast daj mi znać.

* Sam, musi pan odpocząć.

* Odpocznę, gdy uwolnię Remi. Wróćmy do łodzi z odsadniami. Masz wyniki badań laboratoryjnych. Przypomnij mi, co wiemy o użytych materiałach.

* Drewno to durian. Wiemy, gdzie rośnie obecnie, ale próbuję ustalić, gdzie mogło występować przed szóstym wiekiem. To samo z resztą drzew: kuczukowcem, pandanem i palmą gebang.

* Niech zgadnę: od tego też nie ma wielu specjalistów.

* Nie udało mi się znaleźć żadnego.

* Co z listami Blaylocka?

* Rozszyfrowaliśmy wszystkie. Nic w nich nie ma, chyba że w szyfrze został ukryty drugi szyfr. To samo dotyczy jego dziennika. A co jest w listach do Constance, które państwo znaleźli na „Shenandoah”?

* Nie są zaszyfrowane. W dwóch pierwszych Blaylock relacjonuje rejs do Cieśniny Sundajskiej. Ostatni napisał prawdopodobnie krótko przed śmiercią. Przeczytasz go, jak wrócimy do domu. Blaylock wyznaje w nim, że żałuje, że nie wrócił do kraju i nie ożenił się z Constance.

* A co ze statuetką nogala?

* To może być szmaragd, jodeit albo jakiś inny, nieznan mi kamień szlachetny. Sprawdzę, jakie minerały występują na Celebesie, ale nie sądzę, żeby to rozwiązało problem. Muszę mieć dostęp do naszego serwera, żeby móc działać stąd.

* Oczywiście, proszę mi dać dziesięć minut.

* Dzięki. Czego nie dostrzegamy, Selmo?

* Nie wiem.

* Ja też nie, ale mam wrażenie, że coś nam umyka.

Przez następne trzy godziny Sam i Selma kontaktowali się co dwadzieścia minut. Omawiali postępy, analizowali, co już wiedzą, i snuli rozmaite przypuszczenia.

W czwartej godzinie Selma znowu zadzwoniła i oznajmiła:

* Zrobiliśmy pewien postęp. Znaleźliśmy książkę norweskiego botanika na temat pandanu i palmy gebang i udało nam się z nim skontaktować. Uważa, że w czwartym i piątym wieku oba gatunki występowały powszechnie w północnej części Celebesu.

* Ale nie tylko tam.

* Nie.

* Właśnie sobie uświadomiłem, co nam umknęło.

* Co?

* Kodeks. Pamiętasz krzew, na którym siedzi nogal?

* Tak. Cholera! Jak mogłam o tym zapomnieć?

* Ja też to przeoczyłem. Niech Wendy powiększy obraz, wyczyści go i pokaże Norwegowi.

Sam rozłączył się, wrócił do swojego laptopa i znów przewijał galerię skanów, które zgromadzili: dziesiątki listów do Constance, setki stron z dziennika, Kodeks Orizagi, spirale Fibonacciego...

Wszystko zaczynało się stapiać ze sobą.

Wywołał Google Earth i oglądał Celebes, szukając czegoś, co byłoby choć trochę znajome. Po mniej więcej godzinie bezowocnych poszukiwań zrobił najazd na ustronną zatoczkę na północno* * wschodnim wybrzeżu. Tak jak wszędzie wokół wyspy, atole były w niej rozsiane niczym confetti. Nagle Sam powiódł palcem wstecz, przesuwając mapę. Zastopował obraz, powiększył, przyjrzał się uważniej i uśmiechnął.

* Wydrążony kwiat * mruknął.

Właśnie sięgał do telefonu, gdy aparat zadzwieczał. Dzwoniła Selma.

* Miał pan rację, Sam, od wszystkiego są specjaliści. Odezwała się pewna zoolog z Makasaru.

Twierdzi, że do początku siedemnastego wieku nogale były ptakami wędrownymi. Co roku zbierały się na kilka miesięcy w północno*wschodniej części wyspy.

* Mów dalej * poprosił zaintrygowany Sam.

* Przemailowałam zdjęcie krzewu z kodeksu dyrektorowi ogrodu botanicznego w Dżakarcie. Jego zdaniem to mógł być karłowaty durian. Powiedział, że durian prawdopodobnie został przeniesiony ze wschodu na zachód i znalazł się na Celebesie jakieś tysiąc sześćset lat temu.

* Fantastycznie * odrzekł Sam w zamyśleniu. * Możesz wywołać Google Earth?

* Moment. Okej, jestem gotowa.

Sam podał jej współrzędne geograficzne.

* Zrób najazd na tę wyspę tak, żeby wypełniła większość ekranu.

* Już.

* Czy ten kształt coś ci przypomina?

* Niestety nie.

* Wyobraź sobie te fałdy erozyjne głębiej.

* Nie rozumiem, co... Ależ oczywiście! To wygląda jak ilustracja Chicomoztoc podpisana dużymi literami.

* Miałem identyczne skojarzenie.

* To pewnie zwykły zbieg okoliczności.

* Być może, ale jest w północno*wschodniej części wyspy, na obszarze, o którym wspominali wszyscy twoi eksperci. Nawet jeśli to nie Chicomoztoc, chyba uda mi się przekonać Riverę, że tak jest.

* A co potem?

* Zobaczę, jak się z nim spotkam. Selmo, zorganizuj mi podróż na Celebes. A na miejscu załatw mi hydroplan.

Rozdział 46

Południowy rejon Celebesu

Sam lekko przechylił ikarusa i zaczął schodzić w dół. Na prawo z mgiełki wyłonił się pas startowy. Sam ustawił dziób w jednej linii z pasem, opadł przez warstwę chmur, zrobił kilka korekt i posadził maszynę. Pokołował w kierunku trzech baraków z blachy falistej na skraju asfaltu i według ręcznych sygnałów mężczyzny z obsługi naziemnej doprowadził samolot do stanowiska tankowania. Wyłączył silnik i wysiadł. Jako że Selma załatwiła wszystkie formalności, musiał tylko podpisać formularz. Potem okrążył barak i sięgnął po komórkę. Wybrał gwiazdkę i numer 69.

* Dzwonisz w ostatniej chwili * powiedział Rivera.

* Pospieszmy się, bo została mi tylko minuta rozmowy. Jesteś już na miejscu?

* Dziesięć minut od celu.

* Chcę rozmawiać z żoną.

* Najpierw podaj mi lokalizację Chicomoztoc.

* Dopóki jej nie zobaczę, nic z tego.

* Przeciągasz strunę * ostrzegł Rivera.

* A ty już odkryłeś karty, mówiąc, że nie zostawisz nas przy życiu. Jeśli chcesz trafić do Chicomoztoc, daj ją do telefonu.

Po chwili usłyszał głos Remi:

* Sam?

* Wszystko w porządku?

* Tak. Gdzie jesteś?

* Blisko. Trzymaj się. Rivera wrócił na linię.

* Będziemy czekać * powiedział i połączenie zostało przerwane.

Dziesięć minut później Sam znów był w powietrzu i leciał na południowy wschód w kierunku wyspy Selayar. Po następnych dwudziestu minutach ponownie opadał przez chmury. W dole rozciągało się spokojne błękitne morze. Wypoziomował na wysokości sześciuset metrów i trzymał się linii brzegowej, dopóki nie zobaczył południowego krańca wyspy. Wylądował kilkaset metrów od brzegu i pokłował do plaży. Przy drodze gruntowej stały dwa SUVy marki Isuzu. Kiedy pływaki ikarusa zazgrzytały na piasku, z samochodów wysiedli Rivera, Remi oraz trzech mężczyźni z Pulau Legundi.

Sam wyszedł na pływak i po chwili dotarł do brzegu.

* Sprawdźcie go * rozkazał Rivera.

Jeden z mężczyzn obszukał Sama, cofnął się i pokręcił głową.

* Zajrzyjcie do samolotu * polecił Rivera.

* Chciałbym przywitać się z żoną * oznajmił Sam.

* Proszę bardzo.

Sam zaczekał, aż Remi ruszy w jego stronę. Miał nadzieję, że Rivera pozwoli jej odejść poza zasięg głosu, ale tak się nie stało.

* Wystarczy! * zawołał ostro.

Gdy Fargowie objęli się, Sam szepnął:

* Zajmij siedzenie numer 3. Złap śpiwór i bądź gotowa.

Mimo iż zabrzmiało to tajemniczo, odrzekła krótko:

* Dobrze.

Rozdzielili się i Remi dołączyła z powrotem do Rivery. Mężczyzna, który miał przeszukać samolot, wrócił na brzeg.

* Na pokładzie nie ma żadnej broni * zameldował. * Tylko śpiwory, koce i sprzęt kempingowy.

* Na wypadek gdybyśmy musieli tu nocować * wyjaśnił Sam.

* Ten samolot to jakiś zabytek * stwierdził Rivera. * Jesteś pewien, że dolecimy nim do celu?

* Zdecydowanie nie * odparł Sam * ale tylko taki zdołałem zorganizować, mając dwudziestoczworgodzinny limit czasu. Możemy zrezygnować, jeśli chcesz.

* Nie, startujemy.

* Mogę zabrać tylko trzy osoby.

* W porządku. Dokąd lecimy?

* Do pewnej zatoki na wschodnim wybrzeżu. O ile wiem, nie ma nawet nazwy. To zajmie dwie i pół godziny.

* Jeśli ktoś będzie tam na nas czekał, zastrzelę was oboje * ostrzegł Rivera.

* I zginiesz w katastrofie lotniczej * odparł Sam. * Muszę przyznać, że to kusząca perspektywa.

* Potrafię pilotować * warknął Rivera. * Idziemy.

Sam przecenił możliwości ikarusa, bo lot trwał prawie trzy godziny. Gdy za przednią szybą pojawiła się linia brzegowa, przeprowadził skróconą kontrolę maszyny i zaczął schodzić w dół. Skręcił lekko na północ i wycelował dziób w wejście do półkolistej zatoki. Rivera, siedzący obok Remi, która zgodnie z instrukcją Sama zajęła fotel za mężem, pochylił się do przodu, żeby lepiej widzieć.

* Mała ta zatoka * zauważył. Sam skinął głową.

* Czteryście metrów szerokości w wejściu i tysiąc dwieście w najszerszym miejscu * uściślił. * Znajduje się w niej sześć wysp.

* Jesteś pewien, że Chicomoztoc to jedna z nich?

* Nigdy nie twierdziłem, że jestem pewien, ale tak się domyślałem na podstawie wszystkiego, co wiemy. Czyżbyś zapomniał, że nam w ciągu zaledwie kilku tygodni udało się osiągnąć więcej niż tobie przez prawie dziesięć lat?

* Spóźnione gratulacje * rzekł Rivera. * Jak na to wpadłeś?

* To długa historia, ale za chwilę zobaczysz wisienkę na torcie. Pytanie tylko, czy ją rozpoznasz?

Sam sprowadził ikarusa na wysokość trzystu metrów i wlecieli między przylądkami do zatoki.

* Gdzie to jest? * dopytywał Rivera.

* Cierpliwości * odparł Sam i chwilę później trochę z boku z kursu, żeby gęsto zalesiona wyspa przesuwiała się pod prawym skrzydłem. * Wyjrzyj przez boczne okno. Rivera przechylił się i spojrzął w dół.

* Taka mała? * zapytał z niedowierzaniem.

* Trzysta metrów w poprzek i sześćdziesiąt nad wodą.

* Jest za mała na wyspę * orzekł Rivera.

* Więc nazwijmy ją wysepką. W każdym razie, właśnie tego miejsca szukałeś.

* Co to za wklęsłość w środku?

* Nazywa się kaldera * wyjaśnił Sam. * Patrzysz na wygasły wulkan, ale jeszcze tego nie widzisz, prawda?

* Nie.

* Może Remi zobaczy.

Kiedy Rivera skinął głową, Remi pochylała się nad jego ramieniem i wyjrzała przez okno.

* Zmruż oczy * doradził Sam * i wyobraź sobie duży wydrążony kwiat.

Na twarzy Remi pojawił się promienny uśmiech.

* Sam, znalazłeś to! * wykrzyknęła.

* Chyba tak * odparł. * Widzisz to już, Rivera?

* Nie.

* Pamiętasz ilustrację przedstawiającą Chicomoztoc? Więc wyobraź ją sobie widzianą z góry. A teraz wyobraź sobie cyple wyspy zaokrąglone i wyraźniej sze.

* Widzę to * mruknął Rivera po chwili. * Niesamowite! Ląduj!

* Na pewno?

* Tak, do cholery! Ląduj!

* Jak chcesz.

Sam zszedł na wysokość sześćdziesięciu metrów, przechylił ikarusa i leciał wzdłuż zachodniego brzegu zatoki, dopóki dziób samolotu nie wycelował na północ. Pół minuty później pływaki dotknęły powierzchni wody; kadłub zadrżał, szyby zadygotały. Sam lekko poderwał dziób i wytracał prędkość, odbijając się od wody.

Kiedy spadła poniżej czterdziestu węzłów, zapytał żonę:

* Ile mamy śpiworów?

* Ja mam trzy * odparła, pochylała się i podniósłszy śpiwory, położyła je sobie na kolanach.

* Ja jeden. * Sam wskazał śpiwór wetknięty między jego siedzenie i fotel pasażera. * A ty, Rivera?

* O czym ty mówisz, do diabła?

Sam zerknął na tablicę przyrządów. Wskazówka prędkościomierza dotarła do trzydziestu pięciu węzłów. Odwrócił się do mężczyzny siedzącego na fotelu pasażera i spytał:

* A ty?

Ten już otworzył usta, żeby odpowiedzieć, ale nie zdążył. Sam płynnym ruchem opuścił prawą rękę, odpiął mu pas, chwycił śpiwór, uniósł do piersi i pchnął drążek.

Ikarus znurkował i uderzył dziobem w wodę.

Rozdział 47

Sam jeszcze nigdy nie lądował awaryjnie, więc jego plan opierał się wyłącznie na znajomości praw fizyki. Przy prędkości trzydziestu węzłów * czyli pięćdziesięciu pięciu kilometrów na godzinę * energia kinetyczna powstała wskutek uderzenia ikarusa w wodę wystarczyła, by wszyscy wewnątrz zostali gwałtownie szarpnięci do przodu, ale była za mała, żeby samolot przekoziłkował przez dziób. Uderzenie wyrwało natomiast przednie i tylne siedzenia pasażera z mocowań, które Sam poluzował przed startem.

Człowiek Rivery, już odpięty, roztrzaskał głową przednią szybę, złamał sobie kark i zginął. Rivera, nadal w pasie bezpieczeństwa, poleciał na oparcie przedniego siedzenia, a Sam wałnął w tablicę przyrządów, ale uderzenie zamortyzował śpiwór, który przyciskał do twarzy i piersi. Remi, osłonięta trzema śpiworami, pierwsza odzyskała przytomność.

Odpięła pas i przepchnąwszy się między siedzeniami, chwyciła Sama za ramiona i pociągnęła do tyłu. Przez dziurę w przedniej szybie do kabiny wlewała się woda. Ikarus zaczął się przechylać pod ciężarem silnika.

* Sam! * krzyknęła Remi. * Sam!

Otworzył gwałtownie oczy, zamrugał kilka razy i się rozejrzał.

* Udało się? * spytał.

* Oboje żyjemy, więc chyba tak.

* Co z Riverą?

Remi spojrzała na Riverę. Leżał na siedzeniu zgięty wpół.

* Nieprzytomny albo nie żyje * odparła. * Nie wiem i nie obchodzi mnie to. Musimy się stąd wydostać.

* Więc zrobmy to.

* Świetnie!

Sam zaparł się stopami o tablicę przyrządów, żeby pokonać grawitację, i odpiął pas. Spróbował otworzyć swoje drzwi. Ani drgnęły. Spróbował jeszcze raz.

* Moje drzwi się zacięły. Spróbuj po stronie Rivery.

* On je blokuje.

Sam odepchnął się nogami, wygiął plecy w łuk i przesunął górną część ciała na tylne siedzenie.

* Odepnij mu pas * poinstruowała Remi.

Gdy to zrobiła, Rivera osunął się na szczątki przedniego fotela pasażera i swojego martwego przyjaciela.

Remi przepęzła przez siedzenie i chwyciła za klamkę.

* Gotowy?

* Tak.

* Głęboki wdech!

Otworzyła drzwi i do środka natychmiast wdarła się woda. Zaczekali, aż wypełni kabinę, a potem Remi odepchnęła się i wypłynęła na zewnątrz. Sam był tuż za nią, ale w drzwiach zatrzymał się i obejrzał.

Wrócił na przednie siedzenie i zaczął macać rękami podłogę. Pod lewym butem martwego mężczyzny znalazł to, czego szukał: jego pistolet samopowtarzalny. Wetknął broń za pas, wydostał się z kabiny i skierował ku powierzchni. Przebił ją obok żony. Trzy metry na prawo od nich ogon ikarusa wystawał z wody.

* Nie tonie * powiedziała Remi.

* Prawdopodobnie w ogonie jest powietrze. Zanurkuje i spróbuję coś uratować. Spotkamy się na plaży.

Sam nabrał powietrza do płuc, złożył się i zanurkował. Wyciągniętą ręką trafił na krawędź skrzydła, przeciągnął się w poprzek kadłuba, a potem w dół do drzwi kabiny. Zamarł, widząc, że Rivera zniknęła.

Zajrzał do części ogonowej, ale nic nie zobaczył, więc jeszcze raz sprawdził przednie siedzenie.

Dostrzegłszy kątem prawego oka ruch, odwrócił głowę w tamtą stronę. Jakiś cień śmignął w kierunku jego twarzy. Poczł uderzenie w czoło i ból przeszył mu czaszkę, a potem otoczyła go ciemność.

* Sam! * usłyszał z oddali. Głos umilkł, potem znów się odezwał. * Sam!

Poczł ręce na twarzy. Znał ten dotyk: Remi. Zmusił się do otwarcia oczu. Pochyliła się nad nim, woda kapała mu na twarz z jej kasztanowych włosów. Uśmiechnęła się i spytała:

* Ile palców widzisz?

* Bardzo śmieszne * mruknął. * Żadnego. Nic mi nie jest. Pomóż mi usiąść.

* Leż. Masz paskudną ranę na czole.

* Rivera... Gdzie on jest?...

* Tu, panie Fargo.

Sam odchylił głowę do tyłu. Rivera siedział trzy metry dalej na ciemnym piasku.

* Twardy z ciebie sukinsyn, muszę to przyznać * wymamrotał Sam.

Uniósł się ciężko na łokciach, usiadł prosto z pomocą Remi i popatrzył na Riverę. Nie wyglądał dobrze

* miał złamany nos, jedno oko zapuchnięte tak, że została tylko szparka, i rozciętą dolną wargę * ale w prawym ręku pewnie trzymał pistolet.

* A tobie spryt nie wyjdzie na dobre * odpowiedział. * Jak tylko poczujesz się lepiej, zastrzelę was oboje.

* Przyznaję, że próbowałem cię zabić, nie kłamałem jednak na temat tego miejsca. Mogłem się pomylić, ale nie sądzę.

* Tym lepiej. Zastrzeleń was i sam znajdę wejście. Ta wyspa nie jest duża.

* Teraz wydaje ci się mała, ale kiedy zpuścisz się w głąb dżungli, okaże się znacznie większa. Szukanie zajmie ci całe tygodnie albo nawet miesiące.

* A ile zajęłoby tobie? Sam spojrzał na zegarek.

* Osiem godzin od chwili wejścia do kaldery * rzekł.

* Dlaczego akurat osiem?

* Tak przypuszczam.

* Grasz na zwłokę?

* Częściowo. Ale poza tym chcemy znaleźć Chicomoztoc tak samo jak ty. Może nawet bardziej. Tyle że mamy inną motywację.

* Dam ci cztery godziny * odparł Rivera, wstając. Remi pomogła wstać Samowi. Oparł się na niej, jakby zakręciło mu się w głowie.

* Głowa mnie boli * wyjaśnił, po czym szepnął żonie do ucha: * Miałem broń.

Uśmiechnęła się i odparła również szeptem:

* Teraz ja ją mam.

* Za paskiem?

* Tak.

* Jak nadarzy się okazja, zastrzel go.

* Chętnie.

* Spróbuję odwrócić jego uwagę.

Zahartowani w ciągu ostatnich kilku tygodni najpierw na Madagaskarze, a potem na Pulau Legundi, Fargowie wspinali się na zalesione zbocze bez większego wysiłku. Natomiast Rivera wyraźnie się męczył. Złamany nos zmuszał go do oddychania ustami, w dodatku lekko utykał. Ale lata służby wojskowej zrobiły swoje. Dotrzymywał kroku Samowi i Remi, cały czas trzymając ich na muszce. W końcu dotarli na szczyt. Zbocza kaldery opadały trzydzieści metrów do dna doliny. Od wieków zbierała się tam woda deszczowa, więc drzewa i inne rośliny były wyjątkowo okazałe.

* Co dalej? * zapytał Rivera. Sam rozejrzał się dookoła.

* Mój kompas został w samolocie, więc muszę poradzić sobie inaczej * wyjaśnił. Przeszedł jakieś piętnaście metrów między drzewami, zatrzymał się i oznajmił: * To powinno być dokładnie tutaj.

* Gdzie?

* Pod nami.

* A konkretnie?

* Ja ci powiem, a ty nas zastrzelisz. Nie, dzięki. Rivera zacisnął wargi. Nie odrywając wzroku od Sama, skierował pistolet lekko w prawo i pociągnął za spust. Pocisk trafił Remi w lewą nogę. Krzyknęła i upadła. Rivera ponownie wycelował broń w Sama, zatrzymując go w pół kroku.

* Pozwól mi jej pomóc * poprosił Sam.

Rivera spojrzał na leżącą Remi i zmrużył oczy. Dokuśtykał do niej, przykucnął i podniósłszy pistolet, który wypadł jej zza paska, cofnął się.

* Teraz możesz jej pomóc * powiedział.

Sam przypadł do Remi. Chwyliła go za rękę i jęknęła z bólu. Wyjął z kieszeni bandanę i przycisnął ją do rany.

* Wysłuchasz mnie teraz uważnie? * zapytał Rivera.

* Tak, do cholery * warknął Sam.

* Dostała w mięsień czworogłowy. Nie wykrwawi się na śmierć, a jeśli nie zostanie tu dłużej niż parę dni, jest szansa, że nie wda się infekcja. W obu pistoletach mam jeszcze trzydzieści naboju, więc zacznij ze mną współpracować, bo inaczej znowu wystrzelę.

Rozdział 48

Ruszyli w dół * Sam przodem, niosąc Remi, Rivera za nimi. Gdy dotarli do małej polany mniej więcej

pośrodku doliny, Sam położył żonę na miękkiej trawie. Rivera usiadł na kłodzie na skraju polany i nie przestając celować Samowi w pierś, podciągnął koszulę do góry. Z lewej strony brzucha miał siniaka wielkości piłki bejsbolowej.

* Musi boleć * powiedział Sam.

* To tylko siniak * odparta.

Ukląkł przy Remi i zdjął jej bandanę z uda. Rana prawie przestała krwawić.

* Rivera ma krwotok wewnętrzny * szepnął.

* Bardzo z nim źle? * zapytała cicho.

* Nie mam pojęcia.

* Graj na zwłokę, dopóki nie wykituje.

* Postaram się.

* Odejdź od niej * warknął Rivera, a gdy Sam wykonał rozkaz, spytał: * Wiesz, gdzie jest wejście?

Sam nie odpowiedział.

Rivera wycelował pistolet w Remi.

* Nie wiem * odrzekł Sam * ale na wszystkich ilustracjach Chicomoztoc to jaskinia otoczona przez siedem mniejszych grot, zupełnie jak kwiat. Zawsze jest pod górą. Rysunki różnią się co do szczegółów, ale główne elementy są takie same, łącznie z lokalizacją wejścia.

* U podnóża * powiedział Rivera.

* Zgadza się. Ale jeśli mam rację i jesteśmy we właściwym miejscu, wygląda na to, że zewnętrzny kształt wyspy był dla nich równie ważny jak wnętrze.

* Jak mogli ją zobaczyć z góry?

* Nie mogli. Opłynęli ją dookoła i sporządzili mapę. Zrobili to bez trudu, bo wyspa jest mała.

* I co dalej?

* Gdy patrzysz na ilustrację jak na dwuwymiarowy obraz, wejście do Chicomoztoc jest na dole. Jeśli jednak spojrzysz na nią z góry, a oni znali cztery strony świata, jak większość kultur, wejście znajduje się na południu.

Rivera rozważył to i skinął głową.

* Więc idź go poszukać * rzekł. * Jeśli go nie znajdziesz w ciągu czterech godzin, zabiję was oboje.

Rivera jasno sformułował zasady: Sam ma szukać wejścia, a on będzie pilnował Remi. Od czasu do czasu będzie wołał Sama po nazwisku i jeśli nie usłyszy odpowiedzi w ciągu dziesięciu sekund, znów postrzeli Remi.

Tak jak na Pulau Legundi, Sam zadowolili się tym, co miał pod ręką. Wziął mocny dwumetrowy kij, odwrócił się twarzą w kierunku, który uznał za południowy, i ruszył w górę zbocza kaldery, badając kijem grunt przed sobą.

Wspinaczka na szczyt zajęła mu dwadzieścia minut. Znalazłszy się tam, dał krok w prawo i ruszył z powrotem w dół. Metoda była sensowna, ale dręczyła go świadomość, że każda upływająca minuta działa na niekorzyść Remi.

W dwudziestominutowych odstępach wchodził na górę i wracał na dół. W górę, w dół i z powrotem. Sześć razy, osiem, dziesięć.

Tuż przed piątą, gdy słońce chyliło się ku zachodowi, przedzierał się przez gęstą kępę drzew.

Przystanął, żeby złapać oddech, i usłyszał cichy syk.

Wstrzymał oddech i wytężył słuch, chcąc zlokalizować źródło dźwięku.

* Fargo! * krzyknął Rivera.

* Tutaj! * odpowiedział Sam.

* Masz jeszcze pół godziny.

Sam pokonał trzy metry w dół zbocza i się zatrzymał. Syk trochę przycichł. Odszedł trzy metry w lewo i zaczął nasłuchiwać. Tu odgłos był wyraźniejszy. Powtarzał próbę, chodząc w górę i w dół, aż stanął przed wybrzuszeniem na zboczu. Szturchnął je kijem i wyczuł pustą przestrzeń.

Serce zabiło mu mocniej.

Opadł na kolana i włożył głowę do otworu.

Syk przybrał na sile.

* Fale * szepnął Sam.

Cofnął się i sięgnął do kieszeni po latarkę ołówkową. Włączył ją, ale nie zaświeciła.

* No nie... * mruknął.

Odkręcił dół latarki, wyjął baterie i wytarłszy je koszulą, włożył z powrotem. Gdy teraz wcisnął przycisk, latarka się zapaliła.

Znów wetknął głowę do otworu i poświecił dookoła. Szyb miał szerokość około metra i biegł ukośnie w głąb zbocza. Na granicy zasięgu światła latarki skręcał w prawo.

* Fargo! * rozległ się głos Rivery. Sam wyjął głowę z otworu.

* Tutaj! * zawołał.

* Zostało ci dwadzieścia pięć minut.

Musiał podjąć jakąś decyzję. Nie wiedział, dokąd prowadzi tunel i nie miał odpowiedniego sprzętu, więc w każdej chwili mógł się znaleźć poza zasięgiem głosu Rivery albo, co gorsza, usłyszeć go, ale nie być w stanie odkrzyknąć w ciągu wyznaczonych dziesięciu sekund. A w takiej sytuacji Remi niewątpliwie znów zostałaby postrzelona.

* On i tak nas zabije * powiedział do siebie. * Trzeba zaryzykować.

Wszedł do otworu i zaczął opuszczać się w dół.

Nie zdążył pokonać nawet trzech metrów, gdy Rivera krzyknął:

* Fargo!

Sam wdrapał się z powrotem na górę i wystawił głowę z dziury.

* Tutaj!

Spojrzał na zegarek: zostało mu dziewiętnaście minut.

Wrócił do szybu i zsuwał się, hamując czubkami butów i dłońmi, aż dotarł do skrzyżowania. Musiał się skulić, żeby go pokonać. Tunel zrobił się bardziej stromy, a po trzech metrach nagle się rozszerzył. Sam poczuł, że dynda nogami w powietrzu. Próbował wyhamować, ale grawitacja zrobiła swoje. Wysunął się z szybu i zaczął spadać.

Rozdział 49

Trwało to niecałą sekundę.

Wyczuł pod stopami miękkie podłoże, zrobił przewrót do tyłu i zatrzymał się na kolanach. Włączył latarkę i poświecił dookoła.

Miękka sterta, na którą spadł, była nieskazitelnie biała. W pierwszej chwili pomyślał, że to piasek, ale potem poczuł charakterystyczny zapach soli. Wokół niego rozlegał się szum fal, który to cichł, to przybierał na sile niczym w beczce śmiechu.

Sam spojrzał na zegarek: szesnaście minut.

Podniósł wzrok. Wylot szybu znajdował się trzy metry nad jego głową. Omiótł snopem światła przestrzeń wokół siebie. Ściana najbliższej niego zaśnieżyła, jakby tkwiły w niej maleńkie iusterka.

* Sól * mruknął.

Pod białą fasetową powierzchnią dostrzegł zielonkawą, półprzeźroczystą smugę. Biegła w górę ściany, gdzie rozszerzała się do trzydziestu centymetrów, a dalej rozwidlała na tuziny żył.

Rozgałęzienia tworzyły zieloną sieć pod białą powierzchnią soli.

Jaskinia miała kształt zbliżony do owalu o około dwunastu metrach średnicy. Sam ruszył naprzód, nie odrywając wzroku od sklepienia. W pewnej chwili poczuł na nogach strumień powietrza. Stał, przykucnął i przyjrzał się podłożu.

Dostrzegł ponadmetrową dziurę pokrytą skorupą soli z otworkami o średnicy ołówka, przez które wydostawało się powietrze. Sam wstał i poświecił dookoła. Teraz, kiedy wiedział, czego szukać, zauważył w blasku latarki dziesiątki otworków.

Dotarł do środka jaskini. Otaczały go rozmieszczone w regularnych odstępach pokryte solą półtorametrowe kopce. Było ich siedem.

* Miejsce Siedmiu Jaskiń * wyszeptał. * Chicomoztoc. Stąpając ostrożnie, podszedł do najbliższego kopca,

ukłękł i oświetlił go latarką. Pod skryształowaną solą zobaczył zielony blask. Postukał końcem latarki w powierzchnię. Po trzecim uderzeniu odpadł kawałek soli, a po czwartym bryłka skały wielkości piłeczki pingpongowej. Podniósł ją. Była zielona i półprzeźroczysta. Kamień pochłaniał i załamywał światło, tak że jego wnętrze wydawało się skrzyć własnym blaskiem. Sam schował bryłkę do kieszeni.

* ...argo! * dobiegło echo głosu Rivery.

* Cholera! * Sam odwrócił się i poświecił dookoła. Musiał natychmiast wymyślić jakiś plan... Snop światła padł na stertę soli i w tym samym momencie przyszedł mu do głowy pewien pomysł. Rzykowny, ale innego nie miał.

Omijając dziury, wrócił do sterty, na którą spadł, nabrał garść soli i włożył do kieszeni. Powiódł snopem światła po ścianie obok siebie. Prowadziła w prawo. Ruszył wzdłuż niej. Podłoże opadało, potem wznosiło się i skręcało w lewo. Szum fal ucichł. Sam dostrzegł z prawej strony słabe światło. Pobiegł w jego kierunku. Korytarz robił się coraz węższy i niższy, więc musiał biec zgarbiony. Wreszcie przebił się przez ścianę roślinności i upadł.

* ...argo!

Sam przetoczył się na plecy i złapał oddech.

* Tutaj!

* ...edenaście minut.

Sam poświęcił całe trzydzieści sekund na przeanalizowanie swojego planu i uznał, że może się powieść. Wprawdzie między „może się powieść” a „powiedzie się” jest spora różnica, nie miał jednak ani innego pomysłu, ani czasu.

Zszedł na dno doliny i wrócił na polanę.

* Coś znalazłem * oznajmił.

* Nie okłamujesz mnie? * zapytał Rivera.

* Nie.

* No to chodźmy * rzekł Rivera, wstając.

* Daj mi chwilę * poprosił Sam i podszedł do Remi.

* Cześć * szepnęła, otwierając oczy i uśmiechając się z wysiłkiem.

* Cześć. Bardzo boli?

* Nie. Tylko ćmi. Dla zabicia czasu liczyłam uderzenia swojego serca.

Sam zachichotał.

* Nigdy się nie nudzisz, co?

* Nigdy.

* Coś znalazłem. Zabieram tam Riverę.

* Czy to...

* Myślę, że tak. * Pochylił się i pocałował ją w policzek. * Pójdziemy tam razem * dodał ciszej * ale jeśli będę miał szczęście, wrócę sam.

* Więc zobaczymy się, kiedy wrócisz.

Sam wstał i zwrócił się do Rivery.

* Jestem gotowy.

* Prowadź.

Kiedy Rivera włożył głowę do otworu, Sam podał mu latarkę. Meksykanin powiódł snopem światła po korytarzu i spytał:

* Co tam jest?

* Sam się przekonaj. Ja nie dotarłem daleko. Rivera milczał. Najwyraźniej rozważał, czy Fargowie nie stali się zbędnym balastem.

* Ale tam, gdzie doszedłem, zgubiłem się trzy razy * podjął Sam. * W jednym z bocznych tuneli jest spadek; za nim zobaczyłem coś na ścianie. Jakiś symbol.

Sztuczka się udała. Rivera oddał Samowi latarkę i wskazał wejście do tunelu. Ruszyli w głąb korytarza, Sam przodem, Rivera kilka kroków za nim.

* W którą stronę? * zapytał Meksykanin, kiedy dotarli do miejsca, gdzie korytarz się rozwidłał.

Sam przez parę sekund udawał dezorientację, po czym skręcił w prawo, w odnogę prowadzącą do solnej jaskini.

Gdy tam dotarli, Rivera rozejrzał się, nasłuchiwał chwilę i mruknął:

* Co to za dźwięk? Szum fal?

* Chyba tak. W dole jest zapewne labirynt morskich jaskiń.

* A te białe ściany? Czy to skryształizowana sól?

* Morska, nawiana do góry z grot. Widzisz ciemne smugi? * Sam oświetlił latarką najbliższą ścianę. *

Przyjrzyj się.

Rivera przysunął się do ściany.

* To jakiś minerał * wyjaśnił Sam. * Szmaragd albo jadeit.

Rivera w zamyśleniu kiwał głową, gdy podążał wzrokiem za żyłami, które biegły w górę ściany i wzdłuż sklepienia.

* Gdzie ten boczny tunel? * spytał.

Sam, kierując snop światła latarki w głąb jaskini, wstrzymał oddech. Gdyby Rivera zobaczył kopce...

Na szczęście nie zobaczył.

* Idziemy * rozkazał.

Sam ruszył naprzód równym krokiem, zerkając ukradkiem pod nogi, gdy przechodził nad dziurami i wzdłuż ich krawędzi. Kiedy minął środek jaskini, usłyszał trzask, jakby lód pękł na stawie. Odwrócił się.

* Nie oślepiaj mnie, do cholery! * warknął Rivera, który wpadł w jedną z dziur. Usiłował się wydostać, ale nie zdołał i po kilku próbach dał za wygraną. * Musisz mi pomóc * wydyszał. * Jeśli tego nie zrobisz...

* Wiem * przerwał mu Sam. * Zastrzelisz mnie.

Z latarką w lewej ręce podszedł do Rivery. Poświecił mu w oczy, a prawą dłoń włożył do kieszeni i nabrał pełną garść soli.

* Do cholery! * warknął Meksykanin. * Zabierz tę pieprzoną latarkę...

* Przepraszam. * Sam przestał oślepiać Riverę.

* W porządku. A teraz podaj mi rękę. Tylko nie próbuj mnie wyciągać.

Gdy Sam wyciągnął rękę, Rivera chwycił go za nadgarstek i zaczął gramolić się z dziury. Wtedy Sam obrócił latarkę, ponownie oślepiając Meksykanina.

* Przepraszam * powtórzył.

Przesunął się w lewo, żeby zejść z linii ognia, i zamachnął się prawą ręką, jakby rzucał piłkę bejsbolową.

Rivera dostał solą prosto w oczy. Wrzasnął i zaczął wściekle naciskać spust. Pociski trafiały w ściany i sklepienie, kryształ soli spadały na dół, skrząc się w blasku latarki.

Sam ugiął nogi jak sprinter w blokach startowych, poderwał się i popędził przez jaskinię.

Rivera odwrócił się w stronę, z której dobiegały kroki, i strzelił.

Sam padł na brzuch i sunął ślizgiem po podłożu. Kryształ soli kaleczyły mu pierś. W końcu znieruchomiał i wstrzymał oddech.

Rivera, próbując go odnaleźć, stracił równowagę, zatoczył się w bok i wpadł w inną dziurę ze zgrzytem podobnym do dźwięku zamka błyskawicznego. Gdy rozpostarł ramiona, żeby zastopować opadanie, pistolet wyśliznął mu się z dłoni i zatrzymał na podłodze obok twarzy Sama.

Sam chwycił go i wstał.

* Fargo! * wrzasnął Rivera.

Sam podszedł do dziury. Meksykanin wisiał na krawędzi. Ręce, którymi wczepił się kurczowo w podłoże, drżały; ścięgnię na szyi nabrzmiwały z wysiłku. Wciąż oślepiony, odwracał gwałtownie głowę to w jedną, to w drugą stronę.

Sam ukucnął obok niego.

* Fargo!

* Jestem tu. Nieźle się urządziłeś.

* Wydostań mnie stąd!

* Nie.

Sam poświecił latarką do otworu. Szyb miał niewiele ponad pół metra szerokości, a pokryte solą występy skalne wystawały ze ścian jak kolce. Z dołu dobiegał szum fal. Sam chwycił kamień wielkości piłki bejsbolowej, wrzucił do dziury i słuchał, jak odbija się od skał.

* Co to było? * zapytał Rivera, kiedy odgłos ucichł.

* Zew karmy * odparł Sam. * Około trzydziestu metrów, jeśli dobrze obliczyłem na podstawie drugiej zasady Newtona.

* Co ty bredzisz, do cholery? Wydostań mnie stąd!

* Nie powinieneś być strzelać do mojej żony. Rivera zaklął szpetnie. Spróbował się dźwignąć, ale zdołał się unieść tylko o kilka centymetrów i opadł z powrotem. Jego głowa znalazła się poniżej

poziomu podłoża.

* Właśnie uświadomiłem sobie * powiedział Sam * że im bardziej pocą ci się dłonie, tym więcej soli rozpuszcza się pod nimi. Specjaliści od finansów nazywają to, zdaje się, malejącymi przychodami końcowymi. Nie jest to idealne porównanie, ale chyba rozumiesz, o co chodzi.

* Powinienem być cię zabić.

* Trwaj w tym przekonaniu. Tylko to ci zostało.

Lewa ręka Rivery ześliznęła się z krawędzi. Przez ułamek sekundy utrzymywał się tylko prawą, a potem zaczął spadać. Uderzył plecami o jeden z występów skalnych, łamiąc sobie kręgosłup. Ryknął z bólu, zsunął się w przepaść i koziołkował w dół, uderzając głową w skały, by wreszcie zniknąć z widoku.

Epilog

Dwa tygodnie później, Goldfish Point, La Jolla, Kalifornia

Remi wkuśtykała do solarium i osunęła się na szezlong obok męża.

* Powinnaś chodzić o lasce jeszcze co najmniej tydzień * powiedział Sam, nie podnosząc wzroku znad iPada.

* Nie lubię jej. Spojrzał na żonę.

* I mówisz, że ja jestem uparty. Jak noga?

* Lepiej. Lekarz twierdzi, że za parę tygodni będę w pełnej formie. Biorąc pod uwagę alternatywę, nie mogłabym być bardziej zadowolona.

* Przypuszczam, że mówiąc „alternatywa”, masz na myśli śmierć głodową w kraterze wygasłego wulkanu.

* Dokładnie.

Chociaż rana postrzałowa Remi nie była poważna, istniało spore ryzyko infekcji i posocznicy. Sam mógł albo cierpliwie czekać, aż Selma zorganizuje pomoc, albo zostawić żonę na wyspie i wziąć sprawy w swoje ręce. Zdecydowali się na tę drugą możliwość.

Następnego ranka Sam wspiął się na krawędź kaldery i zlustrował wzrokiem horyzont. Dostrzegłszy cienką smugę dymu nad lasem kilka kilometrów na północ, postanowił ruszyć w tamtą stronę.

Zbiegł zygzakiem ze zbocza, przepłynął prawie kilometr do brzegu i skierował się na północ. Gdy dotarł do rzeki,

ruszył wzdłuż niej w głąb łądu, nie spuszczając z oczu słupa dymu. Wkrótce doszedł do małej polany, na której stał mężczyzna w kamizelce safari i niebieskiej czapce bejsbolowej z logo BBC.

Widząc staniającego się na nogach Sama, reżyser filmu dokumentalnego krzyknął: „Cięcie!”, i zażądał wyjaśnień, kto mu zepsuł kręconą właśnie scenę.

Dwie godziny później Sam wrócił do czekającej w kalderze żony, a po kolejnej godzinie na plaży wylądował helikopter BBC. Nazajutrz byli z powrotem w Dżakarcie, a Remi trafiła do szpitala.

* Musimy podjąć pewne decyzje * powiedział teraz Sam.

* Wiem.

Na razie poza Selmą, Pete'em, Wendy, Milhauptem i Dydellem oraz Kidem nikt nie wiedział, co znaleźli. Łódź z odsadniami wciąż stała na ołtarzu w jaskini Lwia Głowa; „Shenandoah” nadal tkwił w wąwozie na Pulau Legundi pod czterometrową warstwą wulkanicznego popiołu; statuetka, którą zabrali z „Shenandoah”, była schowana w sejfie w ich pracowni; a ceremonialna jaskinia pod kalderą pozostawała ukryta.

Mieli szczerzy zamiar podzielić się swoimi odkryciami z międzynarodowym środowiskiem archeologicznym i antropologicznym, uznali jednak, że mądrze będzie wstrzymać się parę tygodni, by rozważyć implikacje ujawnienia tych odkryć i przygotować się na szturm mediów, który niewątpliwie nastąpi po publikacjach prasowych.

Teraz już rozumieli, dlaczego Garza nie pozwolił zbadać jadeitowej statuetki Quetzalcoatla, symbolu Mexica Tenochca. Byli przekonani, że gdyby do tego doszło, wyniki nie różniłyby się od tych, jakie otrzymali po zbadaniu swojego nogala. Okazało się, że zielony ptak nie został wykonany ze

szmaragdu ani jadeitu, lecz z rzadkiego rodzaju granatu nazywanego demantoidem, mającego takie same cechy jak kamień, który Fargowie wzięli z jaskini.

Nie wiedzieli, gdzie i jak Blaylock znalazł statuetkę, ale mikroskopijne ślady specyficznych dla Indonezji pigmentów, które na niej pozostały, sugerowały, że ptaka kiedyś pomalowano * być może po to, by w niej przedstawiał żywy oryginał.

Po powrocie do domu zdołali rozwikłać kilka zagadek, które nie dawały im spokoju. W dzienniku Blaylocka znaleźli wyjaśnienie tajemnicy dzwonu, kiedy Pete trafił na dwie sklezione ze sobą kartki. Okazało się, że gdy „Shenandoah” stał na kotwicy u wybrzeża wyspy Chumbe przed wyruszeniem w rejs do Cieśniny Sundajskiej, napadli na niego piraci. Blaylock, nie chcąc, żeby dzwon, „serce Ophelii”, wpadł w ręce napastników, usunął z niego serce i wyrzucił za burtę, z zamiarem wyłowienia go po powrocie do Bagamoyo. Podczas ataku piratów Blaylock zgubił swój miecz w stylu gladiusa i właśnie ten miecz znalazła sto dwadzieścia siedem lat później Sylvie Radford, gdy nurkowała z rurką. Ukochany dziennik i laskę, które zawsze starał się mieć w zasięgu ręki, zostawił u jednej ze swoich konkubin dzień przed odpłynięciem do Indonezji. Obie rzeczy trafiły w końcu do muzeum prowadzonego przez Mortona. Sam i Remi zastanawiali się, czy Winston Blaylock przeczuwał, że już nie wróci do domu. Wiedzieli jednak, iż na to pytanie raczej nie znajdą odpowiedzi.

Rivera, jako dobry żołnierz, nie zostawił żadnego tropu, który mógłby obciążyć prezydenta Garze, więc Sam i Remi postanowili wykorzystać fakt, że nie odnaleziono jego ciała.

Dzięki kontaktom Rube'a Haywooda zmontowali klasyczny przeciek medialny: w programach informacyjnych amerykańskich kabłówek pojawiły się sensacyjne doniesienia, że Itzli Rivera, który na polecenie prezydenta Meksyku zamordował kilkoro turystów na Zanzibarze, żyje i aby uniknąć ekstradykcji do Tanzanii, postanowił złożyć szczegółowe zeznania dotyczące nie tylko zabójstw, ale również podejmowanych przez Garze prób ukrycia prawdy o statuetce Quetzalcoatl i zdobyciu podstępem władzy przez partię Mexica Tenochca. W ciągu zaledwie kilku godzin po nagłośnieniu sprawy meksykańskie stacje telewizyjne wałkowały temat na okrągło, a po dwóch dniach opozycja zażądała wszczęcia oficjalnego dochodzenia. Na ulice stolicy wyległy setki tysięcy demonstrantów, niemal całkowicie paraliżując ruch w mieście.

Po dziesięciu latach strzeżenia tajemnicy, która miała moc zarówno zapewnienia mu chwały, jak i zniszczenia go, Quauhtli Garza uświadomił sobie, że wszystko stracone. A sprawiła to para poszukiwaczy skarbów. Amerykańskich imperialistów, takich jak Cortes i jego hordy.

Historia się powtarza, pomyślał gorzko. Niech szlag trafi Fargów; i Riverę, tego zdradzieckiego sukinsyna.

Ale on nie skończy tak, jak jego przodkowie. Został sam, lecz nadal może zdecydować o swoim losie. Pięć dni po wybuchu afery prezydent, uwięziony w swoim gabinecie przez tłumy skandujące: „Pokaż się!” i „Garza musi odejść!”, zwolnił ochronę i personel i popatrzył przez okno na ludzi, którzy jeszcze tak niedawno go uwielbiali, a teraz zwrócili się przeciwko niemu.

O zachodzie słońca Garza opuścił gabinet, wszedł na dach budynku, ostatni raz spojrzął na swoje miasto i skoczył.

Jego ciało, otoczone przez tysiące zszokowanych mieszkańców stolicy, leżało na wyszczerbionych stopniach piramidy, ostatniej pozostałości po utraconym imperium Azteków.

Z głośnika nad szeszlonym Remi dobiegł głos Selmy: * Jestem gotowa.

* Już idziemy * odrzekł Sam.

Gdy weszli do pracowni, Selma oznajmiła:

* Właśnie skończyłam wprowadzać dane: scenariusz podobny do tego, jaki ułożył Instytut Badań Geologicznych kilka lat temu.

* Widziałaś to już? * spytał Sam.

* Miałabym zepsuć państwu zabawę? * odparła ze śmiechem. * Nigdy w życiu.

Jedno z pytań, jakie dotychczas pozostawały bez odpowiedzi, brzmiało: dlaczego po przebyciu prawie dwudziestu tysięcy kilometrów protopłaci Azteków wybrali ostatecznie jezioro Texcoco?

Legenda głosi, że zaprowadził ich tam orzeł z wężem w dziobie siedzący na kaktusie, ale zgodnie z teorią ikonografii migracyjnej profesora Dydella chodziło o nogala hełmiastego usadowionego na wierzchołku durianu.

Selma wycelowała pilota w ekran LCD i chwilę później pojawił się na nim obraz wyspy Chicomoztoc z

lotu ptaka. Kamera zrobiła odjazd, by pokazać sąsiednie wysepki i samą zatokę.

Selma wcisnęła inny przycisk i obraz zaczął się zmieniać, w miarę jak czas na marginesie cofał się w dziesięcioletnich odstępach. Poziom morza wznosił się i opadał; linia brzegowa cofała się i posuwała naprzód; dżungle przerzedzały się i gęstniały. Nad zatoką pojawił się pojedynczy słup dymu, a za moment drugi.

* Stop! * zawołał Sam i Selma zatrzymała animację. * Wulkany?

Remi skinęła głową.

* Na to wygląda.

Selma znów włączyła odtwarzanie. Poziom wody podnosił się gwałtownie i opadał, a potem zaczął się ruszać ląd.

* No proszę * mruknęła Remi.

* Można to spowolnić? * zapytał Sam. Selma wcisnęła odpowiedni przycisk na pilocie.

Z boku ekranu wyświetlił się napis: „782 r. n.e.” i animacja zwolniła do tempa jednego roku na sekundę. Fargowie wpatrywali się w ekran z rosnącym zdumieniem, bo rogi zatoki stopniowo wynurzały się z morza i pełzły ku sobie, a wszystkie wyspy, z wyjątkiem Chicomoztoc, znikaly pod powierzchnią. Zanim czas cofnął się do roku 419 n.e., ląd zamknął zatokę. Na środku powstałego jeziora była tylko samotna wyspa w kształcie kwiatu, takim samym jak jaskinia na ilustracji przedstawiającej Chicomoztoc.

* Nic dziwnego, że bagnisty kawałek lądu na środku jeziora Texcoco wydał im się zachęcający * powiedziała Remi. * Przybyli do ojczyzny.

Fargowie podziękowali Selmie i wrócili do solarium.

* Od czego chcesz zacząć? * spytał Sam.

* Co zacząć?

* Wykopaliska. Od łodzi z odsadniami na Madagaskarze, od wyspy Chicomoztoc czy od „Shenandoah”? Kiedy tylko wydamy oświadczenie, zaczną się organizować ekspedycje, a chciałbym wykonać pierwszy ruch kilofem.

Remi zastanawiała się chwilę, wreszcie wzruszyła ramionami i odparła:

* Nie potrafię się zdecydować. A ty? Sam się uśmiechnął.

* Ja też. Wszystkie są fascynujące. * Wyjął z kieszeni ćwierćdolarówkę, zacisnął pięść i położył monetę na paznokciu kciuka. * Dwa rzuty. Wybierzemy to, co wygra.

Remi skinęła głową i Sam Fargo rzucił monetą.

Podziękowania

Dziękuję następującym osobom, bez których ta książka nie byłaby taka, jaka jest:

Samowi Cragheadowi z Muzeum Konfederacji, którego spostrzeżenia były naprawdę nieocenione; Johnowi Koiimli i Timowi Thomasowi za ich uwagi z dziedziny gemmologii i geologii; Richowi Hartneyowi za pomoc w naszym lądowaniu awaryjnym; Dougowi Lyle'owi i C.J. Lyons za odpowiedzi na nasze pytania z dziedziny medycyny; Geoffowi Irwinowi i Peterowi Bellwoodowi za ich chęć udzielenia odpowiedzi na spekulatywne pytania z dziedziny antropologii; Timowi Roufsowi i Sandrze Noble za podzielenie się wiedzą na temat Ameryki Środkowej; Jurgenowi Theissowi za pomoc na Zanzibarze i w Tanzanii; Tomowi Chaffinowi, autorowi Morza szarości (Sea of Gray) za sugestie, co mogło się zdarzyć; Victorii Lisi za jej trafne uwagi; Neilowi, Peterowi, Tomowi, Sarze i Pam za cierpliwość i niezłomność; Kidowi i jego żonie za przyjaźń oraz wsparcie; i wreszcie Steve'owi Berry'emu: jesteś naprawdę kimś, mój przyjacielu.